

SERGE  
**JACQUEMARD**

**HARRY  
SHULZ**  
SERIES

Śmierć  
i d z i e  
z a n i m  
k r o k  
w k r o k

Oskarżony w celi śmierci płatny zabójca, Johnny Kremer, wrywa do siebie Harry'ego Szulza. Proponuje mu ofertę nie do odrzucenia: milion dolarów ukryty w śniegach Alaski za śmierć trzech osób. To ich brudna machinacja sprawiła, że Kremer wyładował w więzieniu z wyrokiem śmierci.

„Jesteś najlepszym zawodowcem na świecie, Harry. Mam do ciebie zaufanie. Wiem, że ci się uda. Wiem też, że jesteś uczciwy. Nawet jeśli mi to nie będzie, ty wykonasz robotę...”

Szulz przyjął wyzwanie. Choćła droga do spełnienia prośby Kremera okazała się długa i pełna ofiar...

„Śmierć idzie za panem krok w krok... Jest pan międzynarodowym konsultantem śmierci!” — padnie na koniec tej intrygującej historii.



**„HARRY SHULZ SERIES”  
TO DOSKONAŁA LEKTURA  
NA KAŻDĄ POGODĘ!**

ISBN 83-87488-48-3

**C&T**

*Człowiek, który umiera, potrzebuje umrzeć tak samo jak człowiek, który padając ze zmęczenia odczuwa potrzebę snu. I nadchodzi chwila, w której staje się on tak bardzo niepoprawny, że nie warto dłużej mu się przeciwstawiać.*

Stewart Alsop, wyrok w zawieszeniu

**SERGE JACQUEMARD**

**Śmierć idzie za nim  
krok w krok**

Przekład:  
MAREK NOWAK

*C&M*

**Toruń**

Tytuł oryginału:

À CHAQUE PAS, UN ASSASSINAT...

Copyright © 1977 «Édition Fleuve Noir», Paris

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2000

Copyright © for the Polish translation by Marek Nowak

Opracowanie graficzne:

PRZEMYSŁAW TALAŚKA

Redaktor wydania:

PIOTR PIOTROWSKI

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS” Toruń, tel. (056) 660-22-85

ISBN 83-87498-48-3

Wydawnictwo „C&T”

ul. Św. Józefa 79,

87-100 Toruń,

tel. (056) 652-90-17

Toruń 2000.

Wydanie II.

Ark. Wyd. 17, ark. druk. 18.

Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne,

Bydgoszcz,

ul. Wojska Polskiego 1.

## ROZDZIAŁ I

Harry Shulz przez okrągłe okienko przyglądał się sawannie umykającej pod skrzydłami samolotu. Skrzywił się. Ten widok nie cieszył oka. Podobnie jak i reputacja całego kraju.

Cóż za wariacki pomysł miał Johnny Kremer, prosząc go o przybycie tutaj! – pomyślał.

Kątem oka zauważył ubraną na błękitno stewardesę. Szybko uniósł rękę. Podeszła do niego. Posłał jej swój uwodzicielski uśmiech, który tak bardzo podobał się kobietom. Ona także odpowiedziała mu uśmiechem.

– Poproszę potrójną whisky z dużą ilością lodu – powiedział, uśmiechając się jeszcze bardziej zniewalająco. – Nie wiem, kiedy znowu się napiję whisky, więc skorzystam z okazji, skoro jeszcze żyję.

Przerażona uniosła ku górze brew.

– Opuszcza pan pokład na najbliższym lotnisku? – spytała ochrypłym głosem.

– Tak.

Krótkotrwały dreszcz sprawił, że jej subtelnie zarysowane wargi zadrgały.

– Mówią, że... – zaczęła.

Przerwał jej szybko: – Wiem, co mówią.

– I nie boi się pan?

– Ja niczego się nie boję.

Na twarzy stewardesy malowało się niedowierzenie.

– Jest pan pewien? – spytała tym samym ochrypłym głosem.

– Naprawdę niczego się nie boję – powtórzył tym samym spokojnym tonem.

– Mimo wszystko należy się mieć na baczności! – poradziła unosząc ku górze palec. – Obsługuję tę linię od dawna i widziałam wielu opuszczających tu

pokład, ale niewielu z nich wsiadało z powrotem...

- Mnie to nie dziwi – odparł Harry Shulz.
- Pójdę po tę whisky dla pana – westchnęła odchodząc.
- Dziękuję.

Był zachwycony, gdy wróciła naprawdę szybko i podała mu dużą szklanekę. Pociągnął szybko kilka łyków, po czym podniósł wzrok na stewardesę. Oparta łokciem o sąsiedni fotel spoglądała zamyślona.

– Sprawdziłam listę pasażerów. Jest pan jedynym wysiadającym na... – zaczęła.

- Najbliższym lotnisku? – dokończył za nią Harry Shulz.
- Tak – odparła.
- Jakby nie patrzeć, samolot jest prawie pusty.
- Jak zwykle. Na tej linii nie ma dużego ruchu.
- Od dawna ją pani obsługuje? – spytał Harry Shulz.
- Od trzech lat – oznajmiła z wdziękiem.
- Jest pani Angielką?
- Szwedką.

Harry Shulz skinął głową.

- A pan zostaje tam w interesach? – spytała z kolei stewardesa.

Zmrużył oczy i stłumił uśmiech, nim potwierdził: – Tak, w interesach.

- Zdaje się, że w tym kraju nie robi się już interesów?
- Chyba jednak tak, skoro tam lecę.

Wzruszyła ramionami. – Nie wygląda pan na biznesmena! A ja się na tym znam, naprawdę! Zbyt długo obskakuje już takich ludzi!

Lodowaty błysk mignął w spojrzeniu Harry'ego Shulza, ale był tak szybki, że go nie zauważyła.

- Na kogo więc wyglądam? – spytał bardzo słodko.
- Na każdego, kim mógłby pan być, ale kim pan chyba nie jest...

Przyjrzał się jej z większą uwagą. – Nie jest pani idiotką.

Wydęła wargi.

– Mężczyźni naprawdę popełniają błąd, uznając, że kobiety to tylko idiotki i że można je łatwo uwieść.

Ta rozmowa schodzi na niebezpieczne tory – zauważył Harry w myśli. Pociągnął spory łyk whisky i odruchowo zabębnił palcem w szklanekę.

- To kiedy tam wylądujemy?

Zerknęła na maleńki zegarek zdobiący jej nadgarstek. – Za dwadzieścia minut. Samolot już od pewnego czasu schodzi do lądowania. Nie zauważył pan tego spoglądając przez okienko?

- Tak. Owszem.
- Dlatego zaraz będą musiała pana opuścić – zauważyła jakby z żalem.
- A jak się pani nazywa?
- Kerstin. Kerstin Lundqvist. To... to...

Spojrzał na nią uważnie.

- Chciałaby pani coś dodać?

Nieoczekiwanie jakby posmutniała.

– Chciałam powiedzieć, że... że to naprawdę szkoda, że taki facet jak pan ryzykuje życie w miejscu, które określa się mianem piekła... Dlaczego pan nie zmieni zdania? Dlaczego nie polecą pan do końca tej linii?

- Czyli tam, gdzie kończy pani służbę?

– Tak. I bez problemu dostanie pan bilet na tym lotnisku nie opuszczając naszego samolotu.

Wypił whisky do ostatniej kropli, aż kostki lodu uderzały o siebie na koniuszku jego nosa, i podał jej pustą szklankę.

– Dziękuję za tę troskę. Od dawna nikt nie martwił się o to, co mogło mi się naprawdę przytrafić... Niestety, to niemożliwe... – dokończył fatalistycznie.

- Nie ma rzeczy niemożliwych!

- W tym przypadku są.

Posłał jej promienny uśmiech, aby złagodzić ton, jakim wypowiedział ostatnie zdanie. Nerwowo poruszyła ręką, jakby chciała zaznaczyć, że w głębi duszy wcale jej to nie obchodziło.

- Czas zapiąć pas – powiedziała.

Usłyszał, a potem spojrzał do góry, by popieścić wzrokiem jej niezłą sylwetkę w dobrze skrojonym jasnoniebieskim mundurku, gładką i różową twarz, jasnoblonde włosy upięte w kok pod toczkiem tego samego koloru co mundurek.

– Wspomnienie pani i smaku tej ostatniej whisky długo mnie nie opuści!... – dodał już sucho.

Wzruszyła ramionami i zniknęła w przejściu między fotelami.

Dwadzieścia minut później Harry Shulz opuszczał pokład samolotu, wkraczając w żar rozgrzewający niemal do białości beton pasa startowego.

Urzędnik towarzystwa lotniczego eskortował go aż do sali przylotów. Wkroczył do środka, spodziewając się znaleźć tam odrobinę chłodu, ale atmosfera była jeszcze bardziej duszna niż na zewnątrz. Powietrze było ciężkie od fetoru porzucanych wszędzie i gnijących resztek pożywienia, na co zresztą nikt nie zwracał najmniejszej uwagi. Mieszał się z nim zapach potu, jaki wydzielali niechlujni, nie domyśli policjanci i żołnierze, trwający na posterunku w sali portu lotniczego, jakby zaraz miał nastąpić jakiś groźny atak. Przygarbieni, w poplamionych mundurach,



spoglądali na Harry'ego Shulza jak na kogoś przybywającego tutaj z innej planety.

W ich czarnych, lśniących od potu twarzach odbijała się mieszanina uczuć: zdumienie, niepewność, podejrzliwość, nienawiść. Widząc cudzoziemca przybierali marsowe miny, broń trzymali wycelowaną prosto przed siebie, a ich twarze były zaciekle wykrzywione. Harry Shulz odwrócił się do nich plecami i przez niemal matową szybę, tak bardzo była brudna, obserwował coraz wyraźniejszą postać urzędnika towarzystwa lotniczego, który wracał właśnie z samolotu z jego jedyną walizką.

Położył ją na kontuarze i skinął na Shulza, by podszedł bliżej. Kiedy tylko Harry otworzył walizkę, rozgorączkowane dłonie dwóch celników zanurzyły się w jej wnętrzu, w poszukiwaniu towarów lub zakazanych przedmiotów, które chętnie by sobie przywłaszczyli.

Harry Shulz drwił sobie z nich w głębi duszy.

Mogli przetrząsać jego bagaż do woli! Nie znajdą nic, co mogliby skonfiskować! Ze wzruszeniem pomyślał o swoim pistolecie kaliber 38, zmajstrowanym przez starego Mike'a O'Flaherty'ego w jego „pracowni” w Minneapolis, którego wszystkie zdemontowane elementy leżały pośród różnego rodzaju przyborów toaletowych w neseserze. Co do nabojów, znajdowały się one w pudełku czopków, na miejscu tych ostatnich, powleczone warstwą wosku.

Nie groziło mu, żeby ci tępi celnicy to odkryli!

Obaj utkwili w nim skonsternowane spojrzenia.

– Nie ma pan nic do oclenia? – spytał jeden z nich z okropnym angielskim akcentem.

– Nic – odparł Harry Shulz.

– Proszę się rozebrać!

Wpatrywał się w nich w bezruchu, nie robiąc żadnego gestu.

Mięsiste usta tego, który mówił, drżały gniewnie, a do tego czarna twarz, po której spływały długie strużki potu, przyjmowała paskudny szary odcień.

– Proszę się rozebrać! – powtórzył histerycznie, machając rękami. – Wszystko!... Zdjąć wszystko! Wszystko!...

Przewracał dziko oczami. A kolega stojący obok unosił już dłoń do kabury z rewolwerem, rozpinając ją. Wyciągnął broń, ale Harry Shulz nawet nie drgnął. Nie spuszczał oczu z lufy wycelowanej w jego kierunku.

Cóż oni sobie myślą, te małpy? Że to zrobi na nim wrażenie?

Usta Harry'ego wykrzywił pogardliwy grymas. Wokół niego wybuchały okrzyki w nieznanym mu języku. Języku tego kraju. Brutalnym kuksańcem w plecy ktoś popchnął go. Pełne złości okrzyki zastąpiły wybuchy śmiechu.

Stał naprzeciw celników. Czuł lufę broni zagłębiającą się w jego brzuch.

– Rozbierać się!... Rozumie pan?... Nagi!... Cały nagi!... Chcę cały nagi! – nalegał celnik. Tym razem głos dygotał z wściekłości.

Harry Shulz nawet nie mrugnął. Całkowicie znieruchomiał. Nagle, na lewo spostrzegł poruszenie tłumu. Dwaj mężczyźni przeciskali się przez zgromadzoną w tym miejscu grupę żołnierzy i policjantów. Harry Shulz odwrócił głowę i zerknął na nowo przybyłych. Obaj byli Murzynami. Jeden nosił mundur oficerski, podniszczony, z wyblakłymi galonami. Kołnierzyk bluzy munduru lepił się od brudu, a szerokie plamy potu wżerały się w materiał pod pachami. Kroczył z trudem, gruby był jak becza. W ręce trzymał pejcz.

Drugi ubrany był w szary, prosty garnitur z tropiku. Jego nieskazitelnie biała koszula, przyozdobiona krawatem w nijakim kolorze, odcinała się jaskrawo na tle panującego wokół brudu. Miał duże, łagodne oczy i bystrą, inteligentną twarz. Siwiejące i rzadkie włosy odsłaniały wysokie czoło.

Oficer zamachnął się pejczem i zrzucił obu celnikom czapki. Potem dzielił ich jeszcze po twarzy, pieniać się ze złości. Krew, mieszając się ze strużkami potu, ciekła po czarnych policzkach. Zastraszeni oddalili się szybko. Ten, który trzymał broń przy brzuchu Shulza, upuścił ją na kontuar, tuż obok otwartej walizki z jej rozrzuconą zawartością.

Harry zerknął okiem zawodowca na pistolet. Włoska beretta 951. Dobra broń, bez dwóch zdań.

Mężczyzna w cywilu podszedł bliżej. Harry Shulz odwrócił się do niego.

– Pan jest Harry Shulz, nieprawdaż? – spytał nowo przybyły.

Harry Shulz skinął głową.

– Nazywam się Sangsowono Batuyamata. Jestem adwokatem Johna Kremera. To ja wysłałem do pana list i pieniądze – dodał tamten.

– Pieniądze były niepotrzebne – zaznaczył Harry Shulz. – I tak bym przyjechał. Johnny tego panu nie powiedział?

– Powiedział. Ale nie mówmy już o tym. Są znacznie ważniejsze sprawy. Miał pan tutaj kłopoty?

– Nic poważnego.

– Pułkownik Dasti, towarzyszący mi, ułatwi panu policyjne formalności i opuszczenie lotniska. Może pan ułożyć swoje rzeczy i zamknąć walizkę. Jest mi niezmiernie przykro z powodu tego, co zaszło. Często muszę się wstydzić za to, co tu się dzieje – dodał wyraźnie zażenowany.

Harry Shulz wzruszył ramionami, pochylając się nad walizką. Umieścił w niej byle jak rzeczy pozbierane z kontuaru i zatrzasnął zamki. Adwokat zaznaczył wtedy: – Jest tu mój kierowca. Zaniesie pańską walizkę.

Dzięki pomocy pułkownika Dasti formalności przebiegły szybko i wkrótce wszyscy trzej znaleźli się na wypalanej słońcem esplanadzie przed budynkiem portu lotniczego.

– Dziękuję, pułkowniku – szepnął adwokat do oficera.

Zgrabnie wsunął kopertę do wewnętrznej kieszeni bluzy pułkownika, potem odwrócił się do Shulza i wskazał mu czerwonego cadillaka.

- Wsiadajmy.
- A moja walizka?
- Kierowca włożył ją już do bagażnika.

Usadowili się na wygodnym tylnym siedzeniu i Harry Shulz ponownie odzyskał chęć życia, kiedy poczuł na twarzy podmuch świeżego powietrza z klimatyzacji w aucie.

Szybko jednak rozpełtało się piekło.

Droga pełna była głębokich rozpadlin i wybojów, przypominając tym najbardziej szwajcarski ser, a cadillac zaczął zgrzytać niemiłosiernie i podskakiwać na wybojach.

– Po amortyzatorach zostało tylko wspomnienie – wyjaśnił Sangsowono Batuyamata. – I nie da się sprowadzić nowych, bo cło jest naprawdę absurdalne! Nie żartuję! Trzydziestokrotność ceny zakupu! I płatne tylko w dewizach! A obywatelowi nie wolno, zgodnie z tutejszym prawem, posiadać dewiz... Radzi więc sobie przy pomocy tego, co znajduje w kraju. Tylko że amortyzator lokalnej produkcji wytrzyma nie więcej jak dziesięć, piętnaście kilometrów jazdy i w końcu okazuje się jeszcze droższy niż jakikolwiek amortyzator importowany!

Harry Shulz skinął głową.

- A dokąd właściwie jedziemy? – spytał.
- Do więzienia.
- Tam jest Johnny?
- Tak. W celi śmierci.

Harry Shulz nawet nie drgnął.

- Daleko stąd?
- Około pół godziny.

Już wyczuwało się bliskość stolicy. Po obu stronach drogi dreptał tłum przymierających głodem ludzi w łachmanach, a ich bose stopy wzniewały tumany kurzu. To byli wieśniacy niosący na miejskie targowisko swoje liche plony i drób. Dzieci miały kończyny pokryte bliznami po ospie i wzdęte brzuszki.

– Susza to plaga Afryki – zauważył ze smutkiem Sangsowono Batuyamata. – Od wielu tygodni nie spadł deszcz.

Cadillac zanurkował nieoczekiwanie w głęboką rozpadlinę i skoczył do góry. Harry'emu niemal dech zaparło, ale nie skomentował tego. Dopiero po chwili zapytał:

- W jaki sposób udaje się panu wytrzymać w takim kraju?

Adwokat machnął zrezygnowany ręką.

– Podobnie jak reszcie obywateli, zabroniono mi opuszczać kraj. Zabrano mi paszport. Ponadto, jak mówiłem, nie mamy prawa posiadać obcych dewiz. A skoro waluta tego kraju ma w oczach świata taką samą wartość co rolka papieru toaletowego, w jaki sposób mógłbym osiąść w innym kraju, w którym mimo wszystko moje dyplomy nie miałyby żadnej wartości? Mam żonę i dzieci, panie Shulz...

– Rozumiem.

Harry Shulz odwrócił twarz do szyby. Zbliżali się do przedmieść stolicy. Ponad dachami pierwszych domów rozciągał się na trzydzieści metrów olbrzymi transparent, podtrzymywany przez dwa betonowe słupy. Dużymi, czerwonymi literami, widniał na nim napis w języku tego kraju i po angielsku: „Wawasisadinatata Kradinowoto I – dożywotni prezydent-marszałek. Bohater walk o niepodległość. Idol swojego narodu. Przywódca naszego świata. Przedstawiciel Boga na Ziemi”.

Pięć minut później cadillac wjechał na szeroki plac i okrążył go. Na placu, ściśnięte jedne przy drugich, wznosiły się setki szubienic. Żadna nie była wolna. Ciała gniły w palącym słońcu. Niektóre z nich znajdowały się w stanie zaawansowanego rozkładu. Kończyny odpadły od tułowia i leżały pośród kurzu. Liczniejsze od wisielców były jednak tu sępy. One miały używanie. Ucztowały w najlepsze, zachwycone gratką, jaka im się trafiła. Teraz dla większości z nich była pora sjesty, bo drzemały na odgałęzieniach szubienic albo wylegując się w kurzu. Utuczone. Syte. To tu, to tam można było dostrzec kilka skrupulatnie oczyszczonych szkieletów, których rozczłonkowane kości zaścilały ziemię. Na placu nie było żywej duszy, a okna domów, które go okalały, były starannie zamknięte. Fetor, jaki tu panował, musiał być okropny – przyznał w duchu Harry Shulz ciesząc się, że cadillac był wyposażony w klimatyzację.

– Można by sądzić, że idol narodu ma nie tylko wielbicieli... – zauważył ironicznie.

– To są opozycjoniści – objaśnił spokojnie Sangsowono Batuyamata.

Drogi w stolicy nie były w lepszym stanie niż droga z lotniska. Te same rozpadliny, wyboje i slalomy cadillaca po wyboistej drodze. Harry Shulz obserwował przez szybę wynędzniały tłum, który spieszył poboczami, bo nie było chodników.

Przypominał sobie, co przeczytał i opowiedziano mu o dożywotnim prezydencie-marszałku Wawasisadinatata Kradinowoto I, afrykańskim potentacie, który zaprowadził w kraju rządy tyranii. Ekskapral brytyjskiej armii kolonialnej, który w chwili odzyskania przez jego kraj niepodległości, przykleił sobie na naramiennikach naszywki kapitana. Dwa lata później był pułkownikiem. A po kolejnym roku sięgnął po władzę. „Ulegając naciskom przyjaciół” nazywał się generałem, nim „jednomyślne masy ludowe” nie „zmusiły” go do przyjęcia

stanowiska dożywotniego prezydenta-marszałka. I rozpoczęło się panowanie terroru. Opozycja wobec dyktatorskiego reżimu została stłumiona i zdziętkowana. Załamała się infrastruktura ekonomiczna, zapanował chaos. Plemienny system powoli odzyskiwał swój wigor, a masakry ludności przybierały na sile. Równolegle szokujący system podatkowy przytłaczał naród odbierając mu większość jego dochodów. Dożywotni prezydent-marszałek Wawasisadinatata Kradinowoto I skrupulatnie grabił skarb państwa. Nic nie było dla niego zbyt dobre. Kazał sobie wybudować pałac prezydencki z różowego marmuru i sprowadzić luksusowe mercedesy ze wszystkimi technicznymi udoskonaleniami, które przewoziły go z generałami i ministrami z safari na orgiastyczne przyjęcia.

Był wielkim amatorem białych kobiet, kazał więc je sobie sprowadzać gromadami z Londynu, Paryża, Hamburga, Kopenhagi i Sztokholmu, po wybraniu z katalogów wszystkich blondynek. Po tygodniu wyjeżdżały one z powrotem wraz z komfortowym uposażeniem i bajecznie wysokim czekiem wystawionym na jakiś szwajcarski bank. Była to jedyna dziedzina, w której dożywotni prezydent-marszałek Wawasisadinatata Kradinowoto okazywał się uczciwy i dotrzymywał słowa.

Nieprawdopodobna fortuna, do której doszedł kosztem kraju, została chytrze zainwestowana w dochodowe interesy w Europie Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych, a ponieważ wiedział, że jego tytuł dożywotniego prezydenta nie chroni go wcale przed fatalnym końcem, który znacznie skróciłby nadzieję na długie życie, przygotował się gruntownie i na to, by uniknąć takiego złowróbnego losu. Na tyłach prezydenckiego pałacu wybudowano pas startowy, a jeden odrzutowiec, utrzymywany przez ekipę najemnych szwedzkich pilotów i mechaników, gotów był do startu o dowolnej porze dnia i nocy. Ponadto nigdy nie opuszczał pałacu bez eskorty oddanych mu ludzi, uzbrojonych po zęby, przeważnie członków jego rodziny albo szczepu, którzy zgodnie ze starym zwyczajem obwołali go „królem”, a on uczynił ich „hrabiami”. Sam nosił stale zatknięte za pas dwa pistolety, a w ręce pistolet maszynowy. Osobista ochrona, wystawnie ubrana i hojnie wynagradzana, czuwała nad pałacem prezydenckim, którego dach jeżył się od karabinów maszynowych i dział przeciwlotniczych. Dostępu do rezydencji prezydenta-marszałka strzegł poczwórny szereg czołgów tworzących kordon bezpieczeństwa.

Ministrów natomiast zmieniano co trzy tygodnie, aby nie rozsmakowali się zbyt w swoich iście królewskich przywilejach. A niektórzy kończyli na szubienicach na placu. Tak jak i zbyt ambitni generałowie. Jeśli chodzi o ambasady, odprawiono do ojczyzny kobiety oraz żony dyplomatów, kiedy to dożywotni prezydent-marszałek Wawasisadinatata Kradinowoto uznał, że ma prawo do pierwszej nocy z każdą kobietą, nawet cudzoziemką, żyjącą w jego kraju.

Alkohol i hazard były zakazane. Z wyjątkiem pałacu prezydenckiego. Więzienia były miejscem czasowego pobytu pomiędzy aresztowaniem a powieszeniem, ponieważ sądy, całkowicie oddane władzy, wydawały tylko jeden wyrok: karę śmierci.

- Daleko jeszcze? – spytał Harry Shulz.
- Dziesięć minut, nie więcej.

Cadillac skręcił w coś w rodzaju alei, której jezdnia była w nieco lepszym stanie niż ulice, jakimi dotąd przejeżdżali. Ze wszystkich stron mijały ich wojskowe jeepy, pełne żołnierzy w hełmach, o dzikim wyrazie twarzy.

- To aleja dożywotniego prezydenta-marszałka Wawasisadinatata Kradinowoto I – objaśnił adwokat. – Prowadzi do pałacu prezydenckiego.
- Pałac to to, co przed nami?
- Tak.

Harry Shulz zmrużył oczy, by przyjrzeć się uważniej okazałemu budynkowi, jaki wznosił się na końcu alei.

- Nieźle. Rozumiem już, dlaczego cło stanowi trzydziestokrotność ceny zakupu jakiegokolwiek towaru.

Adwokat wykonał wymowny gest.

- Nie mówmy o tym więcej.

Harry Shulz zmarszczył brwi.

- A czy powie mi pan... – zaczął.
- Tak? – Batuyamata dodał mu odwagi.
- Jak pan, jako adwokat, znajduje w tym kraju klientów, którzy płacą panu honoraria?

Sangsowono Batuyamata potarł sobie koniuszek nosa.

- Pracuję dla zagranicznych spółek, które mają kłopoty z rządem. Ale to się kończy, bo wszystkie te zagraniczne spółki zostały właśnie rozwiązane, a ich majątki nacjonalizowano.

- A czy przed tą nacjonalizacją prawo jeszcze coś znaczyło?
- Oczywiście, że nie. Ale za łapówki dawało się sporo załatwić...
- O! Co to takiego?

Przejmujące wycie syren dobiegło z końca alei i kierowca cadillaca gwałtownie zahamował.

- Prezydent-marszałek opuszcza pałac – wyjaśnił spokojnie adwokat. – Kiedy on wyjeżdża, obowiązuje zakaz ruchu. Wszyscy muszą się zatrzymać. Dlatego kierowca tak zahamował. Inaczej ryzykowałby kulę w łeb od jednego z tych żołnierzy w jeepach. A przy okazji i my także.

Długi sznur błyszczących mercedesów minął aleję z obłądną szybkością, eskortowany przez jeepy i motocyklistów w nieskazitelnie białych uniformach, przy ogłuszającym koncercie syren i gwizdków. Z ogłupiałymi wyrazami twarzy,

jakby dotknięci nieoczekiwanym paraliżem, ludzie przystawali nieruchomo na poboczach wyboistej drogi. Stawali na baczność. Kurz wzbijany przez koła samochodów i motocykli opadał na nich, mrużyli oczy, ale się nie poruszali. Stali nieruchomo. Tylko ich cienkie nogi drżały pod wystrzępionymi spodenkami. Nagle zza tych nóg wyskoczyła dziewczynka. I nim czyjaś ręka zdołała ją powstrzymać, przerażona znalazła się na drodze. Z gardła wydobył się przesywający okrzyk. Pośród stojących ludzi nastąpiło poruszenie, ale było już za późno. Jedno z kół motocykla uderzyło w dziewczynkę. Wzleciała w powietrze i padła na drogę. Kawalkada dotarła do małego ciała nie zwalniając i przez chwilę nad wszystkim zapanowała mieszanina kurzu i krwi.

Kiedy odgłos silników i syren umilkł w oddali, a chmura kurzu opadła, na drodze pozostała tylko krwawa maź.

– To codzienny tu widok – zauważył cynicznie Sangsowono Batuyamata, ku zaskoczeniu Shulza.

Kierowca włączył silnik cadillaca, wśliznął się w strumień pojazdów na wolnej już od orszaku prezydenckiego alei i po chwili skręcił w wąską uliczkę.

– Więzienie – wyszeptał adwokat.

## ROZDZIAŁ II

Korytarz był niemal tak mroczny jak tunel kolejowy. Czterech strażników trzymało pod bronią Harry'ego Shulza i Sangsowono Batuyamatę. Piąty otwierał pochód, oświetlając ciemności potężnym strumieniem światła latarki.

Tak dotarli do sali oświetlonej światłem dziennym. Strażnik idący przodem zgasił latarkę i palcem wskazał im prymitywnie ciosane ławki, stojące szeregiem wzdłuż dużego, drewnianego stołu. Latarką pokazał im, by usiedli.

– To jest rozmównica – wyjaśnił adwokat. – Siądźmy. Oni przyprowadzą Johna Kremera.

Harry Shulz usiadł, wyjął paczkę papierosów i zapalniczkę. Zapalił papierosa, wciągnął dym i wydmuchnął go szybko, chcąc zdusić potworny odór, jaki panował w tym miejscu. Odór składający się z woni gnijącej żywności, potu, moczu, cuchnących wyziewów z kanału, rozkładających się zwłok ludzkich, tak jakby więzienie to było rzeźnią opustoszałą po uboju stada bydła.

Na odgłos szcękających zamków Harry Shulz uniósł głowę.

W drzwiach ukazał się Johnny Kremer. Kostki jego nóg krępował gruby, ciężki łańcuch, który ledwie pozwalał mu chodzić. Drugi łańcuch, cieńszy, łączył kajdanki krępujące jego nadgarstki. Na sobie miał spłowiały drelich khaki, a na

nogach sandały. Z trudem, małymi kroczkami podszedł do stołu. Stojący za nim strażnicy obserwowali go, z dłońmi trzymanymi na spustach karabinów maszynowych. Jego wychudła twarz była teraz uśmiechnięta, w kąciku warg rysował się szyderczy grymas, a cienkie strużki potu spływały spod jego popielatych włosów.

Przystanął po drugiej stronie stołu.

– Witaj, Harry. Dzięki, że przyjechałeś.

Harry Shulz mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Cześć, Johnny.

Johnny Kremer usiadł na skrajku ławki, a w tym samym czasie Sangsowono Batuyamata wstał i pociągnął swoją ławkę w drugi koniec sali. Uśmiechnięty Johnny Kremer powiedział:

– To fajny facet, Harry. Gdyby nie on, nie spotkałbym się pewnie z tobą. W Stanach nie miałem zbyt dobrej opinii o adwokatach, ale muszę przyznać, że ten kazał mi zmienić zdanie.

Harry Shulz zapalił drugiego papierosa i włożył go w usta Johnny'ego Kremera.

– Pal, Johnny. Od tego odoru można się porzygać.

– Ja przywykłem, Harry. Odkąd...

– Jak długo tu jesteś?

Johnny Kremer zaciągnął się głęboko.

– Nie ma jak amerykański papieros... – westchnął rozmarzony. Opanował się jednak szybko. – Jak długo, pytasz? Hm... półtora miesiąca... Dokładnie czterdzieści osiem dni. A od trzynastu jestem skazany na śmierć...

Harry Shulz zadrżał. – Skazany na śmierć?

Johnny Kremer uśmiechnął się niewyraźnie.

– Tak. – Uśmiech nagle zgasł. – Jak wygląda teraz Nowy Jork, Harry?

Shulz odwrócił wzrok.

– Jak zwykle o tej porze roku. Wiewiórki skaczą po trawnikach Central Parku, „Jankesi” odegrali się na „Metsach”, a Madison Square Garden odnowiono przed mistrzostwami świata w wadze ciężkiej. Jedyna różnica jest taka, że więcej włóczęgów widać na Times Square.

Johnny Kremer pokiwał głową.

– Hm, to źle. Times Square opanowany przez włóczęgów i pedały, kto by to pomyślał...

Harry Shulz rzucił swój niedopałek na kupę śmieci i ogryzionych kości kurczaków i szybko zapalił nowego papierosa.

– Może opowiesz mi wszystko, Johnny? – zasugerował spokojnym głosem.

Johnny Kremer wzruszył ramionami.



– No tak... Czas przejść do rzeczy. – Chrząknął i niepewnie rozejrzał się dookoła. – To się zaczęło jakieś trzy miesiące temu. Zwerbował mnie niejaki Rolf Robertson...

Harry Shulz przerwał mu: – Rolf Robertson?

– Tak. Znasz go? – dopytywał się Kremer.

Harry Shulz przetrząsnął zakamarki pamięci, ale to nazwisko nie wywoływało żadnego echa.

– Nie – przyznał w końcu.

– To by mnie naprawdę zdziwiło...

– Mów dalej.

– No więc ten Rolf Robertson miał dla mnie ściśle określone zadanie. Posłać do nieba dożywotniego prezydenta-marszałka Wawasisadinatę Kradinowoto I.

– Samemu? – przerwał mu znowu Harry Shulz.

– Nie. Miałem dobrać sobie piętnastu ludzi. Nawiązałem kontakt z Organizacją i bez problemu skompletowano mi ich.

– I kto to był? – spytał Harry Shulz z zainteresowaniem.

– Steve Carrozzani, Andy Wilson, Pat Fitzgerald, Tonio Gonzales, Walt Hoffman, Jimmy Keanes, Jacques Girard, Willy Kaminsky, Pierre Dumoutier, Carl Sherwood, Pete Staub i jeszcze czterej, których nie znasz. To nowi – wyliczył Johnny Kremer.

– I co dalej?

Papieros wyśliznął się z ust Johnny'ego Kremera. Ten spoglądał tylko, jak spada na podłogę.

– Zapal mi drugiego papierosa, Harry.

Harry bez słowa zrobił to.

– I co dalej? – powtórzył.

Johnny Kremer zaciągnął się znowu głęboko, wypuścił dym przez nos i utkwiał swe zimne oczy w Shulzu.

– Według Robertsona wszystko w tym kraju było gotowe do małej rewolucji, rodzaju puczu, który miał posłać do nieba dożywotniego prezydenta-marszałka. Istniał rzekomy ruch powstańczy czekający, by znieść stary porządek i zaprowadzić nowy. Mieli to być dobrze uzbrojeni chłopscy partyzanci o sile równie potężnej jak ta regularnej armii. Tak zapewniał Rolf Robertson. Oni mieli nas poprowadzić. Po zejściu na ląd...

– Zejściu na ląd? – zdziwił się Harry Shulz.

– Tak. Z pokładu panamskiego statku towarowego, wynajętego na tę okoliczność. Więc po zejściu na ląd – podjął wątek Johnny – ci rebelianci mieli nas poprowadzić aż do stolicy. Po wyeliminowaniu przez nas tego prezydenta-marszałka, oni mieli przejąć władzę. Robertson dopracował wszelkie detale

planu ataku na pałac prezydencki. Zapłacił nam też z góry. Jego zdaniem, to nie mogło się nie udać.

- Ale się nie udało – stwierdził Harry Shulz.
- No tak – przyznał Kramer.
- Jak łatwo się domyślić, widząc cię tutaj – dodał Shulz.

Gniewny ogień błysnął w spojrzeniu Johnny'ego Kremera.

- Uważasz mnie za frajera, Harry?

Harry Shulz uśmiechnął się niewyraźnie.

- Ależ nie. Mów dalej.
- Wszystko szło dobrze aż do przybycia na plażę, miejsce naszego zejścia na ląd. Dowódca statku kazał spuścić na morze szalupę. Wsiedliśmy do niej i dopłynęliśmy do plaży. Wyszliśmy na ląd i...

- I nikt nie wyszedł wam na spotkanie – dokończył Harry Shulz.
- Nikt. – Przez sekundę Johnny'emu Kremerowi zrobiło się ciemno przed oczami. – Zaczekaliśmy dwie godziny, jak kazał nam Rolf Robertson. I zastosowaliśmy wariant awaryjny, który opracował na wypadek tego rodzaju komplikacji...

- Czyli jaki? – dopytywał się Harry Shulz.
- Odległość między plażą a stolicą wynosiła czterdzieści kilometrów. Zeszliśmy na ląd około północy, potem dwie godziny czekaliśmy, więc niemożliwe było dotrzeć do stolicy przed świtem. W tym kraju słońce wstaje wcześniej. A do wieczora musieliśmy przeprowadzić naszą część operacji, to znaczy załatwić tego łajdaka Kradinowoto. Przed świtem mogliśmy dotrzeć jedynie do wioski odległej o dwanaście kilometrów od stolicy. Wioska nazywała się Bakaba. Według Rolfa Robertsona, mieszkańcy wioski byli sympatykami buntowników i nie odmówią nam pomocy, byśmy przeczekali tam do wieczora. Stamtąd do stolicy mogliśmy dotrzeć w dwie godziny i wykonać kontrakt – opowiadał Johnny Kremer.

- I to właśnie zrobiliście? – wtrącił się Shulz.
- Tak.
- No to mów, co się działo dalej...
- Ruszyliśmy w drogę. Znałem topografię terenu, miałem mapę i kompas od Robertsona. Znałem też nazwisko faceta, z którym mieliśmy się skontaktować w wiosce. On mówił trochę po angielsku i miał nam służyć za przewodnika do stolicy, a tam do prezydenckiego pałacu.

- Mieliście broń?
- Materiały wybuchowe, granaty, pistolety, karabiny z lunetą i karabiny maszynowe. Prawdziwy arsenał! Ten Robertson nie skąpił niczego!... Zapomniałem... Mieliśmy i bazookę!... Wraz z amunicją i zapasami żywności

dawało to trzydziestokilogramowy ładunek na każdego z nas! Wierz mi, pomimo wprawy, jaką wszyscy mieli, zmachaliśmy się nieźle, nim dotarliśmy do Bakaby!

– A gdy już tam byliście?

– Zawitaliśmy tuż przed świtem. Wioska leżała na zboczu góry. Musieliśmy przeciąć wąwóz, o stromych ścianach wysokich niemal jak Empire State Building. Pete Staub o mało nie stracił życia, kiedy osunęły się kamienie. Choć było to jedynie odroczenie śmierci... Kiedy dotarliśmy na skraj wioski, natknęliśmy się na pasterza owiec, który...

Rozległ się nagły wystrzał, a w ślad za nim odgłos tłuczonego szkła. To kula roztrzaskała okienną szybę. Oni jednak nawet nie zerwali się z miejsc. Ten świst był dla nich znajomym odgłosem. Odwrócili tylko głowy w stronę strażników. Jeden z nich ze zdziwieniem przyglądał się swej broni. Pozostali otoczyli go i sądząc po ich wykrzywionych ze złości ustach, obrzucali go stekiem przekleństw.

– Nacisnął przez nieuwagę spust karabinu – objaśnił Sangsowono Batuyamata z miejsca, gdzie siedział.

– Całe szczęście, że był ustawiony na pojedyncze strzały! – zaśmiał się Johnny Kremer. – Przy seriowym położeniu już byłoby po nas! Dla mnie to bez znaczenia. Trochę wcześniej czy później... Ale za to dla ciebie...

Harry Shulz wzruszył ramionami.

– Więc trafiliście na pasterza... – podjął przerwany wątek.

– I on wskazał nam, kiedy już zrozumiał, o co chodzi, gdzie mieszka ten, którego szukaliśmy. Poprowadził nas nawet do jego domu. Takiej starej chaty. Facet od razu mi się nie spodobał. Niby powinienem był zachować ostrożność, ale już byliśmy tak blisko celu... Carl Sherwood i Willy Kaminsky radzili mi wynosić się stamtąd i wracać na plażę. Ale tego panamskiego statku tam już pewnie nie było. Zostaliśmy więc tam, ukryci w chacie...

Facet, z którym nawiązaliśmy kontakt, wydawał się być doskonale zorientowany w naszej misji. Wyjaśnił nam, że poprzedniego dnia miała miejsce zbrojna utarczka pomiędzy oddziałami rządowymi a buntownikami, i to uniemożliwiło spotkanie na plaży. Dodał, że otrzymał od dowódcy buntu wszelkie instrukcje, aby zaprowadzić nas do pałacu prezydenckiego i ułatwić spełnienie naszej misji, bez natknięcia się na osobistą straż prezydenta-marszałka.

Harry Shulz pokiwał z powątpiewaniem głową.

– Wiem, o czym myślisz! – rzucił gniewnie Kremer. – Uważasz, że zachowałem się jak frajer!

– Nic takiego nie pomyślałem. Czekam na zakończenie tej historii i odpowiedź, po co kazałeś mi przybyć.

– Zaraz się dowiesz. Gdy zapadła noc, ruszyliśmy bocznymi drogami. Po dwóch godzinach byliśmy w stolicy. Przewodnik wprowadził nas tutaj do dawnego

kanafu, który pamiętał czasy brytyjskiej kolonizacji. I tak trafiliśmy do piwnic pałacu prezydenckiego. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Można było zacząć akcję. Obezwładniliśmy trzech prezydenckich strażników, związaliśmy ich i pozostawiliśmy w piwnicach. Wtedy to nasz przewodnik gdzieś zniknął. A po chwili rozpętało się piekło...

Harry Shulz zerwał się z miejsca.

– Co ci jest? – zdziwił się Johnny Kremer.

Harry Shulz wskazał palcem coś na podłodze.

– Cóż to za świństwo?

Johnny Kremer zerknął i wybuchnął śmiechem.

– Czerwone mrówki. Pełno ich w więzieniu. Nie przebieraj nogami. Nie przeszkadzaj im w ich marszu naprzód. Inaczej rozsypią się i rozpełzną wszędzie. Będziesz ich miał całe mnóstwo w butach, spodniach. A to robactwo żre wszystko i nim...

– Wiem – uciał Harry Shulz. – Widziałem nad Amazonką, jak rzuciły się na faceta i w okamgnieniu obzarły go do kości!

Przez chwilę przyglądał się długiej procesji tysięcy czerwonych mrówek, dorównujących wielkością młodym skorpionom, które maszerowały przez salę w kierunku ogryzionych kości z kurczaka.

Potem przeniósł wzrok na swego rozmówcę.

– Mówiłeś, że rozpętało się piekło...

– Tak. Zewsząd pojawiły się straż. Nie trzeba było kończyć Harvardu, aby odkryć, że wpadliśmy w pułapkę. Misternie ułożoną zasadzkę... Wywiedziono nas w pole i tyle!

– I co zrobiliście?

– Broniliśmy się. Trzynastu moich zginęło. Zostało nas trzech. I dziwna rzecz, zauważyłem, że ci łajdacy chcą nas wziąć żywcem. Ciekawe, co? Trzeba przyznać, że nieźle im to szło! Zaatakowali nas jednocześnie. Byliśmy na straconej pozycji. Otworzyliśmy ogień z karabinów, rzuciliśmy granaty, ale ich było tak wielu, że zalali nas po prostu swoją masą. Potem związali i rzucili nas do jakiejś chałupy.

– A ci dwaj, którzy byli z tobą, to kto?

– Jacques Girard i Walt Hoffmann – odparł Johnny Kremer.

– I co się z nimi stało? – spytał Harry Shulz.

– Nie żyją. Rankiem następnego dnia Francuz rzucił się na pistolet maszynowy jednego ze strażników, kiedy ci przynieśli nam coś do żarcia. Rozwiązali nas i Jacques z tego skorzystał. Ale strażnik zdążył puścić serię, która przecięła Jacquesa na pół. A Walt oberwał przy okazji...

– A co tymi trzynastoma?

– Rannych dobili na naszych oczach – jęknął Kremer.

– I co było dalej?

– Dalej wszystko się skomplikowało. Sprawa stała się głośna, bo tak chciał prezydent-marszałek. Zaalarmował międzynarodową opinię publiczną, ogłaszając, że brudni imperialiści wynajęli płatnych najemników, aby go zamordować. Znasz tę śpiewkę? Skorzystał więc z tego, aby rozwiązać i znacjonalizować wszystkie zagraniczne spółki: amerykańskie i zachodnioeuropejskie, które specjalizowały się w eksploatacji rzadkich minerałów na rynku międzynarodowym. Potem zorganizował publiczny proces, zaprosił przedstawicieli międzynarodowej prasy, aby pokazać, że nie kłamie, że istotnie padł ofiarą spisku, którego uczestnicy chcieli go zamordować. I wtedy zrozumiałem, dlaczego tak bardzo zależało im na tym, aby wziąć żywcem Jacquesa, Walta i mnie. Aby mieć na ławie oskarżonych prawdziwych najemników. W dniu procesu byłem wielką gwiazdą, jedynym żyjącym oskarżonym, ale pozostali także byli tam obecni.

Harry Shulz skrzywił się. – Pozostali?

– Tych piętnastu. Ci łajdacy wsadzili ich do długich, cynkowych wanien z lodem i wystawili na widok publiczny.

– A ile czasu upłynęło od ataku na pałac prezydencki do procesu? – spytał Shulz.

– Tydzień.

Harry Shulz znowu się skrzywił. – To musiało cuchnąć.

– I tak było. Dziennikarze robili się zieloni na twarzach. Dobrze, że proces nie trwał długo. Wyrok zapadł przecież wcześniej. Ci łajdacy od czasu do czasu dodawali świeżego lodu. Wyłożono też naszą broń i amunicję. Sam rozumiesz, dowody winy... Przez trzy dni nie dawali mi nic do żarcia, a potem, w dniu procesu, przynieśli mi talerz ugotowanej na ziołach zupy. Rzuciłem się na jedzenie. I zupełnie mnie odurzyło. Zupa była nafaszerowana narkotykami. Ich paskudnymi ziołami afrykańskimi. Sztuczka jakiegoś czarownika, to pewne. Znajdowałem się na ławie oskarżonych, a jednocześnie byłem gdzie indziej. I mówiłem im wszystko, co chcieli usłyszeć. Przemówienie prokuratora było krótkie, a wyrok jeszcze bardziej... Śmierć.

Harry Shulz westchnął.

– Dlaczego kazałeś mi tu przybyć, Johnny?

Johnny Kremer spojrzął mu prosto w oczy.

– Chcę, byś mnie pomścił.

– Pomścił?!

– Pozwól, że ci wyjaśnię. Jak już mówiłem, zwabiono nas w pułapkę. Ja to widzę tak: prezydent-marszałek potrzebował ataku na pałac prezydencki z udziałem białych najemników, aby oskarżyć zachodnie mocarstwa o próbę zamachu na niego i mieć tym samym alibi dla znacjonalizowania zachodnioeuropejskich i amerykańskich spółek. Pewnie powiesz mi zaraz, że taki dyktator

nie potrzebował alibi i nie musiał martwić się o opinię międzynarodową. To prawda. Ale za tym wszystkim coś się chyba jednak kryje. Dużo nad tym rozmyślałem w celi. Jestem pewien, że mam rację, wierz mi. Tak samo jeśli chodzi o proces. Dlaczego nagle taki tyran jak on, chce uchodzić za demokratę, troszczącego się o prawne reguły i to w kwestii jakiegoś cudzoziemca? On ma gdzieś cudzoziemców! Wystarczy przypomnieć sobie, jak nie wahał się uwodzić żon tutejszych dyplomatów! Nie, wszystko zostało wcześniej ukartowane, jestem tego pewien! Zrozumiałem jeszcze jedno, dzięki Batuyamacie. Siły powstańcze w tym kraju nigdy nie istniały. Jeśli były tu kiedykolwiek, to zostały wyeliminowane szmat czasu temu! Sangsowono nie mógł powęszyć w Bakabie, bo to było zbyt niebezpieczne, tym bardziej, że jest źle widziany przez władze, odkąd zgodził się mnie bronić. Jest jednak przekonany, że przewodnik, z którym skontaktowaliśmy się w Bakabie, był agentem policyjnym. Wiem, że zastawiono tu pułapkę, a ja w nią wpadłem...

– Myślisz, że to ten Rolf Robertson?

Johnny Kremer potrząsnął głową. – On prowadził rozmowy. Jestem jednak pewien, że pracował dla kogoś innego.

– Dla kogo?

– Nie wiem.

– To skąd masz pewność, że pracował dla kogoś?

Johnny Kremer wzruszył ramionami, zeszywniałymi od noszenia kajdanek i łańcucha.

– Zapal mi jeszcze papierosa, Harry. Miałeś rację. Tu naprawdę cuchnie. – Kilkakrotnie zaciągnął się papierosem, którego Shulz włożył mu do ust, i wrócił do swych rozważań: – Wyobraź sobie, że nim przyjąłem ten kontrakt, zasięgnąłem informacji o Robertsonie. Nie tylko ze względu na mnie, ale i na ludzi z Organizacji, których zwerbowałem i którzy mi zaufali...

– No dobrze – rzucił Harry Shulz. – I co odkryłeś?

– Po pierwsze, że był wyplacalny. Tu nie było problemu. Wydawało się, że ma sporo forsy. Zresztą, jak mówiłem, zapłacił nam z góry. Co do grosza. Bez targowania się.

Harry Shulz kiwnął głową.

– To punkt na jego korzyść, ale w zaistniałych okolicznościach może dowodzić, że zależało mu na twoim zaufaniu, byś bez pudła wpadł w jego pułapkę.

– Otóż to.

– Czego jeszcze się dowiedziałeś? – dociekał Harry Shulz.

– Że pośredniczył w podobnych operacjach w Azji i w Ameryce Południowej – odparł Johnny Kremer.

– Czyli specjalista?

– Tak.

Harry Shulz skrzywił się.

– Zdaje się, że masz rację. Ktoś go finansował.

– Myślisz więc już tak samo jak ja! – zaśmiał się szyderczo Kremer.

– Tak. Ktoś znający cel operacji ustawił go z przodu sceny i jemu pozostawił dopracowanie szczegółów technicznych, bez wątpienia w porozumieniu z Kradinowoto...

– I znalezienie naiwniaków gotowych wykonać to uderzenie... – dodał Johnny Kremer z wściekłym wyrazem twarzy.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Nie proszę cię o darmową przysługę, Harry. Mam ponad milion dolarów, dobrze ukrytych. Są twoje...

Harry Shulz przełknął ślinę, obrzucił Johnny'ego pełnym zdziwienia spojrzeniem i spytał: – Mając milion dolarów wpakowałeś się w podobną historię? Zwariowałeś czy co?

Twarz Johnny'ego Kremera nagle pokryła się zmarszczkami. W jednej sekundzie upodobił się do zmęczonego życiem starca.

– Miałem tego dość, Harry. Tego zabijania ludzi na prawo i lewo... Tu i tam... W Hongkongu, w Rio de Janeiro... W Dallas i w Tel-Awiiwie... Naprawdę dosyć! I wyznaczyłem sobie limit. Milion dolarów. Mając milion, definitywnie zaprzestałbym tej działalności.

– Musiałeś trafiać niezłe kontrakty, skoro zarobiłeś ten milion dolarów! – zauważył Harry Shulz.

– Poprzedni był niezły, miałem farta. To było w Kambodży. Oddziały rządowe opuściły Phnom Penh, złupiwszy uprzednio miasto. Sejfy jakiegoś banku stały otworem. Obsłużyliśmy się sami. A Robertson dopełnił potem reszty. Hojnie nam zapłacił. Razem z tym, co od niego dostałem, uzbierałem milion. To miał być mój ostatni kontrakt... – westchnął żałośnie. – To tak jak w pokerze, kiedy ustala się jakiś limit. I tuż przedtem dostaje się łupnia.

– Powiedziałeś, że ten milion dolarów będzie mój – podjął Harry Shulz. – Ale dlaczego?

– Tak jak mówiłem. Chcę, byś mnie pomścił.

Shulz wzruszył ramionami.

– Mając milion dolarów, można zrobić wiele. Niewątpliwie mógłbyś lepiej spożytkować te pieniądze...

– Niby jak?

– Przekupić tych ludzi, aby pomogli ci zwiać. Nie bądź od razu fatalista! Jeszcze nie umarłeś! Czy twój adwokat nic dla ciebie nie może zrobić? Nie może kupić tych strażników, aby pozwolili ci zbiec? Znam kraje, gdzie mając milion

dolarów, wychodzi się z najgorszego więzienia! I to kraje znacznie bardziej cywilizowane niż ten!

Johnny Kremer potrząsnął ze smutkiem głową.

– To niemożliwe, Harry.

– Rozmawiałeś z nim o tym?

– Zaraz ci powiem, Harry. Przede wszystkim Sangsowono Batuyamata cholernie się dla mnie skompromitował. Zrobił wszystko co mógł, aby mnie bronić i ratować mi życie. Zaryzykował też nawiązanie kontaktu z bankiem szwajcarskim, jaki mu wskazałem, i skąd wysłano ci pieniądze i telegram z prośbą o przybycie.

– A jak zapłaciłeś jemu?

– Ten bank szwajcarski otworzył mu konto.

Harry Shulz zerknął dyskretnie na adwokata.

– I dostając swoją dolę, nie mógłby niczego dla ciebie zrobić?

Tym razem na ustach Johnny'ego Kremera wykwitł zabawny uśmiezek.

– Widzisz, Harry. Pieniądze, które bank szwajcarski przelał na konto Batuyamaty, miały podwójne przeznaczenie. Po pierwsze, wynagrodziły mu jego usługi. A po drugie, posłużyły na wszelkie łapówki, jakie musiał wręczyć na prawo i lewo. Jak ty myślisz? Ten pułkownik Dasti, który pomógł ci przejść przez policyjne zapory lotniska, ci więzienni strażnicy, którzy pozwalają ci ze mną rozmawiać... Sądź się, że robią to gratis? Wierz mi, tu trzeba cholernie dużo bulić!

– Rozumiem to, Johnny! Ale skoro oni biorą tę forszę, to znaczy, że za określoną kwotę przystaliby i na twoją ucieczkę! A ty masz do dyspozycji milion dolarów! Johnny, poświęć ten milion! Pozwól nim obracać swojemu adwokatowi, a oni odprowadzą cię na lotnisko po czerwonym dywanie, z całą armią dziewczynek, które obsypią cię kwiatami!

Johnny Kremer energicznie potrząsnął głową.

– Niestety, Harry. Co innego pomóc komuś przejść przez policyjną zaporę w porcie lotniczym albo pozwolić porozmawiać w więzieniu ze skazanym na śmierć. To nikogo nie krzywdzi. Zupełnie czym innym jest pomoc temu skazanemu w ucieczce. Strażnicy wiedzą, czym ryzykują: śmiercią przez powieszenie w miejscu publicznym, i to po okropnych torturach.

– Ale z milionem dolarów zwialiby stąd! Nawet do sąsiedniego kraju! Ja nie chcę twojej forsy, Johnny. Zrobiłbyś mi przyjemność, postępując tak jak mówię. Zresztą natychmiast o tym porozmawiam z twoim adwokatem.

Spróbował wstać, ale zakute w kajdanki nadgarstki Johnny'ego Kremera spoczęły na jego ramieniu. – To nic nie da.

– Tak sądzisz?

– Bo widzisz, ja teraz nie dysponuję pieniędzmi – odparł Kremer.

– Jak to?



- One są dobrze ukryte, ale... – Johnny Kremer zawahał się.
- W banku? – dociekał Harry Shulz.
- Nie.
- W kryjówce?
- Tak. W nadzwyczaj dziwnej kryjówce.
- Niedostępnej?
- W pewnym sensie.
- Przez kogoś strzeżonej?
- Strzeżonej przez przyrodę.
- Przez przyrodę?
- Tak... – Kremer uśmiechał się.
- To gdzie ona się znajduje? – pytał Harry Shulz, mocno zaintrygowany.
- Na dalekiej północy, na Alasce.

Harry Shulz otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

- Dobry Boże...

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Johnny'ego Kremera.

– Są ukryte w grocie, do której dostęp jest możliwy tylko przez jeden tydzień w roku. W sierpniu. Kiedy lód stopnieje w tamtych stronach. Mój ojciec znalazł tę kryjówkę przed wojną, kiedy był poszukiwaczem złota w Jukonie, w latach dwudziestych. Ukrył tam swoje złoto. W tamtych czasach znalazca złota musiał je szybko gdzieś ukryć, aby nie dać się samemu zabić. Ojciec opowiadał mi o tym. O łotrach wszelkiej maści, którzy kradli na prawo i lewo. Wyjawił mi to miejsce, a ja ukryłem tam swoją forszę. W ten sposób nie istnieje niebezpieczeństwo, że mnie z niej okradną, albo że nasz urząd podatkowy zacznie dociekać źródła pochodzenia tych pieniędzy. Inna rzecz, że to miejsce może również okazać się dobrą kryjówką dla gościa, który nie obawia się tam przezimować. Czy wiesz, jaka temperatura panuje wewnątrz grotu?

- Nie.
- Dwadzieścia stopni! Nadzwyczajne, co?
- Istotnie.
- Ktoś nie obawiający się samotności, z zapasami żywności, mógłby pozostać tam, aż stopnieją śniegi.

Harry Shulz zmarszczył brwi.

- Jeszcze sporo do sierpnia! Naprawdę nie można odzyskać tej forszy wcześniej?
- Nie można. – Johnny Kremer skrzywił się. – Rozumiesz więc, że gdybym chciał przekupić strażników za pośrednictwem Sangsowono, aby pomogli mi zbiec, należałoby zapłacić im z góry, a to nie wchodzi w grę. Sierpień nadejdzie za dwa miesiące...

Wzrok Harry'ego Shulza błędził po orszaku czerwonych mrówek, które zwartymi szeregami maszerowały przez salę. To były miliony czerwonych mrówek. Zdawało się, że ich pochód nigdy się nie skończy, że mają przed sobą całą wieczność. Całą wieczność.

- Kiedy masz być stracony? – spytał opanowanym głosem.
- Jutro.

Tylko jedno mógł w tym momencie powiedzieć Shulz: – Przybyłem więc na czas.

– Sam widzisz. Milion dolarów należy do ciebie, Harry. Co ja mógłbym z nimi zrobić? Nie mam rodziny, dzieci, nawet przyjaciółki, której mógłbym zostawić jakąś ich część. Ta forsa należy do ciebie, Harry. Proszę cię tylko o jedno...

- Aby cię pomścić? – upewnił się Harry Shulz.
- Tak. Śmierć trzech osób za moją jedną.
- Trzech? – zdziwił się Harry Shulz.

– Śmierć prezydenta-marszałka Kradinowoto, Rolfa Robertsona i tego, kto stoi za Rolfem Robertsonem i kto sfinansował całą sprawę. Trzy kontrakty za milion dolarów. To chyba niezły wynik! Tyle żądasz za kontrakty od swoich klientów, jeżeli dobrze pamiętam...

– W tego rodzaju okolicznościach, tak.

– Jesteś najlepszym zawodowym mordercą na świecie, Harry. Mam do ciebie zaufanie, wiem, że ci się uda. Wiem też, że jesteś uczciwy. Nawet jeśli mnie już tu nie będzie, ty wykonasz robotę. Nie zadowolisz się zainkasowaniem forsy i zniknięciem z nią. Masz w tej dziedzinie rewelacyjną międzynarodową reputację. Nigdy dotąd tak nie postąpiłeś i nie widzę powodu, byś miał właśnie tak postąpić wobec mnie.

– Ale ja nie wiem, kto stoi za plecami Rolfa Robertsona – opierał się Harry Shulz. – Czy tobie samemu nic nie przychodzi do głowy po tym, co mi opowiedziałeś?

Johnny Kremer wzruszył ramionami.

– Ty masz się tego dowiedzieć. Czy to przerasta twoje siły?

Harry Shulz zaprzeczył. – Nie.

– Sam widzisz. A więc, zgoda?

Shulz kiwnął głową. – Zgoda.

Kremer złośliwie zachichotał.

– Odtąd jestem twoim klientem.

Harry odwrócił się. Tam, gdzie znajdował się Sangsowono Batuyamata, pomiędzy adwokatem a strażnikiem, który wydawał się być dowódcą, wywiązała się ożywiona dyskusja. W końcu adwokat wstał i podszedł do nich. Przystanął tuż przy stole.

– Obawiam się, panie Shulz – odezwał się przepaszająco – że będziemy musieli już iść. Strażnicy nie mogą pozwolić panu pozostać tutaj dłużej... – Na jego twarzy malowała się rozpacz.

– Ale my jeszcze nie skończyliśmy! – zaprotestował Johnny Kremer. – Dostali przecież swoje pieniądze...

– Wiem o tym – przyznał adwokat. – Ale... cóż pan chce, oni się boją.

– Jeszcze dziesięć minut – poprosił błagalnie Johnny Kremer. – I przyrzekam, że wtedy będziecie mogli odejść.

– Dobrze – odparł zrezygnowany adwokat. – Myślę, że uda mi się ich przekonać.

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

– Zbliź się, Harry – rzucił pospiesznie Johnny Kremer urywanym głosem. – Muszę ci wyjaśnić, gdzie znajduje się ta kryjówka na Dalekiej Północy, jak ją znaleźć i kiedy tam się udać.

Harry Shulz słuchał uważnie Kremera. Nie potrzebował tego notować, miał fenomenalną pamięć. Kiedy Johnny umilkł, zauważył: – To nie wszystko, Johnny.

– Nie zrozumiałeś czegoś?

– Zrozumiałem doskonale i zapamiętałem. Ale chcę też wiedzieć wszystko o tym Robertsonie. Każdy szczegół. Słucham cię...

Johnny Kremer zastanawiał się przez chwilę, potem szybko wyrzucił z siebie potok informacji. Harry Shulz słuchał ze zmrużonymi oczami, wyciągając umysł do granic możliwości. Kiedy Johnny Kremer skończył, dziesięciminutowy limit wyczerpał się i Batuyamata już podnosił się z krzesła, aby podejść do stołu.

Harry Shulz wstał także i spojrział na Johnny'ego Kremera pozbawionym wyrazu wzrokiem. Śmierć tak często była z nim za pan brat, ale trudno mu było wyobrazić sobie, że już nazajutrz stanie się ona udziałem jego starego towarzysza.

– Możesz na mnie liczyć, Johnny, wykonam tę robotę.

Johnny Kremer przechylił głowę na bok, jak ptak gładzący sobie piórka. Harry Shulz zawahał się, przestępując z nogi na nogę.

– Jak to się jutro odbędzie? – spytał w końcu.

– Zostanę rozstrzelany, a następnie powieszony za nogi na placu – odparł sucho Johnny Kremer.

Harry Shulz odwrócił się i jednym susem przeskoczył zaporę z czerwonych mrówek, które nieubłaganie kontynuowały swój powolny i nieuchronny marsz w stronę więziennego korytarza.

## ROZDZIAŁ III

Czasy świetności hotelu sięgały z pewnością epoki brytyjskiej kolonizacji. Od tej pory hotel popadał w ruinę. Pokój był przestronny, ale ściany były czarne od brudu, a posadzka z płytek kleiła się do podeszew butów. Krzesła były koślawe i w każdej chwili groziły zawaleniem pod wpływem wagi osoby, która na nich siedziała.

Stół został zastąpiony skrzynią po mydle, a łóżko składało się z jakiegoś metalowego wspornika z wyłamanymi sprężynami, na którym położono drewnianą konstrukcję o rozstępujących się deskach, przykrytą matami z rafii, usianymi plamami wątpliwego pochodzenia. Żadnych prześcieradeł, żadnych poduszek. Żadnych kołder, ale to było zbyteczne, ponieważ w pokoju było gorąco jak w piecu. Oczywiście, system klimatyzacji w ogóle nie istniał. Jedyne przestarzały i zardzewiały sufitowy wentylator usiłował heroicznie rozrzedzić gorące powietrze, jak lokomotywa prowincjonalnej kolejki, usiłująca wspiąć się na górzyste zbocze. Co się tyczy łazienki, nie było do niej dostępu, chyba że było się dość śmiałym, aby poruszać się powolutku po kobiercu z karaluchów, którymi podłoga była usłana. Harry Shulz rozgniół piętą olbrzymiego pająka i położył walizkę w kącie pokoju.

– To nie jest zbyt luksusowe miejsce – skomentował ironicznie – ale wystarczy mi.

– Dziś wieczór będzie się pan musiał położyć wcześniej spać – zauważył Sangsowono Batuyamata. – W hotelu nie działa elektryczność.

– To co w takim razie działa w tym kraju? Poza, oczywiście, plutonami egzekucyjnymi.

– Restauracje nie podają zbyt dobrego żarcia, ale innego nie ma.

– Trudno. Proszę się tym nie przejmować.

Zmrużył oczy i uważnie przyjrzał się adwokatowi.

– Proszę, niech pan siada. Jeśli oczywiście uda się panu znaleźć jakiś czysty kąt.

Sangsowono Batuyamata obrzucił wszystko dookoła zde gustowanym wzrokiem, w końcu dostrzegł solidnie wyglądający fotel z trzciny i opadł na niego, wydając głębokie westchnienie.

– Co pan sobie pomyśli o naszym kraju, panie Shulz? Zapewniam pana, że dawniej wszystko wyglądało tutaj inaczej. Nigdy byśmy się nie zgodzili, żeby...

Harry Shulz przerwał mu lekceważącym skinieniem ręki.

– Panie Batuyamata, mówiąc zupełnie szczerze, kąpię sobie do upadłego z

pańskiego kraju. Niewiele obchodzi mnie różnica pomiędzy dniem wczorajszym a rzeczywistością. Pod tym względem jestem zdegustowanym facetem.

Na twarzy adwokata malował się wyraz zaszokowania.

- Chce pan powiedzieć, że los naszego ludu jest panu całkowicie obojętny?
- Dokładnie to chcę powiedzieć. I radzę panu zrobić to samo...
- Zrobić to samo?
- Podczas przejazdu z lotniska do więzienia powiedział mi pan, że ma żonę i dzieci i że to o nich musi pan przede wszystkim myśleć. Czy powtórzyłem dokładnie?

- Dokładnie.

Harry Shulz potarł podbródek.

- Johnny Kremer zapewnił mnie, że kazał panu otworzyć konto bankowe, w jednym z banków w Szwajcarii. Czemu może służyć konto w banku w Szwajcarii, jeśli nie można wyjechać z rodzinnego kraju, aby z tego konta skorzystać?

Adwokat poruszył się niespokojnie w swoim fotelu.

- Mister Kremer był trochę niedyskretny, mówiąc panu o tym.

Harry Shulz uśmiechnął się niewyraźnie.

- To jedynie po to, żeby panu pomóc. Smutno mu, gdy widzi pana zmuszonego zamieszkiwać w tym kraju, który nie jest pana godny.

Adwokat załamał z rozpaczą rękę.

- Ale co ja mogę zrobić?

Twarz Harry'ego Shulza rozjaśnił uśmiech.

- Może to ja mogę coś dla pana zrobić?
- Pan? A dlaczego miałby pan coś dla mnie robić?
- Ponieważ w zamian za to pan pomoże mnie.

Adwokat zasępił się.

- Pan jest przyjacielem mister Kremera – powiedział cicho, ale wyraźnie. – Musi pan być równie niebezpieczny jak on i dlatego mam pewne obawy przed tym, o co zamierza mnie pan prosić...

- Chcę jedynie informacji i chcę także poznać pewny i dyskretny sposób porozumienia się z panem. Na przykład coś podobnego do tego, co zastosował pan, aby porozumieć się ze szwajcarskim bankiem. Chcę mieć wreszcie listę wpływowych osób, które można dość łatwo przekupić. Kogoś w rodzaju pułkownika Dasti. Mimo wszystko muszą tu być przeciwnicy obecnej władzy? Albo raczej ludzie na tyle chciwi, aby pozwolić się kupić?

- Nie brakuje ich, ale oni przeważnie się boją.
- W to nie wątpię, ale urok wygranej jest czasami znacznie silniejszy niż strach.

- Jakiego rodzaju informacji pan sobie życzy?

- Sporządzę panu listę.

Z wewnętrznej kieszeni, zmiętego i zdeformowanego już przez obficie spływający pot, garnitur z tropiku, jaki opinał jego sylwetkę, Harry Shulz wyjął notatnik i ołówek, a potem zaczął szybko gryzmolić na zwilgotniałych od potu stronach.

– Gotowe – powiedział po chwili.

Adwokat sięgnął po kartki wyrwane z notatnika, które podał mu Harry, i przebiegł je wzrokiem. Pełen podejrzliwości ognik igrał w jego spojrzeniu, kiedy wreszcie wstał i odwrócił się w stronę Harry'ego Shulza.

– Co pan zamierza zrobić? – spytał głosem, w którym pobrzmiwał pewien niepokój.

– Im mniej pan będzie wiedział na ten temat, tym lepiej dla pana – odpowiedział oschle Harry Shulz.

– A co oferuje mi pan w zamian za to wszystko?

– Ucieczkę z tego kraju pana i pańskiej rodziny. Twarz adwokata rozjaśnił promyk nadziei.

– Mówi pan poważnie?

– Zawsze dotrzymuję obietnic. Proszę zapytać Johnny'ego Kremera.

Sangsonono Batuyamata wstał z fotela.

– Proszę mi wybaczyć, ale zapytam go o to. To zbyt poważna sprawa, żebym miał narażać na niebezpieczeństwo życie moje i mojej rodziny.

Harry Shulz skinął głową.

– Dobrze.

Sangsonono Batuyamata ruszył ku drzwiom. Harry Shulz zatrzymał go jeszcze.

– Kiedy się pan z nim zobaczy?

Adwokat odwrócił się, trzymając rękę na klamce drzwi.

– Jutro... przed... przed...

– Rozumiem.

– Dożywotni prezydent-marszałek jest wielkim wielbicielem Francji. Dowiedział się, że w tym kraju prezydenci Republiki mają zwyczaj udawania się do więzień, aby uściśnąć ręce więźniom. Ma zamiar zrobić to samo jutro z mister Kremerem. Aby grać wobec całego świata rolę wspaniałomyślnego człowieka i pokazać, że nie żywi żalu o to, co tamten zrobił. Równie dobry sposób jak każdy inny, aby na nowo odbudować swój poważnie nadszarpnięty, międzynarodowy prestiż. Mógłby go ułaskawić, ale co z racją stanu?

– Mam zarezerwowane miejsce w samolocie o wpół do pierwszej. Niech pan tam się pojawi i wtedy da mi pan odpowiedź.

– Zgoda.

Adwokat otworzył drzwi i wyszedł.

Harry Shulz, kompletnie nagi, wyciągnął się jak długi na matach z rafii, które przedtem przykrył wyjętymi z walizki ręcznikami. Zapalił papierosa i zaczął się zastanawiać.

Jego myśli utknęły natychmiast na Johnnym Kremerze. Policzył, że znał go już od dwunastu lat. Tak jak on, Kremer był nowojorczykiem. Harry Shulz urodził się w „Hell's Kitchen”\*, podczas gdy Johnny dorastał w dzielnicy Red Hook w Brooklynie, nieopodal Gowanus Canal. Woda w tym kanale była niesamowicie zanieczyszczona, przypominała płynne błoto, a jednak dzieciaki kąpały się w niej, tak jak inne dzieciaki z Nowego Jorku kąpały się w Hudson River albo w East River. Warstwy społeczne zamieszkujące tę dzielnicę żyły bardziej niż skromnie i naprawdę niewiele dzieciaków, które tutaj dorastały, kończyło studia na Uniwersytecie Columbia albo na New York University. Za to wielu z nich terminowało w zawodzie gangstera i szlifowało swą technikę w brudnych uliczkach nieopodal portowych nabrzeży, zupełnie tak samo jak początkujący Al Capone, kiedy pięćdziesiąt lat temu tworzył w dzielnicy swoje pierwsze oddziały zbrojne.

\* Hell's Kitchen – Piekielna Kuchnia, uboga dzielnica w zachodniej części Manhattanu, niegdyś zamieszkała przez podejrzany element (przyp. aut.).

Johnny szedł tą samą drogą. Aż do dnia, kiedy odkrył, że jego niezależny charakter i indywidualizm nie pozwalały mu na podporządkowanie się prawu i dyscyplinie gangu. Właśnie wówczas został zwerbowany przez TRAKS, co pozwalało mu przemierzać świat i wykonywać jedynie te kontrakty, które mu odpowiadały, a co jednocześnie odpowiadało jego indywidualizmowi i poczuciu niezależności.

I świetny był jako wykonawca tych kontraktów. Harry Shulz miał okazję pracować kilka razy z nim. Między innymi w Memphis, Santiago de Chile, na San Domingo, w Tel-Awii i w Dallas.

W Rio de Janeiro Johnny uratował mu życie. Osławionym „szwadronom śmierci” udało się go schwytać. Johnny wrócił wtedy w towarzystwie Jacquesa Girarda i obaj zmiotli serią z cekaemu, powalając niczym kręgle, zbirów ze „szwadronów śmierci”, aby go uwolnić.

Takich rzeczy się nie zapomina.

Tak jak i Jacquesa Girarda, który rzucił się na pistolet maszynowy strażnika i który padł martwy, przecięty na pół serią kilka tygodni temu, tutaj, w tym samym mieście.

Johnny Kremer i Jacques Girard... Ten Francuz to też był dzielny facet. Odrobinę szalony, ale dzielny. I właściwie dlatego, że pamiętał o tej przygodzie w

Rio de Janeiro, gdzie Johnny Kremer uratował mu życie, Harry odpowiedział natychmiast na jego wezwanie przekazane za pośrednictwem banku szwajcarskiego.

Jeszcze jeden z jego starych towarzyszy miał zginąć.

Tym razem organizacja TRAKS doznała druzgocącej klęski. Szesnastu zabitych w tej przekłętej operacji.

Harry Shulz, chociaż sam niezależny, to jednak współpracował z organizacją TRAKS. Nie zawsze, ale czasami. Ponieważ od lat wykonywał zawód zawodowego zabójcy. Na całym świecie.

Narodziny nowo niepodległych narodów w Azji i w Afryce, a w konsekwencji eksplozja politycznych ambicji w tych młodych republikach, ciągła rywalizacja, niezaspokojona żądza zemsty niektórych plemion, niesnaski pomiędzy przebywającymi na wygnaniu politykami, finansowe interesy wielkich europejskich i amerykańskich spółek – to wszystko wywołało pilną potrzebę istnienia wyspecjalizowanego personelu zdolnego szybko eliminować natrętów.

Z Europy i Ameryki napływali ochotnicy. Szybko dokonano brutalnej selekcji. Amatorzy, zwyczajni awanturnicy, zagubieni ekszołnierze, ci, którzy żądni byli jedynie silnych wrażeń, przegrali z kretesem i szybko zniknęli.

Kiedy już ta fala się wyklarowała, na świecie pozostało trzydziestu prawdziwych specjalistów, podzielonych na dwie kategorie. Organizatorów i wykonawców. Pierwszych było zaledwie pół tuzina. Drugich trzydziestu, może trzydziestu pięciu, stosownie do strat i napływu świeżej krwi.

Gdyby istniał wykaz zawodowych zabójców, Harry Shulz w kategorii „mózgów” otrzymałby numer pierwszy, odkąd Gust Trosson, Szwed, któremu niektórzy przywódcy państw afrykańskich zawdzięczali swe obecne położenie po tym, jak wyeliminował on ich poprzedników, umarł głupio, dwa lata temu, na raka gardła, w szpitalu w Sztokholmie.

Indywidualnie, wszyscy wykonawcy kontraktów byli doskonałymi technikami zabijania. Oczywiście każdy z nich miał swoją ulubioną metodę, ale wszyscy potrafili zabić zgodnie z dyrektywami podanymi bądź przez „mózg”, bądź przez cichego współnika.

Byli to ludzie, którzy wyłaniali się z cienia, uderzali i rozptyliwali się w ciemnościach, nie zauważeni przez policje kryminalne czy też polityczne, nie stwarzając międzynarodowych komplikacji.

Ludzie nie figurujący w żadnym rejestrze karnym, nie posiadający karty z rysopisem w Interpolu, bez stałego miejsca zamieszkania, bez adresu, ale ludzie, z którymi można się było skontaktować za pośrednictwem skomplikowanej sieci łączności, dostępnej jedynie wtajemniczonym.



A jednak w operacji, którą przeprowadził Johnny, wszystko spartolono. Bilans strat był bardzo dotkliwy, a poza tym cały świat został zaalarmowany tym, co się tutaj stało. Brak dyskrecji. Totalne fiasko. Sumienność zawodowa Harry'ego Shulza buntowała się na wspomnienie tego, co on sam uważał za niedopuszczalną katastrofę.

I teraz to właśnie on miał zatroszczyć się o to, żeby sprawcy tych strat za nie zapłacili.

A wszystko za milion dolarów!

Numer jeden: dożywotni prezydent-marszałek Kradinowoto I.

Numer dwa: Rolf Robertson.

Numer trzy: Pan X. Nieznajomy, cichy wspólnik. Człowiek z cienia.

Poruszył się na posłaniu i zaklął w głębi duszy. To tandetne drewniane wyroby przykryte matami z rafii maltretowało mu lędźwie!

Taksówka, do której Harry Shulz wsiadł następnego dnia rano, aby pojechać na lotnisko, przypominała kurnik. Brakowało czworga drzwi, co samo w sobie było korzystne, albowiem pozwalało oddychać. Dach zastąpiono wywoskowanym płótnem, a karoseria przypominała blachę falistą, po której przegalopowało stado nosorożców. Opony były obrzmiałe od niezliczonej ilości łat wykonanych z olbrzymich płatów folii aluminiowej, co sprawiało, że każdy się zastanawiał, jakim cudem to wszystko trzyma się kupy. Kierowca spoglądał fałszywie spode łba, źle patrzyło mu z oczu.

– Wychodzi pan zbyt późno – rzucił łamaną angielszczyzną. – Dziś rano dobre widowisko. Papa Kradinowoto dał dobre widowisko dla narodu. Brudny Amerykanin-imperialista rozstrzelany i powieszony. Ja pokazać.

Pojazd ruszył z miejsca przy wtórze zgrzytających pogiętych blach i straszliwym ryku silnika. Na placu zostało niewiele osób. Jedyne kilku nieustraszonych, których nie zraził okropny wszechobecny fetor. Harry Shulz rozerwał pośpiesznie saszetkę z chusteczką higieniczną, jedną z tych, jakie rozdawano w samolotach i których kilka sztuk zawsze miał przy sobie w kieszeniach, kiedy podróżował do krajów tropikalnych. Przytknął ją pod nozdrza i poczuł, jak z wolna mijają mu mdłości wzbierające w żołądku.

Szubienica wyższa od pozostałych wznosiła się w samym środku placu. Zwisало z niej powieszzone za nogi jakieś obnażone ciało, całe białe, rzucające się w oczy na tle otaczających je czarnoskórych trupów. Harry Shulz odwrócił wzrok. Nieoczekiwanie przypomniał sobie, co Johnny Kremer rzekł mu kiedyś w Rio de Janeiro: „W rodzinie było nas trzech braci. Eddie, Charlie i ja. Eddie został stracony w komorze gazowej w więzieniu San Quentin. Charlie, na krześle elektrycznym w Nowym Jorku. A w jaki sposób ja skończę?”

Johnny Kremer znał już odpowiedź. Rozstrzelanie i powieszenie. Dwa rodzaje egzekucji dla jednego człowieka. Rozpieścili go.

– Na lotnisko! Szybko! Spieszę się! – rzucił zniecierpliwionym tonem do kierowcy, który obojętnie wzruszył ramionami.

Siedem kilometrów przed lotniskiem eksplodowała opona i taksówka jechała dalej na obręczy koła z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę. Pięć kilometrów dalej pękł wał napędowy i Harry, zapłaciwszy kierowcy i zabrawszy walizkę, szedł dalej do portu lotniczego pieszo, w palącym słońcu południa. Przebiegł dwa ostatnie kilometry w rekordowym czasie, mając na względzie panującą wokół spiekotę, i dotarł na lotnisko na czas.

W chwili, gdy wkroczył do hallu, spostrzegł Sangsowono Batuyamatę spacerującego tam i z powrotem, z zaniepokojonym wyrazem twarzy. Natychmiast pospieszył mu na spotkanie.

– Co się panu przytrafiło?

– Nic poważnego. Kłopoty z taksówką.

Twarz adwokata gwałtownie się zmarszczyła.

– Pana Kremera...

– Wiem. Widziałem go.

– On... on... kazał mi... kazał mi powiedzieć panu, że... dziękuje panu za przybycie... – wyjąkał adwokat.

Harry Shulz skinął głową.

– Dziękuję.

Skupił wzrok na twarzy adwokata.

– Więc? Jaka jest pańska odpowiedź?

Sangsowono Batuyamata z trudem przełknął ślinę.

– Zgadza się.

Harry Shulz odetchnął.

– Ma pan listę?

– Ja... och, tak, mam listę – wybełkotał Batuyamata.

– Proszę mi ją dać – poprosił Harry Shulz. Spojrzał na zegarek.

– Czy samolot już czeka?

– Tak.

– Mamy mało czasu. Proszę dać mi listę.

Rozglądając się trwożliwie, adwokat wyciągnął z kieszeni kartkę papieru, rozwinął ją pośpiesznie i wsunął w dłoń Harry'ego.

– Bardzo dobrze – pochwalił Shulz. – A teraz, proszę mi powiedzieć, w jaki sposób mogę się z panem skontaktować. Pamiętaj pan: w dyskretny i pewny sposób.

– Zastanawiałem się nad tym – powiedział Sangsowono Batuyamata.

Ręka adwokata ponownie zanurzyła się w kieszeni marynarki i wyciągnęła stamtąd małą kartkę papieru, różowego koloru. Adwokat wetknął ją do kieszeni marynarki Harry'ego Shulza.

– Oto wszystkie szczegóły dotyczące sposobu skontaktowania się ze mną. A pan? W jaki sposób ja mogę się skontaktować z panem?

Harry nachylił się w stronę swojego rozmówcy i szepnął mu do ucha kilka słów.

– Dobrze pan zrozumiał?

– Tak – zapewnił adwokat, potwierdzając to energicznym skinieniem głowy.

– Dobrze. Proszę nie zapomnieć o informacjach, o które poprosiłem.

– Nie zapomnę. A pan niech nie zapomni o mojej obietnicy. Pan Kremer był stanowczy. Powiedział, że mogę mieć do pana całkowite zaufanie. Dodał, że pan nigdy nikogo nie oszukał.

– Nie zawiedzie się pan.

– Już czas, jak sądzę, aby dokonać pan celnych i policyjnych formalności. Niech pan idzie. Pułkownik Dasti oczekuje nas.

Z walizką w ręku, Harry Shulz ruszył za adwokatem. Tym razem, w przeciwieństwie do dnia poprzedniego, nie wydarzył się żaden incydent.

Zanim Harry przeszedł przez drzwi portu lotniczego i stanął na płycie lotniska, odwrócił się i serdecznie uściśnął dłoń adwokata.

– Dziękuję za to, co pan zrobił dla Johnny'ego. Jestem pana dłużnikiem.

– Kiedy znów pana zobaczę?

Jakiś skąpy, tajemniczy uśmiezek zaigrał na ustach Harry'ego Shulza, kiedy odpowiedział głosem pełnym niedomówień:

– Wkrótce.

## ROZDZIAŁ IV

– Już pan wyjeżdża? Interesy nie poszły dobrze? Kraj się panu nie spodobał? – rzuciła głosem pełnym ironii.

– W całym kraju nie znalazłem kropli whisky. Miałem dość tej przymusowej abstynencji i zdecydowałem się stąd wyjechać. Cóż pani chce? Lubię wypić. Mam nadzieję, że ma pani na pokładzie zapas whisky?

– Mamy wszystko czego potrzeba, aby sprostać zachciankom pijusów!

Harry Shulz, zanim wszedł do kabiny samolotu, odwrócił się na platformie ruchomych schodów i po raz ostatni obejrzał się za siebie. Wzdłuż budynku

lotniska zgromadził się tłum żołnierzy i policjantów w wystrzępionych mundurach. Ich oczy utkwione były w posrebrzanym kadłubie samolotu. Harry Shulz wykrzywił lekceważąco twarz i jego wzrok objął widok roztaczający się wokoło.

– Wsiada pan? – ponagliła stojąca za jego plecami stewardesa. – Zaraz startujemy.

– Już idę – szepnął.

„Naprawdę, obrzydliwy kraj! – przyznał w duchu. – Wywiązanie się z kontraktu nie będzie łatwe”.

– Czekamy już tylko na pana. Jest pan jedynym pasażerem wsiadającym w tym miejscu.

Kiedy wchodził po stopniach trapu na pokład, jego wzrok wyłowił z tłumu sylwetki dwóch wysokich mężczyzn, o różowej cerze, blond włosach, odzianych w drelichy koloru khaki, którzy stali nieco z boku. Dłoń stewardesy chwyciła go za ramię i pociągnęła do wnętrza samolotu.

– Można by pomyśleć, że żal panu tego kraju – poskarżyła się. – Zapewniam pana, że nie ma czego. Ludzie opowiadają, że dziś rano zamordowano Amerykanina. Rozstrzelali go i powiesili.

– Wiem.

Szepnęła mu do ucha:

– Sądziłam, że to był pan. Naprawdę bardzo się cieszę, że znowu pana widzę...

Długo ścisnęła jego rękę.

– Proszę usiąść na obojętnie jakim siedzeniu. Samolot jest prawie pusty.

Harry Shulz wykonał polecenie. Maszyna natychmiast wystartowała i przez okienko podziwiał z rozzerwaniem wypaloną słońcem sawannę, jaka rozciągała się pod skrzydłami samolotu.

Z rozmarzenia wyrwała go potrząsająca nim dłoń stewardesy.

– Pańska whisky.

Schwycił machinalnie szklankę i zatrzymał przez chwilę spojrzenie na jej sylwetce, odzianej w jasnoniebieski uniform, na jej gładkiej i różowej twarzy, blond włosach ściągniętych w węzeł pod toczkiem.

– To przyjemność zobaczyć panią po tym, co widziałem w tym kraju.

Ściągnęła usta.

– A czyja to wina? Uprzedzałam pana.

– Nie mogłem postąpić inaczej.

– Proszę więc pić pańską whisky. Przed chwilą wyglądał pan na bardzo spragnionego...

Harry Shulz pociągnął duży łyk „Cutty Sark” i znowu na nią spojrział. Bębniła palcami o oparcie fotela.

- Dokąd teraz? – spytała jakimś niepewnym głosem.
- Nie mam żadnych planów.

Zdjęła rękę z fotela.

– Kończę służbę w Bejrucie i mam tydzień urlopu. Zna pan Bejrut? Harry Shulz zastanowił się przez chwilę, zanim odpowiedział: – Znam bardzo wiele zakątków świata. Między innymi Bejrut.

Cofnął się myślą w przeszłość, przypominając sobie trzy dni spędzone w Bejrucie w towarzystwie Johnny'ego Kremera, po wykonaniu kontraktu w Tel-Awiwie.

Narobili tam straszliwego zamieszania. Razem z Johnnym, obaj przystojni chłopcy, zdmuchnęli sprzed nosa arabskich szejków z Zatoki Perskiej dwie wspaniałe dziewczyny. Ci Arabowie straszliwie tych dziewcząt pożąдали, wyobrażając już sobie, że utulą je w fałdach swych burnusów. Potem, już we czwórkę w hotelu, zaśmiewali się z tego, jak okpił obu emirów i właśnie wtedy to Johnny...

– Czy nie miałyby pan ochoty spędzić kilka dni w Bejrucie, nawet jeśli był pan już kiedyś w tym mieście?

Nie odrywał spojrzenia swoich zielonych oczu od jej delikatnie zarysowanych ust. Od jak dawna nie kochał się z kobietą? Ostatnimi czasy był tak bardzo zajęty. Kontrakty, które następowały jeden za drugim. Bez przerwy. Żadnego odpoczynku. Tylko praca. Mordercza praca. W całym tego słowa znaczeniu. Niemal na całym świecie. Tu i tam. Samolot. Potem kolejny samolot. Kula wystrzelona do kogoś w Minneapolis. Zabójstwo, upozorowane na samobójstwo w Mexico City.

- Co pan o tym myśli? – nalegała z nutką niepokoju w głosie.
- Dlaczego nie? – odpowiedział wreszcie.

Radosny ogień zaigrał w jasnych oczach dziewczyny.

– Proszę dokończyć pańską whisky – zasugerowała. – Zaraz przyniosę drugą. Wiem, jak troszczyć się o spragnionych.

Kerstin Lundqvist wiedziała, w jaki sposób leczyć spragnionych. Umiała także spełniać inne ich życzenia.

Tę technikę miała doskonale opanowaną. Partnerka namiętna, gorąca, wymagająca i zuchwała w podejmowanych przez siebie inicjatywach.

Harry Shulz oceniał, iż także stanął na wysokości zadania. Delikatnie wyswobodził się z jej objęć, a później wziął z nocnego stolika paczkę papierosów i zapalniczkę.

- Chcesz jednego? – spytał.
- Zapal mi – wymamrotała.

Włożył jej papierosa do ust i ten gest przypomniał mu niemal od razu Johnny'ego Kremera.

Czyż wczoraj nie wykonywał tego gestu?

Czyż nie wkładał papierosa do ust Johnny'ego, kiedy tamten miał skute kajdankami ręce? Do jasnej cholery – wściekł się w głębi duszy – jak długo jeszcze to wspomnienie przyjaciela będzie go prześladowało? Nawet w najszcześniejszych chwilach, kiedy trzymał w ramionach śliczną dziewczynę? Ale irytował się na próżno, nagie, białe ciało, powieszona za nogi na szubienicy, wciąż go nie opuszczało.

– Co ci jest? – spytała zaniepokojona. – Jesteś cały spięty. Czuję twoje mięśnie... są napięte... twarde...

– Nic.

Kerstin koniuszkiem palca pieściła starą bliznę na torsie.

– Czy to prawda, co mówiłeś mi w samolocie? Że nigdy się nie boisz?

– To prawda. Nigdy się nie boję.

Harry Shulz odwrócił się na bok i dmuchnął w sufit kłąb dymu.

– A skąd masz tę bliznę?

To pytanie rozbawiło Harry'ego. Ta cholerna kobieca ciekawość.

– Z wyprawy na ryby – odparł z podejrzanym wyrazem twarzy. – Dwudziestofuntowy pstrąg połknął haczyk. Pociągnął żyłkę i wpadłem do wody. Zanim dotarłem do brzegu rzeki, pstrąg mnie ugryzł.

Kerstin wybuchnęła śmiechem.

– Ten twój pstrąg miał chyba szczękę krokodyla!

– Może to była jakaś krzyżówka? Są przecież pstrągi skrzyżowane z łososiami...

– Porozmawiajmy poważnie.

– Skoro chcesz rozmawiać poważnie, co byś powiedziała na kolację?

Harry Shulz spojrzał na zegarek, była ósma wieczór.

Odwrócił się w stronę Kerstin i przyjrzał się jej twarzy. Obejrzał dokładnie cienkie kropelki potu, jakie perliły się na czole i górnej wardze, pod rozedrganymi nozdrzami, mocno podkrążone i dziwnie skośne oczy jak na Szwedkę, a także rozrzucone na poduszce blond włosy.

Jego spojrzenie prześliznęło się w stronę doskonale ukształtowanej szyi, lekko drasnęło sutki ciężkich, nabrzmiałych piersi, które sterczały dumnie, potem zeszło aż do kępki jasnych włosów, które Kerstin niedbale okręcała wokół palców. Spozstrzegł lubieżne drżenie jej bioder i pożądanie wytrysnęło w nim niczym gejzer.

Kiedy runął na nią całym ciężarem ciała, pomyślał: zawsze będzie dość czasu, żeby znaleźć w Bejrucie jakąś otwartą restaurację.

\* \* \*

Dni upływały z szybkością meteorytu pędzącego w międzyplanetarnej przestrzeni. Pięć kolejnych minęło jak jedna chwila.

Harry Shulz czuł się świetnie. W ciepłej wodzie Morza Śródziemnego obmywał swoje ciało z cuchnących, chorobotwórczych wyziewów, jakie przykleiły się do jego skóry podczas tych dwóch dni spędzonych w piekle, w którym pograżył się Johnny Kremer. Od wieków nie czuł się równie dobrze, a wszystko wokół zdawało się podtrzymywać jego radosny nastrój – błękitne niebo, umiarkowana temperatura, wspaniały apartament, jaki wynajął w „Fenicji”, najlepszym hotelu w mieście, łatwe, beztrudne życie, wyrafinowane, smakowite jedzenie i oczywiście Kerstin.

Na tydzień wymazał z pamięci kontrakty, które obiecał wykonać. Potrzebował relaksu i umiał do maksimum wykorzystać swój pobyt w Bejrucie, aby wypocząć. Jak tylko skończy się ten tydzień wakacji z Kerstin, będzie jeszcze czas, aby zająć się tą nową robotą.

Szóstego dnia wieczorem, oboje jedli kolację w eleganckim miejskim lokalu, gdzie odbywały się też oryginalne występy artystyczne, gdy nagle Kerstin, zjadając się langustą z rusztu, nagle spytała:

– Co będziesz robił, Bill, kiedy jutro się rozstaniemy?

Harry Shulz podróżował z fałszywym paszportem wystawionym na nazwisko William Carroll. Kerstin zobaczyła to nazwisko na liście pasażerów samolotu. W hotelu Harry Shulz potwierdził, że nazywa się William Carroll, a Kerstin, w zupełnie naturalny sposób używała tego nazwiska, ponieważ Harry z całkowicie zrozumiałych powodów osobistego bezpieczeństwa, nie uznawał za konieczne wyjawiać swojej prawdziwej tożsamości.

– Wracam do moich zajęć – odpowiedział, utkwivszy wzrok w orkiestrze, która właśnie rozpoczęła improwizację starego jazzowego tematu „Stompin' at the Savoy”.

– Jakiego rodzaju interesy robisz, Bill? – spytała natarczywie.

Harry Shulz spokojnie przeżuł duży kawałek langusty. Potem napełnił oba kieliszki szampanem.

– Handel zagraniczny, import-eksport – odpowiedział w końcu.

Był to zawód odpowiedni na każdą okazję, wiedział o tym znakomicie. To mogło znaczyć wiele rzeczy. Było to wystarczająco niejasne, aby zniechęcić do bardziej niedyskretnych pytań. Import-eksport? To mogło równie dobrze polegać na importowaniu bądź eksportowaniu produktów równie nieszkodliwych jak orzech kokosowy, guma arabska jak i skrzyń z karabinami maszynowymi produkcji czechosłowackiej, przewożonych tranzytem do Hamburga, albo narkotyki ukryte we wnętrzu nadziewanej czekoladki, czy też zastępujące sardynki w puszcze. Alibi wszystkich ludzi żyjących poza prawem był import-eksport. Naprawdę wygodna przykrywka.

Posyłając Kerstin swój czarujący uśmiech, Harry Shulz pomyślał, że winno się płacić dożywną comiesięczną pensję w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów temu, kto wynalazł ten bezkonkurencyjny parawan!

– To co importujesz i eksportujesz? – spytała nieco podekscytowanym głosem.

– Wszystko. Pastę do zębów, ludzkie włosy z Hongkongu, do produkcji peruk...

Improwizował.

– Nigdy nie zakładasz peruki?

– Czasem. Jak wszystkie kobiety.

– A czy wiesz, że firmowe peruki są wytwarzane z ludzkich włosów pochodzących z Hongkongu?

Kerstin wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Nie. Dlaczego?

– Dlatego że – wyjaśnił triumfująco – Chinki mają najzdrowsze włosy na świecie i, co więcej, zapuszczają je aż do kostek, by je jak najlepiej sprzedać, jeśli zdecydują się je obciąć.

– Nie wiedziałam o tym – odpowiedziała Kerstin.

Znajomość tych zagadnień wcale nie była zasługą Harry'ego. Po prostu pewien perukarz z Nowego Jorku kiedyś mu to wyjaśnił.

– Widzisz, że jestem oblatany w sprawach importowo–eksportowych. W samolocie miałaś taką minę, jakbyś sądziła, że prowadzę jakieś podejrzone interesy.

– To prawda. Nie wyglądasz na tego, za kogo chciałbyś uchodzić.

Harry Shulz wzruszył ramionami.

– Pij. Ten szampan jest rewelacyjny. I dobrze współgra z langustą. Jedna dobra rzecz w Bejrucie: podają tutaj francuską kuchnię. A ja, chociaż jestem Amerykaninem, uwielbiam francuską kuchnię... Powiedz mi...

– Tak? – spytała z zainteresowaniem Kerstin.

– A co ty będziesz robiła? Po naszym jutrzejszym rozstaniu? – spytał Harry Shulz.

– Cóż za pytanie! Naturalnie nadal będę latać! Oczekując na powrót męża.

Harry Shulz zdziwiony uniósł brwi.

– Twojego męża?

Jednocześnie zorientował się, że nie zapytał przedtem Kerstin, czy była mężatką, czy też panną, wdową czy rozwódką. Była to dla niego kwestia bez znaczenia, a ponadto był przekonany, że z nikim nie łączyły ją żadne głębsze więzy uczuciowe. Co więcej, żadne z nich nie poruszyło tego tematu.

– Jestem mężatką – wyznała po prostu.



Kelner sprzątał ze stolika brudne talerze. Harry Shulz zaczekał, aż tamten skończył.

– Gdzie on teraz jest? W Szwecji? – poczuł się w obowiązku zapytać, chociaż nie był tym tematem zainteresowany.

– Nie. Nie w Szwecji.

– A więc gdzie?

– W kraju, z którego właśnie wracasz.

Błysk zdumienia pojawił się w oczach Harry'ego Shulza, ale nie skomentował tego. Kerstin mówiła dalej:

– Jest tam z moim bratem. Przypomnij sobie, podczas twojej pierwszej podróży samolotem poradziłam ci, abyś zmienił zdanie. Powiedziałam, że to niebezpieczny kraj. Tak po prostu, ponieważ wiedziałam, co się tam dzieje. Moje informacje były danymi z pierwszej ręki. Otrzymywałam je od mojego męża i brata.

Harry Shulz nieoczekiwanie przypomniał sobie te dwie odziane w khaki sylwetki o różowej cerze, typowo skandynawskich blond włosach, jakie dostrzegł z dala od samolotu, gdy gotowy był wejść na jego pokład, i odwrócił się, by jeszcze raz zerknąć na kraj, w którym znalazł śmierć Johnny Kremer.

– To oni dwaj stali nieopodal samolotu, kiedy wszedłem na pokład?

– Tak. Przyszli się ze mną przywitać, wymienić kilka pocałunków i pogadać.

Zawsze tak robią.

Jej głos był pełen gorzkości.

– To trwa już rok.

Pokiwała głową.

– I będzie trwało jeszcze jeden.

Przed nimi rozkładano czyste talerze. Tak naprawdę, temat nie interesował Harry'ego Shulza, niemniej jednak udawał, że wzruszają go małżeńskie kłopoty Kerstin.

– Faktycznie, to nie jest zabawne. A co oni tam robią?

– Sven, to znaczy mój mąż, jest pilotem, a Gunnar mechanikiem.

– Pilot i mechanik samolotowy?

– Tak. Mają zresztą dobrą pracę. Sven zarabia miesięcznie cztery tysiące dolarów, a Gunnar dwa tysiące. Na czysto, wolne od podatku. To dużo więcej, niż mogliby zarobić w Szwecji. Razem mają sześć tysięcy dolarów miesięcznie. Przelewają je na konto pewnego banku w Sztokholmie. W ciągu roku zgromadzili już siedemdziesiąt dwa tysiące dolarów. Ale Sven i Gunnar wyznaczyli sobie pułap stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

– Po co?

– Aby założyć własne przedsiębiorstwo połączeń lotniczych ze szwedzkimi wyspami na Bałtyku. Na początku zakupiliby jeden, dwa stare wojskowe

samoloty, potem zwiększaliby swój park maszynowy i spróbowaliby rozciągnąć sieć swoich usług na Danię, Norwegię i Finlandię.

- Wydaje mi się, że to dobry pomysł.
- Tak, to jest dobry pomysł... Tylko że...

Kerstin nieoczekiwanie przerwała. Kelner stawiał właśnie pośrodku stołu półmisek z bekasem nadziewanym oliwkami i szybko zabrał się do podzielenia go na porcje i rozłożenia na talerzach.

Harry Shulz skorzystał z okazji, aby napełnić kieliszki szampanem i jak tylko kelner odszedł, powtórzył:

- Tylko że?

Kerstin wbiła widelec w kawałek bekasa.

- Tylko że ja jestem normalną kobietą, rozumiesz? Potrzeba mi w łóżku mężczyzny na wszystkie wieczory!

Harry Shulz uśmiechnął się.

- Przekonałem się o tym.

Kerstin nieznacznie poczerwieniała.

- Oczywiście nie pierwszego lepszego.

Kawałek bekasa utkwiał na widelcu, który trzymała wycelowany przed siebie tak, jakby groziła nim Harry'emu.

- Jest mi przykro, że ci to mówię, Bill, ale mężczyznę, którego przede wszystkim potrzebuję w moim łóżku, jest Sven... mój mąż...

Harry Shulz kiwnął potakująco głową.

- To zupełnie normalne. Jedz. Bekas zaraz ostygnie.

Kerstin zdecydowała się unieść widelec do ust i długo przeżuwała, nie mówiąc ani słowa.

- Rozumiesz mnie, prawda, Bill? – podjęła.

- No pewnie.

- Co oznacza, że mam jeszcze przed sobą rok oczekiwania, zanim Sven i Gunnar osiągną próg stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów i nim Sven zdecyduje się na stałe osiedlenie w moim łóżku.

Harry Shulz zastanowił się przez chwilę, czy nie zaproponowałaby mu, aby zastąpił jej męża przez ten rok, który miał jeszcze upłynąć, ale na samą myśl o tym nieco zeszytniał.

- A ty nie możesz do niego dołączyć? Żyć razem z nim? – zasugerował obłudnie.

- Nie ma mowy! – zbuntowała się. – W tym piekle? W kraju, w którym dożywotni prezydent-marszałek gustuje w blondynkach? Na pewno czekałby tam mnie gwałt! Tak by się z pewnością stało, jeśli ośmieliłabym się wyjść poza kabinę lotniczą, kiedy dostawia się trap! W każdym razie, nigdy nie schodzę ze schodków na ziemię!

– A oni nie mieli kłopotów? Wydaje się, że Europejczycy nie są tam mile widziani.

– Oni to co innego. Dożywotni prezydent-marszałek potrzebuje ich.

Harry Shulz, zdziwiony, przestał przeżuwać.

– A dlaczegoż to? – spytał.

– Ponieważ Sven jest osobistym pilotem dożywotniego prezydenta-marszałka. A Gunnar mechanikiem zapasowego samolotu. Tego, którym posłużyłby się prezydent-marszałek, aby uciec za granicę w wypadku, gdyby w kraju wybuchł jakiś bunt i musiałby szukać schronienia gdzie indziej. Kradinowoto kazał zbudować pas startowy i lądowisko za pałacem prezydenckim. Tam stale stoi jeden samolot. Gotowy do startu. Jego załoga jest w stałym pogotowiu. Jeden sygnał prezydenta i samolot wzbija się w powietrze.

Lodowaty dreszcz przebiegł zygzakami po plecach Harry'ego Shulza.

Nagle kawałek bekasa, jaki właśnie zaczął przeżuwać, wydał mu się okropnie niesmaczny i mdły.

Dobry Boże! – powiedział do siebie.

To o czym mówiła Kerstin, zgadzało się z tym, co już wiedział na temat załogi szwedzkich najemników, którzy dbali o samolot specjalny dożywotniego prezydenta-marszałka, przeznaczony dla zapewnienia mu ucieczki za granicę, na wypadek kłopotów w jego własnym kraju.

Dobry Boże – pomyślał raz jeszcze – to otwierało zupełnie nowe perspektywy!

Opróżnił do dna zawartość swojego kieliszka i natychmiast napełnił go znowu.

W jednej chwili znowu zagłębiał się w pracy. Od nowa stawał się zimnym, wyrachowanym profesjonalistą. Skończone, żegnajcie piękne dni w Bejrucie, plaża, słońce, wyrafinowane obiady, miłosne rendez-vous z Kerstin.

Harry czuł jakiś żal na myśl, że to wszystko mogłoby potrwać jeszcze jeden dzień i skończyć się nazajutrz, ale natychmiast jakaś inna myśl zawładnęła jego umysłem. Chodziło o to, by pokierować tym wszystkim z wielką dokładnością! Zastanowił się przez dłuższą chwilę, zanim zdecydował się przemówić znowu.

– Jeżeli dobrze rozumiem, Sven jest pilotem tego samolotu, który znajduje się w ciągłym pogotowiu, aby zapewnić dożywotniemu prezydentowi-marszałkowi ucieczkę?

– Tak. Właściwie jest tam trzech pilotów. Kradinowoto nie ryzykuje, rozumiesz? Na wypadek, gdyby jeden pilot był niedysponowany w decydującym momencie... A ponieważ nie liczy się z pieniędzmi, może sobie pozwolić, aby płacić jedenastu osobom za to, że nic nie robią.

– Jedenastu?

– Trzem pilotom, dwom radiotelegrafistom, sześciu mechanikom!

– Jakiej narodowości?  
– Wszyscy są Szwedami z wyjątkiem jednego mechanika, który jest Australijczykiem.  
– A w jaki sposób dożywotni prezydent-marszałek ich werbuje? Za pomocą rubryk ogłoszeń drobnych w gazetach? – spytał z ironiczną intonacją głosu, aby złagodzić dosadny styl swoich pytań.

– Przysłała mu ich szwedzkie towarzystwo lotnicze. Podpisał z nim kontrakt. Kiedy jakiś facet ma już dość kraju i chce wyjechać, natychmiast zastępuje go ktoś inny.

– Znasz nazwę tego towarzystwa?

– Naturalnie. Gustaffsson Air Company. Dostarcza ono wielu pilotów na samoloty czarterowe lub maszyny prywatne, których właściciele nie posiadają patentów wystarczających do samodzielnego pilotowania ich własnych, starych samolotów wojskowych w niektórych okolicznościach.

– A jakiego typu to samolot?

– Boeing 737.

Harry Shulz potrząsnął głową.

– Mały odrzutowiec. Nie ma trudności z naftą? To znaczy: z zaopatrzeniem go w paliwo?

– Nie sądzę. Kradinowoto pod tym względem przewidział wszystko. Ale skąd to nagłe zainteresowanie, Bill? Przed chwilą wydawałeś mi się prawie zupełnie obojętny na to, co ci opowiadałam, a teraz się ożywasz tak, jakbyś znalazł swoją drogę z Damaszku.

Harry Shulz, który nie znał Nowego Testamentu, zachichotał.

– Damaszek to port niedaleko stąd. My jesteśmy w Bejrucie.

Ale szybko znów spoważniał.

– Podsumujmy – mówił powoli – jedyny problem, który wzbrania Svenowi zając z powrotem należne mu miejsce w małżeńskim łożu, obraca się wokół grubej forsy. Mówiąc ściślej: siedemdziesięciu ośmiu tysięcy dolarów.

– Otóż to.

– Gdyby więc – zasugerował – Sven i Gunnar znaleźli inny sposób zarobienia pieniędzy, nie musieliby pozostawać tam jeszcze jeden rok.

– Nie. Ale gdzie zarobiliby te pieniądze?

W głosie Kerstin pobrzmiwała desperacja.

Oto odpowiedni moment, aby diabeł wyskoczył z mojego pudełka – pomyślał Harry Shulz.

Niedbale posunął naprzód swego ostatniego pionka.

– Znam kogoś, kto mógłby im dostarczyć te pieniądze... Wraz z premią... W sumie sto tysięcy dolarów...

Jeszcze nie położył łapy na milionie dolarów, który Johnny Kremer ukrył w jakiejś grocie na Alasce, a już zaczynał go uszczuplać! Ale w głębi duszy kpił sobie z tego!

Nie uważał tych pieniędzy za zwykłe wynagrodzenie za kontrakt. To były pieniądze Johnny'ego. Pieniądze, które odłożył, aby ostatecznie się ustatkować i które powinny przede wszystkim posłużyć temu, aby wszyscy ci, którzy przeszkodzili Johnny'emu się ustatkować, słono za to zapłacili.

I on użyje ich w tym celu.

Częściowo albo całkowicie.

Nawet gdyby sam miał zrobić to za darmo.

Więc w tym wypadku, jakie znaczenie mogło mieć sto tysięcy dolarów, które właśnie ofiarowywał Kerstin?

Ona, zupełnie zaskoczona, spoglądała na niego z niedowierzaniem.

– Czy mógłbyś jeszcze raz powtórzyć to, co właśnie powiedziałeś?

– Sto tysięcy dolarów.

Kerstin potrzęsła z powątpiewaniem głową.

– Żartujesz.

– Nie żartuję. To najprawdziwsza prawda.

Słyszac suchy ton, którym wypowiedział te słowa, zadrżała.

– Istotnie, nie wyglądasz mi na żartownisia. Ale... dlaczego to robisz?

– Nie po to, aby uczestniczyć w waszym małżeńskim spotkaniu – rzucił cynicznie – ale po prostu dlatego, że to odpowiada komuś, kogo znam.

– Tobie?

– Nie. Komuś innemu.

– Czy to na pewno nie ma nic wspólnego z pobytem w tym kraju?

Harry Shulz znowu nalał szampana.

– Zadajesz zbyt wiele pytań. Wyłożę ci mój plan. Tak, jak widzę bieg spraw. Powiesz mi, co o tym myślisz. Zauważ, że ani ty, ani Sven, czy Gunnar, niczym nie ryzykujecie. To nie jest pułapka. A pieniądze zostaną zapłacone gotówką... Pamiętaj... Sto tysięcy dolarów... Gotówką...

Kerstin opróżniła swój kieliszek szampana i lubieżnie oblizała wargi.

– Słucham cię, Bill.

Harry Shulz przyjrzał się jej przez krótką chwilę uważnie, zadając sobie pytanie, jakie dręczyło go od kilku sekund: czy ona to zaakceptuje, czy jednak odrzuci?

Skoczył na głęboką wodę.

– Jutro rano wsiądziesz na pokład pierwszego samolotu odlatującego do Sztokholmu. Kiedy wylądujesz, idź prosto do swego mieszkania i ukryj się tam. Nie ruszaj się stamtąd, czekając na wiadomości ode mnie. Przed odlotem podasz mi wszystkie twoje dane. Adres, numer telefonu. W ciągu następnych kilku dni

skontaktuję się z tobą. A oto co teraz zrobisz. Wyślesz telegram do dożywotniego prezydenta-marszałka. Telegram podpisany: „Gustaffsson Air Co.” A teraz treść... Słuchasz?

– Tak – westchnęła.

Harry Shulz powtórzył dobitnie wymyśloną naprędce treść:

– Kerstin Lundqvist. Żona Svena Lundqvista, pilota Waszej Ekscelencji, ofiarą śmiertelnego wypadku. Stop. Obecność Svena Lundqvista i Gunnara...

– Jakie jest jego nazwisko?

– Wettergren.

Harry Shulz mówił dalej:

– ...i Gunnara Wettergrena, brata Kerstin Lundqvist, obowiązkowa. Stop. Wysyłamy natychmiast w zastępstwie pilota i mechanika. Stop. Jak tylko zmiennicy znajdą się na miejscu, prosimy o odesłanie wymienionych osób do Sztokholmu. Stop. Przekazujemy podziękowania i wyrazy szacunku.

Harry Shulz spojrział na nią przenikliwie.

– Powtórz.

Kerstin powtórzyła treść telegramu, który właśnie jej podyktował, wiernie, słowo w słowo.

– Brawo – pogratulował. – Będziesz pamiętała?

– Zanotuję to sobie, jak tylko wrócimy do pokoju hotelowego.

Odetchnął z ulgą.

Zgadzała się!

Chciał mieć jednak pewność.

– Więc zgadzasz się? Za sto tysięcy dolarów?

Kerstin, skinęła głową, choć wydawała się lekko przerażona.

– Sądzisz, że to się uda?

– Jestem tego pewien.

– A... a... co do reszty?

– Chodzi ci o pieniądze?

– Tak.

– Jak tylko twój mąż i brat zejną w Sztokholmie na ląd, pobiegną do ciebie.

W ciągu piętnastu minut od ich przybycia, zjawi się u ciebie pewien człowiek. Wręczy ci kopertę zawierającą sto tysięcy dolarów. To wszystko. Pozostanie jedynie wyjaśnić twojemu mężowi i bratu, że poznałaś jakiegoś możnego protektora. Ty musisz wybrnąć z tej sytuacji i znaleźć satysfakcjonujące wyjaśnienie co do sposobu, w jaki się spotkaliście. Mam do ciebie zaufanie. Wszystkie kobiety na całym świecie umieją znaleźć mniej lub bardziej, ale zawsze przekonujące alibi w tego rodzaju sprawach.

Kerstin jakby zhardziała w jednej chwili.

– Czemu nagle stałeś się taki cyniczny?

Zupełnie jak rzutnik zmienia nagle przezrocze ze zdjęciem pałacu wersalskiego, który szybko zostaje zastąpiony tym przedstawiającym Zatokę Neapolitańską, tak samo wyraz twarzy Harry'ego Shulza zmienił się gwałtownie. Posłał Kerstin swój najbardziej uwodzicielski uśmiech, uśmiech, który wrzasał ją do łez.

– Nie miałem zamiaru być cyniczny – przyznał przepraszająco. – I jeszcze jedno... Zauważ, że w moim planie nie ma żadnej luki. Jeśli twój mąż i brat nie wrócą do Sztokholmu, nie ma wypłaty. A jeśli w ciągu piętnastu minut, jakie upłyną od ich przybycia, nie otrzymasz stu tysięcy dolarów, zawsze będziesz mogła zaalarmować Gustaffsson Air Company i skazać nasze przedsięwzięcie na niepowodzenie. Ale wierz mi, nie zrobisz tego. Ci, którzy zastąpią twojego męża i brata, znajdą się w wyznaczonym miejscu, a oni nie mają ochoty poznać bliżej najszybciej działającej sprawiedliwości dożywotniego prezydenta-marszałka i zostać któregoś dnia rozstrzelani i powieszani za nogi na jakiejś szubienicy na głównym placu stolicy!

Kerstin przyjrzała się mu oszołomiona.

– Ale kim są ci ludzie, którzy zastąpią Svena i Gunnara? Co mają zamiar zrobić? Dlaczego mają zamiar ich zastąpić?

Nikły uśmiešek zaigrał na wargach Harry'ego Shulza. Wyjął z wiaderka z lodem butelkę szampana, udał głęboko zmartwionego, odkrywając, że była pusta, i strzelając palcami wezwał starszego kelnera.

Tamten podbiegł natychmiast.

Harry Shulz podkreślił paznokciem wskazującego palca napis, jaki widniał na etykiecie pustej butelki: „Comtes de Champagne, Taittinger 1969”.

– Ten szampan był wyśmienity – rzucił z podziwem. – Bardzo nam smakował. Proszę więc przynieść bliźniaczą siostrę tej butelki. Bliźniaczą! – dodał szybko. – Ta sama marka, ten sam rocznik!

Potem, zwracając się do Kerstin, dodał:

– Musimy uczcić powstanie naszej spółki.

## ROZDZIAŁ V

Budynek był usytuowany w centrum Manhattanu, na Pięćdziesiątej Ulicy, pośrodku ogromnej dzielnicy dzielącej Broadway od Siódmej Alei, pomiędzy stanowiskiem pracy portorykańskiego pucybuta a lichym hotelikiem, w którym spotykały się z klientami czarne prostytutki w blond albo rudowłosych perukach. Na rogu Broadwayu, niemal naprzeciwko baru Jacka Dempseya, stał sklepik,

odwiedzany przez klientelę prostytutek, która mogła zaopatrzyć się tutaj w prezerwatywy – wskaźnik chorób wenerycznych był bowiem w Nowym Jorku szczególnie wysoki.

Joey Graal, przechodząc przez ulicę, przyznał w duchu, że ten hotel stanowił rzeczywiście miejsce, w którym ostrożność była czymś wskazanym. Należało mieć przy sobie bowiem jedynie taką ilość pieniędzy, jaka wystarczyła na wynajęcie pokoju i skorzystanie z usług prostytutki. Resztę lepiej zostawić w domu. Bo jeśli padło się ofiarą kradzieży, na nic nie zdadzą się awantury. Sutenerzy z Harlemu czuwali nad porządkiem i nie dopuszczali do żadnych scen!

Joey odrzucił zaproszenie wspaniałej Metyski w popielatej peruce. Wchodząc w bramę słyszał tylko, jak dziewczyna bluzgała stekiem przekleństw i wypowiadała jak najbardziej poważne wątpliwości co do jego zdolności zwiększania liczebności amerykańskiej populacji. Zatopiony we własnych myślach, nie zwrócił nawet na to uwagi. Miał tyle innych kłopotów na głowie.

Wbiegł po kołyszących się stopniach schodów i przystanął na trzecim piętrze przed drzwiami, na których widniała tabliczka z łuszczącą się emalią. Przekręcił gałkę drzwi i wszedł do środka.

Pokój był pusty. Żadnych mebli, z wyjątkiem koślawego krzesła. Na stercie starych książek telefonicznych znalazł telefon.

Joey zamknął za sobą drzwi, położył aparat telefoniczny na podłodze i usiadł przy nim, zapalając papierosa, aby czymś wypełnić czas oczekiwania.

Telefon zadzwonił dokładnie o osiemnastej. Podniósł słuchawkę.

– Nazywa się pan Frank Jackson – odezwał się suchy głos. – W agencji podróży Mortensona na Czterdziestej Czwartej Zachodniej czeka na pana koperta.

Stuk. Odłożono słuchawkę.

Joey zrobił to samo.

Wychodząc z mieszkania, pomyślał, że Organizacja TRAKS mogłaby wybrać lepsze miejsce do nawiązywania kontaktów. W agencji Mortensona przy Czterdziestej Czwartej Ulicy Zachodniej przedstawił się jako Frank Jackson i urzędnik wręczył mu zalakowaną kopertę. Otworzył ją. Zawierała bilet lotniczy na lot linią TWA, następnego dnia – do Sztokholmu, a także dwa tysiące dolarów w studolarowych banknotach oraz paszport na nazwisko Frank Jackson, z jego własną fotografią, którą wręczył TRAKS dwa lata temu.

Spędził spokojną noc i nazajutrz pojechał na Lotnisko Kennedy'ego.

Joey właśnie nadawał tam swój bagaż zawierający jedynie kilka ubrań na zmianę, kiedy nagle wezwano go do telefonu. Oczekiwał na to połączenie i nie był zaskoczony. Uważnie wysłuchał przekazywanych mu instrukcji i dokładnie je zapamiętał.



Gdy z głośnika podano informację o locie linii TWA do Sztokholmu, ruszył razem z tłumem pasażerów, jaki zmierzał w kierunku korytarza prowadzącego na pas startowy. Przypominał zwykłego pasażera, jak wielu innych.

Dave Chensky kończył się golić, kiedy zadzwonił telefon. Podbiegł do jadalni, podniósł słuchawkę i uważnie słuchał. Na drugim końcu linii czyjś głos wypowiedział jedynie trzy słowa:

– Empire State Building.

Dave odłożył słuchawkę i szybko zrobił sobie śniadanie. Przełknął je w pięć minut, chociaż zwykle rozkoszował się spokojnym spożywaniem jaj na bekonie, frankfurterkami, płatkami kukurydzianymi, kawą i sokiem pomarańczowym. Z szuflady komody wyjął dużą lornetkę i stanął na posterunku tuż przy oknie, skąd miał widok na fasadę Empire State Building. Podniósł lornetkę do oczu, starannie wyregulował soczewki i przesunął nimi tak, aby móc spokojnie widzieć każde piętro olbrzymiego drapacza chmur. Na trzydziestym ósmym piętrze jego uwagę przykuła sylwetka czyściciela okien, stojącego w metalowym koszu wiszącym na dwóch grubych, stalowych linach, z bloczka umocowanego na dachu budynku.

Dave Chensky zawsze podziwiał czyścicieli okien, którzy potrafili dać dowód swej niezłomnej odwagi, pracując na tak niebezpiecznych wysokościach. On sam potrafił zastrzelić każdego, nie odczuwając przy tym najmniejszej emocji, ale myśl, że mógłby balansować w próżni na takiej wysokości, wywoływała u niego mdłości, a przy okazji drżenie nóg, które z trudem udawało mu się powstrzymać.

Dave zachwycał się swobodą, jakiej dowodził pracujący mężczyzna, lecz po chwili skierował lornetkę na metalowy kosz, w którym stał czyściciel. Gruby, stalowy cylinder był pomalowany na zielonooliwkowy kolor, a na jego gładkiej powierzchni nakreślono białą kredą pięć liter rozdzielonych grubą ukośną kreską: MTA/RH.

Dave uśmiechnął się z lekka. Wiedział, co te pięć liter oznaczało. MTA to Mortenson Travel Agency, Agencja Podróży Mortensona – jedna z tych agencji, którymi posługiwała się Organizacja TRAKS, natomiast RH oznaczało nazwisko „Rodd Hanks”, pod którym powinien zjawić się w agencji podróży Mortensona. Był to wcześniej uzgodniony kod. Dave odwrócił się od okna i włożył lornetkę z powrotem do szuflady komody.

Przytrzasnął sobie palec, zamykając szufladę, i wybuchnął śmiechem.

Organizacja miała naprawdę oryginalne pomysły na przekazywanie wiadomości!

Fasada Empire State Building! Czyściciel okien!

Dave ssął swój obolały palec jeszcze przez chwilę, nim zdecydował się pójść sprawdzić, co czekało na niego w biurze podróży Mortensona.

W godzinę później trzymał już kopertę zawierającą bilet lotniczy na popołudniowy lot do Sztokholmu, jak również dwa tysiące dolarów w studolarowych banknotach i paszport na nazwisko Rodda Hanksa, z jego fotografią, którą wręczył Organizacji siedem miesięcy temu.

Po południu Dave udał się na Lotnisko Kennedyego. Miał przy sobie tylko jeden bagaż. Gdy oczekiwał na odlot samolotu, wezwano go do telefonu. Wysłuchał uważnie instrukcji, które mu przekazywano, i dokładnie je zapamiętał.

W samolocie stewardesa posadziła go obok zwiewnej blondynki i pomyślał sobie, że podróż rozpoczyna się pod szczęśliwą gwiazdą.

Gdy po udanym połowie Charlie Kingsley wrócił znad jeziora do olbrzymiej chaty, jaką zbudował własnymi rękami, usłyszał dzwonek telefonu.

Postawił koszyk z rybami na kamiennych schodkach i pośpiesznie pchnął drzwi. Jednym susem znalazł się przy telefonie i gorączkowo podniósł słuchawkę.

– Halo? – rzucił ze zniecierpliwieniem.

– Charlie?

Dobry Boże – zastanowił się przez chwilę. Znał ten głos. Wydawał się on znowu powracać z otchłani wieków.

– Harry S. – sprecyzował tamten.

– A niech cię, Harry! – wrzasnął Charlie Kingsley tak, jakby jego rozmówca znajdował się na Marsie. – Gdzie jesteś?

– W Nowym Jorku.

– Dlaczego nie przyjedziesz tutaj?

– Bo to ty masz natychmiast zjawić się u mnie.

– Dobry Boże, a coż mógłbym tam robić? Nienawidzę tego miasta!

– Czy trzydzieści tysięcy dolarów pozwoliłoby ci polubić Nowy Jork?

– Trzydzie... Cholera, Harry, o czym ty mówisz?

– Przyjedź, to się dowiesz. Saint-Regis Sheraton Hotel, na Pięćdziesiątej Piątej Ulicy, o dwa kroki od Piątej Alei. Pokój 814. Zadzwoń przedtem, aby się upewnić, czy tam jestem. I wejdź prosto na górę. Okay?

Charlie Kingsley westchnął głęboko.

– Okay, Harry.

Odłożył słuchawkę i wyszedł z chaty zabierając ze sobą koszyk z rybami. Przystanął na kamiennych schodkach, jego wzrok zatopił się marzycielsko w zielonym listowiu ponad stuletnich drzew, jakie rosły wokół chaty.

Kryjówka nad brzegiem jeziora, o sto mil na północ od Shreveport i o zasięg strzału karabinu od granicy z Arkansas, zadowoliliby chyba każdego ściganego przez policję przestępcę. Najbliższe aglomeracje odległe były o osiemdziesiąt mil stąd: Texarcana i El Dorado w stanie Arkansas, a trochę dalej Shreveport w stanie Luizjana. W każdą niedzielę wędkarze sadowili się nad brzegami jeziora, ale unikali jak zarazy zakażka, w którym Charlie Kingsley wybudował swoją kryjówkę. W tym miejscu stale unosiła się nad wodą gęsta mgła, która odbierała odwagę nawet najbardziej nieustraszonym wędkarzom.

Chata zbudowana została z drewnianych bali i skrywała się za zasłoną gęstych drzew. Wewnątrz była skromnie wyposażona, lecz posiadała minimum komfortu, w tym także telefon. Wszystko działało w oparciu o naftę: lampy, kuchenka i lodówka.

Pewnego dnia, wiele lat temu, Charlie namówił swoją żonę, Gladys, do tego, aby pojechała z nim na weekend do chaty. Wieczorem, kiedy Charlie i jego żona spali, do chaty wtargnęło czterech łobuzów. Grożąc bronią, przywiązali Charliego do łóżka, a potem, pomimo błagań, jeden po drugim, wielokrotnie zgwałcili Gladys. Odeszli o świcie, wymieniając między sobą obsceniczne uwagi. Gladys, nie mówiąc ani słowa, nie patrząc nawet na Charliego, nie próbując uwolnić go z więzów, wstała z łóżka i utopiła się w jeziorze.

Charlie nie złożył wizyty na policji, aby wnieść skargę. To nie było w jego stylu. Zadowolił się orzeczeniem, że samobójstwo Gladys wiązało się z nerwową depresją wynikłą po stracie ich jedyne go syna, który umarł sześć miesięcy wcześniej. Nie upłynął tydzień, jak Charlie rozpoznał w gazecie zdjęcia czterech napastników. Napadli na kasę supermarketu w Baton-Rouge i zostali schwytani na gorącym uczynku. Dostali osiem lat. Darowano im część kary, dlatego wyszli z więzienia po upływie pięciu lat i trzech miesięcy.

Przy wyjściu z więzienia czekał na nich Harry Shulz.

Cieszyli się wolnością tylko godzinę i dwanaście minut, tyle bowiem czasu potrzebował Harry, żeby wykonać kontrakt, jaki zlecił mu Charlie.

Charlie od dawna nie widział się z Harrym Shulzem. Wprawdzie zapłacił mu za robotę, niemniej jednak czuł wobec niego pewną wdzięczność i uważał, że niczego nie mógłby mu odmówić.

Otrząsnął się ze wspomnień.

Z koszykiem w rękę powrócił nad brzeg jeziora i wypuścił do wody ryby, które wcześniej złowił. Wiedział, że przez kilka kolejnych dni nie zabraknie mu jedzenia.

Potem wrócił do chaty.

Następnego dnia po południu był już w Nowym Jorku, a wieczorem w pokoju Harry'ego Shulza. Od razu przystąpił do rzeczy.

– Co to za historia z tymi trzydziestoma tysiącami dolarów, Harry?

Harry Shulz uspokoił go ruchem dłoni.

– Siadaj, Charlie. Szklaneczkę czegoś mocniejszego?

Charlie Kingsley przytaknął.

– Coś bardzo mocnego.

– Zgoda.

Harry Shulz podszedł do barku na kółkach, napełnił szklanki i jedną z nich podał Charliemu Kingsleyowi.

– Chcesz jeszcze ze mną popracować, Charlie? – spytał.

Charlie Kingsley zaszępił się.

– To nie jest najlepszy moment – odpowiedział płaczliwym tonem.

– Coś nie gra?

– Ci cholerni Kubańcy! Ich samoloty dzień i noc patrolują wybrzeża i wody terytorialne. Nie warto latać, jeśli nie chce się oberwać serii z karabinu maszynowego!

Charlie Kingsley był specjalistą od przemytu drogą lotniczą. Znano go w rejonie Morza Karaibskiego, od wysp Barbados do Bahamów i od Tegucigalpy do Santo Domingo de Guzman. Ale przez wiele lat jego głównym źródłem dochodów była Kuba. Przemyczał tam towary niedostępne na wyspie, odkąd Castro podporządkował cały naród komunistycznemu reżimowi i wypędził stamtąd nielegalnych emigrantów. Amerykańskie urzędy celne przymykały oczy na jego nielegalny handel, ponieważ Charlie cieszył się protekcją CIA, która czasami korzystała z jego usług do swoich bardzo specjalnych operacji na Kubie.

Ale przede wszystkim był doskonałym pilotem. Z wyjątkiem odrzutowców, potrafił pilotować każdy samolot, począwszy od starych DC 4, czy BAC 111, jak i nowsze DC 9 i „Caravelles”. Swego czasu był nawet pilotem pewnego towarzystwa lotniczego. Potrafił także bezpiecznie lądować w przygodnych miejscach, na przykład na plaży czy usłanym żwirem polu.

– To niedobrze – skrzywił się Harry Shulz. – Ale, jeśli dobrze rozumiem, suma trzydziestu tysięcy dolarów mogłaby cię skusić?

– Raczej tak – przyznał Charlie. – Co to za propozycja?

Harry Shulz spokojnie przełknął duży łyk whisky, zanim odpowiedział:

– Pozwól, że ci wyjaśnię – rzekł wreszcie, stawiając szklankę na oparciu fotela. – Jesteś gotów podjąć ryzyko?

– Za trzydzieści tysięcy dolarów, tak. Czasem przecież narażam się za mniejsze pieniądze.

– Doskonale. Powiem ci, o co chodzi.

Harry Shulz zaciął przekonującym i beznamiętnym tonem, jakby nie przywiązywał wagi do tego, co mówił. Charlie słuchał z oczami utkwionymi w niego. Kiedy Harry skończył, rzucił tylko: – Cholera!

Harry Shulz przyjrzał się uważnie kanciastej, grubo ciosanej twarzy Charliego Kingsleya.

- Czy to cię przeraża?
  - Wcale – zaprotestował tamten.
  - A więc?
  - Więc tak. Kiedy wyjeżdżamy?
  - Jutro. Pieniądze dostaniesz po powrocie. Odpowiada ci to?
- Charlie Kingsley wybuchnął śmiechem.
- Mam do ciebie zaufanie! Z twoją reputacją!

Dwa dni później Harry i Charlie przylecieli do Bejrutu. Podczas pobytu w Nowym Jorku Harry obciął sobie krótko włosy, co zmieniło trochę jego wygląd twarzy. Nie chciał, by go rozpoznano w porcie lotniczym, kiedy wysiądzie z samolotu w kraju dożywotniego prezydenta-marszałka Kradinowoto I. Poza tym, Charlie i on posługiwali się fałszywymi paszportami wystawionymi na nazwiska Waltera Wennerstroma i Curda Olsona, dwa brzmiące po szwedzku nazwiska, choć paszporty były amerykańskie. Gdy Harry wręczył Charliemu Kingsleyowi jego nowy paszport, ten rzucił:

- To ci checa!
- Co takiego?
- Wennerstrom. To nazwisko mojej babki.
- Ach tak?
- Harry, nie wiesz, że jestem typowym Amerykaninem? Na ośmiu pradziadków i prababek, był jeden Walijszyk, jeden Szwed, francuski Kanadyjszyk i Holender, a do tego Niemka, Irlandka, Włoszka i Szkotka.
- Powinieneś zgłosić się do ONZ jako specjalista do spraw demograficznych – zaśmiał się Harry Shulz. – Na pewno zostałbyś przyjęty!

Nazajutrz po przyjeździe, Harry Shulz skorzystał ze sposobu porozumiewania się, wskazanego przez Sangsowono Batuyamatę, aby uprzedzić go o swoim rychłym przybyciu. Następnie poprosił o połączenie ze Sztokholmem, na numer telefonu, jaki podała mu Kerstin.

- Nareszcie! – westchnęła, kiedy usłyszała jego głos.
- Pamiętasz jeszcze treść telegramu?
- Dobrze wiesz, że ją zanotowałam.
- Więc nie potrzeba ci jej ponownie podawać?
- Nie.
- Ale trzeba coś dodać.
- Co takiego?
- Jesteś gotowa zanotować?

– Tak.

– No to pisz: „Postscriptum. Nazwiska zastępców: pilot Walter Wennerstrom i mechanik Curd Olson. Stop. Przylecą w czwartek, po południu. Prosimy odesłać natychmiast Lundqvista i Wettergrena. Stop. Dziękujemy”. To wszystko. Wyślij ten telegram jeszcze dziś.

Harry wyczuł wahanie w słuchawce.

– Co ci jest? – spytał nieco zaniepokojony na myśl o tym, że mogła stchórzyć, zmienić zdanie i cały jego plan spaliłby na panewce.

Zapadła długa cisza.

– Nic – odpowiedziała wreszcie. – To napięcie, rozumiesz? Oczekiwałam w tych dniach wiadomości od ciebie. Denerwowałam się, nie wychodziłam z domu, wyobrażałam sobie najgorsze, a poza tym nie powiadomiłam mojego towarzystwa lotniczego. Musieli się tam zastanawiać, co się ze mną dzieje, dlaczego nie podjęłam pracy po małym urlopie. To wszystko mnie niepokoiło, a teraz nadeszła pora działania.

– Kiedy dostaniesz sto tysięcy dolarów, nie będziesz musiała już pracować jako stewardesa, chyba że w samolotach twojego męża.

Harry Shulz przygryzł wargę.

– Wytrzymasz?

– Tak, tak... – odpowiedziała pośpiesznie. – Nie przejmuj się tym.

– Dobrze... No cóż...

– Bill! – rzuciła nagle.

– Tak?

– Czy... nigdy więcej się już nie zobaczymy, prawda?

Harry Shulz umieścił słuchawkę telefonu pomiędzy policzkiem a barkiem, żeby zapalić papierosa.

– Nie sędzę – przyznał.

– Ja też nie sędzę, że kiedykolwiek powrócę do Bejrutu...

Po drugiej stronie linii usłyszał stuk i odłożył słuchawkę.

To było samo życie – pomyślał, wychodząc z kabiny telefonicznej. Każde miasto na świecie znaczy dla nas tyle, co dobre lub złe wspomnienia, które się z nim łączą. Bejrut – Kerstin. Rio de Janeiro – Johnny Kremer.

Charlie Kingsley czekał na niego przy kontuarze baru.

– Powiedziałaś, że ten samolot to Boeing 737?

– Tak.

– Więc usiądźmy w kącie baru i podam ci wszystko, co musisz wiedzieć o tym typie samolotu.

## ROZDZIAŁ VI

W samolocie było niewielu ludzi, tak jak poprzednim razem. Stewardesa była szykowną, śliczną blondynką, jak Kerstin, tak samo miała włosy upięte w kok pod jasnoniebieskim toczkiem, ale to nie była ona.

Po wyjściu z samolotu ogarnął ich skwar. Masa nieprzystępnych, odzianych w hełmy i uzbrojonych po zęby żołnierzy i policjantów tłoczyła się tuż obok budynku portu lotniczego, zgrupowana w maleńkim prostokątku cienia, chroniąc się przed palącym słońcem.

– Cholera! Co za dziura! – mruknął stojący za plecami Harry'ego Shulza Charlie Kingsley.

Beton pasa startowego parzył podeszwy ich butów, a powiew cuchnącego powietrza poczuli, kiedy weszli do budynku portu lotniczego. Te same odpadki gniły w tych samych miejscach, jedyną różnicą było to, że było ich więcej.

– Co za bajzel! – westchnął Charlie Kingsley powstrzymując mdłości, jakie narastały w jego żołądku – Czy jesteś pewien, że jesteśmy jeszcze na ziemi?

Jakiś oficer wyszedł im na spotkanie. Miał na sobie nieskazitelnie czysty mundur, a na jego piersi krzyżowały się niepokalanie białe pasy z bawolej skóry. Jego ubiór dziwnie kontrastował z poplamionymi i postrzępionymi uniformami żołnierzy i policjantów, którzy tam byli. Przystanął przed nimi i doskonale naśladując brytyjskich oficerów niegdysiejszej armii kolonialnej niedbale musnął końcem pejcza czubki swoich starannie wyczyszczonych butów spadochroniarza. Równocześnie wsunął kciuk pod skórzany pas, wypinając tors równie chudy, jak u młodego kurczaka, który stawia pierwsze kroki na podwórku.

– Panowie Olson i Wennerstrom? – spytał, okropnie kalecząc obydwa nazwiska.

– Istotnie, to my – odpowiedział Harry Shulz.

– Generał Katchamata ze sztabu dożywotniego prezydenta-marszałka Wawasisadinatata Kradinowoto I – oświadczył pompatycznie. – Proszę za mną.

Wykonał popisowy półobrót i, smagając pejczem powietrze, skierował się do pokoiku, w którym właśnie wędły anemiczne zielone rośliny.

– Siadajcie, panowie – rzucił oschle. – To jest sala dla VIP-ów. Zaczekamy tu na wyładowanie waszych bagaży. Pokażcie mi wasze paszporty.

W milczeniu wręczyli je generałowi Katchamacie, a ten przyjrzał się im uważnie.

– Amerykanie? – zdziwił się. – Zazwyczaj przysyłają nam Szwedów.  
– Sprawa była bardzo pilna – zaczął spokojnym głosem Harry Shulz. – Zmarła żona jednego z waszych pilotów. Gustaffsson Air Co, nie miała w natychmiastowej dyspozycji Szwedów. Wezwała nas. Wie pan – dodał przybierając niewinny ton – że Amerykanie są równie dobrymi pilotami i mechanikami jak Szwedzi. W każdym razie Walter Wennerstrom i ja jesteśmy Amerykanami szwedzkiego pochodzenia. Zresztą widać to po naszych nazwiskach.  
– Ale mimo wszystko jesteście Amerykanami – upierał się generał Katchamata.

– Na to nic nie można poradzić! – odpowiedział arogancko Charlie Kingsley. Generał Katchamata zerknął na niego pośpiesznie, a potem ciężko westchnął.

– W każdym razie musimy się z tym pogodzić. Nie mamy wyboru. Mam jedynie nadzieję, że nie potrwa to długo i że panowie Lundqvist i Wettergren powrócą zaraz po pogrzebie.

Znowu wypiął tors.

– Będę waszym szefem, a wy będziecie mi bezwzględnie posłuszni. Żądam bezwarunkowej dyspozycyjności. Wśród moich ludzi zaprowadziłem żelazną dyscyplinę. Żądam, aby jej przestrzegano. Za najmniejszy wybryk grozi sąd wojenny, więzienie... czasem nawet coś gorszego... Rok temu, jeden z pilotów pozwolił sobie przespać się z jedną z narzeczonych dożywotniego prezydenta-marszałka i ukarano go tak, jak na to zasługiwał, pomimo interwencji jego ambasady. Kat odciął mu jego narządy płciowe na głównym placu miasta przed zgromadzonym tłumem i spalił je. Dzięki olbrzymiej wspiałości, wielkoduszności, szlachetności i imponującej woli przebaczenia dożywotniego prezydenta-marszałka, darowano mu życie. Niestety, umarł jakiś czas potem, na skutek ogólnego zakażenia.

Zastukano do drzwi.

– Wejść! – wrzasnął generał Katchamata.

Wszedł pracownik towarzystwa lotniczego i postawił dwie walizki.

– Wasze bagaże – stwierdził generał. – Teraz możemy stąd odejść. Ach, jeszcze jedno: zatrzymuję wasze paszporty; nie możecie opuścić kraju bez mojej zgody. Proszę za mną, panowie.

Harry Shulz i Charlie Kingsley wzięli swoje walizki i ruszyli za generałem. Wyszli z budynku portu lotniczego, nawet nie wypełniając ogólnie przyjętych formalności celnych. Wiekowy dodge, który musiał pamiętać czasy swojej świetności z drugiej wojny światowej, oczekiwał za wspiałym, połyskującym w słońcu mercedesem. Generał wszedł do mercedesa, a im wskazał dodge'a.

– Wsiadajcie.



Wykonali polecenie, wrzucając walizki na tył samochodu, i ścisnęli się na przednim siedzeniu, tuż obok kierowcy, żołnierza wojsk lotniczych o nalanej twarzy, tak tłustego, że kierownica wbijała mu się w brzuch, drążąc głęboką bruzdę, nad którą zwisały sflaczałe piersi wylewające się z rozchełstanego wojskowego munduru. Nie tracąc czasu, kierowca ruszył z miejsca, aby dogonić mercedesa, który zniknął już w tumanie kurzu.

– Cholernie szykowne powitanie, Harry – szepnął do ucha Shulza Charlie Kingsley.

– Nie nazywaj mnie Harrym – mruknął Harry Shulz. – Pamiętaj, ja jestem Curd, a ty Walter. Żadnych błędów tego rodzaju, jeśli nie chcesz mieć obciętych jaj i spalonych na głównym placu, tak jak opowiadał generał Katchamata.

Charlie Kingsley odchrząknął.

– Masz rację. Trzeba cholernie mieć się na baczności, bo mogą ładnie się z nami zabawić!

Harry Shulz miał wrażenie, jakby jeszcze raz przeżywał swoją pierwszą podróż do tego kraju. Droga podziurawiona niczym ser szwajcarski, głębokie rozpadliny i wyboje. Trzęsący się dodge, zgrzyt zgniatanych blach i stukot zniszczonego podwozia. A na poboczu drogi wygłodzeni wieśniacy, mężczyźni i kobiety, dzieci z wzdętymi brzuskami, niosący do miasta swoje liche zbiory, aby sprzedać je na targowisku. Przed nimi szły osiołki, sama skóra i kości.

– Cholera! – jęknął Charlie Kingsley, kiedy dodge przejechał przez główny plac, na którym gniły trupy wiszące na szubienicach.

Mdłości w jego żołądku zaczęły narastać. Pośpiesznie uniósł rękę do ust i wyciągnął chusteczkę.

Wytrzeszczając oczy, Harry Shulz usiłował dostrzec nagiego, powieszonoego za nogi trupa białego człowieka. Na próżno. Zapewne ciało Johnny'ego Kremera zdjęto już z szubienicy, aby złożyć je w grobie, który być może uważano za przyzwoity, ale który musiał być jedynie płytkim, wydrążonym w piasku dołem, narażonym na odwiedziny szakali.

Harry Shulz odwrócił się w stronę Charliego Kingsleya. Napotkał oczy wychodzące z orbit i trupioblądą twarz.

– Podaj mi butelkę whisky, Curd – poprosił.

Harry Shulz z uśmiechem wykonał polecenie, pociągając przy okazji potężny łyk alkoholu.

– Przysięgam ci, że nigdy czegoś takiego nie widziałem – powiedział Charlie Kingsley stłumionym głosem. – Chociaż na Karaibach oglądałem szaleńcze sztuczki przechodzące ludzką wyobraźnię.

Kilka chwil później, okrążywszy okazały pałac prezydencki, dodge zatrzymał się przed szeregiem białych budynków. Widząc, że generał Katchamata wysiada z mercedesa, Harry Shulz i Charlie Kingsley również opuścili swój pojazd. Siejący

zniszczenie i zgubę pejcz smagał niecierpliwie skórę jego oficerek, gdy Katchamatą podchodził do nich.

– Przyjechaliśmy do waszych kwater – oświadczył oschle. – Weźcie wasze walizki i idźcie za mną.

Zastosowali się do polecenia.

Przed drzwi jednego z budynków wyszło trzech mężczyzn. Wszyscy byli bardzo wysokimi blondynami, o wyraźnie skandynawskim typie urody. Odziani byli w nieskazitelnie odprasowane żołnierskie drelichy. Kroczyli na spotkanie z przybyszami, by stanąć potem w pełnej respektu postawie na baczność przed generałem Katchamatą, który widząc ten hołd, złożony jego randze, jeszcze mocniej wypiął swój tors kurczaka.

Jeden z trzech ludzi z zaciekawieniem spoglądał na Harry'ego Shulza i Charliego Kingsleya, podczas gdy dwaj pozostali zwiesili głowy, zerkając na nich ponuro. Harry Shulz rozpoznał ich. Byli to dwaj Szwedzi, których dostrzegł na lotnisku, kiedy wsiadał do samolotu z Kerstin na pokładzie.

Generał Katchamatą rzucił od niechcienia, wskazując palcem za siebie:

– Oto panowie Curd Olson i Walter Wennerstrom.

Następnie, obracając się na pięcie, zwrócił się do Harry'ego Shulza i Charliego Kingsleya:

– Przedstawiam panom tego, kto dowodzi załogami podczas mojej nieobecności. Olaf Hjalmarsson. Dwaj pozostali to ci, których zastąpicie i którzy opuszczą nas jeszcze dziś wieczorem. Panowie: Sven Lundqvist i Gunnar Wettergren.

Olaf Hjalmarsson wystąpił do przodu i uściśnął dłoń nowo przybyłym, witając ich po szwedzku.

– Oni są Amerykanami – wyjaśnił pośpiesznie generał.

– Amerykanami?

Na twarzy Olafa Hjalmarssona dało się odczytać zdziwienie. Zmarszczył brwi i znacznie uważniej przyjrzał się obu mężczyznom.

– Po raz pierwszy przysyłają nam Amerykanów – mruknął.

– Też się temu dziwię – przyznał generał, wyraźnie podniecony. – Oni tam, w Gustaffsson Air Co., oszaleli! Zaprotestuję już jutro! Albo nie! Natychmiast napiszę list i wręcę go panu, panie Lundqvist, skoro odlatuje pan dziś wieczór. Jak tylko dotrze pan do Sztokholmu, proszę przekazać go pańskiemu szefowi. Żądam – proszę to mu dać dobrze do zrozumienia – żądam szczegółowych wyjaśnień, dlaczego przysyłają tu Amerykanów. Zresztą, gdyby pani Lundqvist nie zmarła, a pańska obecność w Sztokholmie nie była tak nagle wymagana, odesłałbym ich jeszcze tym samym samolotem. W każdym razie, wy obaj postarajcie się szybko do nas wrócić ze Sztokholmu!

Roześmiał się obleśnie.

– Zdaje się, że Szwedki są łatwe. Szybko znajdzie sobie pan więc odpowiednią kandydatkę na nową żonę!

Skinąwszy pogardliwie palcem, wskazał Harry'ego Shulza i Charliego Kingsleya.

– Niech pan się nimi zajmie, panie Hjalmarsson. Proszę pokazać im kwatery i podać hasła. Jutro rano rozpoczynają służbę.

Odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył do mercedesa.

– Chodźcie – powiedział Olaf Hjalmarsson, wzruszając ramionami i mrugając do nich porozumiewawczo.

Weszli z nim do budynku, zaś Sven Lundqvist i Gunnar Wettergren oddalali się w kierunku drugiego bliźniaczego budynku.

– Tutaj jest messa oficerska – wskazał palcem na oszklone drzwi. – Wasze pokoje znajdują się na końcu korytarza.

– Czy są klimatyzowane? – spytał Charlie Kingsley.

– Tak. Dzięki agregatom prądowórczym zaopatrującym w energię pałac prezydencki. W mieście, przez trzy na cztery dni w tygodniu, występują przerwy w dostawie prądu, dzielnica za dzielnicą, zależnie od dnia tygodnia. Jak zostaliście zwerbowani? – spytał nagle, od niechcienia. Jednocześnie pchnął drzwi obu pokoi. – Do wyboru. Jeden z was tu zostaje.

– Nie mieli już pod ręką żadnych szwedzkich pilotów ani szwedzkich mechaników – odpowiedział Harry Shulz, stawiając walizkę na łóżku stojącym pośrodku pokoju.

– To dziwne – odparł Olaf Hjalmarsson. – W tym zawodzie panuje bezrobocie! Przynajmniej w Szwecji.

– Nie nas trzeba o to pytać – odparł natychmiast Harry Shulz. – Ledwie przylecieliśmy z Nowego Jorku, a już posłano nas tutaj. Nie mieliśmy czasu odwiedzić biur pośrednictwa pracy, aby zobaczyć, w jaki sposób radzili sobie adepci tego zawodu.

– Który z was dwóch jest pilotem? – spytał Olaf Hjalmarsson, wydając się nie zauważać bezczelnego tonu Harry'ego.

– Ja – odpowiedział Charlie Kingsley.

– Na jakich samolotach wojskowych pan latał?

Charlie Kingsley rozpoczął długą wyliczankę, a Harry Shulz w tym czasie rozpakowywał swoją walizkę.

– Nieźle – przyznał Olaf Hjalmarsson. – Pana pokój jest tuż obok. Proszę tam położyć walizkę. Później pójdziemy na drinka do messy, a ja na spokojnie wyjaśnię wam wszystko to, co musicie wiedzieć. Hasła, sposób w jaki s pracujemy, godziny służby, godziny odpoczynku, słowem – wszystko!

\* \* \*

Charlie Kingsley dmuchnął w sufit kłęb dymu z papierosa.

– Tutejsza atmosfera nie sprzyja raczej wylewnemu okazywaniu uczuć – zauważył cierpko.

– Spodziewałeś się czegoś innego?

– Po tym, co mi powiedziałeś, nie – przyznał Charlie.

– Najważniejsze, to szybko działać – wyszeptał zamyślony Harry Shulz.

– Masz rację – odparł entuzjastycznie Charlie Kingsley. – Tak samo jak ty, nie mam ochoty siedzieć tu całą wieczność. Wiesz, nieźle sobie radzisz w roli mechanika!

– Między osiemnastym a dziewiętnastym rokiem życia spędziłem rok w amerykańskim lotnictwie wojskowym. Nauczyłem się tam podstaw mechaniki. Gdyby nie to, chyba nie sądził, że wmieszałbym się w podobną aferę! To byłoby zbyt ryzykowne! Z tymi stukniętymi facetami, tutaj!

– Otóż to.

Charlie Kingsley nieoczekiwanie zmarszczył brwi.

– Czy przez dwa dni, jakie tutaj spędziliśmy, udało ci się już znaleźć sposób, w jaki będziemy działać?

Harry Shulz potrząsnął głową.

– Nie.

Charlie Kingsley udał zdziwionego.

– Ile czasu ci to zajmie?

– Polegam na moim nosie.

– Wiem, że jesteś prawdziwym specem, ale...

– Ale co?

– Czy nie daje ci do myślenia ten list, który generał Pajac wysłał do Sztokholmu?

Harry Shulz wybuchnął śmiechem.

– Bez obaw, to ostatnia rzecz, która mogłaby mnie niepokoić!

Sven Lundqvist i Gunnar Wettergren wysiedli z taksówki pod numerem 24 na Sankt Eriksgatan. Podczas gdy pierwszy zatroszczył się o ich walizki, drugi płacił kierowcy. Potem obydwaj ruszyli do wejścia do budynku i rzucili się biegiem do windy. Wysiedli z niej na czwartym piętrze i ruszyli do drzwi. Sven Lundqvist nacisnął niecierpliwie dzwonek.

– To dziwne – wymamrotał Gunnar Wettergren – na drzwiach wejściowych nie widzieliśmy żadnego nekrologu... Choć zazwyczaj...

– .Spodziewam się, że zaczekali na nas z pogrzebem – powiedział jego szwagier. – Dobry boże! Nikogo nie ma w domu!

Znowu nacisnął guzik dzwonka.

– Powinna była być tutaj moja matka! – zdziwił się Gunnar Wettergren. – Nawet nie wiemy, gdzie jest ciało! Może w szpitalu?

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich Kerstin. Obydwaj mężczyźni szeroko rozdziawili usta.

– Kerstin! – wykrzyknął Sven Lundqvist chrapliwym głosem.

Kerstin Lundqvist, niezwykle rozradowana, otworzyła szeroko drzwi i poprosiła ich do środka.

– To ja – powiedziała swobodnie – to nie widmo. Rzeczywiście żyję. Wejdźcie, wszystko wam wyjaśnię. No, Gunnar, wejdźcie! – zniecierpliwiła się. – Nie miej takiej przerażonej miny!

Weszli za nią do mieszkania.

– Ale... ale co... co się dzieje? – wyjąkał jej mąż, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

Kerstin impulsywnie rzuciła się w jego ramiona.

– Pocałuj mnie... – błagała wstrzymując oddech. – To dla ciebie, dla nas obojga... zgodziłam się na tę cenę...

– Jaką cenę?

W jej oczach mignął cień podejrzenia.

– Sto tysięcy dolarów.

Sven Lundqvist odwrócił się do swego szwagra i obaj wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Ależ ja nie jestem szalona! – zaprotestowała i z zapalem zaczęła wszystko opowiadać.

Obaj mężczyźni, wyraźnie oszołomieni, bez słowa mierzyli ją wzrokiem.

– I gdzie jest te sto tysięcy dolarów? – spytał sceptycznie jej brat, kiedy skończyła mówić.

– Przyniosą mi je.

Jej mąż czule wziął ją w ramiona.

– Posłuchaj, Kerstin, nie wiem, co się z tobą stało, ale to wydaje mi się poważne. Razem pójdziemy z wizytą do lekarza... Niewątpliwie potrzebujesz odpoczynku. Obsługiwanie tej afrykańskiej linii musiało nadszarpnąć twoje nerwy... Ale zobaczysz, że wszystko się ułoży...

Tym razem to Kerstin go odepchnęła.

– Ależ Sven, mylisz się! – krzyknęła porywczo. – Przysięgam ci, że to wszystko prawda!

Wtrącił się Gunnar Wettergren.

– Sven ma rację, Kerstin. Powinnaś pójść do lekarza. Z pewnością musisz być zmęczona. Znam dobrego lekarza, doktora Carlssona, który wyciągnął mnie z depresji dwa lata temu. Pamiętasz? Przychodziłaś do mnie, do kliniki.

Kerstin cofnęła się dwa kroki i zacisnęła pięści.

– Siadajcie obydwaj! – rzuciła rozwścieczona. – I połóżcie wasze walizki, bo wyglądacie jak dwa kłowny, które wyszły na arenę i nagle zapomniały, co mają mówić!

Usłuchali, choć obaj dalej mieli niewyraźne miny.

– Jeśli dobrze rozumiem, rzuciłaś pracę? – zauważył jej mąż z wyrazem potępienia na twarzy.

– A my o mało nie straciliśmy swojej! – dodał Gunnar Wettergren. – Mieliśmy szczęście, że przysłano dwóch Amerykanów, mimo wszystko mamy nadzieję, że wraz ze Svenem odzyskamy tę pracę.

– Amerykanie? – spytała z zainteresowaniem.

– Tak.

– Jak wyglądali?

Gunnar Wettergren zagryzł z pogardą usta.

– Jeden miał... – zaczął.

Dzwonek zabrzmiał tak głośno, że wszyscy troje zerwali się na równe nogi. Kerstin promieniała.

– A nie mówiłam?

Kerstin pobiegła do drzwi. Gorączkowo zdjęła łańcuch i otworzyła je.

– Czy można wejść? – odezwał się czyjś gardłowy głos.

Kerstin odsunęła się na bok. Do przedpokoju weszli: Joey Graal i Dave Chensky. Dave Chensky zatrzasnął za sobą drzwi i oparł się o nie, zakładając z powrotem łańcuch, podczas gdy Joey Graal schwycił ramię Kerstin i zmusił ją do cofnięcia się o parę kroków.

– Co to znaczy? – zaprotestowała.

Joey Graal nie zwracał uwagi na jej protesty. Zdecydowanie, ale bez brutalności pociągnął ją do salonu, w którym siedzieli Sven Lundqvist i Gunnar Wettergren. Ci natychmiast zerwali się na równe nogi.

– Chłopaki, spokojnie! – ostrzegł Joey Graal.

W jego prawej ręce, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ukazał się pistolet z groźnie wycelowaną lufą.

– Spokojnie, chłopaki – powtórzył. – Nic wam się nie stanie, jeśli zachowacie się spokojnie. Siadajcie wszyscy troje, mam z wami do pogadania.

Zupełnie błada Kerstin dołączyła do swego męża i brata i wszyscy usiedli na kanapie.

– Brawo – pochwalił Joey Graal. – Bądźcie grzeczni.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął dużą, grubą kopertę i posłał ją na kolana Kerstin.

– Obiecane pieniądze – oświadczył tonem pełnym niedopowiedzeń.

Nieco zbity z tropu Kerstin ścisnęła kopertę w palcach.

– Ale jak to?... – spytała niepewnie. – Co to ma znaczyć?... Na co ten pistolet?

Dave Chensky stał przy framudze drzwi, jego obie dłonie zanurzone były w kieszeni sportowej marynarki. Zerknął z satysfakcją na trzy osoby siedzące na kanapie, potem odwrócił się do okna.

– Ten, kto dobił z wami targu – wyjaśnił spokojnie Joey Graal – zawsze dotrzymuje obietnic. Płaci uzgodnioną sumę. Ale nie chce się specjalnie narażać, rozumiecie?

– Narażać? – zdziwiła się Kerstin.

Joey Graal uśmiechnął się chytrze.

– Przypuśćmy, że teraz, kiedy jest pani w posiadaniu pieniędzy, kiedy pani mąż i brat są przy pani bezpieczni w Sztokholmie, przyszedłoby pani do głowy odwiedzić biuro firmy Gustaffsson Air Co. Co by się stało? Gustaffsson Air Co, pośpiesznie zaalarmowałyby prezydenta i życie naszych dwóch przyjaciół znalazłoby się w poważnym niebezpieczeństwie. Nie chcemy tego... Tak więc...

Kerstin nagle bardzo się przestraszyła. Otworzyła usta, śmiertelnie poblądła, a wokół nosa wyźłobiły się zmarszczki.

– Chyba nie zamierzacie... – zaczęła.

Joey Graal uśmiechnął się niczym dobrotliwy wujaszek.

– Proszę się nie obawiać. Nie mamy zamiaru was zabić.

– Więc co zamierzacie zrobić? – wydyszała.

– Pilnować was.

– Posłuchajcie, co ma znaczyć ta komedia? – wybuchnął nieoczekiwanie Sven Lundqvist.

Joey Graal uniósł ze zdziwienia brwi ku górze i zwracając się do Kerstin spytał:

– Czy pani im nie wyjaśniła?

Odwróciła się do swego męża i brata, mówiąc:

– Widzicie więc, że nie jestem szalona! Oto pieniądze, o których wam mówiłam!

Kerstin triumfalnie wymachiwała kopertą. Oderwała jeden jej róg i na wierzchu grubego pliku zielonych banknotów ukazała się liczba tysięcy.

– Dobry Boże! – wykrzyknął zdziwiony Gunnar Wettergren.

– W każdym razie, wpakowałaś nas w niezłą kabałę! – mruknął Sven Lundqvist.

– Będziemy was pilnować – podjął z kamienną twarzą Joey Graal. – Będziemy wam przeszkadzać w wychodzeniu i kontaktowaniu się z kimkolwiek. Będziemy was rozpieszczać, karmić butelką i ścielić łóżeczko, dokąd nie otrzymamy rozkazu, żeby zostawić was w spokoju. Wtedy zaraz się wyniesiemy.

Jeśli będziecie się zachowywać spokojnie, nie będzie kłopotów. W przeciwnym razie...

Joey Graal potrząsnął pistoletem.

– Nic za darmo... Pomyślcie o całej tej forsie, którą straciecie, jeśli przyjdzie wam do głowy udawać spryciarzy... Zaopatrzeniem w zarcie i napoje zajmiemy się my. A pani... – zwrócił się do Kerstin. – Pani będzie nam gotować... Mam nadzieję, że smacznie...

Kątem oka zerknął na stojącego bez ruchu Dave'a Chensky'ego:

– A ty, co się tak gapisz?

– Na czyściciela okien, na fasadzie budynku naprzeciwko. Fascynują mnie ci facci... Trzeba być cholernie odważnym, żeby odwalać taką robotę...

Dave Chensky otrząsnął się gwałtownie.

– Przeszukałeś ich?

Joey Graal wzruszył ramionami.

– Wyobrażasz sobie, że włóczą się z gnatem?

– Nigdy nie wiadomo. Kiedy wykonuję robotę, wykonuję ją do końca. Nie narażam się bez potrzeby. Ty będziesz mnie osłaniał, a ja się tym zajmę.

Joey Graal podszedł do kanapy.

– Wstawać! – rozkazał.

Jego wprawne palce opróżniły kieszenie ubrania Gunnara Wettergrena. Przetrzęsł dokładnie wszystkie rzeczy i rozrzucił na małym, niskim stoliku, stojącym przed kanapą. Potem przyjrzał się uważnie paszportowi i zawartości portfela. Odłożył go w końcu na stół i spostrzegł torebkę Kerstin Lundqvist. Pośpiesznym gestem Joey Graal wyrzucił zawartość torebki na stół i krytycznym okiem dokładnie obejrzał różnorodne przedmioty, które z niej wypadły. Końcem buta zatrzymał pomadkę do ust, która potoczyła się na dywan, i posłał ją z powrotem do stóp Kerstin.

– Dobra. W porządku – mruknął pod nosem Dave Chensky. – Teraz pańska kolej.

Celował palcem w pierś Svena Lundqvista. Szybko opróżnił mu kieszenie.

– A co to takiego? – spytał nieoczekiwanie. Niezdecydowany, obracał kopertę w rękach.

– Proszę mi to dać! – wrzasnął rozwścieczony Sven Lundqvist.

– Zaadresowane do Gustaffsson Air Co... – przeczytał Dave Chensky, zupełnie nieporuszony.

– Otwórz ją – nakazał Joey Graal.

Sven Lundqvist chciał wyrwać mu kopertę z rąk, ale Dave Chensky pchnął go brutalnie na kanapę i cofnął się, otwierając kopertę. Wyjął z niej kartkę papieru i przeczytał ją.



Nieoczekiwanie wybuchnął szaleńczym, niepohamowanym śmiechem.

– Och, ale to śmieszne! – jęknął ze łzami w oczach.

– Co to jest? – zniecierpliwiał się Joey Graal.

– Jakiś generał skarży się, że przysłano mu dwóch Amerykanów, zamiast Szwedów. Prosi, aby jak najszybciej odesłano mu z powrotem Svena Lundqvista i Gunnara Wettergrena!

Joey Graal udał głęboko zasmuconego.

– Biedny generał! Noce będą mu się teraz dłużyły bez jego dwóch blondynów! Powiedzcie no, chłopaki, jeśli nie interesują was dziewczyny, to może odstąpicie nam swoją, aby nam się w nocy nie nudziło?!

– Uważaj! – uprzedził Dave Chensky, widząc Svena Lundqvista i jego szwagra gotowych do skoku.

## ROZDZIAŁ VII

Wieczorny wietrzyk był ciepły i Harry Shulz miał wrażenie, że przedziera się przez pokłady wilgotnej waty. Zatęsknił przez chwilę do miłej, klimatyzowanej atmosfery swojego pokoju. Nawet papieros, którego palił, nie sprawiał mu żadnej przyjemności.

Szedł po wybetonowanym pasie lotniska, w pełnym świetle reflektorów oświetlających zarówno pas lotniska jak i fasadę prezydenckiego pałacu. Uznał za normalne to, żeby pokazywać się zawsze wartownikom, ponieważ zbyt łatwo pociągali oni za spust i nie ulegało wątpliwości, że strzeliliby do niego w wypadku podejrzanych zachowań. Nade wszystko liczyło się dla nich bezpieczeństwo dożywotniego prezydenta-marszałka.

Rzucił niedopałek papierosa na ziemię.

Prztyczkiem posłał go na beton i przez kilka sekund spoglądał na czerwony ognek, który tlił się słabo na kamiennych płytach lotniska. Zdeptał go swoim spadochroniarskim butem stanowiącym część wyposażenia, jakie mu sprawiono, i cichutko pogwizdując, ruszył dalej.

Aż do tej pory – ucieszył się – wszystko dobrze poszło.

Miał wyjątkowe szczęście, że trafił na Kerstin i że ona zaakceptowała propozycję, którą jej złożył. Reszta była dziecinnie prosta. Za pośrednictwem TRAKS wynajął Dave'a Chensky'ego i Joey'a Graala i wysłał ich do Sztokholmu. Pobrał z własnych rezerw finansowych sumę stu tysięcy dolarów, kazał je przelać na konto First National City Bank w Sztokholmie, zażądał, aby pieniądze – w tysiąc dolarowych banknotach – zostały włożone do zalakowanej koperty tak,

żeby koperta nie była zbyt gruba i żeby przekazano ją Joey'owi Graalowi za okazaniem paszportu na nazwisko Franka Jacksona. Potem, gdy Joey Graal oczekiwał na Lotnisku Kennedy'ego na odlot samolotu, wydał mu ostatnie instrukcje: wręczyć kopertę Kerstin, ale również – uwięzić ją, jej męża i brata, aż do chwili, gdy on wykona kontrakt. W ostateczności może mógłby zaufać Kerstin, ale czy także jej mężowi i bratu? Ostrożności nigdy nie za wiele. Zresztą, czy nawet jej można było absolutnie ufać? Czy w ciągu tygodnia w Bejrucie tak dobrze ją poznał?

Więc z tej strony miał zabezpieczone tyły.

Co do Charliego Kingsleya, z nim także nie było już problemu. Zwabiło go trzydzieści tysięcy dolarów. Kto oparłby się urokowi trzydziestu tysięcy dolarów? W rzeczywistości nie potrzebował Charliego Kingsleya do wykonania kontraktu, ponieważ Charlie nie był specem od zabijania; potrzebował go jedynie jako doświadczonego pilota. Nie mógł sobie pozwolić na zabranie ze sobą kogokolwiek z Organizacji TRAK – nie mającego pojęcia o pilotażu, licząc na to, że tamci nie połapią się w sytuacji. Olaf Hjalmarsson nie był człowiekiem, którego można by oszukać. Natychmiast zdemaskowałby amatora.

Sto tysięcy plus trzydzieści tysięcy dawało już sto trzydzieści tysięcy dolarów, o które uszczuplił milion dolarów Johnny'ego Kremera, nie licząc biletów lotniczych, drobnych wydatków, wynagrodzeń dla Joey'a Graala i Dave'a Chensky'ego, nie mówiąc o honorariach, jakie ściągająca Organizacja, kiedy zwracano się do niej z prośbą o interwencję.

I nawet nie dotknął jeszcze tego miliona dolarów Johnny'ego!

To mogło poczekać na odpowiedni moment.

Harry Shulz sądził, że najpierw położy łapę na forsie Johnny'ego, zanim podejmie odpowiednie kroki. Ale fakt, że mąż i brat Kerstin przebywali w tym kraju, przyspieszył bieg spraw. Czy mógł pozwolić sobie na ryzyko powrotu Svena Lundqvista i Gunnara Wettergrena do Sztokholmu, nim zdecydowałby się działać? Nie ma mowy!

Należało kuć żelazo póki gorące!

A tu, na miejscu, sprawy toczyły się po jego myśli. Nie zobaczył się ponownie z generałem Katchamatą, zaprzysięgłym wrogiem Amerykanów. Wraz z Charliem mieli jedynie do czynienia z Olafem Hjalmarssonem. Facet był raczej łatwy w pożyciu, a po kilku dniach obserwacji zaakceptował ich takimi, jakimi byli. Tak samo inni lotnicy. Wszyscy, z wyjątkiem australijskiego mechanika, byli Szwedami. Wyżywienie było do przyjęcia, a praca niezbyt męcząca. Codziennie na chodzie musiały być dwa samoloty. Harry Shulz wykonywał właściwie rutynową pracę, która absolutnie nie zobowiązywała go do rozwijania jego talentów mechanika, zresztą talentów poważnie osłabionych od czasu, kiedy odbywał służbę wojskową w Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych. W ten sposób nikt nie

mógł się połapać w jego nikłych umiejętnościach zawodowych i odkryć podstęp.

Tyle tylko, że choć to wszystko było zbyt piękne, to jednak nie należało zasiedzieć się w tej dziurze. Sven Lundqvist, Gunnar Wettergren i Kerstin nie stanowili niebezpieczeństwa. Dave Chensky i Joey Graal trzymali ich pod kluczem. Ale Harry i Charlie przebywali w niebezpiecznym kraju, wśród ludzi, których reakcji nie sposób było przewidzieć. Kto mógł wiedzieć, co będzie się działo w następnej minucie w głowie dożywotniego prezydenta-marszałka? Albo jaki pomysł zaświta generałowi Katchamacie, generałowi Pajacowi, jak nazywał go Charlie?

Tego nie sposób przewidzieć.

Należało więc jak najszybciej zacząć działać.

Wykonać kontrakt.

Harry Shulz dotarł do krańca drogi i po kilku krokach stanął przed posterunkiem straży. Wartownik natychmiast wymierzył w niego broń, wykrzykując w tutejszym języku kilka słów, których Harry nie rozumiał. Wyciągnął z kieszeni przepustkę z własną fotografią, którą wręczył mu Olaf Hjalmarsson, i pokazał ją strażnikowi. Ten zabrał dokument, zerknął pobieżnie i wsunął go do budki wartownika. Jakaś ręka schwyciła przepustkę, potem odezwał się czyjś głos. Harry Shulz zbliżył się do budki wartownika w chwili, gdy wychodził z niej podoficer i oddał mu przepustkę.

– Zigaritti? – spytał.

Harry Shulz wyciągnął połowę papierosów z paczki, podał wartownikowi i przekroczył barierę, którą podoficer podnosił właśnie ku górze. Pośpiesznie oddalił się, idąc kamienistą drogą. Przeszedł jeszcze kilkaset metrów. W tej strefie nie było już reflektorów i panowała w niej zupełna ciemność. W końcu, aby zrealizować swój plan, zdecydował się jak najszybciej skontaktować z Sangsowono Batuyamatą. Posłużył się w tym celu po prostu telefonem. Harry Shulz wiedział, że podejmował niewielkie ryzyko, bo wątpliwym było, że w tym zacofanym kraju, w którym istniało okrutne ubóstwo techników, sieć telefoniczna została wyposażona w system podsłuchowy.

I to pod warunkiem, że telefony w ogóle działają!

Działy.

Harry Shulz bardzo się zdziwił.

Adwokat od razu zrozumiał, o co chodziło. Streszczał swoje wypowiedzi, co Harry docenił, i wyznaczył mu miejsce spotkania. Gdy dowiedział się, gdzie Harry mieszka, wytłumaczył, jak ma tam trafić. Shulz dotarł do lasku skartowaciałych drzew i wszedł pomiędzy okorowane pnie. Pogwizdywał wciąż tę samą melodię. „Błękitną Rapsodię” Gershwinia, motyw, który często sobie przypominał, kiedy spacerował nocą. Dlaczego? Nie potrafiłby na to odpowiedzieć. Minął lasek i

kiedy dotarł na jego skraj, skrzył w prawo. Stał tam cadillac Sangsowono Batuyamaty.

– Dobry wieczór, panie Shulz – wyszeptał adwokat.

Harry Shulz zmarszczył brwi. Ogarniały go wątpliwości. Czy nie popełniał błędu, zdając się na łaskę i niełaskę adwokata? Batuyamata znał go jako Shulza, podczas gdy oficjalnie nazywał się Curd Olson, a ponadto, czyż Sangsowono Batuyamata mógł nie dostrzec w panujących wokół ciemnościach zmian, jakie zaszły w rysach jego twarzy, ani bardzo krótko ostrzyżonych włosach, w stylu komandosa, jak sobie pokpiwał Charlie. A jeżeli adwokat, chcąc wkraść się w łaski miejscowej władzy, porzuci myśl o ucieczce za granicę i opowie miejscowym gliniarzom, że jeden z członków ekipy najemnych pilotów i mechaników był w rzeczywistości starym kumplem Johnny'ego Kremera, innego najemnika, który próbował zamordować dożywotniego prezydenta-marszałka.

Lodowaty dreszcz przebiegł go od łądźwi aż do łopatek.

Zobaczył w myślach główny plac stolicy kraju usłany szubienicami, a na najwyższej z nich kołysało się trupioblade, nagie, przeszyte kulami ciało.

– Dobry wieczór, panie Shulz – powtórzył adwokat przytłumionym głosem.– To ja...

– Dobry wieczór – odpowiedział natychmiast Harry Shulz.

Ile to już razy znajdował się w ostatnich latach w podobnej sytuacji? Zmuszony zaufać komuś, nad kim nie miał całkowitej kontroli? I ile razy wyszedł z tego bez szwanku? Za każdym razem.

Harry uspokoił się i odzyskał pewność siebie.

– Udało się panu zaangażować jako pilot?

W głosie adwokata pobrzmiwało niedowierzanie.

– Tak – rzucił Harry Shulz.

– Ale chyba nie po to, aby mi pomóc uciec z kraju?

Tym razem zdanie zakończyło pełne powątpiewania chrząknięcie. Nie należało blefować – pomyślał Harry Shulz. Adwokat był inteligentnym człowiekiem. Taki blef byłby naprawdę zbyt wielki.

– Nie – przyznał.

– Więc w jakim celu?

– Aby pomóc opuścić ten kraj komuś innemu. A przy okazji, także panu i pańskiej rodzinie.

– Komuś innemu?

– Tak. A wraz z nim dużej sumie pieniędzy. Za tę robotę bardzo dobrze mi płacą.

Argument był właściwy – ocenił Harry Shulz. Powinien usatysfakcjonować Sangsowono Batuyamatę. Czyż pieniądze nie były trucizną, która decydowała o

zachowaniu ludzi? A gdyby tak zlikwidować pieniądze i seks, dobry Boże, czym dałoby się je zastąpić, aby ludzie odnaleźli jeszcze sens życia?

– Czy wolno mi spytać – zasugerował nieśmiało adwokat – kim jest ta osoba?

Harry Shulz położył palec na ustach.

– Nie mogę panu tego powiedzieć.

– Nawet jednej... jednej aluzji do...

– Nie.

Jego ton brzmiał kategorycznie. Staął tuż obok adwokata.

– Czy pański kierowca jest tutaj razem z panem? – spytał cicho,

– Nie. Sam prowadziłem samochód.

– To dobrze.

Harry Shulz pośpiesznie się zastanawiał. Miał do Sangsowono Batuyamaty mnóstwo pytań. Nie tylko dotyczących obecnego kontraktu, ale także dwóch innych, które powinien wykonać później.

– Proszę mi powiedzieć... – zaczął.

– Tak?

– Czy słyszał pan już kiedyś o jakimś Rolfie Robertsonie?

W ciemnościach wydało mu się, że dostrzegł, jak trybiki w mózgu adwokata ruszają z miejsca. Dobrze naoliwione koła zębate, zatrzymujące się na poziomie pamięci, tak jak pomarańcze albo cytryny stają nagle bez ruchu na tarczy kawiarnianego automatu do gry.

– Nie... – wyznał po dłuższej chwili namysłu adwokat.

– Czy Johnny Kremer nigdy w pana obecności nie wymienił tego nazwiska?

– Nigdy.

– Nigdy nie próbował wiązać go z aferą, z powodu której został skazany na śmierć? – nalegał Harry.

– Nie wiązał z tą sprawą nikogo.

To było właśnie w stylu Johnny'ego – pomyślał Harry.

– A czy pan sam – mówił dalej – nigdy nie słyszał tego nazwiska? Jest pan tego pewien?

– Absolutnie pewien!

Ton głosu adwokata zdawał się być zdecydowany.

– No dobrze... – mówił dalej Harry Shulz. – Powiedział mi pan podczas mojej pierwszej podróży do tego kraju, że był pan poprzednio adwokatem spółek zagranicznych. Spółek, które obecnie zostały znacjonalizowane z powodu niesławnej ekspedycji Johnny'ego Kremera...

– Dokładnie tak.

– Więc kto według pana w tym kraju, albo za granicą, był zainteresowany tym, żeby te zagraniczne spółki zostały znacjonalizowane?

Trybiki mózgu adwokata znowu zaczęły się kręcić.

– Nie wiem... – przyznał Sangsowono Batuyamata po chwili, która Harry'emu Shulzowi wydała się nadzwyczaj długa. – Sądzi pan, że ktoś miał w tym interes?... Może po prostu dożywotni prezydent-marszałek...

– A poza nim?

– O ile wiem, nikt.

– I jako adwokat tych spółek o niczym pan nie słyszał? Żadnych pogłosek? Plotek? Wzajemnych niechęci, które by się uzewnętrzniały? Perfidnych aluzji? Jednego słowa, które rzuca się od niechcenia, mając nadzieję, że dotrze ono do ucha odpowiedniej osoby?

– Nie... nic... Gniew dyrektorów tych spółek był przede wszystkim skierowany przeciwko dożywotniemu prezydentowi-marszałkowi.

Harry Shulz, nieco rozczarowany, znalazł w kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Papierosa?

– Nie, dziękuję.

Harry osłonił swoimi dłońmi płomień zapalniczki i z rozkoszą zaciągnął się dymem.

– No dobrze – podjął po chwili – pomyślmy logicznie. Kradinowoto upaństwowił te zagraniczne spółki, ale mimo wszystko nie jest tak głupi, żeby nie wiedzieć, że jego kraj jest pozbawiony kadr i techników zdolnych j, oprowadzić te spółki. Jest on chciwy, a ponieważ spółki dawały mu duże dochody, bo płaciły podatki od swoich zysków, więc z pewnością nie zrezygnuje z takiego źródła wpływów!

– To wydaje mi się prawdopodobne. Ale co pan próbuje udowodnić? Jaki ma to wszystko związek, z powodem pańskiego powrotu do tego kraju? Z wydostaniem kogoś z tego kraju?

Uwaga! Ostrożnie! – pomyślał Harry Shulz. – Z adwokatem należy zważać na każde słowo!

– Istotnie, to nie ma nic do rzeczy – przyznał ostrożnie. – Ale mam wrażenie, że w całej tej sprawie Johnny wpadł w pułapkę. I chciałbym wiedzieć, kto tę pułapkę zastawił.

– To on poprosił pana, aby umożliwić tej osobie ucieczkę z kraju?

– Tak, to on.

– Teraz rozumiem, dlaczego tak bardzo nalegał, aby się z panem zobaczyć.

Harry Shulz zerknął na rozżarzony koniuszek papierosa.

– Wróćmy więc do tego, o czym mówiłem. Kradinowoto z pewnością ma jakiegoś asa w rękawie. Jest to ukryty atut, który wyciągnie w odpowiedniej chwili – oświadczył.

Harry Shulz przygryzł wargi.

– Być może kogoś, kto nawiązał dla niego korzystne kontakty za granicą...

Nagle usłyszał świszczący oddech Sangsowono Batuyamaty.

– Kontakty za granicą?

– Tak. Dlaczego nie?

– Stangwa.

– Co?

– Stangwa – powtórzył adwokat.

– Stangwa? Kto to taki?

– Dawny minister. Minister Zdrowia... – sprecyzował adwokat znużonym głosem. – Był Ministrem Zdrowia i pierwszym człowiekiem, który zorganizował nielegalny handel narkotykami i ludzką plazmą. Narkotyki nie były oczywiście przeznaczone na rynek wewnętrzny, tutejsi mieszkańcy są zbyt biedni, aby pozwolić sobie na ten luksus, ale – na eksport. Co się tyczy ludzkiej plazmy, to odbierał ją państwowym szpitalom i sprzedawał kilku prywatnym klinikom, w których leczą się członkowie rodziny dożywotniego prezydenta-marszałka i państwowi dygnitarze.

– I co?

– Ta plazma była dostarczana bezpłatnie przez protestancką amerykańską Organizację Kwaków. Organizacja ta, kiedy zorientowała się pewnego dnia o nielegalnym handlu, gwałtownie zaprotestowała w liście do ambasady amerykańskiej. Ambasada interweniowała u samego prezydenta-marszałka. W tamtych czasach dożywotni prezydent-marszałek wyjątkowo flirtował z Amerykanami. Nie mógł postąpić inaczej, jak tylko przychylić się do ich prośby. Stangwę zdymisjonowano. Jego majątek został już wcześniej zainwestowany za granicą. W tej sytuacji on sam zwyczajnie wyemigrował. Ale utrzymuje kontakty z dożywotnim prezydentem-marszałkiem, jest zresztą mężem jego siostry.

Harry Shulz roześmiał się szyderczo.

– Można powiedzieć: wszystko zostaje w rodzinie?

– Tak. I to nie jest wesołe...

– Gdzie obecnie przebywa Stangwa?

– Na wyspach Bahama.

– Bardzo dobrze wybrał. To jest kraj, w którym władze są dyskretne i nie zadają zbyt wiele pytań, pod warunkiem, że ma się pieniądze.

– Istotnie.

- Ma pan jego adres na wyspach Bahama?
- Nie.
- A jak pan myśli, czy Stangwa może być człowiekiem, który był zainteresowany likwidacją w kraju zagranicznych spółek?

– To możliwe. Tak mi przyszło na myśl...

Harry Shulz, stojąc w cieniu, poczuł, że Sangsowono Batuyamata usilnie nad czymś rozmyślał.

- Kiedy zacznie pan działać? – spytał zaniepokojonym tonem.
- Jeszcze nie wiem... Niewątpliwie wkrótce... Będę pana informował na bieżąco...
- Czy skorzysta pan z informacji, jakich panu dostarczyłem?

Harry Shulz zastanowił się. Wciąż te same wątpliwości. Czy mógł całkowicie zaufać adwokatowi? Nie mógł jednak obyć się bez niego, ponieważ pilnie potrzebował broni. Zanim tutaj przybył, nie wiedział, że generał Katchamata ułatwi mu przejście przez kontrolę celną, a ufając swojemu poprzedniemu doświadczeniu, nie ośmielił się przywieźć w bagażach zdemontowanej broni, z wyjątkiem swej specjalnej trzydziestki ósemki, której części składowe rozrzucone zostały pośród różnorodnych elementów neseseru z przyborami toaletowymi i neseseru z lekarstwami, więc były nie do wykrycia. Ale to nie wystarczało. Musiał mieć inną broń.

Harry Shulz potrzebował do tego celu Sangsowono Batuyamatę. Chyba że... Czyż specjalna trzydziestka ósemka, przemyślnie skonstruowana przez starego Mike'a O'Flaherty'ego w jego podziemnym „atelier” w Minneapolis nie mogłaby posłużyć do wykonania kontraktu? Nie, po dłuższym namyśle doszedł do przekonania, że byłoby to zbyt ryzykowne, ponieważ istniały jeszcze inne aspekty tej sprawy.

– Myślę, że skorzystam z informacji, która dotyczy możliwości otrzymania broni... – powiedział w końcu.

Umyślnie wyrażał się oględnie.

– Broni?

Ton głosu adwokata był równie ostrożny.

– Tak.

– Jakiego rodzaju?

– Karabin z celownikiem optycznym, jeśli to możliwe, a także pistolet maszynowy z zapasem amunicji.

– Co pan zamierza z tym zrobić? – W głosie Sangsowono Batuyamaty pobrzmiwało podniecenie.

– Bronić się. Myślę, że wszystko pójdzie dobrze, ale... nigdy nie wiadomo... Czy jest szansa, że otrzymam tę broń?



- Sądzę, że tak.
- Proszę więc tę broń zdemontować lub kazać komuś to zrobić i przynieść mi w plażowej torbie albo w czymś podobnym. Umówimy się na jeszcze jedno spotkanie. Tak jak i tym razem, zadzwonię do pana. Ile czasu panu potrzeba, aby zgromadzić tę broń?
- Może tydzień...
- Doskonale. A teraz się rozstaniemy.

## ROZDZIAŁ VIII

Czas biegł z niesłychaną prędkością, a Harry Shulz jeszcze nie znalazł sposobu na to, aby zabić dożywotniego prezydenta-marszałka Kradinowoto. Czuł, że Charlie Kingsley staje się coraz bardziej nerwowy.

Czyżby zbyt zaufał swemu zmysłowi organizacyjnemu? A może niewystarczająco przygotował teren do operacji?

Harry Shulz codziennie obserwował okna pałacu prezydenckiego, ale Kradinowoto nigdy się w nich nie pokazywał. A szkoda, bo Harry przygotował w zarysie pewien plan, choć nie miał wielu złudzeń co do jego wartości. Ten plan zakładał użycie karabinu, jaki powinien mu dostarczyć Sangsowono Batuyamata, a potem ucieczkę jednym z dwóch prezydenckich samolotów, którego silniki uruchamiał każdego ranka Charlie, tak jakby szykował się już do ostatecznego rozstrzygnięcia operacji. Sangsowono Batuyamata oczekiwaby wraz z rodziną w swoim cadillacu na końcu pasa startowego i na sygnał przyjechałyby na czwartym biegu. W ogólnym zamieszaniu, wystartowałyby bez przeszkód.

Proste, nieco naciągane, jeśli chodzi o terminy wykonania i prawdopodobny opór wartowników, być może także szwedzkich załóg, ale możliwe do zrealizowania. Kłopot tkwił w tym, że prezydent nigdy się nie pokazywał. Wydawał się nie przejawiać najmniejszej ochoty na opuszczenie swojego pałacu. Czyżby z obawy przed zamordowaniem go?

Nie było też mowy o ataku oddziału komandosów na pałac. Johnny'emu właśnie to się nie powiodło. Poza tym, potrzeba by było wielkiej siły uderzeniowej, ekipy gotowych na wszystko zabijaków, których Harry Shulz nie miał do swojej dyspozycji. Co więcej, było nawet niemożliwe sprowadzić ich z zewnątrz. Policyjna kontrola w porcie lotniczym była zbyt surowa, a wspomnienie zamachu na dożywotniego prezydenta-marszałka jeszcze zbyt żywe. Gliniarze z lotniska uznaliby za niezwykle podejrzane pojawienie się nawet w dość rozległym okresie czasu dziesiątki białych, którzy zapewne nie mieliby żadnego powodu, aby

przybyć w celach turystycznych do kraju, którego zła sława tak szeroko rozlała się po świecie.

Mógł przypomnieć sobie bez problemu nazwiska najlepszych kilkunastu spośród ludzi z TRAKS, których chciałby mieć teraz przy sobie. Z ich pomocą zamach powiódłby się bez żadnych trudności.

Ale nie miał ich tutaj.

Sięgnął pamięcią wstecz.

Czy znalazł się już w podobnych sytuacjach? W Rio de Janeiro? W Dallas? W Istambule? W Hongkongu? W Los Angeles? W Hanoi? W Sajgonie? W Santiago de Chile?

Psiakrew, tak! W Santiago de Chile!

Ale zaraz sposepniał. W Santiago de Chile niezmiernie pomógł mu pucz wojskowy, który zorganizowano w odpowiednim czasie, tak aby w wywołanym atakiem czołgów i lotnictwa na pałac prezydencki zamieszaniu, miał czas wykonać kontrakt. Tutaj od dość dawna nie zanosilo się na jakikolwiek wojskowy pucz!

Z racji rządów żelaznej ręki, jakie w tym kraju sprawował dożywotni prezydent-marszałek.

Trzeba więc szukać innego rozwiązania. Ale jakiego?

Może to z eksbelgijskiego Kongo, które teraz nazywano Zairem. I atak na samolot ONZ!

Tylko że samolot ONZ stanął w płomieniach, dzięki zastosowaniu systemu Fugamagister. A on nie dysponował tym systemem.

I wtedy należałoby jeszcze wiedzieć, kiedy dożywotni prezydent-marszałek zamierza użyć jednego ze swych prywatnych samolotów. Dokładny dzień i godzinę.

Nic... Nie istniało nic w jego przeszłości, co mogłoby naprowadzić go na właściwy trop. Należało wysilić wyobraźnię, znaleźć coś nowego, oryginalnego...

Dobry Boże, ale co?

Ktoregos wieczoru, kiedy w zamyśleniu wydmuchiwał w sufit kłęby dymu, niemal natychmiast rozpraszane przez klimatyzator, do jego pokoju wszedł Charlie Kingsley.

– Cześć, Walter – rzucił radośnie.

– Czołem, Curd – odpowiedział Charlie Kingsley ponuro brzmiącym tonem.

– Co się stało? Coś nie gra?

Charlie Kingsley skrzywił się.

– Nerwy zaraz mi puszcza.

– Nie takie rzeczy przeżyłeś!

- Pewnie się starzeję... Może nie nadaję się już do takiej roboty?...
- A co cię tak właściwie męczy?
- Co noc śni mi się plac z wisielcami.

Harry zgniół niedopałek papierosa w popielniczce stojącej u wezłowania łóżka. On także wielokrotnie miał ten sen. Czy również się starzał? Przecież miał dopiero trzydzieści pięć lat i był mężczyzną w sile wieku. To ta niemożność znalezienia rozwiązania dręczącego go problemu – wymyślenia sposobu wykonania kontraktu – była niewątpliwie oznaką przedwczesnego starzenia się.

Wystarczy tego – otrząsnął się – to nie najlepsza chwila na poddawanie się ponurym myślom. Należało przywrócić Charliemu Kingsleyowi wiarę w siebie. Nie ma mowy o tym, żeby teraz pękł. Charlie był istotnym elementem jego planu. Bez niego wszystko brało w łeb.

Harry Shulz spojrział mu w twarz i uśmiechnął się tym pełnym uroku uśmiechem, który tak bardzo podobał się kobietom, ale który, dziwna rzecz, tak samo oddziaływał na mężczyzn. Uśmiech budzący zaufanie, magnetyczny, oszałamiający, serdeczny, który tchnieniem młodości ożywiał serca ludzi.

- Nie możesz się teraz załamywać – powiedział łagodnym głosem. – Nie ty. Na Karaibach przecież widziałeś już dużo gorsze rzeczy.

- To oczekiwanie... – poskarżył się Charlie Kingsley.
- Oczekiwanie?

- Nie wiadomo przecież, kiedy wkroczymy do akcji. To mi działa na nerwy każdego dnia.

- Rozumiem to – przyznał Harry Shulz.

- Na Karaibach to było co innego. Ciągłe coś robiłem. Niebezpieczeństwo było – zgoda. Ale niebezpieczeństwo namacalne. Tutaj mam wrażenie, że te wstrętne małpy nas obserwują, że wiedzą, po co tu przyjechaliśmy, że jedynie czekają na sprzyjającą okazję, aby nas schwytać i urządzić nam bal. A jeżeli to zrobią, wiesz, gdzie się spotkamy?

- Na placu z wisielcami.
- Właśnie.

Harry Shulz westchnął.

- Posłuchaj, chyba nie chcesz mi wmówić, że właśnie ci to działa na nerwy! W niektórych republikach na Karaibach też wieszają ludzi. Z tym twoim przemysłem, ryzykowałeś życiem sto, tysiąc razy. A więc?

Charlie Kingsley przełknął ślinę i powiedział:

- To prawda. Ale tutaj, to ja mam szalonego pietra... Już widzę, jak wiszę na tym placu...

- Napij się whisky.

Harry Shulz wskazał butelkę.

– Każdego wieczora jedynie to robię, mając nadzieję, że uchroni mnie to od tych koszmarów pełnych wisielców. Dla odmiany z tobą i mną o białej skórze pośrodku placu.

– Przez ciebie wpadłaby w depresję nawet pracownica z telefonu zaufania! No, dalej! Wypij!

Harry Shulz nalał whisky do dwóch szklanek i jedną z nich wręczył Charliemu Kingsleyowi.

– Pij – rozkazał tonem nie znośącym sprzeciwu.

Charlie Kingsley wykonał polecenie i dalej zrezygnowany odstawił szklankę.

– Nigdy się stąd nie wydostaniemy, Har... Curd... – czknął.

– Zamknij się. To już teraz nie potrwa długo.

Ognik nadziei zapłonął w spojrzeniu Charliego Kingsleya.

– Kiedy?

Harry Shulz odwrócił głowę.

– Wkrótce.

– Oto broń, o którą mnie pan prosił – oświadczył Sangsowono Batuyamata.

Adwokat potrzebował na zgromadzenie broni znacznie więcej czasu, niż przewidział to Harry Shulz – całe dwanaście dni – ale Harry uznał, że nie należy czynić mu z tego powodu wymówek.

Spytał tylko:

– Dobrze poszło?

– Tak.

– Żadnych kłopotów'

– Musiałem być bardzo ostrożny. To jest powód mojego spóźnienia.

– Przypuszczam, że musiał pan zapłacić bardzo wysoką cenę.

– Zgadza się. Ale zapłaciłem za broń w lokalnej walucie, więc nie ma to żadnego znaczenia. Waluta naszego kraju ciągle traci na wartości. Inflacja jest galopująca.

– Już to gdzieś widziałem... w kraju, w którym należało mieć taczkę wypełnioną banknotami, aby kupić pudełko zapalek...

– Tutaj jest to samo.

Adwokat odchrząknął, wyraźnie zakłopotany. Harry Shulz zeszywniał.

– Ma pan nowe wiadomości? – wyszeptał Sangsowono Batuyamata.

Shulz potrząsnął w ciemności przecząco głową.

– Nie.

– Naprawdę żadnych?

W ciemnościach Harry miał wrażenie, że adwokat jest bliski płaczu. Wyciągnął

rękę i poklepał go po ramieniu.

– Proszę się nie przejmować. Teraz to już nie powinno długo potrwać. Proszę być gotowym do wyjazdu w każdej chwili. Ta sprawa może się rozstrzygnąć w okamgnieniu. Jeden mój sygnał i musi być pan gotów wyruszyć w drogę. Więc niech pan będzie przygotowany.

– Dzięki.

Adwokat z zapałem uściskał mu w ciemności dłoń.

– Ilu was będzie? – spytał jeszcze Harry Shulz.

– Czworo. Moja żona, dwoje dzieci i ja.

– Dobrze. Czy amunicja jest razem z bronią, którą mi pan dostarczył?

– Tak. Na dnie torby.

– Dobrze. Teraz rozstańmy się. Powiadomię pana.

Harry Shulz sięgnął po torbę, którą adwokat położył u jego stóp, i trzymając ją za skórzane pasy, przewiesił ją sobie przez ramię. Nie czekając dłużej, obrócił się na pięcie i rozplynął w ciemnościach. Ukrył torbę w dziurze, jaką uprzednio wydrążył pośrodku lasu. Zakopał ją tam niezwykle ostrożnie, sprawdzając uprzednio, czy różnorodne elementy broni były starannie opakowane. Przykrył dziurę piachem. Zmuszony był tak postąpić, bo inaczej wartownika mogłaby czekać bezsenna noc, kiedy on przedelfilowałby przed nim z torbą pełną broni i amunicji!

Zrobi to później, w świetle dnia.

Kilka dni później Harry Shulz palił właśnie wraz z Charliem Kingsleyem papierosa w cieniu jednego z hangarów, które stanowiły schronienie dla prezydenckich samolotów, kiedy zjawił się Olaf Hjalmarsson.

– Serwus, panowie, wszystko gra? – rzucił po angielsku, z silnym akcentem skandynawskim.

– Wszystko gra – odpowiedział Charlie Kingsley zrzędliwym tonem, zaś jego towarzysz zadowolony się jedynie nieznacznym skinieniem głowy.

– Szykuje się interesująca robota – mówił dalej Olaf Hjalmarsson, uśmiechając się porozumiewawczo. – Przynajmniej znacznie bardziej interesująca dla pilota...

Spoglądali na niego w milczeniu.

– Jak to? – spytał wreszcie Charlie Kingsley.

– Dożywotni prezydent-marszałek zdecydował, że przeleci się ze swoimi przyjaciółkami. Właśnie dostał transport pięknych i wspaniałych blondynek z Londynu, Kopenhagi i Hamburga. Cholernie śliczne sztuki! Niczego sobie nie odmawia! One są tutaj już od trzech dni. Generał Katchamata wydał mi rozkaz

trzymania samolotu w gotowości. Prezydent-marszałek chce zabrać wszystkie te dziewczyny na północ kraju, do Ouaqsaar.

– Ouaqsaar?

– To taka miejscowość wypoczynkowa, gdzie Anglicy lubili się spotykać w czasach, gdy okupowali kraj. Zbudowali tam wspaniałe wille nad brzegiem jeziora, jednego z najpiękniejszych, jakie w życiu widziałem! A Szwecja jest przecież pod tym względem rozpieszczana! Temperatura w Ouaqsaar jest umiarkowana. Noce są chłodne. Nie potrzeba klimatyzacji. A wokół rozciąga się wielki rezerwat przyrody: słonie, lwy, antylopy, zebry, nosorożce, hipopotamy, żyrafy, strusie, prawdziwy ogród zoologiczny ciągnący się całymi kilometrami. Sądzę, że dożywotni prezydent-marszałek chce się popisać przed dziewczynami swoim talentem łowieckim.

– A co to ma wspólnego z nami? – spytał Charlie Kingsley.

– Mam dwóch pilotów chorych na czerwonkę i nie mogą pełnić służby. Pan, Walterze, został wyznaczony, aby towarzyszyć Karlowi Eklundowi jako drugi pilot.

– A ja? – pośpiesznie wtrącił Harry Shulz.

Olaf Hjalmarsson wykrzywił pogardliwie twarz.

– Nie potrzebuję mechanika-konserwatora. Zostanie pan tutaj. Może pan chyba wytrzymać kilka dni bez Waltera?

Harry Shulz nawet nie drgnął.

– Tak, na pewno – odparł z uśmiechem. – Walter i ja właśnie zaczynaliśmy się sprzeczać. Nieprawdaż, Walter?

Puścił oko do Charliego Kingsleya.

– Właśnie – przyznał tamten, nie rozumiejąc, do czego zmierzał Harry.

– A więc doskonale – stwierdził Olaf Hjalmarsson. – Karl Eklund ma plan lotu. Niech pan zobaczy się z nim, Walterze. I weźmie od niego rozkazy. Start o dziesiątej, pojutrze rano. Powrót dwa dni później.

– Czy pas lądowiska w Ouaqsaar jest w dobrym stanie? – spytał jeszcze Charlie Kingsley.

– Bez zarzutu. W ubiegłym roku został odnowiony właśnie po to, aby pozwolić prezydentowi-marszałkowi na łatwiejsze wyprawy na prowincje.

– Czy wiele osób będzie podróżować? – spytał od niechcienia Harry Shulz, tak jakby nie przywiązywał żadnej wagi ani do swego pytania, ani do odpowiedzi, jaka miała paść.

Olaf Hjalmarsson wzruszył ramionami.

– Zwykły orszak prezydencki... Dożywotni prezydent-marszałek, generał Kaxchamata i cała świta... Jakies dwadzieścia osób... No i, naturalnie, czternaście dziewcząt...

Charlie Kingsley o mało się nie udławił.

- Czternaście?
- Tak. Sześć Angielek, cztery Niemki i cztery Dunki.

Charlie Kingsley włożył rękę za kołnierzyk koszuli, tak jakby dusił się z gorąca.

- I... i... i... – wyjąkał.
- Tak?
- On je wszystkie podrywa?

Olaf Hjalmarsson parsknął śmiechem.

- Jednym z tytułów, jakie nadaje sobie dożywotni prezydent-marszałek, jest tytuł przedstawiciela Boga na ziemi. I dlatego zapewnia, że dla przedstawiciela Boga wszystko jest możliwe. Chodzą słuchy, że nie przeraża go czternaście dziewcząt w ciągu jednego dnia... Oczywiście, nie sprawdziłem tego...

- Jeśli potem przyjdzie do siebie, Walter – wtrącił się Harry Shulz – może zostawi ci jedną czy dwie i sam będziesz mógł popróbować... W końcu dysponując automatycznym pilotem, piloci mają mnóstwo wolnego czasu.

Olaf Hjalmarsson w ogóle nie zareagował na ten sarkazm.

- W każdym razie – mówił dalej – zdaje się, że jest on zbudowany niczym młody stoń; jeśli wierzyć temu, o czym zapewniała mnie pewna Szwedka, która spędziła z nim w Ouaqsaar cały tydzień...

- Cholera, a więc.– jęknął Charlie Kingsley.  
- Więc będzie ci trudno mu dorównać – zauważył poważnym tonem Harry Shulz. – W tej dziedzinie nie można się forsować!

Olaf Hjalmarsson spojrział na swój zegarek z bransoletą.

- Dobrze, zostawiam was.

Odszedł kilka kroków, gwałtownie przystanął i odwrócił się na pięcie.

- Wiecie, że stało się coś zabawnego... Dziś rano otrzymałem wiadomości z Gustaffsson Air Co. Pilot i mechanik, których zastąpiliście, Sven Lundqvist i Gunnar Wettergren, przypominacie sobie? Widzieliście ich tutaj...

- Istotnie – zgodził się Harry Shulz.  
- Gustaffsson Air Co, nic nie wie o ich wyjeździe. Poprosili mnie, abym dał im do podpisania dokument stwierdzający, że chcą przedłużyć umowę o następny rok. Dziwne, nie?

Pełen niewinności i naiwności uśmiech zajaśniał na wargach Harry'ego Shulza.

- Raczej normalne, bałagan w administracji – zasugerował.

Olaf Hjalmarsson mruknął coś niewyraźnie.

- Będę teraz bardzo zajęty przygotowaniem do odlotu prezydenckiego samolotu, ale jak tylko wystartuje, wyślę do Gustaffssona telegram z pytaniem, czy coś im się nie pokręciło!

Przez chwilę masował sobie podbródek.

- Czy generał Katchamata zwrócił wam wasze paszporty?
- Nie – odpowiedział Harry, udając obojętność.

Ledwie dostrzegalny ogień błysnął w spojrzeniu Olafa Hjalmarssona.

- To nawet lepiej – powiedział tajemniczo. – Mogliby je wam ukraść. Paszporty są w tym kraju bardzo poszukiwanym towarem...

Westchnął i po chwili mówił dalej:

- Tak wielu ludzi chce stąd uciec... Zaraz, zaraz... Coś mi przyszło na myśl...

Kiedy Gustaffsson Air Co, podpisuje z kimś kontrakt, wręcza mu jego kopię... Czy macie kopie waszych kontraktów?

Harry Shulz, jak najlepiej potrafił, udał zupełne zdumienie.

- Kopie kontraktów? Masz kopię swojego kontraktu, Walter?
- Nie, Curd.

Harry Shulz jeszcze raz spojrzął na Szweda.

- Ja także nie. Niewątpliwie to jeszcze jeden błąd administracyjny... Ale może w Gustaffsson Air Co, jest to zwyczajny porządek rzeczy, taki bałagan? – zasugerował.

Błękitne oczy Szweda wpatrywały się w niego uporczywie przez dłuższą chwilę, a potem, nie mówiąc już ani słowa, Olaf Hjalmarsson wyszedł z hangaru i zniknął w słońcu.

Charlie Kingsley obliznął wargi.

- Jesteśmy w cholernych tarapatach, Harry – wyszeptał.

Harry Shulz wyrwał źdźbło trawy, jakie wystawało pomiędzy kamiennych płyt hangaru, i zaczął je z roztargnieniem przeżuwać.

- Tak sądzisz? – powiedział w końcu.

Twarz Charliego Kingsleya stała się trupioblada.

- Ten Szwed coś podejrzewa, to pewne – powiedział z trudem, tak jakby jego język był przyklejony do podniebienia.

Harry Shulz z całej siły klepnął go w ramię.

- Ty idioto! – zażartował. – Nareszcie ruszyłeś głową!

Po drugiej stronie kabla długo rozbrzmiewał dzwonek telefonu. Wreszcie ktoś podniósł słuchawkę.

- Halo? – rzucił jakiś głos.

Harry poznał głos Sangsowono Batuyamaty.

- Pojutrze rano – rzucił szeptem.

– Poju... – zaczął Batuyamata.

- Tak – przerwał brutalnie Harry Shulz. – Proszę wysłuchać Uważnie moich instrukcji i dobrze je zapamiętać...



## ROZDZIAŁ IX

Charlie Kingsley wspiął się po metalowych schodach, z obojętną miną, i wśliznął się do kabiny załogi. Była pusta. Wyszedł stamtąd szybko, odetchnąwszy z ulgą, i rozejrzał się wokół. Nikogo nie było.

Wnętrze samolotu zostało zupełnie zmienione. Maszyna nosiła numer 737/200, to znaczy, że był to Boeing 737 w swojej najnowszej wersji, który zabierał 130 pasażerów. Ale po przekształceniach, jakim uległ ten samolot, mógł on pomieścić najwyżej czterdzieści osób. Za to prywatny apartament urządzone z myślą o dożywotnim prezydencie-marszałku, podobnie jak i kilka kabin dla uprzywilejowanych przedstawicieli władzy. Tylną część maszyny zajmowały siedzenia zarezerwowane dla obstawy i mniej znamienitych członków jego świty.

Charlie Kingsley pośpiesznie wyjął z kieszeni spodni śrubokręt Parkera i ukląkł. Odkręcił śrubę, która łączyła kraniec wykładziny dywanowej korytarza z metalową podłogą, a następnie odwinął wykładzinę, aby dostać się do podłogi.

Wkrótce odkrył górną część samolotowego włazu.

Pokrywa miała kształt wąskiego kwadratu i zajmowała całą szerokość korytarza. Charlie, pocąc się, zaczął odkręcać śruby Parkera, które łączyły pokrywę włazu z metalową podłogą. Kiedy ukończył tę operację, schował śruby do kieszeni i pośpiesznie nałożył dywan, umieszczając go w pierwotnym położeniu. Pociągnął ze wszystkich sił, aby dywan dobrze się wcisnął pod aluminiową szynę i przykręcił z powrotem śruby.

Kiedy dokręcał ostatnią śrubę, usłyszał kroki na stopniach metalowych schodów na drugim krańcu kabiny. Szybko wetknął śrubokręt do kieszeni i wstał. Olbrzymie cielsko Karla Eklunda, pilota odpowiedzialnego za maszynę, zatarasowało całe drzwi.

– Serwus – rzucił pod nose. – Gotowe?  
– Gotowe.  
– Prezydent-marszałek właśnie wraz z orszakiem opuszcza pałac. Za chwilę tutaj będzie.

Charlie Kingsley z uznaniem skłonił głowę.

– Jestem gotów.  
– Okay. Chodźmy.

Na metalowych schodach dało się słyszeć kroki innych osób.

Ukazali się Björ Kagen i Andolf Bekman, radiotelegrafista i mechanik, a za nimi australijski mechanik, Teddy Cochran, który miał pełnić funkcję stewarda.

– Ma się na deszcz, niebo jest zachmurzone! – zamruczał pod nosem Björ Kagen, zerkając z ukosa na Charliego Kingsleya.

– Przejaśni się – odparł z optymizmem Andolf Bekman.

Charlie Kingsley obrócił się na pięcie i wszedł do kabiny załogi. Usiadł na siedzeniu zarezerwowanym dla drugiego pilota i dokładnie obejrzał swój sprzęt. Dwaj pozostali, za jego plecami usiedli na swoich miejscach. Wziął check-listę i monotonnym głosem zaczął szczegółowo wyliczać różnorodne operacje, które należało wykonać przed startem. Radio trzeszczało, więc wzmocnił dźwięk, aby być lepiej słyszalny.

– Silnik turbośmigłowy numer jeden!

– Check!

Zapaliła się świetlna tarcza.

– Silnik turbośmigłowy numer dwa!

– Check.

Zapaliła się druga świetlna tarcza. Cóż, rutyna robi swoje! – pomyślał Charlie Kingsley. Za każdym razem odpowiadały mu głosy Karla Eklunda i Andolfa Bekmana.

– Schowek na bagaże przedni!

– Check.

Kolejna świetlna tarcza.

– Schowek na bagaże tylny!

– Check.

Znowu świetlna tarcza.

Kończył męczącą wyliczankę, kiedy w szparę drzwi wetknął głowę Teddy Cochran.

– Wszystko zainstalowane – powiedział.

– Okay – mruknął Karl Eklund. – Drzwi?

– Zamknięte.

– Check. W jakim humorze jest dziś nasz Pieszczoszek?

Björ Kagen i Andolf Bekman wybuchnęli śmiechem. Było to przezwisko, jakim Szwedzi określali dożywotniego prezydenta-marszałka. Do gry włączył się Teddy Cochran.

– Chcecie powiedzieć, Podrywacz – wymienił przezwisko, które stosował lekceważąco do tej samej osoby. – Skacze z radości! A jak! Z tymi wszystkimi blondynkami!

Zamknął drzwi, które niemal natychmiast znowu się otworzyły. Tym razem stanął w nich generał Katchamata.

– Wszystko w porządku, panie Eklund? – spytał.

– Jesteśmy gotowi do startu, generale – odpowiedział pilot.

– Te chmury na niebie... Czy to nie jest niebezpieczne? – mówił dalej generał.

– Nie ma czym się martwić! Wszystko pójdzie dobrze. Proszę się nie obawiać, generale.

– Skoro pan mnie zapewnia...

Generał klepnął Charliego Kingsleya po ramieniu i tamten odwrócił głowę.

– Nie bardzo mi się podoba to, że pan tu jest – zauważył generał ze zde gustowanym wyrazem twarzy.

Charlie Kingsley nawet nie drgnął.

– Wyznaczył mnie Olaf Hjalmarsson – odpowiedział.

– Wiem.

Generał wydał pogardliwie wargi.

– Tak czy owak, wydaje się, że już wkrótce będziemy mogli się obejść bez usług pana i pańskiego kolegi. Sven Lundqvist i Gunnar Wettergren powinni wkrótce do nas wrócić.

Charlie Kingsley uśmiechnął się zachwycony.

– Nie ma pan pojęcia, jaką to sprawi przyjemność Curdowi Olsenowi i mnie – odpowiedział arogancko.

Na twarzy generała malowała się wściekłość.

– Czy pan wie, do kogo pan mówi? – wybuchnął.

– Tak. Rozmawiam z Pieszczoszkiem albo Podrywaczem, jak pan woli...

Niewiele się zastanawiając, przypisał generałowi Katchamacie przezwiska jego szefa.

– Co takiego?! – wrzasnął generał.

Charlie Kingsley pogardliwie wzruszył ramionami i odezwał się do generała równie ostrym głosem.

– Pan nam przeszkadza. Przygotowujemy się do startu. Proszę stąd wyjść! – rozkazał bezczelnie.

Generał dławił się z wściekłości.

– Później się policzymy! – rzucił wściekle.

– Otóż to! – zadrwił Charlie Kingsley. – Później.

Zabrzmiało to już niemal obelżywie.

Generał Katchamata, wychodząc z kabiny załogi, zatrzasnął za sobą drzwi. Charlie Kingsley spostrzegł pełne niepokoju spojrzenia trzech pozostałych osób, ale nie przejął się tym. Zaczął pogwizdywać starą piosenkę z lat trzydziestych.

\* \* \*

Harry Shulz odczuł wznoszenie się samolotu.

Miał wrażenie, że cofnął się o dwadzieścia pięć lat, kiedy jako młody chłopak fundował sobie za dziesięć centów przejażdżkę w wesołym miasteczku na Coney Island.

Było mu niewygodnie. Siedział w przednim schowku na bagaże prezydenckiego Boeinga 737. Utrzymywano w nim zwiększone ciśnienie i działała klimatyzacja, w przeciwieństwie do tylnego schowka. Tam nie było żadnych bagaży. Aby uniknąć gwałtownego obijania się o wewnętrzne ścianki schowka, usadowił się w jednej z siatek bagażnika i przytrzymał się rękami solidnych pasów.

Ten pomysł wpadł mu do głowy tego samego dnia, gdy Olaf Hjalmarsson oznajmił o wyjeździe Kradinowoto do Ouqaasar. Natychmiast wypytał Charliego Kingsleya:

– Opowiedz mi o Boeingu 737, Charlie.

Charlie zmarszczył brwi, usilnie się zastanawiając, a potem zaczął dobitnie, z szybkością karabinu maszynowego, podawać wiadomości.

– Samolot prezydenta-pajaca to Boeing 737, typ 200. Specjalny. Normalnie zabiera na pokład stu trzydziestu pasażerów. Ale ten został specjalnie wyposażony dla osobistych potrzeb prezydenta-pajaca. Może on wziąć na pokład jedynie czterdzieści osób. Dwa turbośmigłowe silniki firmy Pratt and Whitney, 15.500 funtów ciągu. Zbiorniki paliwa: osiemnaście tysięcy litrów paliwa lotniczego pozwala na lot na odległość 1550 mil morskich. Długość lądowania 1000 metrów, startu 1750 metrów. Prędkość lotu na wysokości dwudziestu tysięcy stóp: pięćset pięćdziesiąt mil; na wysokości trzydziestu sześciu tysięcy stóp: czterysta osiemdziesiąt pięć mil. Po starcie, osiąga pułap dwudziestu trzech tysięcy stóp w czasie dwudziestu pięciu minut.

– Schowki na bagaże?

– Jeden na przedzie. Utrzymuje się w nim zwiększone ciśnienie i jest klimatyzowany, ponieważ czasami służy do przewozu żywych zwierząt. Jest nawet oświetlony. Bagażnik tylny bez regulacji ciśnienia i bez klimatyzacji.

– Czy istnieją miejsca, w których można się ukryć, oczywiście poza przestrzenią zarezerwowaną dla pasażerów i toaletami?

– Tak. Właz, który pozwala dotrzeć do posterunku sterowania. Usytuowany z tyłu, ale zupełnie niepraktyczny. Co ci chodzi po głowie? Szukasz miejsca, gdzie ty możesz się ukryć?

– Tak.

– Więc polecam ci przedni bagażnik.

– W jaki sposób on się zamyka i jak się otwiera?

– Jedynie od zewnątrz i to ręcznie.

– Czy w kabinie pilotażu nie ma automatycznego sterowania?  
– Nie. Kiedy odczytuje się listę kontrolnych poleceń załogi, naciska się na świecący wskaźnik sygnalizacji. Jeśli się zapali, to znaczy, że schowek jest dobrze zaryglowany.

– Doskonale. I mówisz, że przedni schowek znajduje się pod ciśnieniem i jest klimatyzowany?

– Tak. A w tylnym schowku w czasie lotu jest bardzo zimno. Słyszałem, że jakiś facet, nie pamiętam tylko gdzie, przeleciał kilka godzin uczepony podwozia! Leżał potem tydzień w szpitalu!

– Ale ja nie mam ochoty go naśladować!

– Chcesz ukryć się w przednim schowku na bagaż?

– Właśnie to mi chyba radzisz, co?

– Jeśli chcesz podróżować z nami, tak.

– A jak można dotrzeć ze schowka do wnętrza samolotu?

– Przez właz.

– Tak właśnie myślałem. Opisz mi ten właz.

– Znajduje się on pod dywanem w korytarzu, między toaletami a kuchenką.

Przymocowany jest do metalowej podłogi śrubami krzyżowymi Parkera.

– Czy te śruby łatwo dają się odkręcić?

– Jeśli śrubokrętem Parkera, to tak.

– Zajmiesz się tym.

– Czy masz zamiar wykonać kontrakt w samolocie?

– Tak.

– Uważaj tylko na broń palną! – uprzedził Charlie.

– Co proszę?

– Jeśli jakaś kula rozerwie iluminator lub kadłub, wywoła to nagły spadek ciśnienia. A gwałtowna dekompresja może pociągnąć za sobą zawalenie się podłogi, a następnie zerwanie albo blokadę układu sterowniczego, a nawet spowoduje, że pasażerowie wylecą w powietrze.

Wysłuchawszy tego ostrzeżenia, Harry Shulz sposepniał, ale szybko na jego twarz powrócił pełen ufności uśmiech.

– Nie przejmuj się tym – uspokoił przyjaciela. – Wiem, w jaki sposób działać.

– Jaki jest twój plan?

– Posłuchaj...

Przedstawił mu swój plan. Charlie wydawał się usatysfakcjonowany.

A przede wszystkim był szczęśliwy, że jego pobyt w tym kraju dobiega końca!

Harry Shulz poruszył obolałymi mięśniami. Charlie Kingsley sam zamknął go w przednim schowku na bagaż, kiedy pod pretekstem ostatniej kontroli, wspiął

się do środka i zamknął drzwiczki. Harry oparł stopy o torbę z bronią i amunicją, a potem naprężył mięśnie, aby się wyprostować i zbliżyć głowę do włazu. Ten ruch spowodował, że rękaw jego koszuli rozdarł się, odsłaniając nadgarstek i zegarek. Zerknął pospiesznie na jego tarczę. Zorientował się, że zbliżał się czas przystąpienia do działania. Krzywiąc twarz, z ciężkim westchnieniem przyjrzał się słabo świecącej żarówce. Całe jego ciało było obolałe.

Charlie Kingsley podniósł się ze swojego fotela i odwrócił się do Karla Eklunda.

– Nic dziwnego, że pańscy dwaj kumple, ci piloci, którzy powinni byli być na moim miejscu, tak się rozchorowali! – rzucił ze zdegustowaną miną. – Ze mną jest podobnie! Przez całą noc biegałem do wychodka! Dziś rano sądziłem, że to już koniec, ale oto znowu się zaczyna! To musi być to podle żarcie, jakie się nam podaje w tym przeklętym kraju!... Och! Niech ci wasi dwaj kumple szybko wracają ze Sztokholmu!

Charlie Kingsley wsunął się pomiędzy Kagena a Beckmana i otworzył drzwi. Wyszedł na korytarz i zamknął drzwi za sobą. Z kieszeni spodni wyjął brzytwę, której ostrze było starannie naostrzone, potem zaciągnął zasłonę oddzielającą kuchnię od reszty kabiny. Następnie ukląkł i zaczął ciąć brzeg wykładziny dywanowej. Nie miał czasu na odkręcenie śrubek, tak jak to uczynił poprzednio. Mocno pociągnął chodnik, aby wyrwać nitki, które tkwiły jeszcze w aluminiowej szynie, i odłożywszy brzytwę, zwinął chodnik w taki sposób, żeby odsłonić pokrywę włazu. Stopą przycisnął rulon chodnika, aby się nie rozwinął, i z drugiej kieszeni spodni wyciągnął śrubokręt Parkera. Wsunął jego ostrze w szparę widniejącą między pokrywą włazu a metalową podłogą i jak tylko znalazł punkt oparcia dla śrubokręta, lekko uderzył pięścią w pokrywę włazu. Zaraz potem użył śrubokręta jako lewara. W schowku na bagaże Harry Shulz napierał od spodu na kłapę i pchał pokrywę włazu ku górze. Harry zwinnie opuścił swoje miejsce, a Charlie pośpiesznie uniósł pokrywę za brzeg. W otworze ukazała się głowa Harry'ego Shulza. Pomógł mu wydostać się z włazu, opierając przedtem pokrywę o ściankę. Harry Shulz ukląkł w korytarzu, pochylił się do wnętrza schowka na bagaż i sięgnął po torbę z bronią i amunicją.

Obydwaj umieścili pokrywę z powrotem na miejscu, podobnie zrobili z chodnikiem, kiedy ktoś odsłonił zasłonę. Wyszedł zza niej Teddy Cochran, Australijczyk pełniący obowiązki stewarda. Wypełnił swoją postać całą szerokością korytarza.

– Co to...? – zaczął.

Charlie Kingsley podniósł błyskawicznie brzytwę, wysunął ostrze i przyłożył mu je do gardła.

– Zachowuj się spokojnie! – rozkazał ostro. – Wejdz tutaj!

Popchnął go do toalety i pośpiesznie zasunął zasłonę.

Harry Shulz szybko otworzył torbę, wyjął karabin z celownikiem optycznym, podał go Charliemu Kingsleyowi, a potem pistolet maszynowy, który położył tuż obok siebie. Jednym palcem zdjął skuwki trzech czarnych piór wsuniętych do kieszeni na piersi.

Następnie podniósł pistolet maszynowy, uzbroił go i wsunął pod lewe ramię. Dodał odwagi Charliemu Kingsleyowi porozumiewawczym mrugnięciem oka i rzucił od niechcenia:

– Pilnuj tego kąta. Ja idę. Nie zapomnij położyć na swoje miejsce pokrowy włazu i chodnika.

I już odsuwał zasłonę. Zachowując czujność, lecz będąc całkowicie „na luzie”, rozejrzał się dookoła i zbliżył do wąskiego korytarza dzielącego poszczególne kabiny. Choć kabiny były hermetycznie zamknięte, to jednak dochodziły z nich sapania i westchnienia, szepty i okrzyki.

Charlie Kingsley powiedział mu, że przedział, jaki zarezerwował sobie dożywotni prezydent-marszałek do osobistego użytku, usytuowany był na końcu korytarza. Zajmował on środkową część maszyny, tak by Kradinowoto mógł porozumiewać się zarówno ze swoimi członkami rodziny, wysokimi dygnitarzami, zresztą często tymi samymi osobami, którzy znajdowali się w przedniej części kadłuba, jak również ze swoją obstawą i osobami towarzyszącymi siedzącymi na fotelach, w ogonie samolotu.

Harry Shulz minął pierwszy przedział i dotarł na wysokość drugiego. Nagle zza przepierzenia trysnął wibrujący krzyk, a w ślad za nim potok pojękiwań i słów z silnym niemieckim akcentem:

– Ach, so! Mein Liebe!... Jeszcze! Jeszcze!... Ach! Tak jest dobrze!... So gut!... Nie przestawaj!... Ach! Du bist wunderbar!... Nie przestawaj! Nie przestaaaaawaj!

Nieoczekiwanie, ten długi jęk, jak gdyby rozbudził echa, bowiem inny, tym razem gardłowy głos, wydał rozdzierający okrzyk i zagłuszył ten pierwszy.

– Der findes intet bedre end dette!... Nie ma nic lepszego!... Utrolig, men betagende! Niewiarygodne! Zdumiewające!... Jeg elsker dig!... Ach! Kocham cię!... Mere og me ophisede! Ekscytujące!

Jeszcze inne głosy odezwały się zza cienkich ścianek, tak jakby współzawodnicząc z tymi pierwszymi.

– Gott verdamm mich!... Zamordujesz mnie, kochany!

– Kunsten at elske!

– Jesteś artystą w miłości!

- Jaki olbrzymi...
- Pełne podziwu gwizdy.
- Ty masz...

Głosy mieszały się w językach: duńskim, niemieckim i angielskim. Harry Shulz powstrzymał uśmiech. Kradinowoto należał do tych ludzi, którzy lubią dzielić się z innymi. Pozwalał swoim przyjaciółom korzystać z towarzystwa Angielek, Dunek i Niemek, które kazał sprowadzać z Londynu, Kopenhagi i Hamburga. A jego przyjaciele nie czekali, aż przybędą do Ouaqsaar, aby zacząć balować!

Prawdopodobniej spółkowano ze sobą na wszystkie strony!

Niech korzystają, ile mogą! – w duchu zaśmiał się szyderczo Harry Shulz. – Przebudzenie będzie mniej rozkoszne!

Postąpił krok naprzód i nieoczekiwanie otworzyły się drzwi po jego lewej stronie. Ukazał się generał Katchamata, zajęty zapinaniem paska od spodni. Jak tylko dostrzegł Harry'ego Shulza, oniemiał. Potem jego wzrok padł na pistolet maszynowy.

Pośpiesznie uniósł dłoń do swego futerału z rewolwerem. Harry Shulz był od niego szybszy, schwycił jedno z trzech piór, umieszczonych w kieszeni koszuli na piersi, i paznokciem kciuka odciągnął skuwkę pióra trzymanego pomiędzy dużym a środkowym palcem. Potem jego dłoń mocno wcisnęła nakrętkę.

Generał Katchamata jakby wrósł w ziemię. Jego nozdrza zwężyły się, policzki poszarzały, źrenice rozszerzyły się w nienaturalny sposób, a cała skóra twarzy pomarszczyła się tak, jakby nieoczekiwanie, za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, postarzał się o dwadzieścia lat. Zadygotał i osunął się na ziemię niczym ranny koń, którego właśnie dobito.

Harry Shulz włożył pióro z powrotem do kieszeni koszuli. Wyjątkowy gadżet autorstwa Mike'a O'Flaherty'ego – tego, który zrobił mu specjalną trzydziestkę ósemkę, znajdującą się obecnie w posiadaniu Charliego. Mógł mu być potrzebny, zanim Harry wy dostał się z bagażnika. Wyjątkowy gadżet składający się z trzech przegródek. Pierwsza z nich zawierała sprężynę, druga iglicę, trzecia ampułkę cyjanku. Skuwka na nakrętce pełniła funkcję bezpiecznika. Po jej odciągnięciu, broń była gotowa do użytku. Naciskając na nakrętkę, wprawiało się w ruch sprężynę, która zwalniała iglicę, ta z kolei wyrzucała w twarz ofiary ampułkę z cyjankiem. Śmierć następowała w ciągu kilku sekund. Na skutek zwężenia się naczyń krwionośnych. Ten pistolet na cyjanek, to była bardzo praktyczna broń. Największym atutem było to, że eliminowało się ryzyko nagłej dekompresji wynikającej ze szkód, jakie następowały przy okazji rozerwania kadłuba strzałami z broni palnej. Jediną wadą było natomiast to, że mógł pomieścić tylko jedną ampułkę.



Nagle rozległ się okrzyk przerażenia. W uchylonych drzwiach stanęła naga dziewczyna. Długie kosmyki blond włosów opadały jej na twarz, a pełne przerażenia oczy spoglądały na ciało, rozciągnięte u jej stóp.

Harry Shulz skoczył i kolbą pistoletu maszynowego gwałtownie zdzielił ją w szczękę. Runęła jak długa, wprost na zwłoki generała Katchamaty.

Wystarczy jej na jakiś czas – pomyślał Harry.

Wepchnął dwa ciała do kabiny i zamknął drzwi. Potem ruszył w dalszą drogę, w stronę środkowej części kadłuba samolotu, tej, w której znajdował się Kradinowoto.

Okrzyk przerażenia, jaki wydała dziewczyna, wydawał się nie wzbudzić w okolicach żadnego zainteresowania. Uczestnicy odbywającej się właśnie w samolocie orgii złożyli pewnie ten okrzyk na karb wyrażanych uczuć rozkoszy.

Harry Shulz dotarł na sam koniec wąskiego korytarza i oparł się o jakieś drzwi. Począł chwilę i otworzył je. Widząc go wchodzącego, dwaj żołnierze zerwali się na równe nogi, sięgając po pistolety.

W prawej ręce Harry'ego Shulza znalazło się drugie pióro. Odciągnął skuwkę i bardzo mocno nacisnął dłonią nakrętkę. Pierwszy żołnierz, jak rażony piorunem, upuścił pistolet i upadł.

Harry Shulz więcej się nim nie zajmował. Lufą swojego pistoletu maszynowego zdzielił pomiędzy oczy drugiego żołnierza, a prawym kolaniem wymierzył mu jednocześnie cios w podbrzusze. Usunął się pośpiesznie na bok, aby pozostawić obu żołnierzom wystarczająco dużo miejsca na podłodze, na którą opadały ich bezwładne ciała.

Rozległ się głuchy łoskot i Harry Shulz zawahał się nieco, stojąc pomiędzy dwoma drzwiami, jakie znajdowały się po obu stronach pokoju, w którym był. W końcu zdecydował się na te po prawej stronie, ponieważ właśnie zza ścianki dochodziły najbardziej wymowne odgłosy.

Kiedy pchnął drzwi, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Zobaczył pięć splątanych ciał. Mężczyzna i cztery kobiety. Harry Shulz zerknął na okazałą bluzę munduru, leżącą w nieładzie na jakimś krześle. O pomyłce nie było mowy. Istotnie miał do czynienia z dożywotnim prezydentem-marszałkiem Kradinowoto I. Bluza munduru była tak bardzo pstra od orderów, że ledwie dawało się dostrzec kolor tkaniny. Złota plakietka była przypięta na sercu. Widniały na niej delikatnie wygrawerowane litery: „Dożywotni prezydent-marszałek, Wawasisadinatata Kradinowoto I. Bohater narodowy walki o niepodległość. Idol swojego ludu. Przywódca światowy. Przedstawiciel Boga na ziemi”.

Harry Shulz przeniósł wzrok na płataninę ciał, jaka poruszała się na łożu i wydawała głuche pojękiwania.

Prawdziwe kłębowisko żmij! – pomyślał.

Jedna czarna żmija i cztery białe. Ciemna karnacja skóry dyktatora odcinała się od białych skór dziewcząt z Północy. Powoli, z kieszeni na piersi wyjął trzecie pióro. Nagle nastąpiło urywane sapanie, jak gdyby odgłos starej parowej lokomotywy wjeżdżającej na dworzec, zakończone dzikim wrzaskiem, po którym nastąpiła cała seria burczeń, przerywanych okrzykami podziwu, wydobywającymi się z kobiecych gardel.

Z gmatwaniny głów, rąk, nóg i tułowi wyłoniła się jakaś blond czupryna i czyjeś mrugające oczy z niezdecydowaniem przyglądały się Harry'emu Shulzowi.

– Was ist los? – spytał czyjś ochryply głos.

Z gmatwaniny ciał wyłoniły się pozostałe jasne twarze, a potem przestraszone odbicie Kradinowoto. Jego oczy od razu spoczęły na pistolecie maszynowym i niemal natychmiast zaczął nimi przewracać. Uderzeniami pięści uwolnił się od ramion czepiających się go kobiet i usiłował się podnieść.

Jego olbrzymi członek, jeszcze mocny, zwiślał groteskowo tuż przy skórze brzucha, poruszając się wahadłowym ruchem z prawej strony na lewą, niczym wańka-wstańka próbująca uciec ze swojej kuli, muskając przelotnie paskudne szarawe plamy, niezatarte oznaki starości, które pokrywały skórę brzucha – tłustą i porysowaną wałkami szkodliwego dla zdrowia tłuszczu, które narastały piętrami w stronę piersi, aby zakończyć się na obwisłych podbródkach. Szerokie strugi potu spływały z jego łysego czoła i powodowały mrużenie oczu. Nienawistny grymas wykrzywił mu usta, a patrząc spode łba, zezował na bluzę munduru, pod którą wisiał pas z pokrowcem na rewolwer.

W końcu udało mu się wstać.

Harry Shulz nawet nie drgnął. Cztery dziewczyny również się nie poruszały. Z wychodzącymi z orbit oczami przyglądały się scenie. Ich twarze wykrzywił strach.

Przed oczami Harry'ego mignął jakiś cień. Ponownie zobaczył Johnny'ego Kremera w więzieniu, potem jego białe ciało powieszona za nogi na głównym placu stolicy kraju, białe ciało podziurawione kulami i usiane strużkami zakrzepłej krwi, ciało, na którym biesiadowały sępy.

Drżąca ręka Kradinowoto sięgała do futerału z rewolwerem, kiedy Harry Shulz paznokciem kciuka odblokował kolejną skuwkę fałszywego pióra, które trzymał w dłoniach. Potem zgniótł nakrętkę. Ampułka cyjanku eksplodowała pod nozdrzami Kradinowoto. Wyglądało to tak, jakby dostał nagle w czoło rzuconym z rozmachem kamieniem. Otworzył szeroko usta, aby nabrać tchu. Powietrze, które wypełniło jego usta, nie dotarło już do płuc.

Zerwał się z miejsca, kilkakrotnie zamrugał oczami, a wiele tysięcy zmarszczek zaczęło żłobić jego twarz. Upadł.

– Proszę nie krzyżeć! – rzucił szorstko Harry Shulz do czterech dziewcząt, wciąż wymachując swoim pistoletem.

Wyglądały na zastraszone, co było zrozumiałe – pomyślał.

– Nie ruszajcie się stąd, a nie stanie się wam nic złego – dodał. – Nie mogę was zapewnić, że zostanieie wynagrodzone za wasze bardzo intymne usługi – głosem pełnym sarkazmu udał, że żałuje – ponieważ teraz, kiedy Kradinowoto nie żyje... Ale mogę was zapewnić, że jeśli będziecie posłuszne, wyjdziecie z tego cało. Jeśli nie...

Ponownie groźnie potrząsnął pistoletem maszynowym.

– Same zobaczycie... Na razie, radzę wam się ubrać.

Westchnął z żalem, gdy dziewczyny się podniosły.

Były po prostu wspaniałe. Smukłe i gibkie ciała, doskonałe kształty, zmysłowe biodra, wspaniałe nogi, twarze lalek. Bez cienia wstydu, nie spoglądając nawet przez chwilę na trupa, który leżał u ich stóp, podrygiwały przed nim, masowały sobie piersi, biodra, uda, jakby chcąc rozluźnić mięśnie po niedawnym wysiłku. Jedna z nich mrugnęła do niego prowokująco.

– Mein name ist Ursula – powiedziała uwodzicielskim głosem.

Trzy pozostałe dołączyły do niej. Rozwarły przed Harrym nogi w pozbawionym dwuznaczności zaproszeniu.

– Jesteś całkiem ładnym chłopcem – zauważyła jedna z nich z silnym londyńskim akcentem, przewracając oczami.

Druga wygięła w łuk łędźwie i ofiarowywała się mu z zamglonym spojrzeniem. Trzecia zrzuciła stanik, który już zaczęła zakładać, i wyciągnęła do niego ręce.

– Na co czekasz? – spytała ironicznie. – Czy ten truposz cię przeraża? Mnie truposze podniecają!

Harry Shulz wzruszył ramionami. Miał pilniejsze rzeczy do zrobienia. Przytrzymał pod ramieniem pistolet maszynowy i wycofał się do drzwi.

– Pamiętajcie, co wam powiedziałem! – rozkazał. – Nie oddalajcie się!

Po raz ostatni dokonał przeglądu anatomii czterech dziewcząt, myśląc sobie, że ten, kto dostarczył świeży „towar” Kradinowoto, nie skąpił na jakości. Wyszedł z kabiny. Zabrał broń obu żołnierzom leżącym na podłodze, a potem ruszył na spotkanie z Charliem Kingsleyem.

– No i co? – spytał tamten z niepokojem.

– Zrobione – odparł lakonicznie Harry.

– Co teraz robimy?

– Każ Australijczykowi zastąpić cię w kabinie załogi i wydaj rozkaz, aby przekazał do Ouqsaar to, co ci mówiłem. Trzymaj ich wszystkich na muszce i powiedz, żeby byli posłuszni, bo jeśli nie, to ich zabijemy. Ja zajmę się pozostałymi. Okay?

– Okay, Harry.

Jak tylko Charlie Kingsley wyciągnął Teddy'ego Cochrana z toalety, Harry wszedł do niej i wrzucił do sedesu broń zabraną obu żołnierzom. Kiedy znikła w zbiorniku, Harry na nowo naładował cyjankiem swoje fałszywe pióra. Wyszedł z toalety. Kątem oka dostrzegł Charliego Kingsleya, który, wsparty plecami o otwarte drzwi kabiny pilotażu, dyktował jego rozkazy niewidocznemu stąd radiotelegrafiście.

Przeszukał jedną po drugiej, kabiny, z których dobiegały westchnienia i jęki. Rozbroił ich pasażerów i za każdym razem wrzucał broń do klozetu. Partnerka generała Katchamaty odzyskiwała przytomność. Kazał wyjść jej z kabiny i zamknął ją razem z dziewczętami, które przenosiły Kradinowoto do siódmego nieba, zanim on sam nie znalazł się tam na dobre. Następnie zajął się tymi, którzy zgromadzili się w ogniu maszyny. Grożąc pistoletem maszynowym, zmusił ich do rzucenia broni.

Pewien kapitan usiłował się buntować, ale Harry Shulz po raz czwarty użył jednego ze swych pistoletów na cyjanek. Tymczasem jakiś porucznik skorzystał z tego incydentu i sięgnął po pistolet, mierząc w Harry'ego Shulza. Wystrzelił trzy kule. Na próżno. Harry nie czekał. Puścił krótką serię z pistoletu maszynowego. Porucznik chybił, ale pociski kalibru 9 milimetrów z pistoletu maszynowego odrzuciły go na wewnętrzną ściankę kabiny. Padł z roztrzaskaną głową.

Wtedy stało się to, czego Harry i Charlie obawiali się najbardziej: pociski przebiły szyby, które rozprysły się na drobne kawałeczki z wielkim hukiem.

Harry Shulz zachwiał się. Powietrze napływające z zewnątrz wdzierало się tak mocno przez dziury, że aż zakręciło mu się w głowie. Potem, na przedzie samolotu, zaczęła wyc syrena.

To był sygnał alarmowy automatycznego regulatora ciśnienia.

Harry Shulz zmusił się do zachowania spokoju. Wciąż grożąc pistoletem maszynowym, zmusił jednego z obecnych oficerów do zebrania porzuconej broni i wyrzucenia jej przez otwory, jakie powstały w miejscu wybitych szyb. Kazał im nie przystawiać ręki zbyt blisko otworu, bo na skutek różnicy ciśnienia mogłyby zostać wysane na zewnątrz i pociągnąć za sobą resztę ciała. Gdy wykonano polecenie, Harry ruszył do Charliego Kingsleya.

– Co się stało? – wrzasnął Charlie.

– Jakiś wariat zaczął strzelać. Jak można się stąd wydostać?

– Rozkazałem Karlowi Eklundowi, żeby zszedł na wysokość poniżej dziesięciu tysięcy stóp. Już poniżej trzynastu tysięcy, znacznie mniej ryzykujemy, ale lepiej zostawić sobie margines bezpieczeństwa.

– Posłuchał cię?

– Tak.

- Psiakrew! Cholera! – wrzasnął nagle Karl Eklund.
- Co się dzieje? – spytał szybko Charlie Kingsley, mierząc do pilota z karabinu.
- Ster z lewej strony już nie działa. Prawdopodobnie jeden z dźwigarów skrzydła został zniszczony. Czy strzelano z broni palnej?
- Tak – przyznał Charlie Kingsley.
- Harry Shulz nawet nie drgnął.
- Jak długo jeszcze musimy lecieć, żeby dotrzeć do Ouaqsaar? – zapytał tylko.
- Godzinę – burknął Charlie Kingsley. Potem zwrócił się do pilota:
- Czy lecimy w dobrym kierunku?
- Na północ.
- Nie zboczyliśmy z kursu?
- Nie, póki nie zejdziemy z wysokości.
- Więc w którą stronę zbaczamy z trasy?
- Karl Eklund ze zniecierpliwieniem wrzucił ramionami.
- Oczywiście na zachód, przecież to lewe skrzydło nie działa.
- Więc zanurkuj na północny wschód.
- Jak bym sam nie wiedział! – zaśmiał się szyderczo Karl Eklund.
- Na jakiej wysokości jesteśmy teraz? – spytał Harry Shulz Charliego Kingsleya.
- Ten zmrużył oczy, aby lepiej przyjrzeć się wysokościomierzowi.
- Osiem tysięcy czterysta stóp – odpowiedział z zadowoleniem.
- Nie powinno się już odczuwać spadku ciśnienia – stwierdził Harry Shulz, uśmiechając się nieznacznie.
- Nie. Nie na tej wysokości. Jest tylko trochę chłodniej.
- Nie ujdzie wam to na sucho! – wtrącił zaczepnie Björ Kagen. – Dadzą wam popalić, kiedy przylecimy do Ouaqsaar. Co wy sobie wyobrażacie? Że możecie ot tak sobie uprowadzić samolot i wyjść z tego cało?
- Zgniją na szubienicy! – zawtórował mu Andolf Beckman.
- Charlie Kingsley uderzeniem kolby karabinu rozciął mechanikowi usta.
- Stul pysk, zgniłku! – rzucił wściekle. – Jeśli kiedyś nas powieszą, nie ty zobaczysz nas dyndających na powrozach. Wcześniej dostaniesz kulkę w łeb! W miejscu, gdzie teraz jesteśmy, nie grozi nam już spadek ciśnienia!
- Czy wiadomość przez radio została przekazana? – uciął Harry Shulz.
- Tak – mruknął Charlie Kingsley. – Z tej strony nie ma żadnych kłopotów. Potwierdzili jej otrzymanie.
- OK! Zostań tutaj. Zobaczę, co robią pozostali.

Harry Shulz przeszedł przez korytarz i przyłożył ucho do drzwi, za którymi leżały zwłoki Kradinowoto. Pięć dziewcząt gawędziło ze sobą. Głównym tematem ich rozmowy wydawała się być obawa o to, że nie zostały wynagrodzone za usługi, które wyświadczyły zmarłemu generałowi Katchamacie i dożywotniemu prezydentowi-marszałkowi. Czy aby na pewno dostaną po garści diamentów, jakie im obiecano? I czek na pokaźną sumę, wystawiony na jakiś szwajcarski bank?

Harry Shulz otworzył drzwi.

Trup dożywotniego prezydenta-marszałka spoczywał wciąż w tym samym miejscu, gdzie upadł. Wyraz jego twarzy nie był zbyt piękny. Pomarszczona przez cyjanek skóra przypominała stary, nadgryziony zębem czasu pergamin.

Harry Shulz nieznacznie się uśmiechnął. Johnny, spoglądając na to, byłby zadowolony. Ale być może mógł to zobaczyć z miejsca, w którym się teraz znajdował?

Harry Shulz zauważył, że dziewczęta zastosowały się do jego poleceń i ubrały się. Zamknął drzwi, zanim zdążyły go zwymyślać.

Przygoda, która im się przytrafiła, wydawała się psuć szyki tylko tym, którzy zajmowali pozostałe kabiny. Dziewczęta i wysocy dostojnicy rządowi siedzieli na łózkach, ponuro spoglądając wokół. Zgromadzeni na tyłach samolotu członkowie orszaku głośno dyskutowali między sobą, nie mając najmniejszej ochoty na stawianie oporu. Los, jaki spotkał dwóch oficerów, musiał wydawać się im być zupełnie obojętny.

A i niewielki spadek ciśnienia wewnętrzna samolotu oraz lodowate powietrze, jakie wpadało przez wybite okna, nie wydawały się wywoływać najmniejszego wrażenia na żadnym z pasażerów. Harry Shulz spędził jakiś czas na pilnowaniu ich, a potem wrócił do kabiny załogi.

Samolot zaczął schodzić w dół.

– Za dwadzieścia minut jesteśmy w Ouqaasar – ucieszył się Charlie Kingsley.

Przyłożył lufę karabinu do karku Björa Kagena i słuchał uważnie dochodzących z radia urywków informacji.

Przez oszkloną ściankę Harry Shulz wpatrywał się w zbliżającą się ziemię. Jego wprawne oko zauważyło niebieskawą wstęgę betonowego pasa kończącego się nad brzegiem jakiegoś jeziora, którego niebieskawa tafla lśniła w promieniach słońca.

– A z tym zbaczaniem samolotu z kursu, w porządku? – spytał Charlie Karla Eklunda.

– W porządku.

Samolot zanurkował dziobem w dół i znalazł się na linii pasa lądowiska.

– Masz mapy? – szepnął Harry do Charliego Kingsleya.

- Nie martw się – uspokoił go.
- A ci czterej tutaj są uzbrojeni?
- Nie.

Samolot dotknął pasa, odbił się od niego i zaczął toczyć się po betonie w wielkim huku wyjących silników. Harry o mało się nie przewrócił.

– Kołuj aż na koniec pasa – rozkazał Charlie Kingsley pilotowi, tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Minęli biały budynek, przed którym stał szeregiem co najmniej batalion wojska w paradnych mundurach, z białymi, skórzanymi pasami z bawolej skóry. Wszędzie wokół starannie wypucowane krwistoczerwone mercedesy błyszcząły pełnym blaskiem, tak samo jak mosiężne trąby orkiestry dętej.

Boeing 737 zwalniał. W końcu znieruchomiał, dokładnie na końcu pasa, o kilka metrów od brzegu jeziora.

Harry Shulz wyskoczył z kabiny pilotażu i odryglował drzwi wyjściowe. Położył pistolet maszynowy na podłodze, usiadł, dobrze obliczył rozbieg, potem skoczył i opadł na betonowy pas na równe nogi. Dystans, jaki dzielił go od ziemi, był znaczny, a kiedy dotknął jej stopami, miał wrażenie, że pękały mu wszystkie kości.

Charlie Kingsley rzucił mu pistolet maszynowy, karabin, torbę z amunicją i wyskoczył. Ale źle wylądował i podniósł się z ziemi, kulejąc.

- Dobry Boże! – jęknął. – Co za ból!

Kątem oka Harry dostrzegł wyłaniającego się zza kępy drzew rosnących o sto metrów od drogi startowej cadillaca Sangsowono Batuyamaty. Samochód mknął tak, jakby chciał wygrać wyścig o Puchar Indianapolis.

W tym momencie Harry usłyszał za plecami wycie syren. Odwrócił się szybko. Dwa jeepy pędziły na złamanie karku po pasie lądowiska, prowadząc jakieś pół tuzina mercedesów. Zgrzytający hamulcami cadillac zatrzymał się nagle przed Harrym, a w drzwiczkach samochodu ukazała się przerażona twarz adwokata.

- Co się dzieje? – krzyknął.

Nie odpowiadając, Harry Shulz i Charlie Kingsley zabrali swoją broń i torbę z amunicją, a potem zniknęli we wnętrzu cadillaca, osuwając się na tylne siedzenia samochodu, zajęte już przez dwoje dzieci adwokata. Siedząca obok niego żona cała dygotała ze strachu.

- Niech pan rusza w kierunku przystani! – rozkazał pośpiesznie Harry Shulz.
- Ale gdzie jest ten, któremu miał pan pomóc opuścić kraj? – zaoponował Sangsowono Batuyamata. – Gdzie on jest?
- Ruszaj! – krzyknął Harry Shulz.

Adwokat natychmiast wykonał polecenie.

– To był żart – podjął Harry Shulz. – Nikomu nie miałem pomóc w opuszczeniu kraju. Szybciej!

Sangsowono Batuyamata zdusił pedał gazu.

– Ale... więc jak to? – wyjąkał wreszcie.

– Co to dla pana za różnica? – rzucił Harry Shulz opryskliwie. – Ja dotrzymałem słowa, prawda? Właśnie pomagam panu opuścić ten kraj. Więc co pana obchodzi cała reszta?

– Pan mnie okłamał! – oskarżył go adwokat.

– Co to ma za znaczenie? Liczy się jedynie rezultat.

Zbliżali się do przystani na brzegu jeziora. Jakiś kuter motorowy z narodową flagą na rufie kołysał się łagodnie na wodzie, obijając się o drewniane pale pomostu. Na mostku stała grupka marynarzy, a ich spojrzenia koncentrowały się na cadillacu. Żaden z nich nie był uzbrojony.

– A dożywotni prezydent-marszałek? – zauważył nagle adwokat, jak gdyby ogarnęło go niespodziewane natchnienie.

Harry Shulz wybuchnął śmiechem.

– Nie żyje.

– Nie żyje?

– Tak jak powiedziałem.

Postawa Sangsowono Batuyamaty uległa radykalnej zmianie.

– Czy to pan go zabił?

Nie było żadnego powodu, żeby nadal oszukiwać adwokata. Więc potwierdził.

– To dlatego przyjechał pan do naszego kraju... – wyszeptał adwokat. – Chciał pan pomścić pana Kremera. Albo raczej, co bardziej prawdopodobne, to on pana poprosił, żeby zrobił to pan za niego.

– Być może.

– Należy pan do tej samej kategorii ludzi, co pan Kremer i...

– Gazu! Nie mamy czasu do stracenia!

– Nigdzie z panem nie wyjeżdżam! – powiedział dobitnie Sangsowono Batuyamata.

– Co takiego?

– To nie ma z panem nic wspólnego. Czy pan nic nie rozumie?

– Nie.

– Jeśli ten łajdak Kradinowoto nie żyje, to ustrój polityczny naszego kraju zmieni się.

Harry Shulz zauważył z rozbawieniem, że adwokat, który do tej pory zawsze używał terminu „dożywotni prezydent-marszałek”, gdy wymawiał nazwisko zmarłego szefa państwa, teraz, kiedy ten już nie żył, nazywał go „ten łajdak Kradinowoto”.



– Kraj będzie potrzebował nowych, uczciwych ludzi. W tym nowym porządku prawnym i dla mnie znajdzie się miejsce – mówił dalej Batuyamata.

– A czy nie obawia się pan, że zanim oni spostrzegą, że potrzebują nowych i uczciwych ludzi, zdążą wykończyć pana i pańską rodzinę za to, że zawiózł nas pan na przystań? – zasugerował perfidnie Harry Shulz. – Obyczaje nie zmieniają się tak szybko!

Na wargach Sangsowono Batuyamaty zaigrał chytry uśmiezek.

– Niech pan nie zapomina, że jestem adwokatem. Będę wiedział, jak z nimi rozmawiać.

Harry Shulz sceptycznie wzruszył ramionami.

– Jak pan chce. Jesteśmy na miejscu. Proszę nas tutaj wysadzić.

Charlie Kingsley i Harry Shulz w pośpiechu wyskoczyli z bronią i amunicją z cadillaca. Pobiegli na pomost przystani, przeskoczyli przez nylonową linkę i dotarli na mostek kutra. Jego załoga była zajęta wykonywaniem odwrotnego manewru. Marynarze, ile sił w nogach, pobiegli na spotkanie jeepów i mercedesów, które przy wtórze przeraźliwego zawodzenia syren, zmierzały z ogromną szybkością w stronę przystani. Jeden z marynarzy nadział się na osłonę chłodnicy jakiegoś jeepa i pofrunął w powietrze, zanim nie opadł z powrotem na ubitą ziemię, niczym rozłożony na części pajacyk.

Charlie Kingsley zajął się uruchamianiem silnika, kiedy Harry kładł się na mostku, mając w zasięgu ręki karabin z celownikiem optycznym i pistolet maszynowy. Harry Shulz schwycił spokojnie karabin, ustawił celownik i wymierzył. Kierowca pierwszego jeepa dostał kulę w sam środek czoła, a jego pojazd wpadł prosto do jeziora i znikł w bryzgach piany.

Kierowcę z drugiego jeepa spotkał ten sam los, z tą jednak różnicą, że tym razem jeep rozbił się o jeden ze słupków, jakie oznaczały wjazd na teren przystani. Potem przysła kolej na kierowców trzech mercedesów, których spotkało to samo. Pozostałe pośpiesznie zawracały.

Trzech żołnierzy, którzy wypadli z impetem z drugiego jeepa, biegło naprzód do przystani. Zgięci wpool, z wymierzoną przed siebie bronią. Harry Shulz odrzucił karabin i sięgnął po pistolet maszynowy. Puścił długą serię. Tamci trzej padli martwi na pomost. Kiedy ucichło echo wystrzałów, usłyszał silnik warczący na pełnych obrotach.

– Gotów! – wrzasnął Charlie Kingsley.

Harry Shulz wycelował w linę cumowniczą i opróżnił resztę magazynka, aby ją przeciąć. Kiedy Charlie Kingsley odbijał od brzegu, start był tak gwałtowny, że stracił równowagę i upadł na pokład. Podnosząc się, przyjrzał się oddalającemu się brzegowi jeziora. W oddali spostrzegł cadillaca adwokata. Samochód zatrzymano. Z jednego z jeepów wyskoczyli żołnierze.

Otworzyli drzwiczki cadillaca. Sangsowono Batuyamata i członkowie jego rodziny wysiadali z wozu. Popchnięto ich na maskę samochodu. Żołnierze cofnęli się, unieśli broń, wymierzylili...

Harry Shulz odwrócił wzrok.

Co za dureń z tego adwokata! – pomyślał. Tak głupio rzucić się w objęcia śmierci! Razem z żoną i dziećmi! Zamiast posłuchać jego rady, jego, Harry'ego Shulza, który tak dobrze znał życie i ludzi.

– Zajmiesz się mapami? – krzyknął Charlie Kingsley. – Weź je. Są w mojej tylnej kieszeni.

Granica była niedaleko. Przy dobrej pracy silników mogli dopłynąć w ciągu dwudziestu minut. Jezioro należało do trzech nadbrzeżnych państw. Na szczęście najbliższe z tych trzech państw miało zupełnie inny ustrój polityczny niż to, które właśnie opuszczali.

Stamtąd Charlie i on będą mogli...

Jakiś szmer sprawił, że zadygotał. Podniósł wzrok. Helikopter „Alouette” produkcji francuskiej. Miał sylwetkę olbrzymiego chrabąszcza rysującą się na błękitnym niebie. Szybko schwycił karabin z celownikiem. Załadował go ponownie i czekał, ukryty za ścianką kabiny.

Helikopter zanurkował prawie do poziomu powierzchni wody i zaczął ostrzeliwać kuter. Fruwające wokół kawałki drewna nie przeszkodziły Harry'emu wycelować w głowę pilota. Plastikowa szyba przyozdobiła się gwiazdkami, a helikopter zanurkował gwałtownie dziobem w dół. Karabiny maszynowe natychmiast umilkły. Rozległ się wielki plusk i pokład kutra załaty olbrzymie strumienie wody, kiedy helikopter pogrążył się na dnie jeziora.

– Kurwa mać, co za burdel! – sarknął Charlie Kingsley.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Harry Shulz.

– Nie dość, że skrzyłem sobie kostkę, skacząc z samolotu, to jeszcze teraz oberwałem w biodro!

Harry Shulz przyjrzał się uważnie krwawiącej ranie.

– Wyrwało ci kawałek ciała, to wszystko – stwierdził. – Arteria i kości są nienaruszone. Za to twoje spodnie nadają się do wyrzucenia.

Charlie Kingsley roześmiał się szyderczo.

– Teraz będę mógł sobie ich kupić całe tuziny za te trzydzieści tysięcy dolarów.

Harry Shulz zabandażował ranę najlepiej, jak mógł, nie przejmując się grymasami swojego kumpla. A chwilę później spostrzegł pośrodku jeziora skałę, która oznaczała granicę wód terytorialnych, a zatem i granicę państwa.

– Dopłynęliśmy – oznajmił.

– Mimo wszystko miałeś świetny pomysł, aby przekazać przez radio, żeby trzymali w pogotowiu kuter motorowy marszałka-pajaca! – powiedział z podziwem Charlie Kingsley.

– Ale ty również odwaliłeś kawał roboty, gdy ściągnąłeś te mapy, przestudiowałeś okolicę i odkryłeś to jezioro! – pogratulował mu Harry Shulz.

– Uff! Nareszcie wydostaliśmy się z tego paskudnego kraju! – ucieszył się Charlie Kingsley, kiedy kuter minął skałę.

Harry Shulz zdjął flagę narodową, która wciąż powiewała na rufie.

Drzewce było na wpół stoczone przez kule z karabinu maszynowego wystrzelone z helikoptera. Wrzucił je wraz z flagą do wody. Nikt nie musiał wiedzieć, skąd przybywali.

Chwilę później Charlie Kingsley wprowadził kuter do koryta rzeki, jaka brała swój początek w jeziorze, i po trwającej dwie godziny podróży zakolami rzeki, dobili do morza. Na prawo od ujścia rzeki widać było średniej wielkości port, do którego prawdopodobnie nie dotarła jeszcze nowina o śmierci dożywotniego prezydenta-marszałka Kradinowoto I.

Charlie Kingsley poszedł do lekarza w miasteczku na opatrunek, a Harry Shulz prowadził w tym czasie ciche negocjacje z dowódcą pewnego somalijskiego frachtowca. Za godziwą opłatą komendant zgodził się w końcu zabrać ich obu na pokład.

Zaokrętowali się tego samego dnia, wieczorem. Kapitan był Somalijczykiem, a załoga składała się z Jemeńczyków, Etiopczyków i Kenijczyków. Same zakazane twarze. Ale Harry Shulz i Charlie Kingsley nie dbali o to. Mimo że przed wejściem do portu wyrzucili do wody karabin maszynowy i karabin z celownikiem optycznym, to jednak mieli jeszcze do dyspozycji pióra wieczne na cyjanek i specjalny model trzydziestki ósemki.

Trzy dni później zeszli na ląd w Durbanie, w Afryce Południowej.

Joey Graal odłożył słuchawkę telefonu.

– To był „Cashmere”\* – szepnął na ucho Dave'owi Chensky'emu.

\* Cashmere – w jęz. ang. dosłownie kaszmir, ale także gra słów „cash” i „mere”. Tutaj, w żargonie płatnych morderców, oznacza tego, który płaci gotówką za wykonanie kontraktu (przyp. aut.).

Tamten skinął głową.

– A więc? – spytał.

– Zmywamy się.

– Okay.

Kerstin Lundqvist, jej mąż i brat zajęci byli popijaniem dzinu z rumem.

- Wasze męczarnie skończyły się – zaczął Joey Graal, wchodząc do salonu.
- Skończyły się? Co pan chce przez to powiedzieć?

Zbladła, kiedy w dłoniach Dave'a Chensky'ego i Joey'a Graala zobaczyła pistolety.

- Co zamierzacie zrobić? – wyjąkała z przerażeniem.

– Mam wam przekazać wiadomość – powiedział Joey, wymawiając dobitnie każdą sylabę. – Wiadomość pochodząca od tego, z którym dobiliście targu. Był wobec was w porządku. Przekazał wam umówioną sumę pieniędzy. Kolej na was, żebyście dotrzyмали waszej partii umowy. Siedźcie cicho. Zapomnijcie o całej historii. Skorzystajcie z pieniędzy. Na pewno znajdziecie wiarygodne wytłumaczenie dla Gustaffsson Air Co., aby uwierzytelnić waszą wersję wypadków. Ratujecie życie za jedną cenę: milczenie.

Obaj z Davem Chenskym ruszyli do drzwi.

Kiedy tam dotarli, odwrócili się na pięcie, wciąż trzymając wycelowaną w tamtych broń.

– Zapomniałem wam przekazać coś jeszcze – rzucił Joey Graal szyderczym tonem. – W razie gdybyście nie dotrzyмали warunków kontraktu, jaki zawarliście z moim przyjacielem, wrócimy do Sztokholmu. A jeśli by was tutaj nie było, znajdziemy was w każdym innym miejscu na ziemi. Jeszcze nie wiecie, jak bardzo jesteśmy cierpliwi i zawzięci w odnajdywaniu tropu zwierzyny, którą kazano nam zabić.

Schowali pistolety do futerałów i wyszli.

## ROZDZIAŁ X

Harry Shulz wysiadł z samolotu w Fort Jukon. Niebo było cudownie niebieskie, ale powietrze lodowate. Podniósł kołnierz futrzanej kurtki, jaką włożył na siebie przed opuszczeniem samolotu, ale jego nogi, chronione niezbyt grubymi, sztruksowymi spodniami, natychmiast poczuły powiew chłodu. Jak wszyscy nowojorczyści był przyzwyczajony do niskich temperatur, ale mimo wszystko nie do takiego zimna.

Jak daleko mógł sięgnąć pamięcią, nie przypominał sobie, aby kiedyś zapuścił się równie daleko na północ.

Zaraz po opuszczeniu lotniska, kazał się zawieźć taksówką do najlepszego hotelu w miasteczku i po gorącym prysznicu zszedł do hallu, odszukał recepcję i stanął przed siedzącą tam pracownicą. Jak zwykle, na jego twarzy pojawił się czarujący uśmiech. Dziewczyna uniosła głowę, przyjrzała mu się aprobująco i

spytała: – W czym mogę panu pomóc?'

– Chciałbym dotrzeć w rejon Trout Lake.

Przymrużyła oczy.

– Trout Lake?

– Otóż to.

– Ależ żaden turysta nigdy nie wyrusza w tamten rejon!

– Nie jestem turystą.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Co pan zamierza robić w Trout Lake? To jest pustkowie!

– Będę łowił pstrągi.\*

\* Trout – pstrąg (ang.).

Przełknęła ślinę.

– Ależ z pana dowcipniś!

– Nie, wręcz przeciwnie, jestem niezwykle poważny. Naprawdę chcę dotrzeć w rejon Trout Lake.

– Naprawdę? Nie żartuje pan sobie ze mnie?

– Nie mam najmniejszego zamiaru.

– Czy pan po raz pierwszy przyjechał na Alaskę?

– Tak, ale co to ma do rzeczy?

– Bardzo dużo! Skąd pan jest?

– Z Nowego Jorku.

– Więc pan sobie wyobraża, że Alaska to jak stan Nowy Jork? Że można się tutaj przemieszczać tak jak z Brooklynu na Manhattan?

– Niezupełnie. I właśnie dlatego przychodzę do pani po poradę.

Zerknął ukradkiem na jej gładko zaczesane włosy, czarne jak skrzydło kruka, lekko skośne oczy, nieco płaski nos, okrągłą żółtawą twarz o wystających kościach policzkowych. W żyłach dziewczyny niezaprzeczalnie płynęła indiańska krew. Musiała pochodzić z tych stron.

– Pani na pewno zna Alaskę jak własną kieszeń – zaczął.

Uśmiechnęła się.

– Nie aż tak dobrze, ale znam dobrze niektóre tereny.

– Zna pani okolice Trout Lake?

– Nie, ale słyszałam o nich sporo.

– Niech pani będzie tak miła i powie mi, jak tam trafić.

Westchnęła.

– Jest tylko jeden sposób.

– Jaki?

– Poszukiwacze ropy naftowej.

Zdziwiony, uniósł brew.

- Poszukiwacze ropy naftowej? Jak to?

Johnny Kremer nigdy mu nie mówił o poszukiwaczach ropy naftowej. Prawdą było, że czas ich naglił i że Johnny nie mógł mu szczegółowo przekazać, w jaki sposób najlepiej dotrzeć do Trout Lake.

– Służba łączności nafciarzy – wyjaśniła dziewczyna. – Continental Oil Drilling Company. To nazwa spółki. Jeżdżą codziennie w rejon odwiertów. Mają samochody terenowe, zaopatrzone w specjalne urządzenia pozwalające im poruszać się o każdej porze roku, na jakimkolwiek terenie; w zimie też niemal każdego dnia, a gdy warunki atmosferyczne czasami nie pozwalają im na to, miejsca odwiertów są zaopatrywane w żywność za pomocą małych samolotów, które latają na bardzo małej wysokości.

– To wszystko jest interesujące... A czy pani zdaniem to jedyny sposób, by dotrzeć do Trout Lake?

- Nie widzę innego.
- A czy biorą pasażerów?
- To można uzgodnić.

Uśmiechnął się jeszcze bardziej.

- Mogłaby mi pani to załatwić?
- Kiedy chce pan wyjechać?
- Jutro.

Sięgnęła po telefon i wykręciła numer.

- Pańskie nazwisko?
- William Carroll.

Było to nazwisko, którym przedstawił się już Kerstin Lundqvist. Nie istniał żaden powód, aby jeszcze raz nie posłużyć się nim.

Recepcjonistka rzuciła do telefonu kilka szybkich słów, potem spojrzała na niego, odkładając słuchawkę.

– Sprawa załatwiona – oświadczyła. Nagryzmoła jakieś informacje na kartce papieru i podała mu ją. – Jutro rano, o dziewiątej, w tym miejscu.

- Dziękuję.

Udał zażenowanego.

- Jest pani mężatką?

Zesztywniała.

- Dlaczego pan pyta?

Nalegał:

- Proszę tylko odpowiedzieć: tak lub nie.
- Tak.

– Doskonale. Więc musi pani wiedzieć, jak powinien ubrać się mężczyzna, żeby nie zamarzł, gdy udaje się do takiego miejsca jak Trout Lake?

Odetchnęła z ulgą.

– Oczywiście!

Wręczył jej kartkę papieru.

– Niech pani będzie tak dobra i zrobi mi ich listę.

Spełniła jego prośbę już bez wahania. Wziął kartkę papieru i obracając się na pięcie, rzucił:

– Kiedy wrócę, przywiozę pani kilka pstrągów!

Harry Shulz wyszedł z hotelu i w sklepach w Fort Yukon kupił wszystkie artykuły, które dziewczyna z recepcji umieściła na liście. Dorzucił do tego jeszcze kilka rzeczy od siebie.

Nazajutrz rano Harry stanął się na wyznaczone miejsce spotkania. Wsiadł do „międzynarodowego” autobusu o wysokim zawieszaniu, przypominającego nieco kształtem skrzynię na mydło.

Na siedzeniach rozłożyły się już kilkunastu pracowników szybów naftowych należących do ekip zmianowych, którzy, co było widać po ich zmęczonych twarzach, wykorzystali do maksimum swą ostatnią noc w Fort Yukon, zanim przyszło im stanąć twarzą w twarz z samotnością pozbawionego kobiet życia na polach naftowych.

Autobus ruszył, a wyprzedzało go jakieś pół tuzina innych pojazdów.

– Pieprzony burdel i kupa gówna! – wykrzyknął nagle z silnym akcentem z Oklahomy jakiś głos. – Koniec z nocnymi wypadami do knajp Fort Yukon! Tak, chłopaki! Posłuchajcie więc! Wczoraj wieczorem poderwałem sobie rasową babkę, trzeba było to widzieć! Eskimoska! Cuchnęła tłuszczem foki, ale była bezkonkurencyjna! Pewnie marzła w swoim igloo, ale jak tylko znalazła się pod mną, musiała się nieźle rozgrzać! Ej! Chłopaki! Słyszycie mnie?

Ale wszyscy, wyraźnie zniechęceni, nasunęli na czoła futrzane czapki i drzemali, aby nieco odespać zarwaną noc.

Harry Shulz oparł się futrzanymi butami o niezajęte obok niego siedzenie i uczynił to samo. Nie wiedział dlaczego, ale lodowate powietrze Alaski zdawało się wciąż go usypiać. Być może było zbyt rześkie?

Obudził się po południu. Ktoś podsunął mu paczkę sandwiczów i termos gorącej kawy. Zjadł kanapki, wlał do kawy połowę płaskiej butelki whisky i wypił wszystko.

Podczas podróży dwukrotnie zatrzymali się na przystankach, na których wysiadła większość pracowników. Za każdym razem następowało to w pobliżu szybów wiertniczych, których wyniosłe wieże pięły się na mroźnym powietrzu. Część pojazdów została rozładowana, podczas gdy wiertacze szybów z ekipy zmienników ciągnęli powoli w stronę baraków obozowiska z ponurymi minami, dźwigając na barkach ekwipunek.

Od kierowcy autobusu Harry Shulz dowiedział się, że wiertacze zmiennicy, którzy przepracowali bez przerwy dwadzieścia jeden dni i którzy mają teraz siedmiodniowy urlop, spędzany w Fort Yukon, zabierani są po drodze przez powracający nazajutrz autobus.

– Co za życie mają ci chłopczy! – westchnął kierowca. – Zwłaszcza w zimie.

Zapadała już noc, kiedy autobus dotarł do celu. „Campboss”, załatwiwszy pokój dla Harry'ego, zaprowadził go prosto do kierownika. Był to olbrzym mówiący ciężkim teksańskim akcentem. Miał kanciastą twarz i czaszkę tak zdeformowaną, jak tor wyścigu motocrossu. Zdawało się, że zaraz wyrzuci z siebie jakieś przekleństwo. Harry klepnął go po ramieniu.

– Zapraszam pana na kolację, panie Carroll!

Tekszańczyk, który nazywał się Gene Hawks, utrzymywał się przy życiu jedynie dzięki whisky. Skończył swoją pierwszą butelkę w tym samym czasie co stek z cebulką, co nie zdawało się robić na nim większego wrażenia niż świergot ptaków na słupie telegraficznym.

– Tylko tak tutaj można wytrzymać! – skomentował powściągliwie, nalewając sobie chochłą olbrzymią dawkę kompotu z jabłek.

Harry Shulz skinął głową.

– Wykonujecie cholerny zawód!

Gene Hawks jednym ruchem otworzył drugą butelkę whisky.

– Tak, ale najpiękniejszy zawód! Ten zawód pozwala mi zobaczyć cały świat! Od Arabii Saudyjskiej po Alaskę. Ale tu cholernie ciężko dziurawi się te okropne zmarzliny! Czy pan wie, że jeden odwiert na Alasce kosztuje sto razy więcej pieniędzy niż jakikolwiek inny odwiert w pozostałych czterdziestu dziewięciu Stanach?

Czknął głośno.

– Lepiej opowiem panu dobry numer!

Zręcznie zmienił temat rozmowy, tak jak to czynią ludzie, którzy lubią dużo gadać.

– Proszę sobie wyobrazić, że pewnego dnia wierciliśmy szyb próbny w Rio de Oro... Klozety w baraku z toaletami były zapchane. Należało to robić na łonie natury. No i pewnego wieczoru zachciało mi się zdjąć spodnie i co robię? Idę poza teren obozu, w jakiś ciemny kąt za piaskową wydmy, tam gdzie zazwyczaj kucharze wylewali nieczystości z kuchni. Spuszczam spodnie i... co za pech! Nie uwierzyłbym nikomu w taką historię!... Była tam właśnie hiena, uczująca na kuchennych resztkach pożywienia! Musiała się przestraszyć.

Krótko mówiąc, wbiła mi te swoje cholerne kły w lewy półduppek i tak zostawiłem w jej pysku pół funta mięsa! Dlatego odtąd muszę siadać na ukos! Zawsze na prawym półdupku.



Westchnął.

– Więc, ot tak sobie, chce pan dotrzeć do Trout Lake?

Harry Shulz potwierdził skinieniem głowy.

Gene Hawks napełnił obie szklanki i podniósł swoją.

– Wznoszę toast... Toast irlandzki...

– Który? Znam ich sporo.

– Ale tego pan nie zna!

– Wał pan.

– Życzę panu, by dotarł pan do nieba pół godziny wcześniej, nim diabeł dowie się, że pan nie żyje!

Harry Shulz wybuchnął śmiechem.

– Czy ten region jest aż tak niebezpieczny?

– Najgorszy. Wciąż wieje tam wiatr, tworząc śnieżne zaspę. Nawet latem jezioro rozmarza tylko na samej powierzchni. Dobry Boże, dlaczego pan pakuje się do takiej dziury? Proszę nie zapominać, że było już wiele przypadków obłędu, wywołanych odbiciem promieni słonecznych na śniegu i gwałtowną siłą wiatru. Nie wiedzieć dlaczego, faceci dostawali kręčka.

– Jadę tam zrobić fotoreportaż dla pewnego magazynu – odparł Harry Shulz uśmiechając się dobrotliwie. – Zdaje się, że tam spotkać można całkiem niezłe okazy białych wilków, srebrnych lisów, jeleni wapiti...

– To prawda, są w tundrze.

– Mój sprzęt fotograficzny jest specjalnie przystosowany do robienia zdjęć na śniegu, gdy świeci słońce.

– Ale ten pański sprzęt nie uchroni pana przed obłędem!

Harry Shulz już przedtem wymyślił sobie tę bajeczkę. Miał nawet sprzęt fotograficzny w swoich bagażach, aby wydać się bardziej wiarygodnym.

– Więc jak mógłbym się dostać do Trout Lake? – spytał.

– Potrzebuje pan przewodnika i sanie z psim zaprzęgiem.

Harry Shulz z roztargnieniem przełknął kęs mięsa.

– Czy to jest do załatwienia?

Gene Hawks skinął głową.

– Po skończonej pracy, a wie pan, że siedzą tutaj całe trzy tygodnie bez przerwy, moi chłopcy udają się w ciepłej porze roku na polowanie, tak jak teraz. W tamtych okolicach zawsze jest kilku Indian, którzy obozują i czekają na klientów. Rozłożyli się nieopodal naszego obozowiska i moi chłopcy zwracają się do nich, kiedy chcą polować na płową zwierzynę. Zawsze urozmaica to codzienny jadłospis, ponieważ, jak pan się pewnie przekonał, jest on tutaj w kantynie dość ubogi. Ci Indianie dysponują niezbędnym sprzętem. Mają sanie i psy. I znają okolicę jak własną kieszeń. Wiedzą nawet, jak wypłoszyć świstaka śpiącego w norze trzy stopy pod śniegiem.

– A gdybym jutro rano skontaktował się z jednym z nich, czy dałoby radę za dnia udać się do Trout Lake?

– Nie ma sprawy, Biały Kle, załatwione. A na razie skończymy tę cholerną butelkę whisky!

Harry Shulz spędził spokojną noc i nazajutrz rano obudził się rześki i wypoczęty. Zaczął swój dzień od wyciągnięcia z neseserów z przyborami toaletowymi i lekarstwami różnorodnych części składowych swojej specjalnej trzydziestki ósemki, po czym zajął się ich złożeniem. Następnie opróżnił pudełko z czopkami i zdrapał twardą warstwę, jaka powlekała kule. Gdy skończył tę operację, zanurzył kule w alkoholu, aby pozbawić je cienkich błonek, którymi zostały powleczone, i załadował pistolet.

Wsunął go za pasek pod grubą, futrzaną kurtkę kanadyjkę, kupioną w Fort Yukon, którą właśnie na siebie włożył.

Nigdy nie wiadomo! Ostrożność nie zawadzi!

Potem Shulz dogadał się z dwoma indiańskimi przewodnikami, którzy zgodzili się zawieźć go do Trout Lake za sto dolarów dla każdego i premię w wysokości pięćdziesiąt dolarów, jeżeli uda się im tam dotrzeć i powrócić tego samego dnia.

Pozostawił bagaże w pokoju, który oddano do jego dyspozycji, i wziął ze sobą tylko skórzaną torbę wypełnioną narzędziami oraz sprzęt fotograficzny. Ciepło odziany, obuty w futrzane botki, zasiadł w jednej parze sań.

Indianin, który usadowił się za jego plecami, nazywał się Agidomo. Wydał przeciągły, melodyjny okrzyk i zaprzęg ruszył.

Harry Shulz, nieco zdziwiony, zorientował się, że zaprzęg składał się z ośmiu psów, zestawionych parami po dwa, opasanymi skórzanymi rzemieniami, podczas gdy dziewiąty pies w podwójnej uprzęży biegł na czele.

Odwrócił się do Agidomo.

– Dlaczego na czele biegnie tylko jeden pies? – spytał.

– To lider – odpowiedział Agidomo chropowatym akcentem.

– Lider?

– Starszy samiec. Te cztery psy za nim, to młode samce. Cztery ostatnie psy, to samice. Starszy samiec pociąga za sobą inne, zawsze tak się zaprzęga.

Harry Shulz wsunął się głębiej pod grube derki i oparł kark o podgłówek. Lodowate powietrze smagało mu twarz. Okrył się, jak najlepiej potrafił i natychmiast poczuł, że ogarnia go senność.

To dziwne – pomyślał – jak usypiająco działał na niego klimat Alaski!

Obudził się po południu. Ktoś nim potrząsał. Otworzył oczy.

Agidomo podawał mu kubek gorącej kawy.

– Już niedaleko. Za godzinę chyba dotrzemy... – rzekł, utkwivszy wzrok w łożnianym niebie, na którym zebrały się ciężkie chmury.

Harry Shulz, pijąc kawę, oparzył sobie usta. Po chwili i on podniósł wzrok ku niebu.

- Czy to niebezpieczne? – spytał.
- Burza śnieżna. Wieje wiatr z północy.
- Jak prędko nadejdzie?
- W połowie drogi powrotnej. Trzeba się śpieszyć. Skończył pan pić kawę?

Harry Shulz oddał mu kubek, a Agidomo znowu wydał przeciągły, modulowany gwizd. Psy ruszyły naprzód. Za nimi sunęły po śniegu drugie sanie. Teraz dmuchał zimny, północny wiatr, który okrutnie kąsał ciała.

Harry Shulz poprawił na oczach olbrzymie okulary motocyklisty. Jego twarz chroniła gruba wełniana czapka narciarska, zakrywająca głowę i szyję.

Prognoza Agidomo okazała się trafna. W godzinę później dotarli do brzegu jeziora. Była to jedna wielka zlodowaciała powierzchnia.

Harry Shulz zdjął okulary i badawczo przyjrzał się okolicy. Prawie natychmiast dostrzegł leżący na południu skalisty cypel, na którym, pod wpływem letniego słońca, stopniał śnieg. Cypel o kształcie głowy żyrafy, którego czarne kontury odcinały się na białych stalaktytach zwisających z garbu śnieżnej zasy obok.

Harry Shulz uśmiechnął się.

Milion dolarów czekał w zasięgu ręki.

Odrzucił nakrycia i pomimo ciepłych ubrań, jakie miał na sobie, od razu poczuł na całym ciele dreszcz chłodu.

Dłoń Agidomo uczepiła się jego ramienia.

– Rakiety.

Harry Shulz spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Rakiety?

– To jest lato. Śnieg topnieje. Jest zbyt miękki, żeby iść bez rakiet. Proszę...

Wręczył mu parę rakiet.

– Proszę je włożyć na nogi. Niech pan nasunie te metalowe wiązania na czubki butów.

Harry Shulz wysiadł z sań i wykonał polecenie. Następnie wziął swoją skórzaną torbę pełną narzędzi i z trudem ruszył w stronę skalistego cypla. Wiatr świstał z tak gwałtowną siłą, że miał wrażenie, iż spycha go z powrotem do sań. Znowu nasunął okulary na oczy i z wtuloną w ramiona głową, wybierając krok kaczki z powodu szerokich rakiet, zaczął walczyć z wiatrem, aby dotrzeć do skalistego cypla.

Dotarł tam po pewnym czasie, który wydał się mu całą wiecznością. Ostrożnie wspiął się na strome zbocze i przystanął. Grota rzeczywiście była w miejscu, jakie wskazał Johnny. Wejście do niej było częściowo zawałone olbrzymimi

lodowatymi bryłami, a otwór, jaki powstał wskutek topnienia zlodowaciałego śniegu, był za mały, żeby można było wejść do środka.

Ale Harry Shulz przewidział taką ewentualność.

Postawił przed sobą skórzaną torbę i otworzył ją. Wyjął z niej kilof i siekiere. Przy pomocy obu narzędzi udało mu się powiększyć największą dziurę, jaką ciepłe promienie słońca wydrążyły w zlodowaciałej ścianie. Po chwili stwierdził, że tak wydrążona przestrzeń była wystarczająca, aby przez nią przejść

Harry pozostawił narzędzia i prześliznął się przez otwór. Przedtem jednak zdjął okulary i zapalił latarkę, którą wyciągnął ze skórzanej torby. Grota załamywała się pod kątem prostym. Odwrócił się, a podmuch ciepłego powietrza natychmiast rozkosznie uderzył go w twarz.

Przypomniał sobie wówczas to, co powiedział Johnny Kremer:

„Czy wiesz, jaka temperatura panuje we wnętrzu groty?”

„Nie”.

„Dwadzieścia stopni! Nadzwyczajne, co?”

I tak było. Ale było to też niebezpieczne, ponieważ tym razem już nie zimno go usypiało, ale panujące tutaj ciepło.

Otrząsnął się. Nie było mowy o tym, aby zasnąć tak blisko celu. Jego latarka przeszukała długi korytarz łagodnie schodzący w dół. Harry wszedł w wąskie przejście. Kończyło się ono małą, wygiętą w łuk rotundą, której podłoże gwałtownie opadało w stronę czeluści. Nie odważył się jednak przyjrzeć temu z bliska.

Nie musiał, ponieważ dwie torby, które powinny zawierać milion dolarów, leżały tutaj, przed nim. Dwie zielone, nieprzemakalne torby, wyposażone w jakiś długi rzemień.

Harry zbliżył się do nich i końcem stopy odwrócił je na bok. Przez całą ich długość biegły zamki błyskawiczne. Ukłękł nad jedną z toreb i rozsunął zamek. Wypadł z niej plik banknotów. Zachwycony Harry skierował wiązkę światła latarki na zielone, spięte grube pliki banknoty.

Milion dolarów!

Zdjął rękawiczki i czule popieścił pliki banknotów.

Cholerny facet z tego Johnny'ego!

Dokładniej przyjrzał się plikom. Niektóre z nich zawierały banknoty studolarowe, inne tysiąc dolarowe, lecz tych ostatnich było znacznie mniej. Przypomniał sobie, że w bankach Stanów Zjednoczonych odnotowywano tożsamość osób, którym wydawano banknoty tysiąc dolarowe.

Pod tym względem Johnny był ostrożny.

Dobra, nie należało się tutaj rozsiadać!

Harry zaczął układać pakiety banknotów z powrotem do worka. Wkładał właśnie pierwsze, kiedy za plecami usłyszał stłumione kroki. Natychmiast obrócił się z wycelowaną przed siebie latarką. Ale niczego nie zobaczył.

Marszcząc brwi, pobiegł do korytarza. Jego latarka przeszukała ciemności, ale i tym razem nie zobaczył niczego podejrzanego. Wolnym krokiem wrócił po obie torby. Rozsunął futrzaną kanadyjkę i wydobył ukryty pod paskiem pistolet. Ukłękł znowu i położył go tuż obok.

Pośpiesznie włożył pliki dolarów z powrotem do torby, zasunął do końca zamek błyskawiczny i wstał, sięgając przedtem po broń. Zarzucił na ramiona paski obu toreb, a potem jedną dłonią ścisnął latarkę, a druga kolbę pistoletu. Wszedł w korytarz. Kiedy dotarł do wejścia do groty, przystanął. Zgasił latarkę i wsunął ją do kieszeni kanadyjki. Ruszył ostrożnie naprzód i wyjrzał na zewnątrz.

Niebezpieczne życie, jakie wiódł, rozwinęło w nim zmysł ostrzegawczy. Już wielokrotnie uratowało mu to życie. I tym razem zmysł go nie zawiódł.

Ktoś ukrywał się za bryłami lodu, jakie częściowo tarasowały wyjście z groty.

Nie widział go, ale go wyczuwał.

Agidomo? Czy też drugi Indianin?

Szybko pozbył się worków z pieniędzmi, położył jeden z nich za sobą i chwyciwszy drugi za ramię, zakreślił nim przed sobą i szybko wyrzucił go przez otwór. Niebieskawy błysk – i kilof, którego użył przedtem do skruszenia lodu, zagłębił się w worku. Tamten odrzucił go i skoczył do otworu.

Pistolet drgnął dwukrotnie w dłoni Shulza.

Ściskając go, wyszedł z groty. Tam czekał już Agidomo, wymachując nad głową toporem, którym Harry posłużył się do utorowania sobie drogi do wnętrza groty.

Harry Shulz uskoczył w tył i jego plecy uderzyły gwałtownie o skalną ścianę. Poczuł w całym ciele ból. Topór przeciął powietrze tuż przed nim, wrywając w przelocie jeden z guzików kanadyjki.

Harry wziął na cel drewniany trzonek i jego kula roztrzaskała go, odrzucając daleko w śnieg stalowe ostrze.

Agidomo, stojący z pustymi rękami, wytrzeszczył oczy.

– Nie ruszaj się – rozkazał Harry Shulz tonem nie znoszącym sprzeciwu. Trzymał pistolet wycelowany w brzuch Indianina.

Odczuwał przemożną chęć, aby spotkał go ten sam los, co jego towarzysza, który leżał martwy o kilka kroków dalej, z czaszką roztrzaskaną dwoma kulami wymierzonymi w środek czoła. Rozsądek wziął jednak górę. W jaki sposób mógłby zupełnie sam dotrzeć do wieży wiertniczej podczas nadchodzącej burzy?

Ta właśnie myśl powstrzymała go przed posłaniem kulki w łeb Agidomo.

– Interesuje cię ta forsa? – rzucił tym samym ostrym tonem.

Agidomo nie odpowiedział. Stał bez ruchu, bezradnie.

– Dobijemy targu – mówił dalej Harry Shulz. – Pięć tysięcy dolarów jest twoje, jeśli dziś wieczorem zawieszysz mnie z powrotem do wieży wiertniczej. Dostaniesz też to, co jestem ci winien. No i oczywiście premia oraz udział twojego kumpla. Razem pięć tysięcy trzysta dolarów. Zaokrąglimy do pięciu tysięcy pięćuset. Czy to ci odpowiada?

Oczy Agidomo rozbłyły.

– Odpowiada.

– Jeśli zachowasz się jak idiota, tym gorzej dla ciebie. Kulka w łeb, tak jak u twojego kumpla. Jeśli będę zmuszony, sam odnajdę drogę powrotną.

To nie była prawda, obaj dobrze o tym wiedzieli, ale trzeba było blefować.

– Zaciągniesz ciało twojego kumpla do groty i zostawisz je tam. Weźmiesz pierwsze sanie. Ja pojedę za tobą, kilka kroków dalej, w drugich saniach. Ty zajmiesz się dwoma zaprzęgami psów. Kiedy dotrzemy do szybu wiertniczego, opowiesz, że część jeziora była rozmrożona, że twój kumpel tego nie zauważył i zniknął w otworze pod lodem. Umarł natychmiast wskutek bardzo niskiej temperatury i poszedł prosto na dno. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Pamiętaj, że masz do wyboru: albo pięć tysięcy pięćset dolarów, albo kulkę w łeb... Na miejscu... Wyobraź sobie, co możesz zdziałać, mając pięć tysięcy pięćset dolarów. Wszystkie dziewczyny z Hollywood padną ci w ramiona!

Smagłą twarz Agidomo rozjaśnił uśmiech.

– Hollywood! – powtórzył zachwycony.

Kretyn nie wiedział, że studia filmowe w Hollywood były już od dawna zamknięte i że przyszłe gwiazdy filmowe przekwalifikowały się na kelnerki w kawiarniach albo fordanserki w podejrzanych kabaretach.

– Okay?

– Okay, panie Carroll.

Harry Shulz sięgnął ponownie po dwa worki, wyciągnawszy z pierwszego z nich ostrze kilofa, które się tam zagłębiło, i włożył na nogi rakiety, aby dotrzeć do sań, nie tracąc Agidomo z pola widzenia.

Usadowił się z tyłu na płozach sań, mimo że było bardzo zimno. Obawiał się bowiem, że zaśnie, jeśli zasiądzie w saniach. W zamian za to, obydwa worki były ukryte w ciepłe, pod narzutami.

Przeciągły, modulowany gwizd i sanie ruszyły. Zaczynał padać śnieg, a wiatr wiał jeszcze silniej niż przedtem.

Zwierzęta ze wszystkich stron uciekały przed burzą, aby szukać schronienia w swych zimowych legowiskach. Białe wilki, srebrne lisy, stada jeleni wapiti i karibu, śnieżne skoczki.

Przez długie godziny trwania powrotnej drogi do szybu wiertniczego, Harry Shulz niemal uwierzył, że nigdy już nie zobaczy Nowego Jorku. Wyteżył oczy zza ochronnych okularów przez zasłonę z płatków śnieżnych, śledząc wzorkiem poprzedzające go sanie sunące po lodowatej tafli. Panujący wokół chłód zapierał mu dech. Jego nogi, spoczywając na płozach, zeszywniały. Okrutnie dawało o sobie znać uczucie głodu i pragnienia. Potworny ból miażdżył mu kark, a ostre strzykania chłostały plecy dokładnie w tym miejscu, w którym uderzył o skalną ścianę, kiedy Agidomo rzucił się na niego, z uniesionym ku górze toporem.

Wreszcie spostrzegł przez zasłonę ze śniegowych płatków, spowodowaną przez burzę śnieżną, jakąś sylwetkę w kształcie ściętego stożka: naszpikowaną światłami wieżę wiertniczą.

Odetchnął z ulgą.

Agidomo dostał uzgodnione pięć tysięcy pięćset dolarów i pozostawił Harry'ego tuż przed obozowiskiem, po czym oddalił się pospiesznie z dwoma zaprzęgami psów.

Harry Shulz przenosił właśnie worki z pieniędzmi do swojego pokoju, kiedy wpadł na Gene'a Hawksa.

– Mam nadzieję, że miał pan dobrą sesję? – rzucił od niechcenia.

Harry Shulz mankietem kanadyjki wytarł nos, na którym osiadały płatki śniegu.

– Udało mi się zrobić kilka niezłych zdjęć. Redakcja magazynu powinna być zadowolona.

– To świetnie, panie Carroll.

Podniósł głowę w stronę nadbudowy szybu i zmrużył oczy.

– Jeśli o mnie chodzi, mam kłopoty. Dziś wieczór kolację zje pan sam.

– Jakie kłopoty?

– W jednej z dziur zaklinowało się wiertło. Na głębokości tysiąca ośmiuset metrów. Glinki plastyczne. Wlali kwasu, żeby poszerzyć otwór. Nie wiem, kiedy skończę tę cholerną robotę.

– Mimo wszystko życzę powodzenia, a jeśli nie zobaczę pana przed moim wyjazdem jutro rano, dzięki za whisky.

Gene Hawks wybuchnął śmiechem.

– I proszę mi wybaczyć ten irlandzki toast! Przypomina mi pan moją matkę!

Harry Shulz omal się nie zakrzusił.

– Pańską matkę?

– Mój ojciec miał zwyczaj mawiać: przeszkodzić mamie w zrobieniu czegokolwiek, to prawie tak, jak sprawić, żeby kogut nie zauważył świtu!

I Gene Hawks na swoich rakietach oddalił się w stronę wieży wiertniczej.

Kiedy Harry Shulz znalazł się w swoim pokoju, uważnie obejrzał worki. Nie były takie duże i zdecydował się nie rozkładać pieniędzy w bagażach. Zabierze je ze sobą do samolotu, jako podręczny bagaż. A w każdym razie nie powierzy ich bagażowemu. Ponadto uznał za znacznie bardziej bezpieczne to, żeby nie demontować swojego pistoletu. Dopiero jak powróci do Fort Yukon, rozmieści jego części w neseserach z przyborami toaletowymi i lekarstwami.

Kto wie, co mogło przyjść do głowy Agidomo?

Ale nazajutrz rano, gdy wsiadał do autobusu służb łączności, zorientował się, że nie musiał się niczego obawiać. Agidomo siedział na siedzeniu w głębi autobusu, pałac spokojnie papierosa, a u jego stóp leżała torba ze skóry karibu, w różnobarwnych, krzykliwych kolorach. Z jego rozmarzonego wyrazu twarzy Shulz wyczytał, że myśli zaprzętały mu już gwiazdy z Hollywood. Jednakże obecność Agidomo przeszkodziła Harry'emu zapaść w sen, chociaż miał na to przemożną chęć. Musiał czuwać nad dwoma workami pełnymi pieniędzy. Zadowolił się więc podziwianiem przez szybę białej, zlodowaciałej przestrzeni, przypominając sobie żar panujący w kraju zmarłego dożywotniego prezydenta-marszałka Wawasisadinatata Kradinowoto I.

Tego samego wieczora Harry Shulz dotarł do Fort Yukon, a następnego dnia był już w Nowym Jorku. Kiedy wysiadł z samolotu na lotnisku La Guardia, wśród zgiełku panującego w porcie zadał sobie pytanie, czy ktoś kiedyś odnajdzie ukryte w jaskini ciało Indianina.

## ROZDZIAŁ XI

Kryjówka, gdzie Harry Shulz schował milion dolarów, nie znajdowała się na dalekiej północy. Był to po prostu zbiornik na mazut w jego willi stojącej na uboczu, w Tarrytown w stanie Nowy Jork, którą zresztą odwiedzał niezbyt często, ponieważ znacznie bardziej wolał swój apartament na Park Avenue, komfortowy i przytulny, znajdujący się w okazałym budynku, chronionym od włamań przez starych, doświadczonych wyjadaczy.

Worki zawierające pieniądze były nieprzemakalne, ale dla pewności włożył je do większego impregnowanego worka, zanim ukrył je w zbiorniku.



Wcześniej zabrał z miliona dolarów trzydzieści tysięcy, które wysłał Charliemu Kingsleyowi, a także sto pięćdziesiąt tysięcy, aby zwrócić sobie koszty, jakie poniósł opłacając organizację TRAKS, Kerstin Lundqvist, Dave'a Chensky'ego i Joey'a Graala. Oprócz tego wziął piętnaście tysięcy na poczet pozostałych kosztów i dwieście tysięcy dolarów na te wydatki, które miały dopiero nastąpić.

Milion dolarów był już więc poważnie uszczuplony!

Kiedy włożył te worki do zbiornika na mazut, resztę popołudnia poświęcił na rozmyślanie.

Gdziekolwiek był Johnny Kremer, powinien być zadowolony.

„Obiekt” numer jeden, dożywotni prezydent-marszałek Wawasisadinatata Kradinowoto I, został wyeliminowany.

Pozostawało zająć się dwoma pozostałymi „obiektami”: Rolfem Robertsonem i panem X, którego tożsamość należało dopiero ustalić.

Jakie informacje mogły naprowadzić go na ślad Rolfa Robertsona?

Jedynie te, które przekazał Johnny Kremer. To znaczyło bardzo niewiele. Bo właściwie do czego te informacje się sprowadzały?

Johnny wyraźnie mu to powiedział: zanim zaangażował się w ten paskudny spisek, który kosztował go życie, przeprowadził wcześniej śledztwo dotyczące Rolfa Robertsona.

I czego się dowiedział?

Że Rolf Robertson był wyjątkowo, że nie liczył się z pieniędzmi i że w przeszłości organizował podobne zamachy w Azji i w Afryce.

Ale co konkretnie posiadał on, Harry Shulz?

Dokładne dane: adres Rolfa Robertsona, adres jego banku z numerem konta, nazwę panamskiego statku towarowego, jaki wynajął Robertson, aby Johnny i jego komandosi z TRAKS dostali się na miejsce akcji, nazwisko generała, dla którego Rolf Robertson zorganizował, kilka lat wcześniej, rewolucję w Peru.

W sumie nic szczególnie interesującego, z wyjątkiem adresu Rolfa Robertsona – pomyślał Harry Shulz. Najlogiczniejszą rzeczą, jaką należało teraz zrobić, to udać się tam natychmiast, spotkać Rolfa Robertsona i zmusić go do przyznania się, dla kogo pracował wtedy, gdy montował tę „bardzo specjalną operację”, w której Johnny i piętnastu innych z TRAKS wpadło w śmiertelną pułapkę.

A jeśli Rolf Robertson zacznie się opierać i nie będzie chciał wyjawiać całej prawdy, to Harry Shulz znał odpowiednie środki przymusu, które sprawiały, jak mógł się wielokrotnie przekonać, że najwięksi twardziele stawali się rozmowni.

Podjąwszy tę decyzję, powrócił do Nowego Jorku.

Nazajutrz rano wsiadł do samolotu lecącego do Miami. Poczekał w mieście na nadejście nocy, włączając się po zalanych słońcem ulicach, a o zmierzchu wziął taksówkę i kazał się zawieźć do Miami Beach, gdzie wysiadł przed modnym lokalem. Zaczekał, aż taksówka odjedzie i dotarł piechotą pod adres, jaki podał mu Johnny Kremer.

Willi była luksusowa i położona w rezydenckiej dzielnicy, gdzie nawet samochody zdawały się nie zakłócać swym warkotem albo gromkimi klaksonami wypoczynku rezydentów. Jedynymi oznakami ruchu ulicznego były ciche szmery i migotanie samochodowych reflektorów.

Harry Shulz przez dłuższą chwilę przyglądał się uważnie białej fasadzie willi, ubarwionej chińskimi cieniami drżącego listowia palm kokosowych, podświetlanych przez stojące na trawniku reflektory. Okna były otwarte na oścież do wspaniałego wnętrza, obficie oświetlonego lampami stojakowymi rozsianymi we wszystkich kątach willi.

Shulz przeszedł przez ulicę, pchnął obydwie skrzydła bramy i znalazł się na cementowej alejce. Pistolet wsunął za pasek od spodni.

Dotarł do drzwi, których drewnianą płytę chroniła wysoka, czarna krata z kutego żelaza. Właśnie zamierzał położyć palec na dzwonku, kiedy nagle znieruchomiał – jego wzrok utkwiał w metalowej tabliczce na murze, na której, dużymi, czerwonymi literami, wypisano nazwisko. Zmarszczył brwi. To nie było nazwisko Robertsona.

Peter Norfolk raczej nie miał nic wspólnego z Rolfem Robertsonem.

Jednakże był to ten sam numer ulicy i domu, zgadzały się one z danymi przekazanymi przez Johnny'ego. Upewnił się co do tego dwukrotnie, zanim pchnął drzwi prowadzące do ogrodu. Należało sprawdzić, o co tu chodziło. Nacisnął guzik dzwonka. W drzwiach uchyliło się okienko judasza i ukazała się w nim twarz kobiety.

– Pan Rolf Robertson już tutaj nie mieszka – odpowiedziała na zadane pytanie. – Kupiliśmy od niego ten dom.

Harry Shulz uśmiechnął się jeszcze grzeczniej.

– Jestem pewien, że zna pani jego nowy adres. Przychodzę w sprawie niecierpiącej zwłoki i...

– Żałuję, proszę pana, nie znam jego nowego adresu. Miał przyjść do nas dwa tygodnie temu i odebrać czek z ostatnią ratą za dom, ale nie przyszedł.

– Dlaczego miałby sam odebrać czek? – zdziwił się Harry Shulz. – Nie mogliście mu go państwo wysłać?

– Nie chciał podać nam adresu, pod który moglibyśmy wysłać czek. Wołał przyjść sam.

– Rozumiem.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Czy sprzedaży nie dokonano za pośrednictwem agenta nieruchomości?
- Oczywiście, że tak! – odpowiedziała kobieta.
- Więc może ten agent od nieruchomości miałby jego adres? – zasugerował.
- Też o tym pomyśleliśmy, ale on go nie zna.
- Ma pani jego dane?

Podawała mu je. Harry Shulz podziękował i odszedł.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił następnego dnia, było udanie się do biura agenta nieruchomości; kobieta powiedziała prawdę: on istotnie nie znał adresu Rolfa Robertsona. W zamian za to potwierdził sprzedaż domu małżonkom Norfolk.

Harry Shulz nie mógł się jednak tym zadowolić.

Poszperał w pamięci, aby przypomnieć sobie nazwisko kogoś, kto w Miami mógłby wykonać robotę, na której mu zależało.

Jack Gorofalo!

Wiedział, gdzie go znaleźć. W kubańskiej dzielnicy Miami. Natychmiast się tam udał.

Jack Gorofalo mieszkał w brudnym, dwupokojowym mieszkaniu i wylegiwał się w łóżku, pomiędzy dwoma skreconymi prześcieradłami, usianymi podejrzanymi plamami, obok mdłej, pospolitej blondynki o olbrzymich piersiach. Podejrzone plamy na prześcieradłach pozwalały przypuszczać, że albo wylano na nie zawartość dzbanka do kawy, albo że właśnie zakończyła się orgia z udziałem dwudziestu partnerów!

Oczy Jacka Gorofalo rozszerzyły się ze zdumienia na widok Harry'ego Shulza. Mistrzowskim pchnięciem zrzucił dziewczynę z łóżka.

– Wynocha stąd! Idź do łazienki i poczekaj tam na mnie. Mam robotę.

Dziewczyna zniknęła, klnąc pod nosem.

– Czym mogę ci służyć, Harry? – spytał przymilnie Jack Gorofalo z wymuszonym uśmiechem na twarzy. – Musisz mi darować. Ostatnio nie wiedzie mi się najlepiej. Ci łajdacy Kubańczycy zgarniają nam całą robotę.

Harry Shulz nawet nie drgnął. Zadowolił się wyciągnięciem z kieszeni kilku studolarowych banknotów.

– O cholera! – Jack Gorofalo wpadł w zachwyt. – Ty jesteś jak Święty Mikołaj, Harry, co tu dużo gadać.

Harry Shulz rzucił banknoty na łóżko.

– Wyłaź natychmiast z pościeli. Chcę maksimum informacji o niejakim Peterze Norfolk. Oto jego adres...

W kilku słowach wyjaśnił mu, czego dokładnie chciał.

– Jutro wieczorem, o dwudziestej pierwszej, złożysz mi raport, Jack – oświadczył. – W barze hotelu Paradise.

Szeroki uśmiech odsłonił czarne zęby Jacka Gorofalo.

– Nie obawiaj się, Harry. Przybędę na czas i dowiesz się wszystkiego.

Harry Shulz przywołał na ulicy taksówkę i kazał się odwieźć z powrotem do hotelu. Pomyślał, że choć Jack Gorofalo robi wrażenie flejtucha, to jednak był on sumiennym facetem. Potrafił w krótkim czasie wykonać kawal dobrej roboty.

Resztę dnia i cały następny Harry Shulz spędził na plaży, opalając się na słońcu i nie przejmując się zazdrosnymi spojrzeniami, jakimi mężczyźni obrzucali jego atletyczne ciało. O godzinie dwudziestej trzydzieści usiadł przy stoliku w opustoszałym kącie hotelowego baru. Kiedy wybiła dwudziesta pierwsza, ukazał się Jack Gorofalo. Był równie brudny jak poprzedniego dnia. Harry skrzywił się. Miał wrażenie, że znajdował się w obecności Columbo, niechlujnie ubranego telewizyjnego detektywa.

– Facet jest w porządku – oświadczył natychmiast Jack Gorofalo, strzelając palcami, aby wezwać barmana. – Nie ma nic wspólnego z twoim facetem, który sprzedał tę budę. Jest jakimś dyrektorem banku. Żona wniosła mu w posagu mnóstwo pieniędzy. Pochodzi z Wisconsin. Przeniesiony służbowo przez swój bank do Miami. Sześcioro dzieci. Pobożny protestant. W wolnych chwilach zajmuje się działalnością charytatywną. Nie pali, nie pije. Nie ma przyjaciółki. Sześć lat małżeństwa, sześcioro dzieci...

Jack przerwał i rzucił zbliżającemu się barmanowi:

– Podwójna szkocka!

Przyglądał się, jak ten odchodzi. Później powiedział cicho:

– To nie jest facet, którego szukasz, Harry. To nie żaden bandzior.

– Nie prowadzi podwójnego życia?

– Nie.

Harry Shulz wiedział, że mógł wierzyć Jackowi Gorofalo. Westchnął.

– A o tym facecie, który sprzedał mu willę, niczego się nie mogłeś dowiedzieć?

– Nie.

– Ty, który szwendałeś się po wszystkich zakątkach Miami i Miami Beach, nigdy nie słyszałeś tego nazwiska?

– Nigdy.

– To jest facet, który werbuje ludzi do operacji uderzeniowych. Tutaj jest cała masa Kubańczyków, którzy są przeciwnikami Castro i są bez pracy. Możliwe, że zarzucił wędkę w tym środowisku. Pokręć się tam trochę, zobacz, czego możesz się dowiedzieć. Później się z tobą skontaktuję. Okay?

Jack Gorofalo odwrócił głowę, dostrzegł barmana zbliżającego się do niego z drinkiem.

– Możesz na mnie liczyć, Harry – powiedział.

Harry Shulz skorzystał z obecności barmana, aby uregulować rachunek za obydwa drinki, a potem wstał. Zanim odszedł, mrugnął porozumiewawczo do Jacka Gorofalo i rzucił:

– Do zobaczenia wkrótce, Jack.

Zszedł na prywatną plażę hotelu i przemierzył ją dużymi krokami, wciąż rozmyślając o tym wszystkim.

Sprawa się komplikowała. Rolf Robertson zniknął i nie było sposobu na to, aby dowiedzieć się, gdzie był.

Harry odetchnął głęboko łykając słone powietrze znad oceanu, kiedy nagle nowa myśl zaświtła mu w głowie.

Stangwa!

Nazwisko rzucone przez Sangsowono Batuyamatę!

Były minister zdrowia, który organizował siatkę przemytu narkotyków i ludzkiej plazmy. To dzięki temu pokątnemu handlowi doszedł on do fortuny, roztropnie zainwestowanej za granicą. Stangwa, który poślubił siostrę dożywotniego prezydenta-marszałka i który pozostawał z nim samym w kontakcie, chociaż od czasów skandalu ujawnionego przez amerykańską ambasadę, mieszkał za granicą.

To Stangwa – w porozumieniu ze swoim szwagrem – był prawdopodobnie tym, który zadał ten zdradziecki cios, w wyniku którego Johnny i jego kompani stracili życie...

Dlaczego nie?

Dlaczego nie on?

Ale po co?

Aby wyciągnąć z tego forszę, to jasne. Chcąc jednak skorzystać na takiej operacji, trzeba było komuś odsprzedać uprzednio upaństwowione spółki i na przykład domagać się królewskich opłat tytułem eksploatacji kopalń. To pozwalało więc przypuszczać, że ktoś jeszcze pracował ręką w rękę ze Stangwą. Oczywiście pod warunkiem, że był on rzeczywiście uczestnikiem spisku!

Mimo wszystko należało się tego dowiedzieć.

Stangwa mieszkał na wyspach Bahama, tak mówił Sangsowono Batuyamata. Wyspy Bahama leżały o dwa kroki od Miami. Nie więcej niż pół godziny lotu samolotem.

Harry Shulz zdecydował się polecieć tam.

Stangwa nie figurował w książce telefonicznej. Był widać ostrożny. Jednak Harry Shulz postarał się o to, aby przejrzeć możliwie wszystkie książki telefoniczne wysp Bahama, a w każdym razie te z głównych miast, począwszy od

Nassau, a skończywszy na Freeport, nie pomijając i tych z San Andros i Arthur's Town. Ponieważ archipelag liczył siedemset wysp i dwa tysiące wysepek, zdecydował się w końcu zadzwonić do informacji telefonicznej. Próżny trud. Nie znano tam żadnego Stangwy.

Być może mieszkał tutaj pod innym nazwiskiem?

Większość ludności na wyspach Bahama była pochodzenia afrykańskiego, tak więc Stangwa mógł liczyć na to, że zniknie w tłumie. A może wyemigrował do innego kraju? Informacja, jaką dostarczył mu Sangsowono Batuyamata, pochodziła już sprzed jakiegoś czasu i to, co wiedział o miejscu, w którym przebywał Stangwa, miało już tylko względną wartość.

Możliwe, że eksminister zdecydował się osiąść na stałe w innym miejscu...

Ponieważ nie można było w żaden sposób zweryfikować tej hipotezy, Harry Shulz wolał przypuszczać, że Stangwa nadal znajdował się na wyspach Bahama. Co mógł jednak zrobić wygnaniec na tych czarujących wyspach? – zastanawiał się.

Oczywiście kąpać się, wylegiwać na wspaniałych plażach. Cóż innego? Grać w kasynie?

Niewykluczone...

Zdecydował się tutaj spróbować szczęścia.

Harry Shulz mieszkał w hoteliku na East Bay Street w Nassau, na wyspie New Providence. Kasyno znajdowało się na Paradise Island, sąsiadującej z Britannia Beach, o dwa kroki od Paradise Lake. Wynajął samochód w agencji „Avis” i przejechał przez pochyły, wygięty w łuk most, łączący New Providence z Paradise Island.

Znał historię tego kasyna.

Kiedy Fidel Castro zajmował w 1959 roku Kubę, wszystkie kasyna gry w Hawanie należały do mafii. Jej przedstawiciele na Kubie musieli w pośpiechu uciekać z wyspy i przerzucili się na wyspy Bahama. Kasyno na Paradise Island właśnie wówczas zostało otwarte.

Niestety, Harry Shulz nie cieszył się łaskami mafii. Tak więc nie było mowy o tym, żeby się do niej zwrócił w celu odnalezienia śladów Stangwy. Trzeba było więc poradzić sobie samemu.

Harry Shulz spędził kilka dni, obserwując graczy namiętnie grających na automatach, przy stołach do gry w crapsa, bakarata i blackjacka. Wypytał zrećnie krupierów przy ruletce, a także portierów, barmanów, kasjerów, kierowców taksówek, wyspecjalizowanych w przewożeniu klientów kasyna, pracowników punktów wymiany pieniędzy, strażników, ale mimo licznych napiwków rozdawanych hojnie na prawo i lewo, musiał uznać się za pokonanego. Wielką luką w poszukiwaniach Stangwy stanowił fakt, że nie znał jego wyglądu. Zupełnie nie potrafił go opisać.

Piątego dnia po przybyciu do Nassau zatelefonował do Miami, do Jacka; Gorofalo. Tam najpierw jakiś głos z kubańskim akcentem poprosił go, aby cierpliwie zaczekał. W końcu otrzymał połączenie z Jackiem.

– Masz coś nowego? – spytał.

– Nic, Harry – odparł zaspany głos rozmówcy. – Kłapa na całej linii.

Rolf Robertsona było równie trudno znaleźć, co Stangwę – stwierdził wtedy z goryczą Harry i odłożył słuchawkę.

Nazajutrz poszedł złożyć wizytę dyrektorowi banku, którego znał i gdzie dokonywano w największej tajemnicy bardzo poufnych lokat kapitałów należących do zaufanych klientów.

– Stangwa? – skrzywił się dyrektor. – Nie ma tego nazwiska pośród moich klientów.

Harry Shulz dostarczył mu kilku dodatkowych informacji.

– To mi nadal nic nie mówi – stwierdził kategorycznie dyrektor.

Harry Shulz włóczył się po barach, knajpach, restauracjach międzynarodowych hoteli, skłonny dawać napiwki tym, którzy mogli go naprowadzić na jakikolwiek ślad.

Bez rezultatu.

Jedyna szansa – myślał – tkwiła w fakcie, że Stangwa musiał mówić po angielsku z silnym afrykańskim akcentem, co musieli zauważyć tutejsi mieszkańcy.

Chociaż był żonaty z siostrą zmarłego dożywotniego prezydenta-marszałka, być może Stangwa zwrócił się o pomoc do sprzedajnych dziewcząt, zupełnie tak samo, jak miał to zwyczaj robić jego szwagier?

Harry Shulz postanowił zasięgnąć języka najpierw wśród callgirls, następnie wśród dziewcząt stojących niżej w hierarchii prostytutek, aż doszedł do tych z barów dla marynarzy. Tutaj po raz kolejny nie powiodły się jego poszukiwania. Gotów już był porzucić ten ślad, aby poświęcić się pokwaniu na Rolfa Robertsona, przyjmując za punkt wyjścia kilka wątych informacji, jakie na jego temat posiadał – nazwę jego banku, nazwę panamskiego statku towarowego, który przewiózł Johnny'ego Kremera i jego ludzi z organizacji TRAKS, nazwisko peruwiańskiego generała, dla którego Rolf Robertson rozpętał tę rewolucję – kiedy to pewnego wieczoru dopisało mu szczęście. Był właśnie w jakimś nędznym barze, gdy jakaś pijana dziewczyna, której postawił kilka drinków, żeby wyciągnąć z niej informacje, jakich i tak nie miała, chwyciła go za ramię i pociągnęła na ulicę.

– Chodź, zobaczymy „goombay parade” – wybełkotała.

Harry Shulz wrzucił ramionami i poszedł za nią. Bay Street wypełniał olbrzymi tłum, stojący wokół pomnika królowej Wiktorii, przed gmachem Parlamentu.

„Goombay” to popularny rytm na wyspach Bahama. Wydawały go bębny obciążone kozią skórą, marakasy i zwykle piły, po których skrobano paznokciami. Od czerwca do września, w najcieplejszej porze roku, „goombay parades” organizowane były na wszystkich wyspach. Ich zasada była prosta. Muzycy wybijali diabelski rytm „goombay”, a słuchacze zapraszani byli do tańca, gdy tylko pośrodku ulicy rozpalono ogień, a tłum otoczył go kołem. Jeden człowiek stał blisko ognia i tańczył sam, zataczając koło wśród audytorium, aby stamtąd wybrać partnerkę. Kiedy dokonał wyboru, brał ją za rękę i tańczyli oboje, nieskończenie długo, aż mężczyzna ponownie zajął miejsce wśród obserwatorów. Teraz przychodziła kolej na kobiety. Ona wybierała partnera i pociągała go do tańca. A muzycy przygrywali im w nieskończoność, mogli to robić przez wiele, wiele godzin, nie okazując najmniejszego zmęczenia.

Harry Shulz bawił się oglądaniem spektaklu, a uwieszona na jego ramieniu dziewczyna wytrzeszczała z zachwytu oczy. Ulice ogarnęła swojska atmosfera zabawy ludowej. Ręce same składały się do oklasków, aby akompaniować rytmowi „goombay”. Okrzyki „hurra!!” witały wyczyny tancerzy. Muzycy, zupełnie niewzruszeni, podobni do automatów, mechanicznie uderzali albo drapali w instrumenty lub też potrząsali marakasami. Para, która wirowała wokół ognia, nieoczekiwanie się rozdzieliła. Mężczyzna powrócił ponownie w szeregi tłumy, a dziewczyna rozpoczęła solowy pokaz szalonego tańca, kręcąc wulgarnie tyłkiem, co zostało powitane entuzjastycznymi oklaskami. Po upływie kilku minut obesza dookoła całe audytorium, aby wybrać sobie innego partnera. Gwałtownie pociągnęła za rękę wielkiego Murzyna, który zaczął stawiać opór i usiłował się od niej uwolnić. Na próżno. Dziewczyna ciągnęła ze wszystkich sił, a tłum za jego plecami popychał go w stronę ognia. Wreszcie, chcąc nie chcąc, pozwolił się unieść. Dziewczyna zmusiła go do tańca, ale był tak niezdarny, tak niemrawy, że naraził się tylko na drwiące żarty i docinki.

– Jak na Afrykańczyka źle się broni! – uwieszona ramienia Harry'ego Shulza dziewczyna parsknęła śmiechem.

Harry zeszytniał.

– Afrykańczyk? Znasz go?

Zaśmiała się hałaśliwie.

– Gadanie! Rozpustny łobuz, który zawsze żąda jakichś niebywałych sztuczek seksualnych, o których nawet nigdy nie słyszałam!

– Nic mi nie powiedziałaś, kiedy pytałem cię przed chwilą – powiedział z wyrzutem Schulz.

Czknęła.

– Zapomniałam. Biorąc pod uwagę to, co kazałeś mi wypić... – poskarżyła się, spoglądając na niego z ukosa.

– Znasz jego nazwisko?



- Nie.
- Wiesz, gdzie mieszka?
- Nie. Przychodzi, łajdaczy się z którąś z nas i zmywa się. Musiałam wpaść mu w oko. Przeważnie mnie wybiera.

Wyszdyzony przez tłum mężczyzna umknął z kręgu, przepychając się wściekle przez zwarte szeregi audytorium, i skierował w stronę zaparkowanego nieco dalej chevroleta.

Harry Shulz pośpiesznie wyjął z kieszeni kilka banknotów i wetknął je w rękę dziewczyny. Oswobodził się z uścisku i rzucił się w stronę samochodu, który pozostawił na sąsiedniej ulicy.

Mógł bez przeszkód śledzić zielonego chevroleta. Przejechał za nim Shirley Street i East Bay Street aż do Montagu Beach, leżącej za Fort Montagu, który uchodził za najstarszy fort na wyspach Bahama. Willa, do której wjechał Chevrolet, położona była nad Lake Waterloo, pomiędzy Nassau Yacht Clubem i studiami filmowymi.

Harry Shulz zaparkował swój samochód tuż przy krawężniku, zgasił światła i przez otwartą bramę wpadł do garażu. Machinalnie popieścił kolbę swojej specjalnej trzydziestki ósemki, wetkniętej za pasek spodni. Żarówka wisząca nad garażem rozsiewała mocne światło. Mężczyzna drgnął, kiedy ujrzał pojawiającego się przed nim Harry'ego Shulza.

- Czołem, Stangwa - zablefował Harry Shulz z promiennym i uroczym uśmiechem na twarzy.

- Co...? Co...? - wybełkotał.

Nie wolno dawać mu czasu do namysłu - pomyślał Harry Shulz.

- Proszę się niczego nie obawiać - dorzucił pośpiesznie. - Nie chcę pana skrzywdzić. Mam jedynie panu do przekazania wiadomość, a także chcę z panem dobić pewnego targu, jeśli się pan zgodzi.

- Ale...

- Niech pan nie próbuje kręcić. Wiem, że pan nazywa się Stangwa. I wiem nie tylko o tym. Jak pan sądzi, w jaki sposób do pana dotarłem, pomimo wszelkich środków ostrożności, jakie pan podjął, by pana nie odnaleziono?

Chwycił go za ramię.

- Chodźmy. Będziemy bardziej bezpieczni w pańskim domu. Mieszka pan tutaj sam?

- Moja żona...

- Jest tutaj?

- Ech... nie...

- Chodźmy.

Harry Shulz pociągnął go za sobą. Mężczyzna pozwolił na to. Wydawał się znużony, tak jak bokser na granicy technicznego K.O. W salonie Harry Shulz

pchnął go na kanapę i usiadł naprzeciwko. Kiedy wchodzili, w oknach nie paliło się żadne światło, więc dom musiał być pusty.

– Gdzie jest pańska małżonka? – spytał.

– W West Palm Beach. Kim pan jest?

Mężczyzna tępo wpatrywał się w Harry'ego Shulza.

– Przychodzę od tych, którzy zajęli miejsce pańskiego szwagra, brata pańskiej siostry. Przypomina pan sobie? Proszę...

Harry Shulz poszperał w kieszeni marynarki i wyjął stamtąd wycinek z gazety. Znał jego tekst na pamięć. Wycinek był już stary, ale opisywana w nim sytuacja ciągle była aktualna. Wręczył go mężczyźnie.

– Proszę przeczytać.

Ten z pewną rezerwą wykonał polecenie.

Artykuł opisywał nowo powstałą sytuację w kraju, po zamordowaniu dożywotniego prezydenta-marszałka Wawasisadinatata Kradinowoto I. Zastanawiano się w nim nad motywami zabójstwa i nad tym, kim są sprawcy. Siły demokratyczne przejęły władzę, korzystając z usunięcia głowy państwa. Wszyscy członkowie rodziny Kradinowoto, wszyscy dawni dygnitarze reżimu, wliczając w to znaczną liczbę generałów, zostali straceni na centralnym placu stolicy, podczas trwającej tam wielkiej zabawy ludowej i przy wiwatach rozradowanego tłumu. Najemnych szwedzkich pilotów, których uznano za stronników reżimu, spotkał taki sam los, czego skutkiem było – jak zauważył Harry Shulz – usunięcie wszystkich naocznych świadków porwania Boeinga 737. Wspominano także nazwisko Sangsowono Batuyamaty, żałując rozstrzelania go bez sądu. Czyż nie był on tym, który miał największe szanse, by pchnąć kraj na drogę demokratycznego rozwoju?

Mężczyzna zwrócił Harry'emu Shulzowi wycinek gazety, utkwivszy w nim spojrzenie pełne przerażenia.

– Czego... czego pan chce? – wybełkotał.

Harry Shulz uśmiechnął się przymilnie.

– Powiedziałem to panu, przybywam z ich polecenia. Nie mają do pana pretensji o to, co pan robił w przeszłości, Stangwa... Nielegalny handel narkotykami i plazmą...

Przerwał. Tamten nie protestował ani wtedy, kiedy nazywał go Stangwa, ani gdy wspominał o nielegalnym handlu narkotykami i plazmą. Bez wątplenia miał do czynienia ze Stangwą.

Harry Shulz zmrużył oczy i przyjrzał mu się uważnie. Stangwa oblizywał wargi, tak jakby to, na co czekał, w najwyższym stopniu go poruszyło.

Shulz przystąpił do ataku.

– Nie ma pan na sumieniu ludzkiej śmierci... To znaczy: nie bezpośrednio... Mógłby pan nawet ponownie zająć należne panu miejsce w nowym społeczeństwie,

które w tamtym kraju powstaje. Potrzebują takich ludzi jak pan. Kompetentnych... W zamian za amnestię, na którą co do pana są gotowi się zgodzić. Oczekują z pańskiej strony jednak oznaki dobrej woli. Chcą wiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, gdzie jest Rolf Robertson. Po drugie, kto stał za Rolfem Robertsonem, kiedy ten zorganizował nieudany zamach na życie pańskiego szwagra, w którym zginęło szesnastu amerykańskich i europejskich najemników, nie mówiąc o aferze z upaństwowieniem zagranicznych spółek. Ostatecznie, przeszliby do porządku dziennego nad śmiercią tych najemników, ale skrzywdzone zagraniczne spółki marzą o odwecie. Pan to rozumie, nieprawdaż?

Teraz Stangwa wystawił na pokaz niemal cały język.

– Rozumiem – wykrztusił ochryplym głosem.

Harry Shulz był już pewien, że rozmawia ze Stangwą. Tymczasem eksminister potrząsnął głową.

– Wiedziałem, że kiedyś mnie znajda – przyznał ze znużeniem.

– Jest jeszcze coś – mówił dalej beztróskim tonem Harry Shulz. – Coś, co nie pozostawia panu żadnego wyboru. Jeśliby pan odmówił przekazania informacji, o które pana proszę, nie tylko nie mógłby pan powrócić z wygnania do pańskiego rodzinnego kraju, ale także ryzykowałby pan, że oni przystąpią do...

Harry Shulz umyślnie zdawał się wahać nad słowem, którego miał użyć.

– Do... pewnego rodzaju... fizycznego wyeliminowania pana... Czyż to nie jest ten właśnie eufemizm, jaki się w takich wypadkach stosuje? – rzucił z szyderczym wyrazem twarzy.

Stangwa zadygotał.

– I to właśnie panu polecono...

Harry Shulz udał zirytowanego.

– Mnie? Och, nie... Mnie pan już zna. Miałby się pan na bacności. Nie. To ktoś inny. Zresztą on już zaczął działać.

Stangwa przełknął ślinę.

– A jakie mam gwarancje? – spytał.

Harry Shulz uniósł zdziwiony brew ku górze.

– Nie jest pan w takim położeniu, żeby domagać się jakichś gwarancji – powiedział uprzejmym tonem.

– Jednakże potrzebuję ich.

– Bardzo żałuję.

– Jak mogę być pewien, że oni dotrzymają słowa?

– W żaden sposób nie może pan być tego pewien. To pańskie ryzyko. Jeśli pan uważa, że ryzyko jest zbyt duże, może pan oszczędzić sobie powrotu do kraju. Przynajmniej uratuje pan życie.

- Nawet tego nie jestem pewien!
- To prawda. Niech się pan więc decyduje..

Harry Shulz wstał i rzucił okiem na telefon. Na podstawce aparatu widniał jakiś napis.

– Johnson! Żyje pan pod nazwiskiem Johnson! Oto powód tego, że odszukanie pana zajęło nam trochę czasu'.

Stangwa wiercił się, nie czując się dobrze na kanapie. Wracając na swoje miejsce, Harry Shulz niedbale rozsunał połę marynarki, tak aby Stangwa mógł zobaczyć pistolet. Wywołało to zamierzony efekt. Stangwa utkwiał wielkie, wystraszone oczy w kolbie pistoletu wystającej zza paska spodni Harry'ego.

– Czy nie można tego załatwić przy pomocy pieniędzy? – zaproponował skrzeczącym głosem.

- Obawiam się, że nie.
- Jak dużo dostanie pan za tę robotę? – nalegał Stangwa.

Harry Shulz uśmiechnął się, wyraźnie rozbawiony.

– Milion dolarów.

Stangwa przyjrzał się mu ze zdumieniem.

– Milion dolarów? Nie wierzę panu.

– A jednak to prawda. Widzi pan, że pieniądze nie mogą panu pomóc. Stangwa potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Pieniądze mogą załatwić wszystko.

– Nie w tej sytuacji. Więc decyduje się pan? Jaką powinienem dać im odpowiedź?

Stangwa bębnił palcami prawej ręki po kolanie. Jego twarz z wolna przybrała przebiegły wyraz.

– Czy to nie może poczekać do jutra?

Harry Shulz obrócił się na pięcie i udał, że kieruje się do drzwi.

– Tym gorzej dla pana... – rzucił przez ramię.

– Ej! proszę poczekać! Niech pan tak szybko nie odchodzi! – krzyknął Stangwa odmienionym głosem.

Harry Shulz obrócił się. Teraz stał bokiem do Stangwy, zwrócony twarzą do olbrzymiego oszklonego okna, którego skrzydła były otwarte na oścież i wpadało przez nie morskie powietrze. Jego wprawne oko zauważyło podejrzany błysk i natychmiast runął jak długi na dywan. Poczuł, jak kula musnęła mu skroń.

Strzelali używając tłumika – pomyślał padając na podłogę.

Trzydziestka ósemka tkwiła już w jego dłoni. Rozległo się jeszcze kilka stłumionych trzasków, charakterystycznych dla broni wyposażonej w tłumik.

Harry Shulz nie poruszał się. Przez chwilę w oszklonym oknie pojawiła się jakaś sylwetka. Skorzystał z tego. Trzydziestka ósemka drgnęła w jego dłoni. Sylwetka zniknęła. Odczekał jeszcze chwilę.

Z oddali dotarł do niego odgłos wprawianego w ruch silnika. Wówczas podczołgał się tyłem, wyszedł z pokoju i przez kuchenne okno opuścił dom. Ostrożnie okrążył willę, aby znowu stanąć naprzeciwko okna salonu. Dokładnie rozejrzał się po okolicy. Wszędzie zdawał się panować spokój. Zbliżył się do okna. Na trawniku leżał trup.

Kiepscy zawodowcy! – stwierdził. – Żeby zostawić za sobą trupa!

Harry Shulz zaciągnął ciało do willi i uważnie się mu przyjrzał. Tym, co go zdumiało, była twarz napastnika, o bezspornie azjatyckich rysach. Chińczyk? Japończyk? Wietnamczyk? Co do tego, nie mógł się mylić. Płaska twarz, mały i spłaszczony nos, skośne oczy, żółta cera, czarne, gęste i twarde włosy zdradzały jego dalekowschodnie pochodzenie. Około trzydziestki. Harry przeszukał jego kieszenie. Były puste, tak jak się tego spodziewał. Najmniejszego skrawka papieru. Obmacał ubranie, ściągnął buty i skarpetki, uważnie przyjrzał się kołnierzykowi koszuli, ale niczego nie znalazł. Ponownie wyszedł na zewnątrz i odnalazł broń zabójcy. Dziewięćmilimetrowa Beretta z tłumikiem. Z pistoletu wystrzelono trzy kule. Numer serii został starannie spiłowany, a na dłoniach Azjaty widniały wyjątkowo cienkie i delikatne rękawiczki. Nie ulegało wątpliwości – zawodowiec, ale dlaczego tamci nie zabrali ze sobą jego zwłok?

Harry Shulz pozostawił ciało i wrócił do salonu. Stangwa nadal tam był. Na tym samym miejscu. Jego oczy zdradzały tyle życia, ile ekran wyłączonego telewizora. Z dwóch otworów w czole spływały mu na czarne policzki powoli, kroplami, dwa strumyki krwi.

To do niego mierzyli zabójcy – wywnioskował Harry Shulz. Jego samego próbowali zabić tylko dlatego, że tu się przypadkowo znalazł.

Dlaczego chciano zabić Stangwę?

Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

W każdym razie, teraz Stangwa nie mógł mu powiedzieć, gdzie przebywał Rolf Robertson, ani też podać mu nazwiska tego, kto stał za Robertsonem.

Zawiedziony, zaczął dokładnie przetrząsać całą willę. Bez efektu.

Dokładnie przeszukał kieszenie Stangwy, szuflady jego biurka, sprawdził linijka po linijce numery telefonów zapisane w notesie oraz zgniecione skrawki papieru znajdujące się w koszu. Opukał ściany i zbadał szafy, zajrzał nawet do schowka na rękawiczki w stojącym w garażu samochodzie, rozpruł siedzenia foteli i materace, dokładnie przeszukał rzeczy nieobecnej małżonki Stangwy ale niczego nie znalazł.

Nieco rozczarowany, zamierzał właśnie opuścić willę, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. Szybko wyjął z kieszeni chusteczkę, przyłożył ją do ust i podniósł słuchawkę.

– Pan Johnson?

Głos kobiecy.

– Tak – mruknął, lekko pokastując.

– Połączenie telefoniczne z Limą, w Peru.

Harry Shulz nie miał czasu do namysłu. To była telefonistka.

– Mogłaby mi pani podać nazwisko rozmówcy – poprosił przyjaznym tonem. – Robi się późno, a ja nie mam zamiaru tracić czasu na...

– To niemożliwe. Rozmówca nie zgodził się podać nazwiska.

– Nalegam!

– To sprzeczne z regulaminem. Oto pański rozmówca.

Dało się słyszeć trzaski, a potem, nagle, do ucha Harry'ego Shulza dotarł jakiś męski głos.

– Johnson?

– Tak...

Jednocześnie Harry Shulz znowu zakaszłał.

– Johnson? – powtórzył głos.

Tym razem Harry Shulz odpowiedział pełnym zniecierpliwienia pomrukiem:

– A kto...

Połączenie zostało gwałtownie przerwane. Harry Shulz, zamyślony, odłożył słuchawkę. Począł jeszcze trochę, licząc po cichu, że to może jakiś niezręczny manewr międzynarodowej centrali telefonicznej spowodował przerwanie rozmowy, ale gdy w ciągu pół godziny telefon nie zadzwonił, opuścił willę, nie przejmując się dwoma trupami, które w niej pozostawiał, ani też panującym w domu bałaganem.

Myślał tylko o jednym.

Lima w Peru!

Czyż Rolf Robertson nie pomógł kiedyś pewnemu peruwiańskiemu generałowi przejąć władzy w tym kraju?

## ROZDZIAŁ XII

– Czy głową państwa nadal jest generał Miguel Cardoza-Molinos? – spytał lekceważącym tonem Harry Shulz.

Pracownik konsulatu, który zwracał mu paszport z przystawioną przed chwilą pieczęcią wizy turystycznej, spojrział na niego zdziwiony i wykrzyknął:

– Ależ nie!

Wyglądał na człowieka wielce zaszokowanego pytaniem.

Harry Shulz zrobił niewinną minę.

– Wygląda na to, że nieco się spóźniłem – powiedział przeprasząc.

– Istotnie.

– Od jak dawna... nie jest on już...

– Od roku – odpowiedział oschle urzędnik.

– Ach tak. A gdzie teraz przebywa? Na wygnaniu? Czy może nadal jest w Peru?

Oczy pracownika konsulatu groźnie rozbłyły.

– To był obrzydliwy dyktator. Przepędziła go rewolucja. Nie wiem, gdzie teraz przebywa. W każdym razie w Peru go nie ma.

– No cóż, dziękuję.

Harry Shulz zabrał swój paszport i wyszedł z konsulatu. Paszport był oczywiście fałszywy, do tego uznał za znacznie bezpieczniejsze używać innego nazwiska po przygodach w kraju Kradinowoto i na Alasce. Obecnie przybrał nazwisko: Frank Rigga.

Tak więc – myślał – generał Miguel Cardoza-Molinos, ten, któremu Rolf Robertson pomógł przejąć władzę w Peru, nie był już głową państwa.

A telefon z Limy do Stangwy? Kto dzwonił? Rolf Robertson? Ale przecież generał Miguel Cardoza-Molinos nie przebywał już Limie? Ktoś inny? W każdym razie, Stangwa wydawał się rzeczywiście w jakiś sposób związany z Rolfem Robertsonem, a być może nawet z peruwiańskim generałem.

Ale kto za tym wszystkim stał, jeśli faktycznie ktoś taki istniał, jak przypuszczał Johnny Kremer?

W każdym razie miał pomysł: zrobić sobie wycieczkę do Limy i spróbować tam odnaleźć ślad generała Miguela Cardozy-Molinos. Była to jedyna poszlaka, jaką miał, aby odnaleźć Rolfa Robertsona, poza nazwą panamskiego statku towarowego, który przewiózł na swoim pokładzie Johnny'ego Kremera i jego ludzi.

Po powrocie do hotelu Harry Shulz połączył się z Jackiem Gorofalo w Miami. Ale teraz też nie miał on żadnych informacji dla niego.

Stewardesa przypominała mu Kerstin. Ten sam uniform, ten sam toczek, takie same blond włosy. Jedynie wyhaftowana powyżej prawej piersi nazwa towarzystwa lotniczego była inna.

Kerstin!

Był w stosunku do niej w porządku, tak jak i do Sangsowono Batuyamaty. Dotrzymał obietnic. Zawsze postępował w ten sposób.

Jego fenomenalna pamięć odtworzyła słowa, jakie na ten temat wypowiedział Johnny Kremer:

„...Wiem też, że jesteś uczciwy. Nawet jeśli mnie już tu nie będzie, ty wykonasz robotę. Nie zadowolisz się zainkasowaniem forsy i zniknięciem. Masz w tej dziedzinie rewelacyjną międzynarodową reputację. Nigdy dotąd tak nie postąpiłeś...”

To była prawda. Zawsze dotrzymywał zobowiązań. Choć Kerstin była niewygodnym świadkiem. Mógłby ją wyeliminować z gry. Dave Chensky i Joey Graal wykonaliby tę robotę. Ale nienawidził zabijać, kiedy nie było to konieczne, kiedy jego życiu nie groziło niebezpieczeństwo, kiedy nie zapłacono mu, żeby to zrobić. Zresztą, wychodził z założenia, że jeśli ktoś płacił za zabicie jakiejś osoby, miał powody, aby to zrobić, tak jak to było w przypadku Johnny'ego Kremera, bo bardzo rzadko wskazana ofiara zasługiwała na to, by żyć. Miał więc czyste sumienie. Tym bardziej, że nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wykonał kontrakt, w którym „obiekt” nie zasłużył z jakichś powodów na śmierć.

A ostatecznie, któż na nią w taki czy inny sposób nie zasługiwał, za jakiś zły uczynek popełniony w przeszłości?

Godzinę później ocieęwały Boeing 747 dotykał podwoziem lądowiska portu lotniczego w Limie. Harry Shulz wysiadł z samolotu, załatwił bez przeszkód formalności celne, a potem pojechał taksówką do najlepszego hotelu w mieście.

Nazajutrz rano, kiedy się obudził, na ulicach stolicy Peru wybuchły zamieszki. Obudziły go pierwsze serie z karabinu maszynowego. Ponieważ okno jego pokoju wychodziło na ulicę, otworzył je i wyczołgał się na balkon.

Hotel usytuowany był dokładnie naprzeciwko pałacu rządowego. Pałac opasany był wysokimi, solidnymi, grubymi bramami, za którymi leżeli imponująco uzbrojeni żołnierze w hełmach. Przed bramami stały w bojowym szyku czołgi, z działami wymierzonymi w kierunku trzech alej, jakie prowadziły na ten rządowy plac.

Harry Shulz spojrział w stronę trzech alej. Trzy grupy czołgów powoli posuwały się na gąsienicach. Za nimi biegli zgięci wpół żołnierze zmieszani z tłumem cywilów, w większości bardzo młodych dziewcząt i chłopców, skandujących jakieś hasła polityczne.

Czołgi stojące przed pałacem rządowym wystrzeliły kilka pocisków artyleryjskich, a po chwili odpowiedziały im tym samym czołgi nadjeżdżające trzema ulicami. Potem zaterkotały znowu karabiny maszynowe, ścinając na bruk kilkudziesięciu żołnierzy i cywilów. Nieoczekiwanie, jak bomba, wyłonił się nagle ambulans i wpadł na „ziemię niczyją” pomiędzy walczących. Działo z obu obozów wzięło go na cel i wkrótce był on jedynie kupą złomu, pożeraną przez płomień,



jednakże daleko im było do strzelistych języków ognia, jakie wiły się ponad okalającymi trzy aleje budynkami.

A potem czołgi, które posuwały się naprzód trzema alejami, nieoczekiwanie przyspieszyły, plując bez przerwy ogniem z dział do oddziałów i czołgów stojących w zwartym szyku przed pałacem, stanowiących prawdopodobnie część rządowych sił zbrojnych.

Rozgorzała zacięta walka.

Wszystkie prywatne samochody, stojące szeregiem tuż przy krawężnikach w okolicach walk, stanęły w ogniu. Pociski artyleryjskie czyniły bardzo szerokie wyłomy w fasadzie pałacu i wrywały balkony, te w kolonialnym, hiszpańskim stylu, zrywały dachy sąsiednich budynków.

Jeden z pocisków artyleryjskich eksplodował na wysokości ostatnich pięter hotelu i deszcz gruzu posypał się na plecy Harry'ego Shulza. Zadowolił się jedynie wtuleniem głowy w ramiona. Spektakl pasjonował go. Odszedł tylko na chwilę, aby włączyć radio znajdujące się w każdym hotelowym pokoju. Chciał wiedzieć, co tu się właściwie dzieje. Podekscytowany drżący z emocji głos komentatora trysnął z odbiornika, przybierając liryczne tony:

„...Rozpętała się mordercza walka! Wzmaga się zacięty atak rebeliantów na jednostki wojsk rządowych. Można by sądzić, że jesteśmy świadkami zdobycia Berlina przez Rosjan w 1945! Podczas swego marszu na pałac rządowy, buntownicy spalili lokale trzech prorządowych dzienników, klub oficerski i dwa duże hotele. Wichrzyciele, którzy wykrzykują wrogie rządowi okrzyki, są panami prawie całej stolicy. Pałac rządowy jest otoczony. Wszędzie na ulicach straszą szkielety zwęglonych samochodów, rozprutych, splądrowanych sklepów, ślady krwi, walające się po ziemi łuski naboju!... To prawdziwy apokaliptyczny spektakl!”

Czołgi, stojące przed pałacem rządowym, zostały wyłączone z walki. Pośród rozrzuconych na placu trupów, zza czołgów powstańców wysunęli się nagle żołnierze i cywile. Pierwsi rzucili się do ataku, strzelając z wszelkiego rodzaju broni: karabinów, pistoletów maszynowych, automatów; w ruch szły także granaty. Drudzy rzucali na plac koktajle Mołotowa, które siały panikę w szeregach oddziałów rządowych. Cztery czołgi, idąc naprzód zwartym szykiem, tak jakby chciały się wzajemnie ogrzać, posuwały się gwałtownie naprzód; pod wpływem uderzenia bramy pałacu pękły i zostały zgniecione ich gąsienicami.

Panował trudny do opisanego zgiełk. Wierni rządowi żołnierze wycofywali się bezładnie na pałacowe schody, strzelając za siebie seriami na chybił trafił. Salwa pocisku artyleryjskiego zmasakrowała ich doszczętnie.

Buntownicy rzucili się do walki. To była okropna rzeź. W tym samym czasie, pozostali cywile rabowali sklepy. Potem na niebie pojawiły się helikoptery.

Brzęcząc niczym pszczoły, zeszyły na wysokość dachów budynków i zaczęły strzelać do tłumu.

Jakiś rabuś, który wychodził ze sklepu niosąc naręczne ubrań, padł przeszyty kulami. Drugi, ze stertą koszul przed sobą, został skrócony o głowę jedną serią, a koszule rozsypały się pośród płomieni, które objęły swym żarem także przedpotopowego De Soto.

Żołnierze i cywile leżeli na placu przygwożdżeni do ziemi przez ataki helikopterów. Karabiny maszynowe na wieżyczkach czołgów obróciły się i powietrze przeciął grad kul.

Jeden, potem dwa, a w końcu trzy helikoptery eksplodowały i roztrzaskały się o kolumnady pałacu. Pozostałe helikoptery pośpiesznie odleciały.

Zbuntowani żołnierze i cywile podnieśli się z ziemi. W niebo uderzyła gromka owacja. Ze stopni pałacu ściągano ostatnich żołnierzy oddziałów rządowych i zabijano ich z zimną krwią.

Milkły strzały. Żołnierze i cywile zgromadzeni na plaży obejmowali się wzajemnie, ściskali, gratulowali sobie. Dziewczeta upojone zapachami prochu i krwi, zrywały staniki i histerycznie wrzeszcząc, odsłaniały nagie piersi.

Znowu pojawiły się ambulanse. Tym razem nie strzelano do nich. Zabierano rannych. Harry Shulz także się podniósł i wrócił do pokoju. Spektakl dobiegł końca.

Głos radiowego komentatora przybrał epicką intonację:

„Zwycięstwo sił ludowych jest miażdżące (już nie mówił o buntownikach, powstańcach czy wicherzycielach.) Demokracja odzyskała w naszym kraju ponownie obywatelskie prawo. Dzięki generałowi Miguelowi Cardoza-Molinosowi! Ojcu ludu! Zbawicielowi Peru!... Nowemu Simonowi Bolivarowi!... Nowemu Jose de San Martinowi!”

Harry Shulz zeszywniał.

Generał Miguel Cardoza-Molinos!

Jego komórki mózговые układały już zasłyszana wieść w odpowiednie szufladki.

Kilka lat temu Cardoza-Molinos doszedł do najwyższego urzędu w swoim kraju dzięki rewolucji rozpętanej przez Rolfa Robertsona. A teraz upływał rok, jak wygnano go z kraju wskutek zamachu stanu, jakiego dokonała opozycyjna partia. I oto dziś odzyskiwał on władzę utraconą rok temu. Dzięki nowej rewolucji.

Kto był jej inspiratorem?

Rolf Robertson. Wydawało się to być logiczną odpowiedzią, zwłaszcza jeśli brało się pod uwagę rozmowę telefoniczną ze Stangwą. Telefon właśnie z Limy do Stangwy, który rzeczywiście wydawał się pracować z Rolfem Robertsonem. Połączenie telefoniczne musiało zostać nieoczekiwanie przerwane, gdy rozmówca

(Rolf Robertson?) nie rozpoznał głosu Stangwy. A może oczekiwał na uzgodnione wcześniej hasło?

W każdym razie warto było przynajmniej zastanowić się nad tą kwestią.

Harry Shulz w pośpiechu wyjął z nesesera z przyborami toaletowymi i torby z lekarstwami różne elementy swej specjalnej trzydziestki ósemki i złożył je ze sobą. Nie podejmował żadnego ryzyka – jak stwierdził – przechadzając się z bronią po ulicach Limy, pośród wszystkich tych spacerujących cywilów obładowanych znacznie bardziej różnorodnym uzbrojeniem. Zadbął również o to, aby naładować cyjankiem swoje fałszywe wieczne pióra.

Zresztą, czyż nie były one bardziej dyskretne niż broń palna?

Harry Shulz był gotów do wyjścia, kiedy zapukano do drzwi. Poszedł otworzyć, ale przezornie zostawił założony łańcuch. Zerknął na korytarz. Stało tam małżeństwo w średnim wieku. Na pewno byli to Amerykanie. Ale dość karykaturalni Amerykanie. Mężczyzna był korpulentny, z okrągłą twarzą i nosił okulary w stalowej oprawce, które upodabniały go do czołowego wagonu składu metra. Był ubrany w żółtą, kanarkową koszulę, zdobioną scenami z podwodnego życia, której poły opadały mu na spodnie typu bermudy, sięgające mu do kolan i z trudem opinające jego obfite kształty, tak że o mało nie pękły. Te bermudy zostały niewątpliwie uszyte po to, aby przyciągnąć uwagę. Miały fiołkowo-różowy kolor, na jednej nogawce widniała głowa żyrafy z długą szyją, a na drugiej samica kangura w trakcie karmienia swych młodych mlekiem. Jak na rasowego turystę przystało, mężczyzna miał na głowie tyrolski kapelusz, którego piórko było tak wielkie, że wydawało się sięgać sufitu, a i tam nie było widać jego końca.

Jeśli chodzi o kobietę, jej nogi przypominały spiralnie poskręcane świece, wijące się w stronę pośladków o kształcie wielkanocnych jajek. Kolor włosów oscylował pomiędzy białym a niebieskim, a jej zbyt mocno wymalowana twarz zdawała się stanowić plagiat jakiejś martwej natury. Monstrualne piersi imitowały góry pod materiałem drukowanej sukienki, której motywy przedstawiały postacie z kreskówek Walta Disneya.

Oboje mieli zawieszzone na piersiach aparaty fotograficzne, a kieszenie wypchane turystycznymi folderami.

Harry Shulz skrzywił się na ich widok.

Typowi dla klasy średniej amerykańscy turyści, jakich miliony widywało się w pałacu w Wersalu, w Kaplicy Sykstyńskiej, Eskurialu czy w Buckingham Palace! Z takich właśnie Amerykanów szydzili Europejczycy!

- Tak? – spytał z odrazą.
- Pan jest Amerykaninem?

Kobieta wołała poprowadzić tę rozmowę.

- Tak.

– Walter i ja dostaliśmy pokój z widokiem na podwórze. Usłyszeliśmy właśnie w radiu, że generał Cardoza-Molinós udaje się do pałacu rządowego. To dokładnie naprzeciwko. Chcielibyśmy zrobić zdjęcia i szukamy balkonu wychodzącego na ulicę. Zapukaliśmy więc do pańskiego pokoju. To dla nas szczęście, że trafiliśmy na Amerykanina. Pozostałe pokoje, do których pukaliśmy, są zajęte przez Latynosów, którzy zatrzęsneli nam drzwi przed nosem, traktując nas jak brudnych Jankesów. To niezbyt uprzejme z ich strony. A w ogóle skąd wiedzieli, że jesteśmy Amerykanami? Mówię biegle po hiszpańsku i wcale po nas nie widać, że jesteśmy Amerykanami.

Harry Shulz z trudem powstrzymał uśmiech, pozwalając tej gadule kontynuować swoje monologowanie:

– Pochodzimy z Nebraski. Dokładniej mówiąc, ze Scottsbluff. Małe miasteczko. Pierwszy raz jesteśmy w Ameryce Południowej. Ale powinnam powiedzieć, że mamy dużo szczęścia. Rewolucja trzeciego dnia po naszym przybyciu tutaj! To naprawdę niewiarygodne szczęście. Musimy koniecznie zrobić te zdjęcia, aby pokazać je przyjacielom w kole łoświeckim i klubie feministek w Scottsbluff. Tak bardzo się cieszymy, że spotkaliśmy rodaka. Czy nie przeszkadzałoby panu, że skorzystalibyśmy z pańskiego balkonu do zrobienia naszych zdjęć?

Harry Shulz wzruszył ramionami. W końcu, cóż mu to szkodziło? A doświadczenie nauczyło go, że jedna zupełnie pozbawiona znaczenia przysługa, taka jak ta, niekiedy przynosiła nieoczekiwane owoce. Czasami byli to najzwyczajniejsi ludzie, którzy stawali się w oznaczonym miejscu, aby wyciągnąć go z kłopotów. Tak jak ten sklepikarz z Las Vegas, który przegrał wszystko i znajdował się na krawędzi samobójstwa: Harry pośpieszył mu wówczas z pomocą i dał mu sto dolarów. A nazajutrz sklepikarz dostarczył mu murowanego alibi, oczywiście fałszywego, kiedy on sam był wplątany w brudną sprawę.

Harry Shulz zdjął łańcuch i otworzył drzwi.

– Pokój jest do państwa dyspozycji – oświadczył z przesadną uprzejmością. – Ja teraz wychodzę.

Na ulicach było mnóstwo ludzi. Panowała tam atmosfera festynu. Harry Shulz wmiszał się w tłum, przeciskając się między grupkami ludzi, tak aby zbliżyć się do pałacu rządowego. Od czasu do czasu miażdżył stopą jakąś łuskę naboju, potykał się o odłamki zwęglonych karoserii samochodowych albo ślizgał na kałuży krwi. Wiwaty rodziły się spontanicznie, kiedy ktoś rzucił jakieś trafne hasło polityczne. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Pogratulował sobie tego. Amerykanie z północy nie byli w ogóle doceniani w Ameryce Południowej. Ambulanse zabierały rannych. Na ciężarówki ładowano ciała zabitych. Z trudem przedzierał się przez gęsty tłum, ale mimo wszystko udało mu się podejść blisko pałacu.

Potem jednak kordon żołnierzy zagroził mu drogę. Inni wojskowi, wspomagani przez cywilów, uprzętałi stopnie pałacu. Po nich, na scenę ze swymi gumowymi wężami wkroczyli strażacy. Obmyli wodą schody ze śladów krwi i różnorodnych szczątków, a w tym czasie czołgi z solidnie przymocowanymi do ich wieżyczek łańcuchami, wlokły za sobą trzy strącone w tym miejscu helikoptery.

Harry Shulz bez cienia sprzeciwu przystanął tuż obok żołnierzy. Wyjął papierosa, zapalił go i spokojnie się zaciągnął. Wokół niego toczyły się ożywione rozmowy. Padało w nich często nazwisko Cardoza-Molinosa i towarzyszyły temu pochlebne komentarze.

Harry Shulz uniósł wzrok ku fasadzie swojego hotelu, dostrzegł balkon własnego pokoju i uśmiechnął się z rozbawieniem, widząc tam dwie groteskowe sylwetki pary, której pozostawił do dyspozycji pokój. Rozłożyli swą baterię aparatów fotograficznych dookoła i zainstalowali kamerę na statywie. Obiektyw kamery był olbrzymi i zasłaniał twarz męża, który wychylał się zza niej. Wystawało jedynie piórko tyrolskiego kapelusza, dumnie wznoszące się ku niebu. Żona miała w ręce drugi aparat i zapewne mocno przejęta robiła kolejne ujęcia, pochylając się nad balustradą balkonu.

Harry Shulz uważnie przyjrzał się fasadzie hotelu. Wszystkie bez wyjątku balkony zajęte były przez gapiów.

Nagle w tłumie nastąpiło poruszenie. W oddali huczały entuzjastyczne oklaski. Nadbiegli żołnierze i po krótkim, urywanym rozkazie, przy wydatnej pomocy uderzeń kolbami karabinów, utworzyli pośród zgromadzonych szeroki korytarz. Oklaski coraz bardziej przybierały na sile.

Falowanie tłumu odrzuciło Harry'ego na bok. Skorzystał z tego, zgiął się wpół, wśliznął pomiędzy żołnierzy i zbliżył do korytarza, jaki tamci utworzyli.

Ze wszystkich stron wybuchały okrzyki i wiwaty. Gdzieniegdzie spizowe głosy intonowały jakiś wojenny hymn. I gwałtownie wybuchł olbrzymi wrzask:

– Viva el Salvador!... Viva el general Cardoza-Molinosa!... Viva el padre del pueblo!... Ha pasado!

Limuzyna z odkrytym dachem sunęła wolno pośród szeregów tłumu, jaki powstrzymywał podwójny kordon żołnierzy. Tuż obok kierowcy, z rękami położonymi na krawędzi przedniej szyby samochodu stał mężczyzna o dumnej twarzy, niewzruszonym spojrzeniu, ledwie uśmiechniętych ustach, sztywny niczym kołek. Miał na sobie mundur ozdobiony galonami, usiany orderami. Na tylnym siedzeniu limuzyny siedziało trzech mężczyzn, którzy rozglądali się po tłumie i kiwali mechanicznie głowami na każdą salwę oklasków, niczym marionetki w teatrze kukiełkowym. Harry Shulz łapczywie przyglądał się tej scenie i nagle zadygotał.

Dobry Boże! Nie mylił się!

Człowiek siedzący pośrodku na tylnym siedzeniu limuzyny odpowiadał idealnie opisowi Rolfa Robertsona, jaki przekazał mu Johnny Kremer!

Harry Shulz bardzo uważnie przyjrzał się rysom jego twarzy.

Ponury, przebiegły typ z dwuznacznym uśmiechem w kąciku warg, zaczerwienionymi oczami, wykrzywionymi ustami, czole niskim i wąskim, zakończonym krzaczastymi brwiami i łysą czaszką przypominającą swym wyglądem pojemnik z jajkami. Do tego rudawy wąsik angielski, który bardziej wyglądał na sztuczny niż naturalny zarost.

O pomyłce nie było mowy!

To był sam Rolf Robertson, dokładnie taki, jakim opisał go Johnny Kremer!

Generał Miguel Cardoza-Molinós posuwał się nadal w stronę pałacu rządowego, niewzruszony, sztywno stojący w swojej limuzynie, co Harry Shulz uznał za szaloną nieostrożność.

Czyżby nigdy nie słyszał o Dallas?

W dzień rewolucji wystawiać się w ten sposób na strzały tych, których właśnie zwyciężył?

Tak postępować jedynie dla zwykłego popisu odwagi? A może pragnął umocnić swój prestiż?

W każdym razie było to postępowanie najwyraźniej w pełni nieświadome! O niepotrzebnej brawurze! Niech no jakiś uzbrojony zwolennik dotychczasowego rządu zaczai się na dachu i pośle mu serię z karabinu maszynowego, i już po nim. Już skończył się „Salvador, padre del pueblo”!

Harry Shulz przeniósł wzrok na Rolfa Robertsona. W końcu miał go w zasięgu ręki.

Oczywiście, nie mógł tutaj wykonać kontraktu. Przede wszystkim nie miałby żadnej szansy, aby stąd uciec. Poza tym, musiał najpierw wiedzieć, kto stał za całą sprawą, jeśli Johnny Kremer nie mylił się w swoich opiniach. Dopóki się tego nie dowiedział, życie Rolfa Robertsona było równie drogocenne, jak rzadkiej piękności kamień szlachetny.

Dopaść Rolfa Robertsona to też nie będzie łatwa sprawa. Stanowił on integralną część grona doradców generała Cardozy-Molinosa, ponieważ, co było oczywiste, to Robertson osobiście rozpętał tę nową rewolucję, aby pomóc generałowi z powrotem odzyskać władzę. A wobec tego musiała go chronić cała armia „goryli”. Czy nie lepiej więc czekać, aż ponownie opuści Peru, spełniwszy swoje zadanie?

Tak będzie najlepiej...

Bo w atmosferze, jaka obecnie panowała w Limie, trudno byłoby mu zmusić Rolfa Robertsona do mówienia.

Limuzyna przystanęła wreszcie przed pałacem. Generał Cardoza-Molinos wysiadł z niej i zaczął wspinać się po pałacowych schodach, a za nim kroczył Rolf Robertson oraz dwaj pozostali mężczyźni z samochodu.

Harry Shulz nie spuszczał z oczu Rolfa Robertsona. Ten szedł ciężkim krokiem, tak jakby ciągnął za sobą pianino, uginając się pod ciężarem, co wydawało się zdumiewające w dniu zwycięstwa. Naprawdę groteskowo wymachiwał długimi rękami.

Potem Harry Shulz dostrzegł, że Rolf Robertson lekko utyka.

Teraz nie było już żadnych wątpliwości, że ma do czynienia z samym Rolfem Robertsonem. Johnny Kremer mówił mu o tej drobnej ułomności.

Generał Cardoza-Molinos wszedł już na schody i odwrócił się, czekając na swoich towarzyszy. Owacja tłumy sięgnęła zenitu. Nastąpił wielki zamęt, bo każdy z gapiów chciał zbliżyć się do pałacu. Generał uniośł obie ręce w kształt litery V. Wrzask przybrał na sile. Generał potrząsnął rękami, prosząc o ciszę. Stojący za nim Rolf Robertson i dwaj inni mężczyźni, wypinając dumnie piersi, uważnie przyglądali się tłumowi.

Wrzask ucichł.

Harry Shulz zobaczył, jak jabłko Adama na grdyce generała wędruje ku górze. Musiał przełknąć ślinę, zanim rozpocznie przemówienie, jakie zaplanował na ten moment.

Cardoza-Molinos jeszcze raz potrząsnął rękami i wkrótce na placu zapanowała cisza.

– Pueblo de Lima!

Miał donośny głos, zaskakująco dźwięczny i brzęczący.

– Aquí yo te regresado otra vez para imponer la libertad!

Harry Shulz szyderczo zachichotał.

Słowo tak często hańbione we wszystkich częściach świata przez lewicowych i prawicowych polityków! Libertad! Liberté! Freedom! Svoboda! Libertà! Słowo-klucz, słowo, którego używano i nadużywano, aby zwieść kolejnych naiwniaków!

Harry Shulz o mało nie parsknął śmiechem, ale powstrzymał się, bo oto nagle zobaczył, że Rolf Robertson cofa się jakimś dziwnym, niepewnym krokiem. Wrzask tłumy wybuchł na nowo jako odzew na ostatnie słowa generała Cardoza-Molinos, a widząc słaniającego się na nogach Robertsona miało się wrażenie, jakby otrzymał niezwykle silny policzek w postaci podmuchu owacji ludu.

Ale to nie było to.

Pośrodku jego czoła narastała szybko wielka czerwona plama, rozlewając się wokół krętymi strużkami krwi. Rolf Robertson zachwiał się na nogach. A potem runął, prosto na plecy generała Cardoza-Molinos. Ten wtedy potknął się, zbiegł

z kilku schodów, pośliznął i ku ogólnemu przerażeniu, osunął się na ziemię, obok Robertsona, który leżał jak długi na schodach, niczym rozłożony na części pajacyk. Harry Shulz odwrócił się na pięcie i utkwiał wzrok w sąsiednich budynkach.

Skąd padł strzał?

Gwar był tak wielki, że mógł paść niezauważony. Harry bacznie wodził wzrokiem po fasadach budynków, czarnych od mrowia ludzkiego stłoczonego na balkonach. Strach ich sparaliżował, jakby przywoździł do miejsca. Potem, wokół Harry'ego Shulza wszczął się zamęt. Tłum zaczął miotać się na wszystkie strony. Pośpieszał w kierunku bram pałacu, z trudem powstrzymywany przez żołnierzy.

Harry Shulz kłął w duchu.

Musieli zamordować Rolfa Robertsona właśnie w chwili, gdy go odnalazł!

Dlaczego?

Dlatego, że pomógł odzyskać władzę generałowi Cardozie-Molinowskiemu?

Kto wymierzył ten cios?

Przeciwnicy generała?

W klimacie wojny domowej, to niewykluczone!

Harry'emu Shulzowi udało się stanąć z boku i ponownie przyjrzeć się fasadom budynków. Jego wzrok zatrzymał się na hotelowym balkonie jego pokoju. Para Amerykanów nadal tam się znajdowała. Piórko tyrolskiego kapelusza wskazywało, że mężczyzna pochylony był za aparatem. Jego żona zaś gorączkowo pstrykała zdjęcia.

Jakieś mgliste podejrzenie narodziło się w umyśle Harry'ego Shulza.

Czy oni należeli do spisku? Czy to oni oddali strzał, który zabił Rolfa Robertsona?

Czyż ci ludzie nie byli zbyt karykaturalni, aby być autentycznymi? Czyż sam sposób wproszczenia się do jego pokoju z widokiem na pałac rządowy nie zdradzał ich podejrzanych zamiarów? I czyż obwieszając się aparatami fotograficznymi, nie ukrywali zdemontowanych części jakiegoś karabinu, który potem złożyli i ukryli za kamerą?

Harry Shulz otrząsnął się z tych myśli.

Był na najlepszej drodze do tego, aby ulec skrzywieniu zawodowemu!

Zawodowi zabójcy, którzy zaplanowaliby zabójstwo, nie czekali by z pewnością do ostatniej chwili, aby znaleźć właściwe miejsce na balkonie z widokiem na pałac. Ponadto skąd mogli wiedzieć, że właśnie zamierzał wyjść z pokoju i pozostawić balkon do ich wyłącznej dyspozycji?

Nie, to nie trzymało się kupy!

Czyjs łokieć wbił się twardo w jego żołądek i Harry o mało nie przestał oddychać. Zgiął się wpół. Ból łagodniał powoli, a w tym samym czasie, przez jego



umysł z prędkością meteoru, przemknął pewien zapomniany szczegół. Coś, co zauważył i co mu umknęło.

Ból stawał się coraz łagodniejszy. Pchnięto go w łędzwie. Zachwiał się, potknął o wsuniętą zdradziecko pomiędzy jego nogi czyjąś stopę.

Miał ten szczegół... Już go prawie pochwycił myślą, lecz znowu mu się wymknął.

Co to mogło być? Dobry Boże!

Harry Shulz uniósł szybko głowę. Nie pomylił się. Balkon sąsiadujący z jego balkonem był pusty. Przedtem stała tam jakaś grupa ludzi, tak jak na innych balkonach. Harry Shulz był tego pewien. Absolutnie pewien. Drzwi, prowadzące do pokoju, pozostawały uchylone.

Rozpychając się łokciami, Harry ruszył pod prąd, w stronę hotelu, ścigany przekleństwami ludzi, których bezwzględnie potraçał. Jego blond włosy ścigały okrzyki w rodzaju „brudnego Jankesa”. Nic mu to nie robiło.

Tak, Johnny Kremer mógł być zadowolony w swoim grobie. Po Kradinowoto przyszła kolej na Rolfa Robertsona.

Tylko że teraz nikt nie mógł mu już wyjawić tożsamości tego, który krył się za całą tą sprawą!

Zakładając oczywiście, że Johnny nie mylił się w swych przypuszczeniach.

W każdym razie wykonanie dwóch pierwszych kontraktów przebiegło ze zdumiewającą szybkością. Niestety, w bardzo krótkim czasie wydarzyło się zbyt wiele podejrzanych zgonów.

Najpierw Stangwa.

Potem Rolf Robertson.

Harry Shulz grzmotnął pięścią w żołądek jakiegoś grubego faceta, który uporczywie zagradzał mu drogę, kiedy zrozumiał błąd w ocenie, jaki popełnił chwilę wcześniej. Jeśli cios zadali przeciwnicy generała Cardozy-Molinosa, dlaczego nie jego zastrzelili, a Rolfa Robertsona?

Dlaczego ginie podwładny?

Czy strzelec chybił?

Jeżeli tak, to dlaczego nie strzelał drugi raz? Miał na to wystarczająco dużo czasu!

A ci ludzie, którzy zajmowali sąsiedni balkon, dlaczego nieoczekiwanie zniknęli? Podczas gdy na balkonach wszystkich budynków na placu oraz balkonach hotelowych, żądni tego bezpłatnego i niecodziennego spektaklu, jaki im zaoferowano, gapie tłoczyli się głowa przy głowie, w niezwykle zwartych szeregach?

Musiał rozwiązać ten problem, a także schwytać tego, kto zamiast niego wykonał kontrakt numer dwa!

## ROZDZIAŁ XIII

Harry Shulz przystanął pod drzwiami pokoju obok jego własnego. Przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał. Nic. Wrócił do swojego pokoju, przemierzył go i dotarł na balkon. Generał Cardoza-Molinos wsiadał do samochodu i kładł się na podłodze z tyłu wozu, ochraniający przez klęczących na siedzeniach żołnierzy. Samochód ruszył z miejsca. Żołnierze strzelali w powietrze, aby rozproszyć tłum. Pozostali, krocząc po schodach, nieśli zwłoki Rolfa Robertsona do pałacu.

– Przerazające, nieprawdaz? – rzuciła kobieta.

– Ale jakie podniecające! Walter i ja nie żałujemy naszej podróży do Limy! Nasi przyjaciele ze Scottsbluff będą nam zazdrościć, kiedy pokażemy im film i zdjęcia!

– Był pan bardzo uprzejmy, oddając nam do dyspozycji pański balkon! – dodał mężczyzna.

Profesjonalnie wyćwiczone oko Harry'ego Shulza dostrzegło kamerę i pozostałe aparaty fotograficzne, rozłożone na balkonie. Nic podejrzanego. Wszystko zdawało się wyglądać nieszkodliwe. Podejrzanie, jakie przez chwilę zaświtało w jego głowie, było bezpodstawne.

– Oboje państwo jesteście, oczywiście, dobrymi Amerykanami? – spytał surowym tonem, mierząc ich lodowatym spojrzeniem.

Mężczyzna odchrząknął.

– Co pan przez to rozumie?

– Jestem tutaj w misji specjalnej z polecenia rządu Stanów Zjednoczonych.

Usilnie proszę państwa o pomoc.

Na twarzy kobiety malowało się podniecenie.

– CIA?

Harry Shulz przybrał tajemniczy wyraz twarzy i zmarszczył brwi.

– Nie mogę państwu powiedzieć. Nie stawiajcie mi takich pytań.

– Co trzeba zrobić? – spytała szybko kobieta.

– Czy zauważyliście państwo ludzi, którzy przed chwilą byli na balkonie po prawej stronie?

– Nie.

– A pan? – spytał Harry mężczyznę.

– Też nie. Byłem zbyt zajęty kamerą.

– A ja robiłam zdjęcia. – dodała kobieta usprawiedliwiającym tonem.

– Proszę sobie przypomnieć – nalegał. – Nie zauważyliście niczego podejrzanego? Czegoś, co na chwilę wam umknęło, ale teraz dałoby się odtworzyć...

- Absolutnie nie – odpowiedzieli chórem.
- I nic również nie słyszeliście? Żadnych wystrzałów?

Potrząsnęli przecząco głowami.

– Nic.

– No dobrze. – Harry odwrócił się w stronę kobiety. – Oto, co możecie państwo zrobić... Ale jak się państwo nazywają?

– Flora i Walter Horseshit\*.

\* po angielsku: łajno końskie (przyp. aut.).

Harry Shulz o mało się nie udławił. Nazwisko było równie cudaczne jak te osoby.

– Pani Horseshit – z trudem udało mu się wypowiedzieć to słowo, albowiem wciąż powstrzymywał się od śmiechu – zapuka pani do drzwi sąsiedniego pokoju. Być może zauważono państwa na moim balkonie, więc powie pani, że poprosiła mnie o pozwolenie robienia zdjęć z mojego balkonu, na co się zgodziłem, ale teraz wróciłem do swojego pokoju i pani musiała się z niego wynieść. A chciałaby pani nadal robić zdjęcia i pyta pani, czy mieszkańcy tego pokoju byliby dość mili, aby zgodzić się na coś podobnego. Proszę nalegać.

Proszę spróbować wejść do tego pokoju. I niech pani zapamięta wszystko, co pani zobaczy. Ilość osób, ich płeć, wygląd, wiek, to, czym się zajmują, czy są zdenerwowani, a nawet jakiej są narodowości.

Oczy kobiety błyszczały radośnie.

– To wspaniałe! Dzięki, że wybrał pan właśnie mnie!

– Ale czy to nie jest odrobinę zbyt niebezpieczne, Floro – interweniował nieśmiało jej mąż. – A jeśli ci ludzie są...

Ona zlekceważyła jego zastrzeżenia.

– Nie bądź śmieszny, Walterze, bardzo dobrze sobie z tym poradzę.

– Jestem o tym przekonany – zawtórował jej ze sztuczną powagą Harry Shulz.

Popchnął ją lekko w stronę drzwi pokoju, a jej mąż ruszył za nią.

– Niech pani pamięta – rozkazał – to dla dobra ojczyzny.

Umyślnie przybrał uroczysty ton.

– Jeśli pozwolą pani wejść, niech pani tam zostanie, aby nie mogli zmienić zdania, a pan, proszę pana, wróci tutaj po wasz sprzęt fotograficzny.

– Sądzi pan, że Waszyngton wystawi nam poświadczenie na piśmie za usługi oddane przez nas narodowi? – spytała z nadzieją w oczach.

– Z pewnością. Sam tego dopilnuję. A podpisze to sam prezydent!

Znowu pchnął ich ku drzwiom, z widocznym zniecierpliwieniem.

– Czekam na rezultat waszej operacji.

Zniknęli. Harry Shulz stanął na czatach przy drzwiach i nasłuchiwał. Otworzono im, ale zaledwie kobieta wypowiedziała kilka słów, drzwi zatrzasnęły

się jej przed nosem, po tym, jak zza nich bluznął stek przekleństw. Zbita z tropu, powróciła do pokoju.

– Nic nie szkodzi – pocieszył ich Harry Shulz. – Oddacie mi przysługę innego rodzaju. Powiedzieliście mi, że okna waszego pokoju wychodzą na podwórze?

– Tak – odpowiedziała kobieta.

– A dokładnie, gdzie jest ten pokój?

– Prawie naprzeciwko drzwi, do których właśnie zastukałam.

– Zabierzcie wasz sprzęt i wracajcie tam. Pozostawcie uchylone wasze drzwi i pilnujcie drzwi od tego podejrzanego pokoju. Jak tylko zobaczycie, że jego mieszkańcy opuszczają go, uprzedźcie mnie o tym. Numer mojego pokoju to 836. Ale, ale, czy pani rozmówczyni była kobietą?

– Tak.

– Jak wyglądała?

– Młoda, ma cerę koloru kawy z mlekiem.

– Ładna?

– Tak sobie – odpowiedziała z nadąsaną miną.

– Ale te przekleństwa, jakimi panią obrzuciła, padły po angielsku?

– Tak.

– Dobrze. Teraz idźcie stąd. Liczę na was. Jeśli dobrze spełnicie tę misję, otrzymacie podpisane przez prezydenta podziękowanie na piśmie. Pamiętajcie, mój pokój ma numer 836.

Zabrali z balkonu swój sprzęt fotograficzny i wyszli z pokoju. Harry Shulz wrócił na balkon i usiłował uzmysłwić sobie, co mogło zdarzyć się w pokoju obok, ale bez powodzenia. Na placu wciąż gromadził się tłum. Niezliczony, gwarny i rozhisteryzowany.

Godzinę później w pokoju zadzwonił telefon. Harry Shulz podniósł słuchawkę. Przytłumiony głos pani Horseshit wyszeptał:

– Właśnie wyszli. Kobieta i dwóch mężczyzn. Kobieta jest tą, która otworzyła mi drzwi. Wszyscy mają zakazane gęby!

– Dziękuję, pani Horseshit.

Odłożył słuchawkę.

Specjalna trzydziestka ósemka nadal tkwiła wsunięta za pasek spodni, a fałszywe wieczne pióra w kieszeni.

Harry wrócił na balkon, ocenił odległość jaka dzieliła go od sąsiedniego balkonu, i stanął na balustradzie, z przyklejonymi do ściany rękami. Znajdował się na ósmym piętrze hotelu, ale o zawrocie głowy nie było mowy. Będą go mogli zobaczyć z budynków znajdujących się po drugiej stronie ulicy, ponieważ było jeszcze widno, ale nie mógł sobie pozwolić na czekanie na nadejście nocy. Czas naglił. Musiał zaryzykować.

Niewątpliwie wezmą go za włamywacza, ale zanim zawiadomią policję, która pewnie niezbyt chętnie zechce się w tym szczególnym dniu za to zabrać, on zdąży przeszukać sąsiedni pokój.

Harry Shulz schylił się, skoczył i opadł na taras balkonu, następnie pchnął drzwi balkonowe i wszedł do pokoju. Postawił kilka kroków i zanim jeszcze twarda lufa rewolweru przylgnęła do jego łędźwi, zrozumiał, że ten pomysł był zły. Popchnięto go w stronę łóżka i zmuszono, by usiadł. Bez oporu wykonał polecenie.

Stało przed nim dwóch młodych mężczyzn, o zdecydowanie smagłej cerze. Ich spojrzenia były równie przyjazne jak nóż gilotyны, a rewolwery, jakie trzymali w dłoniach, równie złowieszcze jak koniec miesiąca dla niezamożnego człowieka.

– Czego ode mnie chcecie? – spytał grzecznie Harry Shulz, chcąc pokazać, że jest w dobrym nastroju.

– Zamknij się! – rozkazał jeden z nich głosem brzmiącym jak zepsuty klakson.

Harry Shulz nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Obydwaj wyglądali na nerwowych. Rewolwery dygotały im w dłoniach, a on przyznał w duchu, że nie byłoby dobrze sprzeciwiać się nerwowemu człowiekowi. Zwłaszcza kiedy mierzył on rewolwerem w brzuch.

Harry Shulz siedział więc tak na łóżku dobrą godzinę. Skorzystał z okazji i rozejrzał się dokładnie po pokoju, ale nie odkrył nic interesującego. Choć jednak – powinszował sobie – jego hipoteza musiała być trafna. Ci dwaj mężczyźni i jeszcze tamtych troje, musieli mieć coś wspólnego ze śmiercią Rolfa Robertsona. Bo jeśli nie, to po jakiego diabła, trzymaliby go pod groźbą rewolweru?

Nagle rozległo się dyskretne stukanie do drzwi. Jeden z mężczyzn poszedł otworzyć. Weszła kobieta i dwóch mężczyzn. Na widok Harry'ego Shulza przystanęli zdziwieni. Kobieta rzuciła pytanie i Harry natychmiast rozpoznał język, w którym zostało ono sformułowane.

Tagalski! Narodowy język Filipińczyków!

Co Filipińczycy mogli robić w Limie, w Peru?

Teraz kobieta odwróciła się do Harry'ego Shulza, podeszła bliżej, stanęła przed nim. Spoglądał na nią z zaciekawieniem, posyłając przy okazji swój uwodzicielski uśmiech. Przez chwilę zdawała się zmieszana.

Azjatka była młoda i bardzo ładna. Zdawał się ją trawić wewnętrzny ogień. Była ubrana w przylegające ściśle do ciała dzinsowe wdzianko, które uwydatniało jej wspaniałe kształty. Twarz miała piękną, cerę matową, oczy czarne, ogromne, w kształcie migdałów, aksamitne, tak jak zachód słońca w Andaluzji, subtelnie ocienione długimi rzęsami. Włosy były krótko ścięte. Mogła mieć około

dwudziestu pięciu lat. Dwaj mężczyźni byli równie młodzi, jak obaj strażnicy Harry'ego Shulza.

- Kim pan jest? – zapytała doskonałą angielszczyzną.
- Nazywam się Frank Rigga.
- Co pan tu robi? Powiedziano mi, że wszedł pan do tego pokoju przez balkon.
- Zgadza się.
- Miał pan zamiar coś ukraść?

Ton był szorstki i kryła się w nim gwałtowność. Harry Shulz miał właśnie zamiar odpowiedzieć, kiedy spojrzenie dziewczyny przeniosło się na poły jego marynarki.

- Przeszukaliście go? – rzuciła po tagalsku przez ramię.

Jeden z mężczyzn, którzy go schwytali, podszedł, przyłożył mu lufę rewolweru do skroni i rozkazał wstać. W jednej chwili odebrano mu jego trzydziestkę ósemkę. Ale mężczyzna nie wiedział o fałszywych wiecznych piórach włożonych do kieszeni. Broń trafiła w ręce dziewczyny, która obejrzała ją z zainteresowaniem.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie – powiedziała z wahaniem.
- Nie przyszedłem tutaj po to, aby dokonać włamania.

Uśmiechnęła się perfidnie.

- Pańskie intencje nie były przyjazne. Ta broń jest tego dowodem.
- Pani dwaj przyjaciele także są uzbrojeni – odparował. – To raczej niezwykle, czyż nie? A ponieważ zostałem schwytany na gorącym uczynku wtargnięcia do pokoju, który nie jest moim, dlaczego nie zaalarmowano niezwłocznie dyrekcji hotelu, zamiast czekać na pani powrót? Tak się zazwyczaj robi. I dlaczego pani sama tego nie robi, zamiast mnie przesłuchiwać?

- Zaraz zastosuję się do pana rady. Oddam pana w ręce hotelowego detektywa, przynajmniej jeśli choć jeden taki tutaj jest. Na razie chciałabym jednak poznać powody pańskiego wtargnięcia tutaj. Zresztą to mój pokój. Mam prawo wiedzieć.

Harry Shulz rozsiadł się wygodnie na łóżku, przybierając lekceważący wyraz twarzy.

- Podobnie jak ja chciałbym poznać powody, dla których zamordowaliście Rolfa Robertsona.

Spostrzegł, że dziewczyna nieco zeszywniała.

- Rolfa Robertsona? – powtórzyła niepewnie.

Harry Shulz uśmiechnął się.

- Widziałem was, panią i pani przyjaciół, strzelających z balkonu – zablefował. – Byłem nieco zawiedziony, ponieważ miałem identyczne zamiary. Poniekąd odjęliście mi chleb od ust, ale także wybawiliście mnie z kłopotliwej

sytuacji, ponieważ nie wiedziałem, w jaki sposób mam się zabrać za zabicie Robertsona.

Zmrużyła oczy i tylko wściekły błysk spojrzenia sączył się spod powiek.

- Kim pan jest?
- Powiedziałem już, nazywam się Frank Rigga.
- Zawód?
- Kapitan żeglugi wielkiej.

Fałszywy paszport na nazwisko Frank Rigga wskazywał na zawód nawigatora. A to jest wystarczająco niejasne, aby pozostawić sobie pole do wszelkich interpretacji.

- Czy to jest w dobrym tonie – zauważyła ironicznie – że kapitanowie żeglugi wielkiej przechadzają się z bronią? Zwłaszcza takiego kalibru?

- Kiedy chcą się zemścić, tak.
- Zemścić?
- To długa historia.
- Mam dużo czasu.

Harry Shulz westchnął.

- To pani nie zainteresuje.
- Myli się pan. Wiele rzeczy mnie interesuje. A poza tym jestem młoda.

Lubię uczyć się życia.

Westchnął po raz drugi.

- Jak pani sobie życzy. Udał, że się koncentruje.
- Niedługo byłem dowódcą statku „San Fransico de Assisi” i...
- „San Fransico de Assisi”?
- Tak. Zna go pani?
- Nie. Co to takiego?

- Panamski statek towarowo-pasażerski. Tramp, to znaczy statek, który przewozi z portu do portu towary, zależnie od nadarzającej się okazji, bez z góry ustalonego planu rejsu. Należał on do Towarzystwa Okrętowego składającego się z trzech właścicieli. Cypryjskiego Greka, Libańczyka pochodzenia armeńskiego i mojego brata, Williama Riggi. Tak jak ja, Amerykanina. Mój brat znał Rolfa Robertsona. Miał okazję dla niego pracować. Między innymi organizując potajemny i nielegalny transport broni i amunicji. Pewnego dnia skontaktował się on z Rolfem Robertsonem, który zaproponował mu grubszą sumę za przewiezienie na wschodnie wybrzeże Afryki oddziału najemników i wysadzenie ich nocą na ląd pewnego państwa. Mój brat zgodził się. To ja, na pokładzie „San Francisco de Assisi” zająłem się transportem. Wywiązałem się z mojego zadania. Najemnicy mieli sprowokować zamach stanu. Nie powiodło im się i wszyscy zostali zabici albo powieszeni.

– Gdzie to się stało?

Harry Shulz odpowiedział.

Skinęła głową.

– I co dalej?

– Warunki kontraktu podpisanego z moim bratem nie zostały dotrzymane przez Rolfa Robertsona. Obiecana suma nigdy nie została wypłacona. Ale jest jeszcze coś gorszego... Zresztą strata pieniędzy nie jest tu najgorszym nieszczęściem...

– A co się jeszcze stało? – spytała zaciekawiona.

– Jeden z armatorów, cypryjski Grek, umarł w tajemniczych okolicznościach. Potem przyszła kolej na Libańczyka. I w końcu na mojego brata. Jeśli chodzi o mnie, dwa razy dokonano zamachu na moje życie, w tym raz na wyspach Bahama. Drugi oficer z „San Francisco de Assisi” został zabity w bijatyce, jaka wydarzyła się w barze dla marynarzy w Stambule, podczas gdy on, zdaniem świadków tego incydentu, był zupełnie trzeźwy i siedział przy stole, sam nie szukając z nikim zaczepki. Dodałem dwa do dwóch i kiedy wyszło cztery, zorientowałem się, że ta gra doskonale pasowała do Rolfa Robertsona. Udałem się na jego poszukiwanie, na podstawie tego, co mi o nim powiedział mój brat, mając w kieszeni tę broń, jaką pani trzyma w ręce. Chciałem go zabić, jeżeli odpowiedzi, jakich udzieliłby na moje pytania, potwierdzałyby moje podejrzenia... Ot i wszystko.

Jak to zwykł robić, w historii, którą właśnie opowiadał, pomieszał prawdę z kłamstwem.

– I widział nas pan, jak do niego strzelaliśmy?

– Tak. Zastanowiłem się wówczas, kto wykonał za mnie tę robotę. Chciałem się tego dowiedzieć i czekałem, aż wyjdziecie z pokoju, aby go przeszukać. Nie wiedziałem, że dwóch waszych przyjaciół zostało tutaj.

– Czy ta kobieta i mężczyzna, tak śmiesznie ubrani, którzy przyszli spytać nas o pozwolenie zrobienia na naszym balkonie zdjęć, pracują dla pana?

Uśmiechnął się.

– Niezupełnie. Wyobrażają sobie, że jestem agentem CIA i ich patriotyzm nakazał im pomóc mi. Ich patriotyzm, a także chęć zabłyśnięcia wśród przyjaciół po powrocie do Scottsbluff, w stanie Nebraska.

Dziewczyna odprężyła się. Uśmiezek musnął jej karminowe wargi.

– Zapewne zastanawia się pan, dlaczego aż tak nienawidzimy Rolfa Robertsona, że postanowiliśmy go zabić?

– Nie przestałem się nad tym zastanawiać od chwili, gdy zobaczyłem, jak do niego strzelacie.

Czoło dziewczyny przecięła zmarszczka.

– Co pan zamierza teraz robić?



– Biorąc pod uwagę dzisiejszy pucz, nie jestem pewien, czy połączenia lotnicze poza granicami kraju nie zostały przerwane. Tak się zazwyczaj dzieje. Jak tylko zostaną przywrócone, jeśli w ogóle wstrzymano je, wyjadę z Peru. Nie mam tutaj już nic do roboty. Wykonaliście brudną robotę zamiast mnie.

– A pieniądze, które Rolf Robertson był winien pańskiemu bratu i swoim wspólnikom?

Harry Shulz wzruszył ramionami.

– To bez znaczenia. Liczy się jedynie to, że Rolf Robertson nigdy więcej nie zrobi nikomu żadnego świństwa.

– Nie ma pan zamiaru opowiadać o tym, co pan tutaj zobaczył?

Wybuchnął śmiechem.

– Po co? Wydajecie mi się raczej sympatyczni. A poza tym nie szukam rozgłosu. Ale wy powinniście się strzec!

– Strzec się?

Harry Shulz przybrał pogardliwy wyraz twarzy.

– Pani wydaje mi się rzeczywiście naiwna. Chyba nie sądzi pani, że zabójstwo Robertsona przejdzie bez echa? Stał on tuż za generałem Cardozą-Molinosem, kiedy go zabiliście. Podróżował osobistym samochodem generała, co oznacza, że był jego serdecznym przyjacielem. Sądzi pani, że generał puści to w niepamięć? Będzie chciał wiedzieć, dlaczego zamordowano jego kumpla. Tego, kto dokonał zamachu. A jeśli jego własne życie także jest zagrożone? Być może to właśnie do niego mierzono i chybiono? Spisek? W chwili obecnej, z powodu rewolucji, w mieście panuje rozgardiasz, ale jak tylko znowu zapanuje porządek, jeśli już nie zaczęto go robić, władze rzucą się w pogoń śladem zabójców. Możecie być pewni, że generał zrobi wszystko, co w jego mocy. Pozwoli pani, że o coś spytam...

– O co?

– Czy wyszła pani przed chwilą po to, aby pozbyć się broni?

Zawahała się.

– Dlaczego to pana interesuje?

– Próbuję pani pomóc, to wszystko. Wygląda mi pani na nieco niedoświadczoną.

Zesztywniała. Zrozumiał, że popełnił błąd.

– A czy kapitan żeglugi wielkiej ma tak duże doświadczenie w popełnianiu zbrodni z premedytacją?

– Jeśli ja was zobaczyłem, ktoś inny także mógł was widzieć i zawiadomić o tym policję.

– A skąd nas pan widział?

– Z mojego balkonu.

- I co pan właściwie zobaczył?
- Karabin z celownikiem.
- Kto go trzymał?
- Pani.

Harry Shulz blefował na całej linii, tak jak w partii pokera, w grze o wielką stawkę, ale opierał się na swoim, logicznym rozumowaniu. Z tej odległości kula, która położyła trupem Rolfa Robertsona, musiała być bezsprzecznie wystrzelona z karabinu posiadającego celownik optyczny. Co do dziewczyny, była niewątpliwie przywódczynią grupy. I ta rozpierająca ją energia, poruszająca każde włókno jej ciała, predestynowała ją do roli kata. Mógł się więc założyć, że przynajmniej w pięćdziesięciu procentach miał rację.

I trafił.

Teraz to ona westchnęła.

- Musiał pan więc zauważyć, że moi kompani zasłaniaли mnie. W każdym razie w tamtym momencie, spojrzenia wszystkich obecnych utkwione były w generała Cardozę-Molinosa. Kto mógłby mnie widzieć?

Harry Shulz potarł z zakłopotaniem podbródek.

- I wybrała się pani w tak długą drogę z Filipin do Peru, aby zabić Rolfa Robertsona?

Przez kilka sekund milczała, zaskoczona.

- Pan rozumie po tagalsku?

Była inteligentna, szybko rozumowała – pomyślał.

- Jestem kapitanem żeglugi wielkiej. Pływałem po wszystkich morzach świata i zawijałem do wielu portów.

- Wygląda mi pan na bardzo błyskotliwego człowieka. Bystrzejszego, niż można by o to podejrzewać kapitana żeglugi wielkiej, który dowodzi jakimś trampem.

- To nie jest trudne do pogodzenia, zapewniam panią...

Harry Shulz gwałtownie wstał, przyjmując postawę kogoś, kto złożył kurtuazyjną wizytę i kto uważa za stosowne właśnie odejść. Wyciągnął rękę.

- Proszę zwrócić mi pistolet. Przypuszczam, że nie macie zamiaru zatrzymywać mnie tutaj jako krępującego świadka, którego trzeba wyeliminować?

- A czemu nie?

- Ta śmieszna para małżeńska, którą przed chwilą widzieliście, wie, że jestem tutaj. Trzeba by było również i ich usunąć. To tylko kłopot. Moim skromnym zdaniem, to przewyższa wasze możliwości. Poza tym, narazilibyście się na niepotrzebne ryzyko. Policja poszukuje zabójców Rolfa Robertsona. Raczej tym się zajmijcie. Pozbądźcie się, karabinu z celownikiem, jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, i szybko opuśćcie ten kraj. Ja nie stanowią dla was żadnego niebezpieczeństwa.

- Skąd mogę mieć pewność?
- Tak samo jak wy, działałam nielegalnie. Dowodem jest to, że wszedłem do tego pokoju bez waszego pozwolenia. Jak złodziej.
- I być może pan nim jest. Albo jest pan szantażystą. Widział pan nas, jak strzelaliśmy, i może liczy pan na to, że uda się panu wyłudzić od nas pieniądze. I opowiedział nam pan tę zmyśloną historyjkę.

Harry Shulz uniósł rękę.

- Zapominacie o ważnym szczególe.
- Jakim?
- Skąd mógłbym wiedzieć, że zabitym jest Rolf Robertson? Jak dowiedziałbym się jego nazwiska? Nikt w tłumie na placu nie znał go! Nikt nigdy nie wymienił w Peru jego nazwiska! Nawet wówczas, gdy zorganizował pierwszy zamach stanu generała Cardozy-Molinosa! Ludzie jego pokroju unikają rozgłosu!

Zaniemówiła. Wreszcie zebrała myśli i rzuciła oschle:

- Pańska argumentacja, panie Rigga, jest błyskotliwa, ale nie mogę pozwolić sobie na żadne ryzyko. Zatrzymam pański pistolet. Odprowadzimy pana z powrotem do pańskiego pokoju i pozostanie tam pan pod strażą, dopóki nie będziemy mogli wyjechać z tego kraju. Tak samo postąpimy z tym małżeństwem, które panu pomogło.

## ROZDZIAŁ XIV

Ulice i plac przed pałacem rządowym były pełne śpiewów i okrzyków.

Harry Shulz leżał ubrany na łóżku. Już dawno zapadła noc. O dwudziestej, jego strażnik kazał przynieść mu kolację z hotelowej restauracji. Jemu z kolei przyniesiono jedzenie z sąsiedniego pokoju. Harry Shulz pomyślał przez chwilę, żeby użyć jednego ze swych pistoletów na cyjanek, aby pozbyć się strażnika, ale porzucił ten zamiar. Śmierć Rolfa Robertsona zdjęła z niego wielki ciężar. Kontrakt, który zlecił mu Johnny Kremer, był wykonany w dwóch trzecich, pozostawało mu jedynie odszukać trzeciego członka tej trójki. Nie miał żadnego sposobu na to, żeby zrobić to sam, odkąd Stangwa i Rolf Robertson nie żyli.

Być może ta Filipinka mogła mu coś podpowiedzieć?

W takim razie należało pozyskać jej względy.

A ampułka cyjanku ciśnięta w twarz jednego z jej przyjaciół, nie byłaby żadną formą pozyskania jej.

Zresztą zawsze byłby czas na zastosowanie tego ostatecznego rozwiązania, jeśli sprawy przybrałyby zły obrót.

Harry Shulz zastanawiał się, kim właściwie była ta dziewczyna i jej towarzysze, gdy otworzyły się drzwi pokoju. Odwrócił głowę. Na progu stała ona sama. Rzuciła kilka słów po tagalsku i strażnik, z rozradowanym wyrazem twarzy, wstał. Wyszedł z pokoju. Założyła łańcuch i zbliżyła się do łóżka, wyciągając uprzednio z torebki pistolet, który odebrała Harry'emu.

Przyjrzał się jej obojętnie.

- Czy to pani teraz obejmuje straż?
- Moi przyjaciele chcieli zagrać w karty. Ja nie gram. Przyszłam zastąpić strażnika, aby on mógł być czwartym do gry.

Kłamała, był tego pewien.

Harry Shulz wziął z nocnego stolika paczkę marlboro i zapalniczkę. Zapalił papierosa, nie częstując dziewczyny i z obojętnym wyrazem twarzy wypuścił w górę kłąb dymu.

- Zasięgnęłam informacji – zaczęła. – Miał pan rację. Połączenia lotnicze z zagranicą są zerwane. Z tego, co usłyszałam przez radio, sukces generała nie jest równie oszałamiający i druzgocący, jak mogłoby się wydawać. Istnieje silna militarna opozycja i nikt nie wie, kiedy to wszystko się skończy, ani też, kiedy połączenia lotnicze zostaną przywrócone.

– Rozumie pani po hiszpańsku?

- Od 1898 roku, po zakończeniu wojny hiszpańsko-amerykańskiej, Filipiny były hiszpańską kolonią – odpowiedziała ironicznym tonem. – W moim kraju wielu ludzi mówi jeszcze po hiszpańsku. W pewnym sensie jest to reakcja na wpływ angielszczyzny...

– Pani jest oczywiście wrogo nastawiona do Amerykanów.

– Wcale nie! – zaprotestowała.

- Żeby być z panią szczerą, uważam panią za dowódcę komanda terrorystów, w rodzaju terrorystów palestyńskich, którzy na całym świecie dopuszczają się porwań i zabójstw.

– Myli się pan.

– Tym lepiej.

– Dlaczego tym lepiej?

- Byłoby mi przykro, gdyby taka śliczna dziewczyna jak pani angażowała się w podobne historie. Dziewczęta, które należą do tych band, są najczęściej bezzępcowe.

Zamilkła. Potem, po krótkiej przerwie rzuciła:

– Nie jestem terrorystką, ale mimo wszystko zajmuję się polityką.

– To wcale nie przystoi ślicznym dziewczętom.

Zaprotestowała.

- Niech pan pozwoli im o tym decydować!  
Jego twarz wykrzywił sarkastyczny grymas.
- Wyzwolone kobiety! Ach, zapomniałem! Mamy rok kobiet!
- Jestem mahometanką – odparła ze złością. – Czy pan wie, że przez całe wieki kobietę muzułmańską sprowadzano do roli służącej czy raczej niewolnicy? A w niektórych krajach mahometkańskich kobiety nie miały żadnych praw?

Harry Shulz cieszył się w głębi duszy. Kobieta uchylała rąbka tajemnicy. Ale on chciał dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Należało zbić ją z tropu. Przeskakiwać z tematu na temat. Stawiać jej pytania bez żadnego znaczenia. Aby dotrzeć do celu.

- Nie jest pani Filipinką czystej krwi. Czy pani rodzice należeli do różnych ras?
- Mój ojciec jest Filipińczykiem. Matka jest Amerykanką.
- Czy pani matka przeszła na mahometanizm?
- Tak.
- Na Filipinach nie ma zbyt wielu muzułmanów. Sądziłem, że ludność jest w większości chrześcijańska?

Natychmiast zhardziiała.

- Chrześcijańska tylko dlatego, że była to hiszpańska kolonia. Wszędzie, którędy przeszli, Hiszpanie masowo nawracali ludzi. Proszę spojrzeć na Peru! Ale na Filipinach pozostał silny szczep muzułmański, głównie na wyspach południowych Mindanao i Sulu. Dziesięć procent całej ludności. I oni chcą być niepodlegli!

- Niepodlegli?
- Chcą niepodległości albo wewnętrznej autonomii.

Historia musiała mieć polityczne zabarwienie. Zawsze tak uważał. Drwił sobie do upadłego z mniejszości Filipińczyków, ale tym, co musiał odkryć, były wszystkie szczegóły historii, aby dotrzeć do źródła.

Harry Shulz wysunął pierwszego pionka na szachownicy.

- A pani popiera ich sprawę.
- Jestem mahometanką – odpowiedziała skromnie.

Posunął następnego pionka.

- Założę się, że istnieje jakaś partyzantka muzułmańska wymierzona przeciwko rządowi centralnemu.

- I trafił pan.

Nieoczekiwanie zmarszczyła brwi.

- Naprawdę uważam, że ma pan nieprzeciętny umysł!

Skinął głową, tak jakby uważał to zdanie za zwykły, salonowy komplement. To był dobry moment, żeby zmienić temat – pomyślał.

– Czy słyszała pani o jakimś Stangwie?

Wydawała się zdziwiona.

– Nie. Kto to taki?

– Przyjaciel Rolfa Robertsona.

– To nazwisko nic mi nie mówi.

– Była już pani w Afryce?

– Nie.

– I to nie pani go zabiła?

– Kogo?

– Stangwę.

Wzruszyła ramionami.

– Sądzi pan, że nic nie robię, tylko zabijam ludzi?

– Jest pani Azjatką. A to Azjaci go zabili. Pamięta pani, mówiłem, że dwukrotnie dokonywano zamachu na moje życie, w tym raz na wyspach Bahama. Byłem tam ze Stangwą. Widziałem zabójców.

– Dlaczego go zabito?

– A jeśli z tych samych powodów, z jakich wy zabiliście Rolfa Robertsona?

Potrząsnęła głową.

– W każdym razie to nie ja.

Była szczerą.

– Czy mogłaby pani odłożyć ten pistolet, zamiast mierzyć go w mój brzuch?

Przyglądała mu się dłuższą chwilę, nie mówiąc ani słowa, potem, powoli włożyła pistolet do torebki.

– Dziękuję. Widok tego pistoletu sprawia, że staję się nerwowy. À propos, czy pozbyła się pani karabinu z celownikiem?

– Tak.

– Dobra robota. Tak więc to pani jest szefem tej grupy?

– Mam dyplom ukończenia wyższych studiów na Uniwersytecie w Manili, znam kilka języków obcych, w przeciwieństwie do tych czterech biednych chłopców. Było czymś zupełnie naturalnym, że powierzyli mi odpowiedzialność za grupę.

– Jednak musiała pani wykazać się czymś w przeszłości?

– Tak, w jednostkach partyzanckich.

– Więc miałem rację, kiedy mówiłem, że wygląda mi pani na osobę należącą do palestyńskiej jednostki terrorystycznej.

– Wcale nie – zaprotestowała. – Jesteśmy apolityczni. Chcemy po prostu sprawiedliwości społecznej i uwolnienia nas od przytłaczającego wpływu władzy centralnej. Odrzucamy wszystkich komunistów, anarchistów, trockistów,

goszystów i maoistów. Nie mamy nic wspólnego z japońską Armią Czerwoną, Palestyńczykami czy też bandą Andreasa Baadera.

Harry Shulz skinął głową.

– A co zrobił wam Rolf Robertson, że zdecydowaliście się go zabić?

Przygryzła wargę.

– To nie ja podjęłam decyzję, aby go zabić. To Kolektyw Centralny. Ja jestem jedynie świeckim ramieniem sprawiedliwości. Wyznaczono mnie, żeby wykonać wyrok.

– I cóż on zrobił, żeby zasłużyć na taki los? Pytam nie dlatego, że mi go żal!

– On nas zdradził. Wyspy Mindanao i Sulu, dla których domagamy się niepodległości, albo przynajmniej autonomii, kryją nieprawdopodobne złoża naturalne. Przede wszystkim litu, najrzadszego i najłżejszego z metali, stosowanego w przemyśle atomowym; następnie platyny, która osiąga najbardziej spekulacyjne ceny, ponieważ nie znane są jeszcze jej rynki zbytu. To prawda, aktualnie istnieje jej nadprodukcja, ale w związku z nowymi przepisami dotyczącymi ochrony środowiska, zaczyna się ją stosować jako zamiennik łożu, aby zwiększyć oktanowy wskaźnik benzyny. Tylko do produkcji benzyny w USA potrzeba będzie trzy miliony uncji. A pan zna jej cenę. Rolf Robertson, który był nie tylko pośrednikiem...

Harry Shulz nagle zeszytywniał. Nareszcie! Młoda kobieta podjęła przerwany wątek:

– ...ale który ukartował całą sprawę, przyrzekł nam finansową pomoc w zaopatrzeniu w broń i amunicję, w zamian za trzydziestoletnią koncesję na wszystkie kopalniane złoża. Zaakceptowaliśmy to w zamian za pewne gwarancje dla naszego narodu. Na początku dotrzymał słowa i zostaliśmy uzbrojeni. Bunt przeciwko władzy centralnej rozprzestrzenił się. Wtedy władza wysłała oddziały rządowe, aby nas poskromić. Było ich znacznie więcej. Ponieśliśmy więc olbrzymie straty w ludziach i sprzęcie. Napłynęli nowi ochotnicy, ale brakowało nam jeszcze broni. Zamówiliśmy ją u Rolfa Robertsona. Początkowo pozostawał kompletnie głuchy na nasze prośby. Ale w końcu zgodził się. Wiedział, że przygotowujemy generalną ofensywę przeciwko wojskom rządowym. Dostarczył nam dużą ilość broni i jeszcze więcej amunicji. Pełni ufności rozpoczęliśmy naszą ofensywę. Ale wojska rządowe już na nas czekały. Wiedziały, że zamierzamy zaatakować. Podczas bitwy zorientowaliśmy się, że amunicja przysłana nam przez Rolfa Robertsona, w czterech piątych nie nadawała się do użytku. Nasi bracia nie mogli walczyć i wojska rządowe dokonały ogólnej masakry. Tak na pokaz. I bunt został stłumiony, na skutek braku ludzi i środków. Nieco później, Rolf Robertson zerwał podpisaną z nami umowę.

Potem dowiedzieliśmy się od pewnego muzułmanina, wysokiego rangą urzędnika

państwowego, że jakieś towarzystwo, podburzone przez Rolfa Robertsona, podpisało tajne porozumienie z rządem, który przyznał mu do eksploatacji wszystkie złoża na Sulu i Mindanao, na okres pięćdziesięciu trzech lat. W końcu zrozumieliśmy sedno całej sprawy. Zanim Rolf Robertson podpisał z nami umowę, towarzystwo to bez sukcesu próbowało otrzymać od rządu koncesję w rzeczonyj sprawie. Wówczas zwrócono się do Rolfa Robertsona, specjalisty w tej materii. Natychmiast dostrzegł korzyści, jakie mógł wyciągnąć z naszej rebelii. Przyszedł nam z pomocą. A my, naiwni, zgodziliśmy się. Rebelia rozszerzyła swój zasięg. Rząd zaniepokoił się. Wspólnie z towarzystwem, Rolf Robertson zastosował wobec rządu szantaż: albo przyznacie nam tę koncesję, albo my nadal będziemy zaopatrywać buntowników w broń i amunicję. Rząd zgodził się na tę transakcję. Ponadto, Robertson przekazał rządowi informacje o ofensywie, jaką przygotowywaliśmy, i dokonał sabotażu swojej ostatniej przesyłki broni i amunicji.

Harry Shulz skrzywił się z dezaprobatą i powiedział:

– Podwójna gra. To chyba jest jedna z jego ulubionych metod. Ale nie rozumiem, dlaczego nadal nie pertraktował z wami zamiast z rządem. Przecież rząd mógłby zmienić decyzję o przyznaniu koncesji zaraz po zdławieniu rewolty?

Uśmiechnęła się.

– Ale my również mogliśmy tak postąpić zaraz po uzyskaniu niepodległości. Tego właśnie się obawiał. I w tym właśnie momencie nie miałby już nas w ogóle niczym szantażować. Podczas gdy pertraktując z rządem, zawsze mógł grozić nową pomocą podziemnemu ruchowi partyzanckiemu.

Lit, platyna – zastanawiał się Harry Shulz – rzadkie, cenne metale. Czyż Batuyamata nie powiedział mu, że skonfiskowane przez Kradinowoto na rzecz skarbu państwa spółki zagraniczne, były spółkami węglowymi wyspecjalizowanymi w wydobywaniu rzadkich metali?

Wszystko doskonale do siebie pasowało!

Harry Shulz posunął do przodu trzeciego pionka.

– Jak się nazywa to towarzystwo, które otrzymało koncesję na wydobywanie? – spytał od niechcienia.

Ale jego pionek został zmieciony przez gońca przeciwnika.

– To nie pańska sprawa.

– Kto stoi za tym towarzystwem? Kto stoi za Rolfem Robertsonem? – nalegał.

Wzruszyła ramionami.

– To bez znaczenia. Wolałbym, żebyśmy...

– Tak?

– Czy to spanie w ubraniu jest wygodne?



Harry Shulz zerknął na nią z ukosa i wstał. Przeciągnął się leniwie, rozmyślając, czy nie powinien przespać się z nią, aby ją ułagodzić i wyciągnąć potrzebne informacje, ale pohamował się. Miał do czynienia z okrutną bojowniczką, która dałaby się raczej zabić, niż cokolwiek by wyznała.

Zaczął się powoli rozbierać, tak jakby znajdował się na scenie kabaretu ze striptizem. Obserwowała go w półprzymkniętymi oczami, z lekko rozwartymi ustami. Jej piersi unosiły się w pośpiesznym rytmie. Kiedy już był zupełnie nagi, zdjął powoli kapę z łóżka i wierzchnie prześcieradło, strzepnął poduszki i ułożył je u wezgłowia łóżka. Bezwstydnie przeszedł tuż obok, ocierając się o nią, naprężając wszystkie mięśnie.

Wreszcie położył się.

Nieoczekiwanie dziewczyna wstała i impulsywnie zdjęła z siebie dzinsowe wdzianko, bieliznę, pantofle i stanęła przed nim całkiem naga.

Harry'emu Shulzowi zaparło dech w piersiach. Ciało młodej kobiety było posągowe, jak gdyby wyszło z jakiejś rzeźbiarskiej formy, którą zaprojektowano zgodnie z kanonami idealnej kobiecej piękności. Skoczyła na łóżko, wspięła się na niego i jej wargi pożądliwie złączyły się z jego ustami, jednocześnie jej wspaniale zarysowane piersi ocierały się o jego tors, a jej nogi rozsuwały się. Po długiej chwili odsunęła się.

– Weź mnie – westchnęła.

To trwało długo. Bardzo długo. Partnerka Harry'ego Shulza zdawała się nie móc nasycić jego ciałem. Kiedy wreszcie odwróciła się na bok, z urywanym oddechem i czołem mokrym od potu, spytał:

– Obmyśliłaś to sobie z góry, prawda? To dlatego zajęłaś miejsce strażnika.

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Tak – przyznała, kłusując kawałek jego ucha. – Polityka to piękna rzecz, ale...

– To tak jak gulasz – dokończył z uśmiechem – bez papryki jest mdły.

Harry Shulz wyszedł z łazienki.

Był już dzień. Młoda kobieta ubrała się, rzuciła jego pistolet na zmiętą pościel, a potem podeszła do drzwi.

– Dokąd idziesz? – spytał.

– Zobaczyć się z moimi towarzyszami.

Odwróciła się i otworzyła drzwi. Przystanęła na progu i znowu spojrzała mu prosto w twarz.

– Skoro mnie o to nie zapytałeś, to sama ci teraz powiem. Mam na imię Safia. Nazwisko chyba cię nie interesuje... A ty jesteś Frank, nieprawdaż?

– Tak.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem i wyszła na korytarz. Drzwi zatrzasnęły się za nią. Harry Shulz schował pistolet i ubrał się. Kończył wkładać buty, kiedy trupio błada Safia nieoczekiwanie ponownie wtargnęła do pokoju.

– Co się dzieje? – spytał szybko.

Miała szeroko otwarte oczy i drżące usta. Wskazywała z uporem na jakiś odległy punkt.

– Co się dzieje? – powtórzył.

– Moi przyjaciele... – zaczęła chrapliwym głosem. – Nie żyją...

– Wszyscy czterej?

– Tylko trzech... Czwarty pilnował twoich znajomych... Tego małżeństwa, wiesz...

Harry Shulz podszedł do niej, wziął ją za ramię i potrząsnął.

– Gdzie to się stało?

– W ich pokoju. Wynajęliśmy tutaj dwa pokoje. Jeden dla mnie, jeden dla nich czterech...

– Zostali zamordowani?

– Poderżnięto im gardła... tak jak... tak jak...

Safia bełkotała. Łzy napływały jej do kącików oczu. Harry potrząsnął nią mocniej niż za pierwszym razem.

– Nie możesz się teraz poddać! Pamiętaj! Jesteś ich szefem!

Safia otrząsnęła się.

– Przeszukano mój pokój. Wszystko jest poprzewracane do góry nogami. Gdybym nie spędziła nocy tutaj, ja... ja... także byłabym martwa...

Harry Shulz delikatnie dotknął jej policzka.

– Zobaczymy. Mówisz, że ten czwarty żyje?

– Tak.

– O niczym nie wie?

– Nie.

– Chodź ze mną.

Harry Shulz machinalnie popieścił kolbę zatkniętej za pasek trzydziestki ósemki.

Być może zabójcy czatowali jeszcze na Safię i tego, który przeżył? Ale kto mógł dokonać zamachu?

Wyszedł za Safię na korytarz.

– Możesz zrezygnować z opieki nad parą tych Amerykanów i odwołać tego kumpla. Tak będzie lepiej.

– Masz rację.

Zaprowadziła go do pokoju.

Robotę wykonali zawodowcy. Czysto i bez fuszerki. Z przeciętych tętnic szyjnych trzech mężczyzn wyciekła krew, rozlewając się na łózkach i na dywanie.

Safia dygotała z przerażenia. Harry Shulz obejrzał dokładnie pokój, drzwi, drzwi balkonowe. Wyszedł na balkon i uniósł wzrok ku górze.

– Moim zdaniem – skomentował – weszli tędy. Drzwi balkonowe musiały być otwarte i...

Harry Shulz powrócił do pokoju i spytał:

– Czy ci chłopcy wystawili wartę?

– Po co? – zdziwiła się. – Nie mieli się czego obawiać. Z wyjątkiem policji, jeśliby nas nakryła. Ale nie było potrzeby z tego powodu wystawiać straży!

– Musimy opuścić ten hotel – poradził zdecydowanie. – Musimy się też dowiedzieć, czy połączenia lotnicze z zagranicą zostały już przywrócone. Weź ze sobą wszystkie ich dokumenty i kompromitujące przedmioty. Niczego nie zostawiaj.

– Ale... Co z meldunkiem w książce hotelowej?

– Trudno. Kłopot w tym, że kiedy odkryją trupy, policja zacznie poszukiwać pozostałych Filipińczyków, którzy zarejestrowali się w książce hotelowej w tym samym czasie, co twoi kumple. A ponieważ policja na pewno szuka jeszcze ludzi, którzy zamordowali Rolfa Robertsona, doda sobie tutaj dwa do dwóch... A ty i twój ocalały z masakry towarzyszy będziecie mieli problemy. Jeśli policja schwyta was, zanim zdążycie wyjechać z kraju, czekają was ciężkie chwile.

Strach jakby zniknął z oczu Safii. Odzyskiwała spokój.

– Nie traćmy czasu – zgodziła się.

Włożyła do plastikowej torby dokumenty i kilka przedmiotów wyjętych z kieszeni zamordowanych i ich toreb, podczas gdy Harry Shulz telefonował, aby zasięgnąć informacji. Gdy tylko odłożył słuchawkę, Safia spojrzała na niego pytająco.

– I co?

– Połączenia lotnicze nadal nie działają – odpowiedział krótko. – Jesteś gotowa?

– Tak.

– Wyjeżdżamy.

Para Amerykanów pochodząca ze Scottsbluff w stanie Nebraska, przyjęła jego powrót z ulgą.

– Przeżyliśmy tu straszną aferę! – rzekła kobieta pełnym entuzjazmu tonem, który przeczył skardze w jej głosie.

– Będziemy protestować w konsulacie! – zawtórował jej mąż.

Harry Shulz posłał im swój czarujący uśmiech.

– To niepotrzebne. Nie wiedząc o tym, oddaliście państwo ogromną przysługę Stanom Zjednoczonym Ameryki. Byliście głównymi aktorami pewnej rozgrywki, której znaczenia jeszcze nie znacie... Wyjaśni wam to jednak list gratulacyjny, jaki prześle wam prezydent, kiedy dowie się o dominującej roli, jaką w tej sprawie odegraliście.

Przybrał tajemniczą minę i położył palec na ustach.

– I ani słowa! Nic nie widzieliście, nic nie słyszeliście. Nigdy mnie nie widzieliście. Nigdy nie widzieliście tej kobiety ani tego mężczyzny. Nic się wam nigdy nie przytrafiło. Zapomnijcie o wszystkim. Aż do chwili, gdy powrócicie do Scottsbluff. Tam będziecie narodowymi bohaterami.

Pan i pani Horseshit wyprostowali się z godnością, przybierając pełną powagi postawę.

– Może pan liczyć na nasz patriotyzm, proszę pana – zapewnili oboje.

Harry Shulz dał znak do wyjścia z pokoju Safii i Filipińczykowi, który pilnował małżeństwa. Sam chciał też wyjść, ale pani Horseshit powstrzymała go za ramię.

– Czy mogłabym dostać autograf? – poprosiła błagalnym tonem.

Podawała mu notes i pióro. Z protekcyjnym wyrazem twarzy spełnił prośbę i napisał: „Barry Kissinger”.

– Kissinger? – powtórzyła zachwycona. Skromnie spuścił oczy.

– Jestem jego bratem.

Potem zamknął za sobą drzwi. I szybko przystąpił do wykonania kilku operacji. Po zablokowaniu zamka od wewnątrz, na drzwiach pokoju, w którym leżały trupy, umieścił tabliczkę: „Nie przeszkadzać pod żadnym pozorem”. W międzyczasie, pozostały przy życiu Filipińczyk wyniósł swoje rzeczy. Prosząc Safię o przetłumaczenie, Harry Shulz nakazał mu wyjść z hotelu bez bagaży i zaczekać na ulicy. Potem razem z Safią zabrali swoje walizki. Wzięli jeszcze torbę Filipińczyka, zeszli do hallu uregulować rachunek. W chwili gdy wsiadali do taksówki, nadjechała kolumna wozów policyjnych. Samochody zatrzymały się przed hotelem. Wysiedli z nich uzbrojeni policjanci i ustawili się w kordon przed hotelową fasadą.

Taksówka ruszała już jednak z miejsca.

– Sytuacja się komplikuje – szepnął Harry do ucha Safii.

– Albo policja doszła do wniosku, że strzelec, który zamordował Rolfa Robertsona, zadekował się w hotelu, albo też ktoś ją o tym poinformował – powiedziała poważnie.

– To możliwe.

– Dokąd jedziemy? – zapytał kierowca taksówki.

– Na lotnisko.

Na lotnisko? – zdziwiła się Safia. – Przecież połączenia lotnicze z zagranicą są zerwane!

– Wiem. Ale musimy być gotowi w każdej chwili do odlotu pierwszym samolotem. Może nawet uda nam się znaleźć jakąś prywatną maszynę, której pilot zgodziłby się wywieźć nas z kraju...

Psiakrew! – pomyślał rozżalony. – Jaka szkoda, że w pobliżu nie ma teraz Charliego Kingsleya!

## ROZDZIAŁ XV

Wielka hala dworca lotniczego imienia Jorge Chaveza pełna była cudzoziemców, którzy wpadli na ten sam pomysł co Safia i Harry Shulz. W tłumie przeważali turyści. Na betonowych płytach, samoloty linii „Braniff”, „Delta”, „Air France”, „Avianca”, „Panam”, „Vanvig”, „Lan-Chile”, „Viasa” i „Faucet”, z narodowego peruwiańskiego towarzystwa lotniczego, grzecznie stojące szeregiem na wyznaczonych parkingach, oczekiwały zniesienia zakazu. Otoczone były plutonami żołnierzy, którzy nerwowo dotykali kolb karabinów.

Pracownicy towarzystw lotniczych wytrzymywali cierpliwie natarcie tłumy ludzi, którzy bez przerwy wypytywali się, czy zakaz na loty zagraniczne nie został zniesiony.

Hala przypominała wielkie obozowisko. Jakiś ogromny karawanseraj. Stos bagaży dopełniał reszty. Korzystały z tego dzieci, bawiąc się w chowanego. Wędrowni sprzedawcy zbijali fortunę, oferując owoce i placki kukurydziane. Tu i ówdzie karmiono dzieci butelką. Oglupiali i naćpani narkotykami hippisi, zgromadzeni w jednym z zakątków portu lotniczego, przyglądali się zamglonym wzrokiem żołnierzom krążącym po korytarzach, z bronią przewieszoną przez ramię i dobronudszym wyrazem twarzy. Dystrybutor wody sodowej był obłożony i dominowała tutaj ciężka woń potu, niedomytych ludzkich ciał, zgniłych owoców i egzotycznych słodczy.

Harry'emu Shulzowi, Safii i Filipińczykowi, Kosno, udało się znaleźć miejsce, gdzie jakoś upchnęli swoje bagaże.

– Oby tylko policji nie przyszło do głowy nas tutaj szukać! – powiedziała z nadzieją Safia.

– Nie należy stwarzać sobie zbyt wielu złudzeń – ostudził jej zapał Harry Shulz. – Jeśli połączenia lotnicze z zagranicą nie zostaną szybko przywrócone, policja będzie szukać was obojga tutaj.

- Może więc nie jesteśmy tu bezpieczni!
- Wszystko zależy od tego, jak szybko znajdą te trzy trupy.
- A jeśli oni już nas podejrzewają, że jesteśmy tymi, którzy zabili Rolfa

Robertsona?

- Nie wiem. Należałoby dowiedzieć się, kim są ci, którzy zabili twoich kolegów. Jaki mieli w tym interes? Żeby pomścić Rolfa Robertsona? Oczywiście pod warunkiem, że wiedzieli, iż to wy jesteście winni jego śmierci. W takim razie jednak, dlaczego nie zawiadomili policji? Dlaczego sami ich zabili? Czegoś tutaj nie rozumiem. Coś mi tutaj nie gra.

- Mnie również.

Harry Shulz oparł swoją walizkę o ścianę i usiadł na niej.

- Nie.

- Co, nie?

- To nieprawda, że czegoś nie rozumiesz. Ty wiesz coś, co wiąże się ze śmiercią twoich przyjaciół.

- To nieprawda! – zaprotestowała.

- To prawda.

- A dlaczegoż to? – zbuntowała się.

- Ponieważ ty wiesz, kto działał za plecami Rolfa Robertsona, kiedy zmontował on w twoim kraju tę aferę.

Safia milczała.

- To nie ma nic do rzeczy – powiedziała w końcu.

- Skąd o tym wiesz?

Wzruszyła ramionami.

- Jestem o tym przekonana.

- Naprawdę nie przychodzą ci do głowy powody, dla których zamordowano twoich kumpli?

- Nie.

- Rozumujmy logicznie. To nie zwolennicy generała Cardozy-Molinosa chcieli pomścić śmierć Rolfa Robertsona. Jeśli to oni sami dowiedzieli się, że to wy jesteście winni, to jak na to wpadli? I dlaczego nie okrzykli zwyczajnie hotelu? Zostalibyście przecież aresztowani bez większego problemu... A tymczasem ty i Kosno jesteście tutaj, żywi. Więc zrobił to ktoś inny. Ty jedna możesz znać odpowiedź na to pytanie.

- Nie mam o tym pojęcia.

Harry Shulz westchnął.

- A gdybyś opowiedziała mi trochę o tym facecie?

- Jakim facecie?

- O tym, dla którego pracował Rolf Robertson, kiedy ukartował tę oszukańczą sprawę w twoim kraju.

Safia wzruszyła ramionami.

- Mylisz się. On jest ponad to.
- Ponad co?
- Ponad to, aby popełnić te trzy ohydne zabójstwa.
- Mógł je zlecić – zauważył Harry Shulz.
- On nawet nie wie, że my żyjemy!

Należało ją bez przerwy nękać, nie pozwolić jej odetchnąć, wyłudzić od niej informację, której potrzebował – orzekł w myślach Harry.

- Dlaczego mówisz, że on jest ponad to?
- Ponieważ obraca się w sferach, w których nikt nie zniża się do tego rodzaju rzeczy.

- Gruba ryba?
- Tak.

Usta Safii wykrzywił zjadliwy grymas.

- To jeden z najpotężniejszych ludzi na świecie – rzuciła od niechcienia.

Harry Shulz uznał za zbędne przypomnienie jej, że często to właśnie potężni ludzie nie wahali się zlecać zabójstw zawodowym mordercom, ponieważ taka ostateczność służyła ich interesom. Bo czyż kapitan żeglugi wielkiej mógłby to wiedzieć? Zauważył, że Safia chce wyrzucić z siebie całą swoją gorycz. Zaczęła mu opowiadać:

- Dla niego liczą się jedynie pieniądze. Pieniądze i władza. Chce wszystko posiadać i wszystkimi rządzić. Za każdą cenę!

To by się zgadzało – przyznał w duchu Harry Shulz.

- Zapragnął zawładnąć całym światem. Nic nie może mu się oprzeć, jeśli coś postanowił zagarnąć... – mówiła dalej Safia.

Harry drgnął. Jego pozycja nie była wygodna, ułożył więc walizkę na podłodze i tak na niej znowu usiadł. Safia mówiła dalej:

- A jest niesłychanie bogaty... Oszłamiająco bogaty!... Ale jego łapczywość, pragnienie bogactw, władzy są nienasycone, wciąż nie zaspokojone. To potwór... Potwór o ludzkiej twarzy. Dziesiątki tysięcy ludzi umiera każdego dnia z jego powodu...

- Jak to? – przerwał.

Safia zatopiła wzrok w oddali.

- On wznieca rewolucje po to, aby je szybko stłumić... – wyznała.

Harry Shulz drgnął. Safia mówiła dalej:

- Tak jak w moim kraju. Chociaż to nie on wzniecił nasz bunt. Ale on z tego skorzystał. Wskoczył do pędzącego pociągu za pośrednictwem Rolfa Robertsona, który dla niego pracował. Ale w innych krajach sam kierował przebiegiem rewolucji, których jedynym celem była jego własna korzyść. Chcesz przykładów? Rio de Oro. Bunt nomadów przeciwko Hiszpanii. Dlaczego? Złoża fosfatów

wartości miliarda siedmuset milionów dolarów, nad brzegiem Oceanu Atlantyckiego, które jakoby chce eksploatować sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców Rio de Oro. Kto w to uwierzy? Co nomadowie mają zrobić z fosfatami? Ale to jemu zależy na fosfatach. Niepodległość dostaną oni, a fosfaty będą należały do niego. Więc finansuje bunt. To samo dzieje się w Beludżystanie. Ta pakistańska prowincja jest przebogata w surowce. Węgiel, ropa naftowa, gaz. Ten sam przebieg. Podobnie w Kurdystanie. Ale tam, tak jak w moim kraju, w końcu porozumiał się z rządem w Bagdadzie, ponieważ rewolta Kurdów przedłużała się. I nagle opuścił powstańców. Rezultat? Ci ostatni, dowodzeni przez generała Barzani, zostali zmiażdżeni przez natarcie oddziałów irackich. To samo w Dhofar. On popiera Ludowy Front Wyzwolenia Omanu i Zatoki Perskiej w walce z sultaniem Omanu. Powód? W tym regionie świata jest tylko jeden powód. Ropa naftowa. Jeszcze inne przykłady? Czad, Erytrea... Zawsze on... on... on!

– Czy to Amerykanin? – spytał łagodnie Harry Shulz.

– Tak.

Ostatnie słowo wypowiedziała histerycznym tonem, ale natychmiast się uspokoiła. Ludzie wokół siedzieli rozłożeni jak na pikniku. Kosno, który przez chwilę był nieobecny, wrócił objuczony butelkami wody sodowej i różnego rodzaju owocami.

– Jesteś głodna? – spytał Safię Harry Shulz.

Machinalnie chwyciła butelkę wody sodowej i kilka bananów. Zrobiła to samo. Obrwała banana i nadgryzła go.

– To jak nazywa się ten czarujący chłopiec? – rzucił z uśmiechem Harry Shulz.

Safia przyjrzała się mu uważnie.

– Nie licz na to, że ci to powiem.

Udała zdziwionego.

– Skąd ta tajemniczość?

Przełknęła ostatni kęs banana.

– Zachowuję to nazwisko dla siebie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Kolektyw Centralny skazał go na śmierć. Tak jak Rolfa Robertsona.

On jest równie winny jak tamten. Jeśli nie bardziej.

Harry Shulz wstrzymał oddech.

– Przeznaczasz mu taki los, jaki spotkał Rolfa Robertsona?

– Jeśli Kosno i mnie uda się wyjechać z tego kraju, tak. Zostało nas już tylko dwoje, ale mimo wszystko dopniemy swego.

Harry Shulz błyskawicznie się zastanawiał. Potem rzekł:

– Możesz liczyć także na mnie.



- Dołączysz do Kosno i do mnie?
- Tak.
- Ale dlaczego? Nie masz żadnego powodu, żeby to zrobić!
- Wręcz przeciwnie.
- Wyjaśnij.
- Zastanów się. Jeśli Robertson w zмовie z tym człowiekiem zmontował tę intrygę w twoim kraju, musiał również w zмовie, kazać zabić mojego brata i jego wspólników. Tak jak mówisz, obaj są winni.
  - Ależ Frank, wczoraj nie byłeś tego pewien! Powiedziłeś mi, że poszukiwałeś Rolfa Robertsona, aby wypytać go o śmierć brata i jego wspólników, i że dopiero gdyby jego odpowiedzi cię nie zadowolily, mógłbyś go zabić!
  - Po tym, co mi opowiedziałaś o nim i o tym drugim facecie, nie mam już żadnych wątpliwości.
- Przyglądała mu się uważnie dłuższą chwilę, w milczeniu, tak jakby chciała go ocenić, i w końcu, zrezygnowana, machnęła ręką.
  - Dziwnie reagujesz! Nie mogę cię rozgryźć.
  - Więc jaka jest twoja odpowiedź?
  - Zobaczymy, czy istnieje szansa opuszczenia tego kraju!

Nad lotniskiem zapadła noc. A sytuacja nie ulegała zmianie. Połączenia lotnicze z zagranicą wciąż były zerwane. Chociaż, według ostatnich wiadomości radiowych, generał Cardoza-Molinos zdawał się definitywnie wygrać walkę z oddziałami rządowymi, mimo ich wcześniejszych sukcesów. Po południu Harry Shulz krążył wokół portu lotniczego, aby znaleźć pilota jakiegoś prywatnego samolotu, który mógłby ich zabrać za granicę. Jego starania okazały się bezcelowe.

Nocą gwar w hali portu lotniczego ucichł. Ci, którzy się tutaj zgromadzili, postanowili poczekać do jutra, w najmniej niewygodnej pozycji.

Teraz większość tych ludzi spała.

Tak jak Safia i Kosno.

A Harry Shulz rozmyślał.

Johnny Kremer miał rację. Rzeczywiście istniał ktoś, kto działał za plecami Rolfa Robertsona, i tym kimś był bezsprzecznie mężczyzna, którego opisała Safia. Cała sprawa jawiła mu się więc w nowym świetle. Dzięki informacjom Safii, rozumiał mechanizm operacji, w której zginęli Johnny i jego kumple.

Mężczyzna opisany przez Safię, razem z Rolfem Robertsonem zmontował pozorny zamach stanu. Johnny i jego ludzie mieli zamordować dożywotniego prezydenta-marszałka Kradinowoto I. W rzeczywistości, tamten był na to przygotowany. Upozorowany zamach dawał Kradinowoto okazję do oskarżenia

zachodnich mocarstw o podżeganie do usiłowania zabójstwa. Upaństwowił zagraniczne spółki. Później, spokojnie przekazał ich majątek „inspiratorowi”. Jakim sposobem? Prawdopodobnie przez Stangwę. Figuranta, człowieka oddanego mu bezgranicznie.

Safia poruszyła się. Obudziła się i przeciągnęła.

- Nie śpisz?
- Wypalę ostatniego papierosa i też kładę się spać.
- To nie jest tak wygodne jak twoje łóżko wczorajszej nocy.

Uśmiechnął się.

- Masz rację. Mnie też bolą wszystkie kości.

Spojrzała na niego ponurym wzrokiem.

– I nie można tutaj robić przyjemnych rzeczy, jakie wymyślaliśmy ostatniej nocy...

- Pewnie, bo zwrócilibyśmy powszechną uwagę i dopiero mielibyśmy aferę!

Safia parsknęła śmiechem i zaraz znowu zasnęła.

Ale dlaczego zabito Stangwę?

Kto zlecił to zabójstwo?

„On”?

Czy to także „on” zlecił masakrę kumpli Safii?

A ona, w jaki sposób udało się jej odnaleźć Rolfa Robertsona?

Poszukując go, Safia prawdopodobnie bezwiednie się zdemaskowała, równie bezwiednie wystawiając się na ciosy morderców.

Trzeba się dowiedzieć, jak to było.

I trzeba było też ustalić „jego” tożsamość.

Ta jego propozycja pomagania Safii była sprytna. W ten sposób stawał się jej cieniem. Jej alter ego. Ponieważ ona знаła „jego” tożsamość. To takie proste. Ona zaprowadziła go prosto do „tego”, którego tropił.

Harry Shulz odwrócił głowę i zerknął na Safię. Spała spokojnie. Lekki oddech wznosił jej piersi. Rysy twarzy straciły zwykły wyraz zdecydowania i energii, ustępując miejsca łagodnej ufności, jakby pograżyła się w błogim marzeniu sennym, gdzie wszystko było prostsze, bardziej czyste i jasne.

Machinalnie przygładził ręką zbuntowany kosmyk włosów, który zsunął się jej z czoła aż do ust i drgał w rytm oddechu. Potem pogładził ją po policzku i wstał.

Zapalił papierosa i skierował się ku drzwiom prowadzącym do wyjścia na płytę lotniska. Chciał zaczerpnąć świeżego powietrza. W hali panowała duszna, przytłaczająca atmosfera. Docierał do drzwi, kiedy nastąpił wybuch. Natychmiast upadł na podłogę i potoczył się na plecy.

Pośrodku hali buchnął gejzer pomarańczowego dymu, a jego kłęby unosiły się w powietrze olbrzymimi, gęstymi spiralami.

Po chwili nastąpiła druga eksplozja, potem jeszcze dwie.

I buchnęły nowe gejzery.

Ze wszystkich stron dało się słyszeć paniczne okrzyki.

Gęsty dym spowijał całą halę, przysłaniał wszystko.

Harry Shulz wiedział doskonale, co to było. Bomby dymne. Podobne do tych, jakich używano podczas wojny w Wietnamie. W ciągu kilku sekund tworzyły one zasłonę dymną, równie gęstą jak paskudna londyńska mgła. Dałoby się ciąć nożem. Miała dziesięć metrów długości, trzy metry szerokości i cztery wysokości. Jego zdaniem, bomby zostały umieszczone w walizkach, które eksplodowały, zdalnie sterowane systemem zegarowym.

Okrzyki oszalałych ludzi stawały się coraz bardziej przeraźliwe, coraz bardziej rozzdzierające.

Harry Shulz wstał. Miał wrażenie, że płynął w oceanie gęstych chmur. Nie widział już niczego wokół. Nic, poza pomarańczową mgiełką. Dym, jaki rozproszył się w hali, był cierpki i wywoływał łzawienie. Zakaszał i poczuł, że swędzą go powieki, wyciągnął rękę przed siebie, poszukując drzwi, aby je otworzyć i odegnąć ten cuchnący dym, wpuszczając do środka ożywczy powiew. Potem spróbuje wrócić i dotrzeć do miejsca swoich towarzyszy, by wyprowadzić ich na zewnątrz.

Musnął już końcem palca szybę drzwi, kiedy w porę ostrzegł go instynkt. Odwrócił się gwałtownie.

Ostrze sztyletu przecięło jego kurtkę i koszulę, dotarło do żeber i rozcięło skórę na lewym boku. Skrzywił się z bólu, ale natychmiast zareagował. Prawą ręką wyrwał zza pasa swoją „trzydziestkę ósemkę”, schwycił ją za lufę i zamachnął się nią przed sobą.

Rozległ się trzask łamanych kości, gdy kolba pistoletu uderzyła w twarz jego napastnika. Harry Shulz odskoczył w bok i na chybił trafił powtórzył operację. Tym razem natrafił jedynie na pomarańczową watę wszechobecnego dymu. Domyślił się raczej niż spostrzegł kolejny atak.

Coś w rodzaju cichego szmeru.

Ściskając w garści lufę swojej broni, zakręcił nią młynka, jednocześnie obracając się wokół własnej osi.

Usłyszał straszliwy trzask i ciepły płyn oblał mu pięść. Głuchy odgłos oznaczał upadek ciała. Wymacał końcem stopy wydłużony kształt leżący teraz na podłodze. Był sflaczały i miękki. Odetchnął z ulgą.

W lewym boku odczuwał gwałtowne rwanie. Dotknął tego miejsca ręką. Było lepkie od krwi.

Otoczająca go pomarańczowa mgła nie opadała.

Harry Shulz odnalazł drzwi, otworzył je i wyszedł na świeże powietrze. Pośpiesznie wsunął pistolet za pasek, kiedy zobaczył nadbiegający pluton żołnierzy z wycelowanymi naprzód karabinami. Usunął się na bok, aby pozwolić im przejść.

Najlepszym co mógł zrobić – stwierdził – było zaczekać tutaj, aż dym w hali całkowicie się rozproszy. Potem pójdzie odszukać w swojej walizce neseser z lekarstwami i poprosił wtedy Safię, aby zdezynfekowała i opatrzyła mu ramię.

Po pewnym czasie, który wydawał mu się całym wiekiem, Harry Shulz wstał z bagażowego wózka, na którym usiadł, i zbliżył się do grupki ludzi, którym, tak jak i jemu, udało się uciec z zadymionej hali.

Włożył pistolet do kieszeni kurtki, zdjął ją i zarzucił sobie na lewe ramię, tak, aby zakryć dużą plamę krwi, która barwiła na czerwono jego koszulę i spodnie.

Ostatnie smugi dymu rozprasały się w postaci wąskich, pomarańczowych smużek, umykając przez otwarte drzwi. Przecisnął się między tłoczącymi się przy drzwiach ludźmi. Zagradzali mu drogę, ale mimo wszystko udało mu się przedrzeć do wnętrza budynku.

Wokół trupa zgromadzili się żołnierze i cywile. Harry Shulz wysunął głowę ponad ramieniem jakiegoś potężnego mężczyzny, który strasznie się pocił i cuchnął.

Jeden z żołnierzy odsunął się na bok i Harry zobaczył twarz zabitego. Był do złudzenia podobny do tego, którego zabił w willi Stangwy na wyspach Bahama.

On także był Azjata.

Nie było mowy o pomyłce, choć głowa mężczyzny była zmiażdżona kolbą jego pistoletu i po lewej skroni spływała krew.

Żołnierz przeszukiwał akurat kieszenie trupa, co spowodowało, że Harry Shulz w głębi duszy zaśmiał się szyderczo. Tamten tracił czas. Kieszenie były zupełnie puste. Tak jak kieszenie tego trupa na wyspach Bahama.

Harry Shulz przebił się przez tłum, który otaczał go ze wszystkich stron. Jakaś kobieta trafiła go łokciem prosto w zranione ramię, aż zrobiło mu się słabo.

Najwyższy czas, żeby odnaleźć Safię.

Wolną ręką odepchnął grupę gapiów, aby utorować sobie przejście i stanął twarzą w twarz z prześliczną dziewczyną o splecionych w warkocze włosach i typowo indiańskiej twarzy.

Spojrzała z przerażeniem na jego prawą dłoń, którą posługiwał się, aby usunąć gapiów z drogi.

– Ależ pan jest ranny! – wykrzyknęła.

Impulsywnie przylgnęła do jakiejś szczupłej kobiety, która musiała być jej matką, i wyrzuciła z siebie kilka słów w języku keczua używanym przez Indian peruwiańskich.

– To nic takiego – odpowiedział z uśmiechem. – Naprawdę...

Spróbował pogadzić jej włosy, ale pisnąwszy ze strachu, dziewczyna cofnęła się o krok, pociągając za sobą matkę, i w ten sposób zrobiła Harry'emu przejście.

Safia i Kosno pogrążeni byli w bardzo głębokim śnie, tak jakby eksplozje wcale im nie przeszkadzały.

Kiedy ich opuszczał, leżeli na plecach. Teraz byli wyciągnięci na brzuchach.

Byli pogrążeni w najgłębszym ze snów, tak bardzo głębokim, że nie obudzą się z niego już nigdy, o czym świadczyła cienka strużka krwi, ciekąca spod dziwnie rozłożonych nóg Safii. Nie mógł już liczyć, że opatrzy mu ranę.

Harry Shulz uniósł najpierw ciało Safii, a potem Kosno. W sercach obojga tkwiły noże, wbite aż po rękojeść. Pozostawił ich w pozycji, w jakiej się znajdowali, i rozejrzał się dookoła.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Odstawił więc na bok swoją walizkę, zaś torebkę Safii schował do jej walizki, a potem ustawił bagaż Kosno w taki sposób, aby zasłaniał ślady krwi. Podniósł dwie walizki, powstrzymując się od jęku bólu wywołanego wysiłkiem, i ruszył w stronę toalet.

Po niekończącym się oczekiwaniu w kolejce złożonej z tłoczących się tutaj mężczyzn, kobiet i dzieci, Harry'emu Shulzowi udało się wreszcie dotrzeć do kabiny. Otworzył swoją walizkę, wyjął neseser z lekarstwami i zaczął opatrywać ranę. Następnie zmienił ubranie i skrupulatnie przeszukał bagaże Safii.

Ale nie znalazł tam żadnej wskazówki, która by go zaprowadziła na ślad „jego” tożsamości.

Dowiedział się jedynie, jak nazywała się Safia.

Safia Abderrhamane. Miała dwadzieścia cztery lata.

Harry Shulz ukrył swoje poplamione krwią ubranie w walizce Safii, to samo zrobił z torebką, i wyszedł z kabiny. Ze sobą zabrał tylko swoją walizkę, a tę drugą pozostawił w kącie, naprzeciwko miejsca, gdzie leżeli Safia i Kosno. Potem wyszedł na dwór i położył się w miejscu dostatecznie oświetlonym, aby móc się obronić się przed ewentualnym atakiem przeciwnika.

Pomyślał z goryczą, że wszystko należało zaczynać od początku. Jednak mimo wszystko z jedną różnicą. Teraz miał pewność.

Teraz wiedział, że Johnny Kremer miał rację.

„Trzeci człowiek” istniał.

Pozostawało jednak wypełnić trzecią część tryptyku.

Odnaleźć go.

Choć nic szczególnego o nim nie wiedział. Z wyjątkiem opisu jego działalności, jaki dostarczyła mu Safia, oraz jego narodowości: Amerykanin.

To było bardzo mało.

A liczba zabójstw wciąż rosła. Stangwa, trzej kumple Safii, wreszcie sama Safia i Kosno.

Zaczynał mieć własną teorię na ten temat.

Rana sprawiała mu ból. Nie mógł zasnąć i właściwie nie miał na to najmniejszej ochoty. Ten człowiek, którego zabił, nie działał sam. Pozostali musieli kręcić się w pobliżu. Z pewnością czyhali na niego, wiedząc, że ich kompan nie wykonał roboty. Tacy faceci nie wypuszczali swojej zdobyczy. Zabił już dwóch z nich. Ilu jeszcze zostało? Co najmniej dwóch. Jeden to ten, który zabił Safię, drugi, morderca Kosno. Ale może było ich więcej?

W hali powoli cichło. Żołnierze przeszukiwali zgromadzonych w hali, ale nikt nic nie wiedział, nikt nie znał zabitego, nikt nie wiedział, kto zdetonował walizki zawierające bomby dymne. Nastął świt, a dwie godziny później nadeszła dobra wiadomość. Połączenia lotnicze z zagranicą zostały przywrócone. Ci, którzy nie mieli biletów lotniczych, zaczęli oblegać kasy towarzystw lotniczych.

Harry Shulz posiadał bilet powrotny pierwszej klasy do Miami, na lot linii „Braniff”. Bez trudu dostał miejsce w samolocie.

Gdy już nadał walizkę na bagaż, Safia i Kosno nadal leżeli w pozycji, w jakiej ich pozostawił. Nikt nie zwracał na nich uwagi, nie dziwiono się, że jeszcze spali, ponieważ każdy zajmował się jedynie własnymi sprawami. Znaleźć miejsce w odlatującym właśnie samolocie i jak najszybciej opuścić ten Taj. Każdy dbał o siebie. Ponadto, ludzie musieli ich oboje zaliczyć do hippisów, których liczne grupki rozproszyły się we wszystkich zakątkach dworca. Oni byli jedynymi, którzy zdawali się nie śpieszyć z opuszczeniem portu lotniczego. Otepiali na skutek zażycia dużej dawki narkotyków z konopi indyjskich, leżeli ociężali, ogłupiali, zwinięci w kłębek we własnych śpiworach.

Harry Shulz na chwilę przystanął nad ciałem Safii. Przypomniał sobie upojną miłosną noc, spędzoną w jej towarzystwie. Pochylił się naprędce i dotknął palców dziewczyny. Były już lodowate. Uścisnął jej palce, wyprostował się i odszedł do samolotu.

W Miami udał się do dyskretnej kliniki, gdzie nie stawiano pytań o pochodzenie ran. Zatrzymał się tam przez kilka dni. Skorzystał z okazji, aby zadzwonić stamtąd do Jacka Gorofalo i prosić go, aby zaniechał poszukiwań Rolfa Robertsona. Potem wysłał mu przekazem telegraficznie honorarium za jego usługi.

Kiedy opuścił klinikę, nie mówiono już o rewolucji, jaka wybuchła w Peru kilka dni wcześniej. Generał Cardoza-Molinos zdecydowanie umocnił swoją władzę, przejętą po raz drugi.

## ROZDZIAŁ XVI

Redakcje „Miami Herald” i „Miami News” znajdowały się w tym samym budynku. Kiedy Harry Shulz skończył przeglądać archiwa pierwszej, wystarczyło mu pokonać piętro, aby dostać się do „Miami News”.

Ale bez powodzenia.

Pomimo wielu dni, jakie poświęcił na swoje poszukiwania, nie odkrył niczego, co mogłoby naprowadzić go na ślad człowieka, którego ścigał.

Stany Zjednoczone wydawały się być krajem, który ukrywał niezliczoną ilość potężnych miliarderów, obdarzonych bajecznymi fortunami, których skrywana działalność mogłaby być taka, jaką opisała Safia. Ale żaden artykuł w gazecie nie oskarżał kogoś z nich o to, że mieszał się w spiski, mające na celu obalenie obcego rządu, albo o to, że był inspiratorem dywersyjnych działań poza granicami Stanów Zjednoczonych. A biorąc pod uwagę otwartość amerykańskich dziennikarzy, zupełną wolność prasy, która pozwoliła nawet na odsunięcie od władzy jednego z prezydentów Stanów Zjednoczonych, można było orzec, że przeciwko żadnemu z tych ludzi nie wszczęto postępowania karnego.

W innym wypadku – przekonał sam siebie Harry Shulz – żaden reporter nie zrezygnowałby z odnotowania tego w swojej gazecie.

Harry wyjechał z Miami do Nowego Jorku. Wciąż zachowując identyczne środki ostrożności w trosce o własne bezpieczeństwo. Być może ci, którzy zlikwidowali Stangwę, Safię i jej przyjaciół, byli na jego tropie.

Zresztą, uwielbiał ten komizm sytuacyjny. Zawodowy zabójca ścigany przez innych zabójców!

Johnny Kremer naprawdę by się ubawił, gdyby mógł to zobaczyć.

Na miejscu Harry zaczął od „New York Timesa”. Potem szukał w archiwach innych dzienników nowojorskich. Następnie przejrzał wielkie dzienniki z prowincji, jak na przykład „Chicago Tribune”. Poświęcił na to cały miesiąc. Kiedy definitywnie zakończył wertowanie archiwów, nie posunął się naprzód bardziej niż w chwili, gdy opuścił klinikę w Miami. Dziwiło go jedno: nikt nie próbował go zabić, tak jak to było na wyspach Bahama i w Limie.

Tej nocy Nick d'Amato miał przed sobą mniej więcej takie widoki na przyszłość, jak baran pod koniec ramadanu, w jakimś muzułmańskim kraju. Jeśli o niego chodziło, zbliżał się czas méchoui\*.

\* baran pieczony na rożnie (przyp. tłum.).

Ale on o tym nie wiedział.

A jednak, chociaż Pluton w swoim domu nie zastąpił Urana, aby w ostatnich stopniach Wagi połączyć się z Saturnem przy opozycji Merkurego z Jowiszem – a zdaniem astrologów taka koniunkcja jest złowróżbna – powinien był domyślić się, że nadchodzi czas zdania rachunków.

Był to dzień jego urodzin. Świątował je w „Copacabanie”.

Wokół niego siedzieli: żona Ruth, siostra Liza, szwagier Joe Magliocco, ich córka Sissa i ludzie z obstawy Nicka, Moomey Eboli i Sally Abarco.

Wieczór w „Copacabanie” był fantastyczny. Francuska kuchnia i wspaniały show z Sammym Davisem Juniorem. Nick tańczył z Ruth, Lizą i Sissą. Tak jak zresztą Joe, Moomey i Sally.

Czy to po tych tańcach tak zgłodnieli?

W każdym razie, o czwartej nad ranem, kiedy wyszli z kabaretu, wszyscy odczuli potrzebę posilenia się przed pójściem spać.

Nick d'Amato zasugerował, aby udać się do chińskiej restauracji, i dwoma samochodami pojechali do Chinatown.

Ale wszystkie restauracje były tam już zamknięte.

Wówczas Lisa zaproponowała Małą Italię, włoską dzielnicę. Kilka kwartałów dalej na północ.

Dokładnie na rogu Hester Street i Mulberry Street odnaleźli to, czego szukali: restaurację „Giacomo's”. Podawano tam owoce morza. Wyłożone pod szklanym blatem menu było zachęcające: ryby w sosie, kalmary, małże, ostrygi smażone albo ostrygi w cieście, krewetki z grilla lub w ostrym sosie, mięczaki, spaghetti, frytki.

Weszli.

Byli tu po raz pierwszy, ale od razu im się tu spodobało. Z sufitu zwisała rybacka sieć, oddzielająca bar od sali. Na ścianie pod kolorowym widoczką Zatoki Neapolitańskiej wisiało koło ratunkowe, na którym widniał napis: „Giacomo's”.

Przy barze siedziało dwóch czy trzech klientów, a na sali cztery pary.

Właściciel, uszczęśliwiony gratką, jaka mu się trafiła, podbiegł bez zwłoki i pokazał miejsce w kącie sali przy dużym stole nakrytym czerwonym obrusem. Nick d'Amato przystał na to i w obstawie Moomeya Eboli, który pozostał przy drzwiach, wszedł do toalety.

Nick umył ręce i poprawił sobie włosy, z przyjemnością przyglądając się swojej twarzy w lustrze znajdującym się nad umywalką. Uważał się za niezwykle przystojnego, był tak bardzo zakochany w sobie, że czasami nawet żałował, iż nie jest homoseksualistą.

Zamówili po trochu wszystkich potraw, jakie wymieniało menu, a do tego tosty i chianti. I łapczywie pochylili się nad talerzami, aby z apetytem pochłonąć cały zestaw ryb i owoców morza, które właściciel restauracji ochoczo im serwował.



Chociaż pierwszy raz byli w tym lokalu, restaurator od razu rozpoznał Nicka d'Amato, co bardzo temu ostatniemu pochlebiało.

Rzucili się na spaghetti, gdy jedna z siedzących na sali par wstała. Byli w trakcie jedzenia, kiedy wstała druga para. Gdy kończyli jeść danie, dwie pozostałe pary także wyszły. Nick d'Amato był wielbicielem Richarda Widmarka. Nie tego Richarda Widmarka z westernów i telewizyjnych seriali kryminalnych, lecz Widmarka z pierwszych lat jego kariery aktorskiej. Richarda Widmarka z 1948 roku, z filmu „Rozdroża śmierci”, w którym grał on rolę Tommy'ego Udo, nieprzejednanego zabójcy, który zrzucił paralytyka wraz z jego fotelem na kółkach ze schodów drugiego piętra. Przez całe życie Nick d'Amato naśladował sarkastyczny grymas twarzy, przytłumiony głos wydawany bez poruszania wargami, papieros przyklejony do kącika warg, lodowate spojrzenie Tommy'ego Udo.

Gdy odsunął swój talerz, tym razem też uległ swojej słabostce. Zapalił papierosa, przykleił go sobie do warg, krzywiąc usta, i zwrócił się do Sally'ego Abarco:

– Rzuć okiem na nasze gabloty, Sally. Mała Italia pełna jest złodziejasków. Gabloty takie jak nasze przyciągają uwagę. Trzeba uważać, żeby nam ich nie gwizdnęli.

Sally Abarco skrzywił się. Butelka chianti była pusta i teraz odczuwał przemożną chęć wypicia zimnego piwa. Ale z Nickiem d'Amato nie było żartów. Wstał i wyszedł na ulicę.

Słońce już wzeszło. Pracownicy pierwszej porannej zmiany spieszyli do stacji metra Canal Street. Wkrótce właściciel zamknie „Giacomo's”, a jego miejsce zajmą kafejki serwujące śniadania. Sally Abarco spojrział na dwa okazałe samochody, którymi tutaj przyjechali. Żaden młody chuligan nie wydawał się nimi interesować. Uspokojony, zapalił papierosa. Zaciągnął się kilka razy i wciągnął powietrze. To przypomniało mu lata młodości. Zupełnie tak samo jak Nick, urodził się w tej dzielnicy i tutaj uczył się życia. Mała Italia była zakątkiem „starego kraju”, ograniczona na wschodzie Bovery Street, na zachodzie przez Lafayette Street, na północy przez Houston Street, a na południu przez Canal Street. Oczywiście restauracje i sklepy prowadzone były przez rodowitych Włochów i był to jeden z niewielu zakątków Nowego Jorku, w którym znajdowano jeszcze ustawione wzdłuż chodników uliczne wózki, gdzie odziani na czarno mężczyźni i kobiety, o czerwonych twarzach, sprzedawali owoce, warzywa i ryby na świeżym powietrzu, zimą i latem. Od czasu do czasu napadali na nich młodzi bandyci, którzy tutaj uczyli się „fachu”, zanim wzmocnili szeregi armii zorganizowanej przestępczości. Po ulicach krążyły pyzate kobiety, utuczone nadmiernym

spożywaniem spaghetti i licznymi porodami; w przytulnych knajpkach małowówni mężczyźni grali w taroka.

Sally Abarco uznał, że wszystko było w porządku i że najwyższy czas, aby wypił swoje zimne piwko. Zerknął po raz ostatni na ulicę i wszedł do restauracji. Jacyś Chińczycy zbliżali się nonszalanckim krokiem, przystanąli na chwilę, żeby zamienić słowo z Chińczykiem stojącym na rogu Hester i Mulberry Street.

Sally Abarco nie był zdziwiony. Przecież niedaleko był Chinatown. O kilka kwartałów domów na południe. Pojawienie się tu Chińczyków nie było więc bardziej zaskakujące, niż spotkanie żydowskiego handlarza starzyzną, idącego właśnie do swojego sklepu na Elizabeth Street, o dwie ulice dalej.

Sally Abarco rzucił papierosa do rynsztoka i odwrócił się. Zdążył tylko zrobić kilka kroków i minąć drzwi restauracji. Ból był straszliwy. Miał wrażenie, że rozgrzane do białości żelazo weszło mu pod łopatkę i przesywało mu serce. Nogi mu drżały, otworzył usta, ale nie wydał z nich żadnego dźwięku, a jego ostatnią wyraźną myślą był nieutulony żal z powodu zimnego piwka, którego już nigdy nie wypije.

Nick d'Amato bębnił niecierpliwie palcami po czerwonym obrusie, oczekując na rachunek, z którego przyniesieniem wyraźnie się ociągano. Wciąż spoglądał na wspaniałą, inkrustowany diamentami zegarek z platyny, który Ruth ofiarowała mu na urodziny, jakie wszyscy świętowali wczoraj. I wtedy to gwałtownie otworzyły się drzwi restauracji.

Moomey Eboli miał szybki refleks, ale nie dość szybki, jak na tych gości, którzy właśnie weszli. Lufa jego pistoletu nie zdołała wysunąć się znad brzegu stolika, a już w samym środku jego czoła promieniście rysowała się duża dziura.

Joe Magliocco nieoczekiwanie stał się jednookim. Jego lewe oko było już tylko ziejącą jamą, z której strumieniem płynęła krew.

Nick d'Amato rzucił się bokiem na ziemię, pociągając na podłogę swoją siostrę, Lisę. Jednocześnie przewrócił stolik. Jego prawa ręka ścisnęła już colta 32.

Nie zdążył go użyć.

Pierwsza kula trafiła go z prawej strony szyi. Zamachał komicznie rękami, tak jak trzepocze skrzydłami wystraszony nietoperz. Druga kula ugodziła go w skroń. Padł w brudne talerze, porozrzucane spaghetti, puste muszle po ostrygach, mięczakach i małżach, a jego krew natychmiast zmieszała się z rozlanym na podłodze ketchupem.

Kiedy zabójcy wyszli, drzwi zamknęły się z trzaskiem. Ich pistoletów z tłumikami nie było tak słychać.

Wszystkie trzy kobiety ocalały.

## Słynny gangster zastrzelony dziś rano w Małej Italii

*Czyżbyśmy uczestniczyli w nowej wojnie gangów? Nicholas d'Amato, 45 lat, jeden z wpływowych członków Syndykatu z rejonu nowojorskiego, został dziś rano zastrzelony, a wraz z nim jego szwagier Joseph Magliocco oraz Moomey Eboli członek jego obstawy.*

*Drugi członek obstawy, Salvatore Abarco, został zabity ciosem noża w plecy.*

*Nad ulicami Małej Italii wstawał świt. Nicholas d'Amato kończył właśnie posiłek złożony z owoców morza i spaghetti we włoskiej restauracji „Giacomo's” usytuowanej na rogu Hester i Mulberry Street. Był w towarzystwie żony Ruth, siostry Lisy, szwagra Josepha Magliocco, siostrzenicy Sissy i dwóch ludzi z obstawy. Poprzedniego wieczora obchodził z nimi swoją czterdziestą piątą rocznicę urodzin w „Copacabanie”. Przetoczywszy całą noc, zdecydowali się coś zjeść w lokalu „Giacommo's”, zanim położą się spać. Ten dobry apetyt okazał się dla Nicholasa d'Amato zgubny. Mordercy utorowali sobie drogę na salę restauracyjną zabijając Salvatore Abarco, po czym zaczęli strzelać do trzech mężczyzn. Zabili wszystkich trzech, ale nie ranili żadnej z kobiet. Osoba Nicholasa d'Amato była znana wszystkim nowojorczykom. Był jedną z najsłynniejszych postaci gangsterskiego świata. Przeszedł wszystkie szczeble hierarchii przestępczej, co pozwoliło mu zyskać w całym kraju sławę gangstera. Jego działalność kryminalna obejmowała tradycyjne dziedziny: gry hazardowe, prostytutkę, ochronę, szantaż, narkotyki, loterie, przemysł. W roku 1960 jako członek „rodziny” Joe'go Profacci buntuje się przeciwko władzy swego „dona”. On i jego gang „idą na materace”\**

*\* go to mattresses (ang.) – określenie w amerykańskim świecie przestępczym, oznacza zabarykadowanie się w jakimś budynku, jak w fortecy (przyp. aut.).*

*W trakcie dwuletniej wojny gangów krew leje się ulicami Manhattanu i Brooklynu oraz w drugorzędnych barach, w których przesiadują bandyci. W roku 1962 umiera Joe Profacci i jego śmierć kładzie kres wojnie. Nic już nie powstrzymuje Nicka d'Amato w marszu na szczyt. I nikt, z wyjątkiem Joego Colombo... 28 czerwca 1971 roku Joe Colombo przewodniczył wiecowi Ligi Praw Obywatelskich Amerykanów pochodzenia włoskiego w Columbus Circle, kiedy został zamordowany przez pewnego czarnoskórego płatnego zabójcę, który ucieka, strzelając na oślep we wszystkie strony. Nikt wówczas nie wątpił, że za tym zabójstwem stał Nick d'Amato. Chociaż od tamtej pory upłynęły cztery lata, czyż nielogicznym jest myśleć, że zabójstwo Nicholasa d'Amato powiązane jest z zabójstwem Joego Colombo? Ale dla policji większe znaczenie ma inna hipoteza. Pracownicy porannej zmiany, którzy spieszyli się do stacji metra na Canal Street,*

*spozręgli naprzeciwko restauracji „Giacomo's” grupę kilku mężczyzn, wyglądających na Azjatów. Ci ludzie, po strzelaninie w restauracji, wskoczyli natychmiast do samochodów. Wcześniej krążyli w okolicach restauracji. Te zeznania zgadzają się z oświadczeniami trzech kobiet, które towarzyszyły Nicholasowi d'Amato, oraz z zeznaniami właściciela restauracji „Giacommo's”, a także innych klientów znajdujących się w tej restauracji. Według nich, zabójcy to trzej Azjaci. Wbrew temu, co można by było o tym sądzić, ci Azjaci nie przybyli z leżącego w pobliżu Małej Italii Chinatown, ale skądś z zagranicy. Policja twierdzi, że w ostatnich czasach Nick d'Amato usiłował zadomowić się w Las Vegas, gdzie znalazłby szerokie pole działania w kasynach gry. Dobrze wiadomo, że wszedł w paradę innym gangsterom i jego pierwsze próby nie powiodły się. Zdaniem jednak niektórych, „ktoś” przysięgał, że zrobi z nim koniec.*

Harry Shulz odłożył gazetę. Skończył pić kawę i zapalił papierosa.

Azjaci...

To interesujące...

Naprawdę nie miał pojęcia, co Nick d'Amato mógł mieć wspólnego ze Stangwą, Rolfem Robertsonem, Safią i „tamtym”, ale intrygowała go jedna rzecz: ci azjatyccy zabójcy. To był niewątpliwie czysty przypadek, ale w tym szczególe musiała istnieć jakaś wskazówka.

O ile wiedział, płatni azjatyccy zabójcy nie biegali po ulicach. Przynajmniej on, człowiek z „branży”, nie znał nikogo takiego.

Czym więc ryzykował?

Nie powiodły mu się poszukiwania w archiwach gazet, więc nadal nie miał żadnego punktu zaczepienia, aby uczynić jakiś krok naprzód. Dlaczego nie pójść tą drogą? Tak się składało, że znał kogoś w Las Vegas, kto mógł dostarczyć parę poufnych informacji...

## ROZDZIAŁ XVII

Rexy „Stunts” Frobbe był znany bardziej jako Stunts\*.

\* Stunts – od słowa: *stuntman* (ang.) – kaskader (przyp. aut).

Jako były kaskader z Hollywoodu nosił na całym ciele blizny tego niebezpiecznego zawodu. Brakowało mu też jednego ucha, a z drugiego pozostał tylko strzępek. Wszystko przez pazur pantery. Podczas dublowania pewnej znanej gwiazdy w filmie „Cyrk”. Pazury pantery wyrwały mu również płat skóry

w okolicach karku. Miał też spaloną skórę obu rąk, co było następstwem wybuchu zbiornika z benzyną w wozie wyścigowym w filmie „Grand Prix”. Co się tyczy utykania na lewą nogę, było ono efektem fatalnego upadku podczas skoku z dylizansu w filmie „Jak zdobywano Dziki Zachód”. Miał również bliznę na prawym policzku – skutek źle zorganizowanej przez fehmistrza sceny pojedynku w filmie „Maria Stuart”, w czasie której ostrze szpady przeciwnika drasnęło mu policzek. Dochodziło do tego cięcia w lewe ramię wskutek fatalnego ciosu siekierą w „Kraksie”. Do tego jeszcze cios pięści Lee Marvinina w filmie „Parszywa dwunastka”, który roztrzaskał mu nos, nie wspominając już o sztucznej szczęce zastępującej jego własne zęby wybite wiosłem przez Roberta Mitchuma w filmie „Rzeka bez powrotu”.

Reszta pozostawała raczej nietknięta.

Między innymi język. A chłopak był wygadany. Rexy Stunts Frobbe pasjami lubił mówić. Kiedy mówił, to przypominało to bieg na dystansie dziesięciu tysięcy metrów! Maratończyk słowa! Czempion sposobu wyrażania myśli! A że sztuczne zęby powodowały, iż seplenił, należało dobrze nadstawić ucha, aby zrozumieć to, co mówił. W nieprzerwanym potoku wypowiedzanych zdań miało się wrażenie, że rozpoznaje się syk ulatniającego się gazu.

Harry Shulz zawsze się zastanawiał, w jaki sposób ta szczególna cecha nie zaszkoziła mu w jego nowym zawodzie. Bo już od dość dawna Stunts porzucił kaskaderskie wyczyny. Został w Las Vegas prywatnym detektywem. I cud, że jeszcze nie odebrano mu licencji. Stunts był najbardziej sprzedajnym prywatnym detektywem, jakiego można było znaleźć od Nowego Jorku po Los Angeles. Przyjmował wszystkie, najbardziej paskudne roboty, pod warunkiem, że były one dobrze opłacane, i zawsze działał na granicy prawa, jeśli jej zresztą nie przekraczał.

Ponadto był kopalnią wiedzy o życiu Las Vegas.

Rexy'ego Frobbe warto było posłuchać.

– Nick d'Amato to był cholerny twardziel – opowiadał Harry'emu. – Ale w gorącej wodzie kąpany. Zawsze pchał się tam, gdzie go nie proszono. Wariat. Nigdy nie był zadowolony. Zawsze widział samego siebie wielkim. Stojącym jak najwyżej. Pomyłony facet. Chciał mieć albo piękne życie, albo piękny koniec. I znalazł się ktoś, kto dopilnował, aby ten jego koniec szybko nastąpił. Bez zbędnej zwłoki. I do tego nie był piękny. Bo ja tego nie nazwałbym piękną śmiercią. Jakaś włoska restauracja w Małej Italii. Widziałem zdjęcia w gazetach. Gęba w musztardzie i ketchupie, nos w trocinach! Cholera!... Kto by to...

– Masz jakiś pomysł, kto mógł dokonać zamachu, Stunts? – Harry Shulz wreszcie mu przerwał.

Rexy Frobbe wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

- Zbyt wiele ode mnie wymagasz, Harry.
- Kiedy przeczytałeś opowieść o jego śmierci w gazetach, na pewno coś cię tknęło? – naciskał Harry Schulz.

Rexy Frobbe zazgrzytał sztucznymi zębami.

- No... właściwie... nic...
- Taki zawsze dobrze poinformowany facet jak ty, i nic?
- Nadstawiłem ucha we wszystkich knajpach, gdzie chodzą gangsterzy. Uwierz mi, domysłów było od licha i trochę! Nie pominęli żadnego, który mógłby to ewentualnie zrobić. Ale takich było zbyt wielu! Począwszy od Maxa Ryberga przez Banana Aiello aż po Pete'a Salerno. I nie mogli się na żadnego zdecydować...

- Kto był faworytem?
- Pete Salerno. Ale to nie pasuje.
- Dlaczego?
- Z powodu żółtków.
- Co masz na myśli?

Rexy Frobbe uszczypnął się w skrawek ucha, jaki mu pozostał.

- Pete nigdy w życiu nie posłużyłby się żółtkami, aby wykonać robotę. To nieokrzesany Sycylijczyk, który jedynie uznaje innych Sycylijczyków. Nie ma mowy, żeby wynajął jakiegoś „cyngla” spoza klanu. Brudy pierze się w rodzinie, a to najlepiej robią ci z Palermo. Jego chłopcy do naciskania spustu są „made in Sicily”. Pete Salerno odpada.

- Kto pozostaje?
- Powiedziałem ci, jest wielu takich. Max Ryberg, Banana Aiello, Jerry Orcana, Tommy d'Ambrosio, Joss Gonzales, Marry Goldstein i wielu innych. Ale oni wszyscy mają pewne alibi.

- Jakie?
- Nikt nigdy nie słyszał, żeby posługiwali się żółtkami.
- Czy twoim zdaniem policja ma rację, jeśli twierdzi, że to w Las Vegas należy szukać przyczyn sprzątnięcia Nicka d'Amato?

- Możliwe. Ale Nick nie przebierał w środkach. Równie dobrze mógł próbować osiedlić się w Kansas City, Chicago czy w Nowym Orleanie. To komuś się nie spodobało i urządzili mu bal. Wiesz, że...

- Ale nie wiadomo, na czyje podwórko tutaj wdepnął?
- Na podwórko wszystkich! Można byłoby stworzyć stowarzyszenie osób wnoszących skargi!
- To może wszyscy oni zgodzili się w końcu co do tego, że należy go powstrzymać...
- Dlaczego nie?

- A historia z żółtkami to świetna sztuczka.
- Co chcesz powiedzieć, Harry?
- Wiedzieli, że nikt nie uwierzyłby, że to oni posłużyli się żółtkami, więc posłużyli się nimi, aby odwrócić wszelkie podejrzenia.

Rexy Frobbe skinął głową.

- Niegłupie.

Harry Shulz umyślnie przybrał niezbyt mądry wyraz twarzy.

- Nigdy nie słyszałeś, żeby mówiono o kimś, kto posługiwałby się azjatyckimi płatnymi mordercami, Stunts?

- Nigdy, Harry.

- Nawet poza tymi, których wymieniłeś przed chwilą? Maxem Rybergiem i resztą?

Były kaskader zrobił zdziwioną minę.

- Nie nadążam za tobą, Harry. Kto inny posłużyłby się płatnymi mordercami?

- Oto jest pytanie, Stunts, w razie gdybyś słyszał o kimś takim. Na przykład o grubej rybie, która chciałaby się pozbyć niewygodnego świadka... albo szantażującej go przyjaciółki... albo zbyt sprytnego rywala, albo też polityka stanowiącego przeszkodę dla jego projektów... Wiesz, co chcę powiedzieć, Stunts?

- Bardzo dobrze, ale nie widzę nikogo, kto tutaj pasuje.

- Dobrze poszukaj.

Rexy Frobbe skoncentrował się.

Po chwili, pocierając czoło, uniósł głowę.

- Na próżno grzebię w myślach... Nic nie kapuję, Harry...

Harry Shulz westchnął.

- Przecież jest tutaj trochę grubych ryb!

- Ale tylko przejazdem.

- Nie pozostają na dłużej?

- Próbują szczęścia w grze. To wszystko. Miasto nie jest ośrodkiem wczasowym. Z tą pustynią naokoło! Przybywają tutaj samolotem, zamieszkują w najlepszym hotelu i kiedy przegrają całą forszę, uciekają zadowoleni z tego, że dobrze się bawili.

- Nie ma miliarderów, którzy pozostają na stałe?

- Nie. Nigdy o żadnym nie słyszałem.

- A facet, który bawi się w politykę międzynarodową, czy to ci nic nie mówi?

Tym razem Rexy Frobbe pogłaskał bliznę na szyi.

- Politykę międzynarodową?

- Tak.

– Harry, co ci chodzi po głowie?  
– Facet tak nieprzyzwoicie bogaty, że ciągle mu jeszcze mało i chciałby zaważnąć kiedyś bogactwami całego świata. Nie zawahałby się też użyć wszelkich środków, aby osiągnąć swój cel.

Rexy Frobbe nieoczekiwanie zrobił bardzo zdruzoną minę.

– Zajmujesz się dziwną sprawą, Harry. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Nie obracam się w takich sferach.

– Wybacz, Stunts.

Harry Shulz wstał.

– Więc niczego dla mnie nie masz?

– Nie. Przykro mi.

Harry Shulz wyjął z kieszeni kilka studolarowych banknotów i położył je na stole. Rexy Frobbe obrzucił je pożądlivym wzrokiem i pospiesznie zgarnął.

– Byłoby ich o wiele więcej, gdybyś naprowadził mnie na właściwy trop – westchnął Harry.

Były kaskader posmutniał. Przełknął ślinę, a Harry Shulz pomyślał, że zaraz się rozplacze.

– Nikt bardziej niż ja nie kocha tych pięknych zielonych banknotów, Harry, ale naprawdę nie mam nic, co mogłoby cię zainteresować.

– Szkoda. Cześć, Stunts.

– Cześć, Harry. Bez urazy.

Harry Shulz ruszył do drzwi. Właśnie miał je otworzyć, kiedy Rexy Frobbe pokuśtykał za nim.

– Hej, Harry! Zaczekaj...

– Tak?

– Coś mi się przypomniało. To może równie dobrze nic nie znaczyć, ale...

– Mów jaśniej.

– Taka jedna babka... Nie masz pojęcia, jak ta dziewczyna była zbudowana! Bomba!... Poznałem ją w Hollywood, zanim jeszcze zmieniłem zawód. Aktoreczka. Taka, jakich wówczas było mnóstwo w Hollywood. Byliśmy prawdziwymi kumplami, chciałem posunąć się dalej, ale niestety... Pewnie nie spodobała się jej moja gęba pełna blizn. Jednak to była dobra dziewczyna. Robiliśmy razem film. Western z Johnem Wayne. Grała dziewczynę z saloonu. Potem widziałem ją w innym filmie, ze Stevem Mac Queenem. To wtedy zostaliśmy prawdziwymi kumplami.

Harry Shulz słuchał cierpliwie. Wiedział, że aby dotrzeć z Nowego Jorku do San Francisco, Rexy Frobbe wybiera drogę przez Stambuł.

– Potem, kiedy skończyłem karierę, straciłem ją z oczu. Aż któregoś dnia spotykam ją tutaj. To ona odezwała się do mnie pierwsza. Ja jej nie poznałem.

Wiesz dlaczego?



– Czekam, że ty mi powiesz.  
– Ponieważ miała oszpeconą twarz. Brzytwą. Koniec z jej piękną buźką. Miała koszmarną gębę...  
– Kto to zrobił?  
– Jakiś facet...  
– Kto?  
– Jakiś facet... Nie znam jego nazwiska... Nie wiem, kim jest. Ona nigdy nie chciała mi tego powiedzieć. Jedyne co wiem, to to, że wcisnął jej na przeprosiny dziesięć tysięcy dolarów.

Harry Shulz zeszywniał.

Dziesięć tysięcy dolarów za wybaczenie pocięcia komuś twarzy brzytwą!

Trzeba być potwornie bogatym, żeby sobie na to pozwolić!

Ta historia interesowała Harry'ego Shulza. Gwizdnął cicho.

– Dlaczego pociął ją brzytwą?  
– Tego też mi nie powiedziała. Ale... właściwie... to nie on... osobiście... pociął ją brzytwą... Zrobił to przez podstawione osoby...

– Przez kogo?

Rexy Frobbe z zażenowaniem podrapał się w spłaszczony niczym pysk buldoga nos.

– Myślisz o forsie, Harry? Przyrzekłeś mi...

– Jeśli twoja historia będzie coś warta, masz u mnie jak w banku pięćset dolarów.

Słyszac to, Rexy Frobbe stał się bardziej rozmowny.

– Podstawionymi osobami byli Chińczycy. Najemne zbiry. Prawdopodobnie płatni zabójcy do wynajęcia, ale tego nie mogę potwierdzić.

– To ona ci o tym opowiedziała?

– Tak.

– Mów dalej.

– To wszystko. Kiedy ponownie ją spotkałem, była w szoku. Cała jej forsa wyparowała, zostało jedynie tysiąc dolarów. Żyła na kocią łapę z jakimś żigolakiem, który ukradł jej dziewięć tysięcy, bo niestety wiedział, gdzie są. Tysiąc dolarów, jakie jej pozostało, było schowane gdzie indziej. Żigolak zniknął z forszą. Chciała, żebym go odnalazł. Zaoferowała mi ten tysiąc. Znasz mnie, Harry. Kocham forszę. Od ciebie wezmę, ile się da...

Harry Shulz uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Ale od niej nie mogłem... Nie od tej biednej dziewczyny... Wziąłem się za to za darmo... Pierwszy raz w życiu tyrałem za darmo... Niestety, nie mogłem znaleźć tego łajdaka... – mówił dalej Rexy Frobbe.

– A ten drugi? Ten, który kazał pociąć jej twarz brzytwą? Nie chciała, żebyś

jego także odnalazł?

- Nie. Tu była zawsze dyskretna.
- Dziwna reakcja.
- Mnie także to zdziwiło.
- Znasz nazwisko tej dziewczyny? Wiesz, gdzie ją można znaleźć?

Rexy Frobbe milczał. Harry Shulz wyjął z kieszeni plik banknotów. Odliczył pięć studolarówek i położył je na stole. Potem odliczył jeszcze dziesięć, które zatrzymał w ręce, podczas gdy tamten wkładał resztę pliku banknotów do kieszeni.

- Tysiąc dolarów ekstra, Stunts, jeśli podasz mi te dwie informacje.

W spojrzeniu Rexy'ego Frobbe błysnęła ognik chciwości.

- Jayne Sterling – rzucił.

Harry Shulz zapamiętał to nazwisko.

- Gdzie ją można znaleźć?
- W dawnym studio w Hollywood.
- W którym?

– W większości wielkie wytwórnie posprzedawały już albo porzuciły swoje wysłużone studia. Metro Goldwyn Mayer, Paramount, 20th Century Fox, Universal, Warner Bros, Columbia, United Artists... Zaczekaj... Zobacz się z tym facetem... Ron Craig... On powie ci, gdzie ona jest...

Nagryzmołił coś na kawałku papieru, który wręczył Harry'emu Shulzowi.

– To jego adres. Naturalnie przychodzisz z mojego polecenia. Odpalisz mu dwie stowy i dowiesz się, gdzie ją znaleźć.

- Czy to pewne?
- Skoro ja ci to mówię! – oburzył się Rexy Frobbe.

Harry Shulz schował skrawek papieru do kieszeni i wręczył byłemu kaskaderowi zwitek tysiąca dolarów. W ostatniej chwili jednak wyjął z niego dwa banknoty.

– To dwieście jest dla Rona Craigga, Stunts – wyjaśnił z sarkastycznym uśmiechem. – Chyba ucziwie, co?

- Jesteś cholernie twardy w interesach, Harry! – jęknął Rexy Frobbe.
- Ale wiem, że ty to rozumiesz... Jeszcze jedno pytanie, Stunts...
- Tak?

– Co ta Jayne Sterling robi w opuszczonym studio filmowym w Hollywood?

– Ukrywa się. Wstydzi się swojej koszmarnej twarzy. I nie ma forsy, aby temu zaradzić...

Rexy Stunts Frobbe powiedział prawdę. Ron Craigg wyjawiał mu nazwę i adres studia filmowego, w którym ukrywała się Jayne Sterling. A także sposób, w

jaki można tam po kryjomu wejść. Harry Shulz nie wiedział, czy Jayne Sterling byłaby w stanie podać mu na tacy wskazówkę zdolną naprowadzić go na ślad tego, kogo szukał, ale postanowił spróbować szczęścia.

Czy miał jakiś inny punkt zaczepienia?

Mimo wszystko był trochę niespokojny.

A jeśli się mylił?

Jeśli zabójcy Nicka d'Amato nie mieli nic wspólnego z oprawcami Jayne Sterling?... Ci ostatni mogli przecież nie mieć nic wspólnego z zabójstwem Stangwy, Safii i jej przyjaciół.

Tak, być może, ale czy on sam miał jakiś inny punkt zaczepienia, żeby znaleźć „tamtego”?

Nic, zupełnie nic. Kompletna pustka.

A poza tym, nie ma sensu martwić się na zapas.

Przede wszystkim należało odnaleźć tę Jayne Sterling i przekonać się, co leżało jej na wątrobie.

Harry Shulz wysiadł z wynajętego samochodu i na chwilę przystanął, żeby odetchnąć świeżym morskim powietrzem.

Miejsce było odludne, tak jak mówił Ron Craigg.

Harry Shulz dostrzegł wąski kanał, przez który wypływał nadmiar wody ze sztucznego jeziora znajdującego się na tyłach studiów filmowych, i wkroczył na wąską ścieżkę graniczącą ze sztucznym jeziorem.

Według informacji uzyskanych od Rona Craigga, jezioro było zaopatrywane w wodę z wielkiego strumienia, jaki spływał ze wzgórz Beverly Hills. Poziom wody był stały, bo nad Los Angeles ciągle zbierały się ciężkie burzowe chmury, ściągane dzięki koncentracji przemysłu w mieście.

Harry Shulz dotarł na kraniec ścieżki i znalazł się nad brzegiem jeziora.

Tak, jakby był to zamierzony efekt, zza chmur wyszedł wtedy księżyc i skropił srebrnym światłem baśniowy krajobraz.

Tuż przed Harrym stał na kotwicy statek będący reprodukcją „Bounty”. Clark Gable i Charles Laughton, Marlon Brando i Trevor Howard kręcili tutaj „Bunt na Bounty”. Nieco dalej, na wpół rozbity, szkielet wraka statku „Caine”. Z widmem Humphreya Bogarta z filmu „Huragan”. I zupełnie w głębi, trzy karawele Krzysztofa Kolumba ze złamanymi masztami, pozbawionymi ożaglowania, dziurami w kadłubie. Wszystkie trzy zostały wyrzucone na brzeg jeziora i leżały na boku, niczym odpoczywające bestie. Była tam również zielonkawa i upiorna łódź podwodna kapitana Nemo z „Dwudziestu tysięcy mil podmorskiej żeglugi”, która rozpaczliwie miotła się na zardzewiałych łańcuchach, jakie cumowały ją do żeliwnych, nadbrzeżnych pachółków, a skrzywienie łańcuchów niosło się wokoło niczym żaloszny lament nad wspomnieniem niedawnej świetności.

Harry Shulz przystanął. Przez chwilę poczuł się jak przeniesiony w odległą przeszłość, w czasy dzieciństwa. W czasy, gdy trzy razy w tygodniu chodził do ohydneho kina „Astor” we Flatbush w Brooklynie, gdzie pomiędzy nogami widzów przemykały szczury, a do tego obfaziły ich pluskwy.

Ale ile za to obejrzał wspaniałych filmów!

Harry Shulz otrząsnął się. To nie czas, by pozwalać sobie na wspomnienia z przeszłości. Uzbrojony w latarkę elektryczną, zwracając uwagę na wszystko dookoła, odwiedził kolejno każdy ze statków. Deski były przegniłe, brakowało wielu elementów. Prawie wszędzie widniały olbrzymie dziury, po podłodze wałały się różnorodne graty, stanowiąc niezwykle przemysłne pułapki, pozostawione tutaj zdradziecko po tó, aby się o nie potknąć.

Po upływie dwóch godzin skończył przeszukiwanie statków.

Miał teraz pewność. Jayne Sterling nigdzie tutaj nie było.

Opuścił strefę sztucznego jeziora i wszedł do hal studiów filmowych.

Najpierw przeszukał rekonstrukcję miasta z Dzikiego Zachodu o kołyszących się domach, walących się dachach, wyboistych uliczkach. Potem – dekoracje z grubo pomalowanego kartonu z „Kleopatry”, pogryzione ze wszystkich stron przez chmary piszczących szczurów. Następnie przeszedł do typowych dekoracji z filmów gangsterskich, z wąskimi i ohydnyymi uliczkami, niepokojącymi zakątkami ulic, starymi ulicznymi latarniami, gdzie krążyły cienie Jamesa Cagneya, Humphreya Bogarta, George'a Rata, Edwarda G. Robinsona, Paula Muni. Dalej był świat komedii muzycznych, gdzie pobrzmiwały echa piosenek Judy Garland, Freda Astaire'a, Gene'a Kelly, Rity Hayworth, Fran, a Sinatry, Binga Crosby'ego. I wspaniałe dekoracje, których złocenia wyblakły, farby złuszczyły się, a tapety wystrzępiły. Minął świat czarodziejskich baśni „Czarnoksiężnika z krainy Oz”, „Alicji z Krainy Czarów”, dotarł do bokserskiego ringu z „Kłęski” i „Championa”, okrążył pseudonaukowe laboratorium z „Frankensteina”, otoczone labiryntami pajęczyn i sąsiadujące z salami zamku z „Draculi” i wyszedł stamtąd, aby wpaść na dekorację z okresu wojny secesyjnej w stylu „Przeminęło z wiatrem”. Przetrzęsął jeszcze jakieś dekoracje z filmów Hitchcocka, przeczesał wszystkie zakątki, w których mogłaby się ukryć Jayne Sterling, obejrzał dokładnie podłogi, szukając świeżo otwartych puszek po konserwach, pustych butelek coca-coli oraz świeżych niedopałków papierosów, o mało nie wpadł do zapadni nad lochami zrekonstruowanego średniowiecznego zamku, ale ostatecznie musiał uznać się za pokonanego. Jayne Sterling nie było w studiach filmowych. Nigdzie żadnego śladu dowodzącego, że ktoś się tutaj ukrywał.

Kiedy wyszedł z atelier, było już widno. Nad brzegiem jeziora, którego nie odwiedził, spostrzegł wówczas inne statki, których uprzednio nie zobaczył. Statek z Missisipi i łódzie Wikingów.

Harry Shulz przeszukał je pośpiesznie. Ale i tutaj okazało się to czystą stratą czasu. Z trudem powstrzymał wybuch gniewu. Czyżby Remy Stunts Frobbe i Ron Craigg go oszukali?

## ROZDZIAŁ XVIII

Ron Craigg był stanowczy.

- Ona musiała ulotnić się stamtąd – oświadczył kategorycznie.
- Dokąd? – spytał Harry Shulz.

Ron Craigg zmarszczył czoło.

– Coś panu powiem... Studia filmowe są wystawione na sprzedaż. Oni wszystko zrównają z ziemią i wybudują nowe budynki. Musiała się o tym dowiedzieć i zdecydowała się uciec gdzie indziej.

Harry Shulz jeszcze raz w znaczącym geście wyciągnął plik studolarowych banknotów.

- Nic panu nie przychodzi do głowy co do miejsca, gdzie mogłaby się udać?

Ron Craigg zerknął spode łba na banknoty.

- Dobra... raz wtrąciła coś od niechcenia...
- O czym?
- O „sypialni” samolotów.
- Co to takiego?

– To miejsce, w którym lotnictwo wojskowe USA składa wszystkie stare samoloty. Te z czasów II wojny światowej, z wojny w Korei i te z wojny w Wietnamie. Są ich tam tysiące. Ta „sypialnia” znajduje się na pustyni w Arizonie.

– Chce pan powiedzieć, że lotnictwo wojskowe USA przechowuje wszystkie te stare pudła?

- Taak... Zdaje się, że pustynny klimat utrzymuje je w dobrej formie.

– I co ona powiedziała na ten temat?

– Że to idealne miejsce na kryjówkę. Moim zdaniem tam właśnie się schroniła.

Harry Shulz położył na stole kilka studolarowych banknotów.

- Ostatnie pytanie...

– Tak?

– Jak to się stało, że tak dobrze zna pan Jayne Sterling?

Ron Craigg nagle poczuł się zażenowany.

- To Stunts ją do mnie przysłał. Szukała kryjówki. Czuła odrzę do całego

świata. Nie chciała widzieć więcej żadnej ludzkiej twarzy. To ja wpadłem na pomysł ze studiami filmowymi. Od czasu do czasu wracała tutaj... Potrzebowała forsy. A z twarzą jaką ma, nie mogła zaczepiać facetów na ulicy. Ja nie jestem zbyt wymagający, a poza tym ona jest całkiem zgrabna... Więc pomagaliśmy sobie wzajemnie... Pan rozumie!

Harry Shulz spojrział na niego bez słowa i wyszedł.

Harry wysiadł z samolotu Western Airlines na lotnisku w Phoenix i pośpiesznie skierował się do przedstawicielstwa firmy Hertz. Wynajął zwykłego forda i spytał, gdzie znajduje się teren, na którym stoją samoloty z demobilu, o którym mówił mu Ron Craigg.

Informacja, jaką tamten przekazał, okazała się błędna.

W istocie „sypialnia” samolotów znajdowała się za strefą poligonu lotnictwa wojskowego w kwadracie między Casa Grande, Quijotoa, Ajo i Gila Bend.

Obficie zaopatrzony w mapy samochodowe Harry Shulz ruszył w drogę. Przejeżdżając przez Chandler, skręcił na autostradę Interstate 17 w kierunku południowo-zachodnim, potem na skrzyżowaniu z autostradą Interstate 8 skręcił na zachód, a przejechawszy przez Santa Rosa Wash, znalazł się w Casa Grande. Tutaj spytał o drogę. Zabłądził. Musiał zrobić objazd i dotrzeć ponownie do skrzyżowania z autostradą Interstate 8. Tam wjechał na drogę numer 93 i ruszył w kierunku Quijotoa. Zatrzymał się nieopodal Gu Achi. Wynajął domek kempingowy w motelu i zaczął przeszukiwać miasto.

Nazwa Gu Achi nie znalazła się w żadnej kronice, choć miasto ze swoimi gorącymi ulicami przypominało ulice Sajgonu z czasów, gdy stacjonowało tam wojsko. Było tu tak dużo barów odwiedzanych głównie przez żołnierzy, że władze miejskie nie musiały stawiać ulicznych latarni, bo kolorowe neony barów wystarczająco jasno oświetlały ulice. Po mieście krążyły patrole żandarmerii i lotnictwa wojskowego, z barów dochodził ryk grających szaf, zmieszany z wrzaskiem podпиты żołnierzy i śmiechem prostytutek.

Harry Shulz rozpoczął poszukiwania.

Przetrząsanie wszystkich samolotów, jeden po drugim, w nadziei, że w którymś z nich znajdzie Jayne Sterling, było poszukiwaniem igły w stogu siana. Ron Craigg powiedział, że stały ich tam tysiące, a wiadomość tę potwierdził właściciel motelu, w którym Harry zamieszkał.

Ale Ron Craigg powiedział także, że Jayne Sterling potrzebowała pieniędzy.

Czy było więc pozbawione logiki sądzić, że szukała ich u żołnierzy pilnujących „sypialni” samolotów?

Jeśli ta hipoteza była trafna, miał spore szanse odnalezienia jakiegoś żołnierza, który ją zna.

Harry Shulz w ciągu dziesięciu dni obszedł wszystkie bary. Od ich otwarcia aż do zamknięcia. Pił mało, ale płacił hojnie, stawiając wszystkim dookoła. W ten sam sposób działał w Nassau, na wyspach Bahama. Zaczynał już popadać w rozpacz, kiedy pewnego wieczoru, około północy, wpadł na mocno wstawionego sierżanta, który okazał się łatwą zdobyczą na wieść o kolejce, jaką mu ekstra oferowano.

– Świetnie, stary!... Nieczęsto się zdarza, że jakiś cywil stawia mi kolejkę!... W tej dziurze ludzie są raczej skąpi! Żeby zabrać naszą forszę, to tak! Ale postawić szklaneczkę wódki, to już nie, świnię!

Harry Shulz zapytał go ostrożnie o życie, jakie wiódł w Gu Achi.

– Obrzydlistwo! – odpowiedział spontanicznie sierżant. – Ja jestem z Toledo, w stanie Ohio, a więc tej pustyni mam już powyżej uszu, kapujesz? Rzygam już tym piachem. I te stare pudła! Wiesz, ile tego jest?

Nie czekał na odpowiedź.

– Sześć tysięcy!... No! Mówię ci!... Sześć tysięcy bombowców, myśliwców, samolotów transportowych, helikopterów, odrzutowców treningowych. Ale to są tylko kadłuby. Wszystkie ważne części, silniki, aparaty elektroniczne zostały zdemontowane i zabrane do magazynu. Zbiorniki paliwa też są puste. Zdaje się, że ten cholerny piach dobrze konserwuje te pudła. Do diabła! Jeszcze jeden głupi pomysł Kwatery Głównej! Nie wiedzą, co wymyślić, abyś nie zdechł z nudów, jaki przydział ci wlepić! To nie to, co w Wietnamie! Tam przynajmniej fajnie się żyło!

Westchnął nostalgicznie.

– Sajgon, Cholon... Da Nang!... Hué!... A, cholera z tym! Ile ja tam dziewczyn poderwałem!

Harry Shulz szybko skorzystał z okazji.

– A tutaj? – spytał łagodnie.

Sierżant z pogardą wzruszył ramionami.

– Tutaj? One tu mają w sobie tyle życia, co gumowe lalki! Wiesz, coś ci powiem. Trzy miesiące temu zafundowałem sobie taką gumową, nadmuchiwaną lalkę. I już mi się zwróciło. Jest tyle warta, co te dziwki, które znajdziesz w barach! I przynajmniej nie mówi mi: „Pospiesz się, kochanie! Czy zaraz skończysz, kochanie?” A do tego to nie jest żadna nadmuchiwana lalka za pięćdziesiąt dolarów, cała wystrojona jak manekin u Gucciego! Ta kosztowała mnie pięćset dolarów! Pochodzi z przemytu ze Szwecji. Właśnie tak, słyszysz? Wygląda zupełnie jak kobieta!... Nie muszę ci chyba rysować!

Harry Shulz wydawał się zachwycony i bez zwłoki poprosił barmana o drugą kolejkę.

– I teraz – ciągnął sierżant daleki od wyczerpania tematu – nie potrzebuję już wyrzucać forsy na dziwki stojące na rogu ulicy. Powiem ci coś jeszcze. Kiedy pomyślę o niej, pragnę tylko jednego... wsadzić jej... bardzo głęboko...

Harry Shulz, symulując zachwyty, lekko skinął głową.

– Ty to masz szczęście!... Bo ja tu przyjechałem szukać swojej żony...

– Żony?

Spojrzał na Harry'ego z pogardą. Harry Shulz z właściwą sobie zręcznością odegrał rolę biednego faceta, który poszukuje przyjaciół z baru, bo ciąży mu samotność, bo życie rani go i on potrzebuje się komuś wyżalić. Przygarbił ramiona, stracił fason, na twarzy udało mu się przybrać wyraz zbitego psa, a oczy zasły mu łzami.

– Opuściła mnie. Miała kochanka. Pokłócili się i tamten oszpecił jej twarz brzytwą. Uciekła ze wstydu. Zdaje się, że mieszka tutaj, że ukrywa się w „sypialni” samolotów, że znała innych mężczyzn, ale to nic, wybaczyłem jej. Chcę tylko, żeby wróciła...

Sierżant przyglądał się mu, ze zdumienia wytrzeszczając oczy.

– Jasna cholera! Jesteś jej mężem?

– Znasz ją?

– Cóż...

– Dziewczynę o pokiereszowanej twarzy?

– Nooo...

Harry Shulz udał rozgorączkowanego.

– Gdzie ona jest?

Powolnym ruchem sierżant sięgnął po kieliszek. Harry Shulz wezwał barmana.

– W jednym samolocie... – odpowiedział w końcu sierżant. Barman nalał nową kolejkę.

– W którym? – pytał szybko Harry.

– W bombowcu, latającej fortecy B-17 z czasów drugiej wojny światowej.

Stare zniszczone pudło. Dlatego schowano go w głębi, daleko w północno-wschodnim rogu.

Mówił z wahaniem, utkwivszy spojrzenie w wypełnionej burbonem szklance.

– W jaki sposób rozpoznać ten samolot? – spytał Harry Shulz.

– A czy to prawda, co mi tutaj opowiadasz? Może chcesz jej wyciąć jakiś brzydki numer?

Harry Shulz z hipokryzją udał, że wyciera łzę na policzku.

– Za bardzo ją kocham... – jęknął płacząco.

W oczach sierżanta wyczytał pogardę.



– Jak chcesz... – zamruczał tamten. – Samolot zarejestrowany jest jako Tango Alfa Delta 27451...

– A jak się wchodzi do tej „sypialni” samolotów?

– Tak jak ona tam wchodzi i stamtąd wychodzi. Ogrodzenie z drutu kolczastego jest pod napięciem elektrycznym. Nasi wykopali jej dziurę pod spodem. Coś w rodzaju tunelu. Dokładnie w północno-wschodnim rogu...

Harry Shulz popędził go, aby skończył pić swoją szklaneczkę i, zanim opuścił bar, zaferował mu czwartą kolejkę.

Dlaczego czekać, aż wstanie dzień? – zastanawiał się Harry Shulz.

Wsiadł do forda i przez chwilę jechał wzdłuż ogrodzenia. Nie było strzeżone. Zresztą po co? Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych miały wystarczająco duże zaufanie do elektrycznej bariery. A poza tym, co można by ukraść w „sypialni” samolotów? Tak jak powiedział sierżant, ruchome części z samolotów zostały wymontowane i złożone w magazynie, który był na pewno właściwie strzeżony.

Harry zaparkował samochód w północno-wschodnim rogu i zgasiwszy światła, siedział spokojnie w fordzie, obserwując drogę, aby upewnić się, że zmotoryzowane, policyjne patrole nie objeżdżały terenu dookoła. Przeczekał w ten sposób godzinę, ale nie zobaczył żadnego patrolu. Wówczas zaparkował samochód za kępą wysokich, bardzo grubych kaktusów, a później ruszył pieszo za róg podwójnego ogrodzenia.

No i znów siedzę po uszy w lotnictwie! – zażartował sobie w myśli.

Charlie Kingsley byłby w swoim żywiole!

Piasek był suchy i ciężki, z wyjątkiem jednego miejsca. Księżyc świecił jasno, więc Harry Shulz nie potrzebował latarki. Wykopał otwór. Niezbyt głęboko, ponieważ prawie natychmiast dotknął jakiejś deski. Odsunął ją i odnalazł otwór. Był bardzo wąski.

Harry Shulz położył się na ziemi i wczołgał do otworu. Była to właściwie gruba, metalowa rura, która pewnie przedtem służyła do odprowadzania wody. Pot zalewał mu czoło, kark mu zeszywniał, ale dotarł na kraniec rury. Poczul opór i palcami wymacał przeszkodę. Jego ręka zetknęła się z twardym i chropowatym płótnem. Płótno poruszało się. Zrozumiał, że przykrywał je piasek. Uniósł je do góry ze wszystkich sił, kładąc się na plecach, i w końcu udało mu się odsłonić otwór. Wysunął się na zewnątrz i po chwili stanął na czymś w rodzaju chodnika ciągnącego się między wewnętrzną stroną ogrodzenia a pierwszym rzędem samolotów.

Widok był imponujący. Srebrzyste kadłuby lśniły w promieniach księżycy i odnosiło się wrażenie, że człowiek znajduje się na gigantycznym cmentarzu monstrualnych ptaków, które pewnego dnia powrócą do życia, aby znowu wzbić się do lotu.

Harry Shulz podszedł bliżej i dotarł do pierwszego szeregu samolotów. Stały jeden przy drugim, wzdłuż linii namalowanej na ziemi białą farbą. Przyjrzał się im i wkrótce dostrzegł Tango Alfa Delta 27451, latającą fortecę B-17, śmigłowiec taki jak wszystkie te, które pochodziły z czasów II wojny światowej. Znaki wymalowane były tuż nad białą, pięcioramienną gwiazdą, zamkniętą w ciemnoniebieskim kręgu, nad którym widniał napis: USA-AF. Za wieżyczką z pleksiglasu tylnego strzelca widniał czarny otwór.

Harry Shulz podszedł bliżej. Wyjął latarkę i dyskretnie skierował promień światła w dziurę. Spostrzegł metalowe drążki i zgasił latarkę. Skoczył, zawisnął obiema rękami na metalowych szczeblach i wspiał się do wnętrza otworu bez najmniejszego szmeru. Znalazł się w kabinie i odetchnął. Znowu wyciągnął latarkę, owinał ją chusteczką i zapalił. Rozproszone światło oświetliło nagie, metalowe wnętrze kabiny, ze zwisającymi kablami i łuszczącą się na ścianach farbą. Miejsca przeznaczone na karabiny maszynowe i radio były puste. Cienka warstwa żółtego pyłu pokrywała fotele.

Podszedł bliżej.

Zobaczył ją w głębi kabiny.

Leżała skulona w śpiworze, z twarzą przysłoniętą włosami.

Nieoczekiwanie potknął się o siedzenie i dziewczyna obudziła się. Wstała przestraszona, a on pośpiesznie zdjął chusteczkę otulającą latarkę.

– Proszę zgasić to światło! – wrzasnęła.

Rexy Frobbe, Ron Craig i sierżant nie kłamali. Zdążył zobaczyć, że jej twarz rzeczywiście wyglądała koszmarnie. Skóra była porozcinana, obrzmiała, usiana różowawymi naroślami. Cała sieć blizn zniekształcała twarz, która niegdyś musiała być piękna. Nałożył chusteczkę z powrotem na latarkę i skierował wiązkę światła na metalową podłogę.

– Czego pan chce? – krzyknęła dziewczyna. – Przespać się ze mną? Nie o tej porze! Wynocha!

– Nie po to tutaj przyszedłem.

– A po cóż innego by pan tutaj przychodził?

Jej głos był miły i brzmiał kulturalnie.

– Czy pani rzeczywiście nazywa się Jayne Sterling?

– Co to ma do rzeczy?

– Przysłała mnie Rexy Stunts Frobbe, za pośrednictwem Rona Craigg.

– To mi nic nie mówi, czego pan chce?

– Szukam tego gościa, który kazał panią oszpecić Chińczykom.

– To Stunts panu o tym opowiedział?

– Tak.

Milczała przez kilka sekund.

– Dlaczego pan go szuka?

– To sprawa osobista.

Zaśmiała się szyderczo.

– Sądzi pan, że dam się nabrać na pańską sztuczkę? A poza tym, co mnie obchodzi pańskie sprawy osobiste?

– Jestem przyjacielem Stuntsa.

– No i co z tego? Stunts to przeszłość. Tak jak Ron. Kto panu powiedział, że jestem tutaj?

– Ron Craigg.

– Chciałam powiedzieć, że jestem w *tym* samolocie?

– Sierżant z Amerykańskich Sił Powietrznych, którego spotkałem w barze.

– Kim pan jest? Gliną? Prywatnym detektywem?

– Na pewno nie...

Harry Shulz zachichotał.

– Nigdy nie zwracam się do tych ludzi o pomoc.

– Gangster?

Potrząsnął przecząco głową.

– Absolutnie nie. Pracuję sam.

– Wyjęty spod prawa?

– A zna pani kogoś, kto na pewno nigdy nie znajdzie się poza prawem?

Odgadywał z tonu jej głosu, że była zaintrygowana. Wreszcie westchnęła ze znużeniem:

– Odwal się pan. Nie mam panu nic do powiedzenia.

– Spędzi pani tutaj resztę swego życia?

– Pilnuj pan swego nosa!

Poczuł, że dziewczyna zmuszała się do wulgarnego zachowania.

– Taki język nie pasuje do pani – odezwał się spokojnie. – W gruncie rzeczy jest pani strasznie nieszczęśliwa.

– Powiedziałam panu, żeby się pan odwalił! – wrzasnęła rozwścieczona.

– Podrywa pani wszystkich tych szeregowców – mówił dalej tym samym tonem. – Dlaczego? Dla kilku dolarów. Po co? Żeby przeżyć. Co to za przyszłość? Żadna. Życie z dnia na dzień. Wegetacja. Samobójstwo moralne w małych dawkach. Gdybym był na pani miejscu, natychmiast bym się zastrzelił. Poprosiłbym jednego z pani kumpli z lotnictwa wojskowego, jednego z tych, którzy pomagają pani ukrywać się w tym samolocie, żeby mi pożyczył służbowego colta 45 i palnąbym sobie kulkę w łeb. Kula z czterdziestki piątki bardziej by już pani nie zeszpeciła.

Zareagowała tak, jak tego oczekiwał. Wskoczyła ze śpiwora i skoczyła na równe nogi. Widział jej ciało, nieco nierzeczywiste w rozproszonym świetle latarki. Miała na sobie jedynie majtki i podkoszulkę. Schyliła się i schwyciła

stalowy, spleciony kabel o średnicy cala i długości stopy. Wyprostowała się i zaczęła nad nim wymachiwać.

– Jest pan łajdakiem, takim jak inni!... Jak wszyscy! – wrzasnęła.

Obrzuciła go stekiem wyzwisk. Harry Shulz nawet nie drgnął.

– Odwal się!... Mówię ostatni raz!... Albo cię zabiję!

Jej oczy spod rozdartych brwi rzucały pioruny gniewu. Harry Shulz nie poruszył się.

– Jedyńm wyjściem – powiedział powoli, rozdzielając dokładnie każdą sylabę – byłaby chirurgia plastyczna.

Znieruchomiła.

– To pech – ciągnął dalej – że te dziewięć tysięcy dolarów zniknęły w kieszeniach tego żigolaka.

– Stunts za dużo gada.

– Pani potrzeba mecenasa... Protektora, który sfinansowałby operację. W pani przypadku bardzo kosztowną operację...

Wybuchnęła gorzkim śmiechem.

– Co to za nowa bajeczka? Usiłuje pan zyskać na czasie?

– Chcę pani dać do zrozumienia, że ja jestem tym protektorem.

– Pan?

– Niech pani rzuci ten kabel. Nie będzie pani do niczego potrzebny.

Zawahała się dłuższą chwilę, zanim podjęła decyzję i upuściła kabel na metalową podłogę, na którą opadł z głuchym stukiem.

– A więc? – spytała, krzyżując ramiona na podkoszulku.

– Chcę z panią dobić targu.

– Jakiego? – spytała z niedowierzaniem.

– Zabiorę panią do bardzo dobrej kliniki, gdzie między innymi dokonuje się operacji z dziedziny chirurgii plastycznej. Nawet tych najbardziej skomplikowanych. Chirurg, który tam operuje, jest artystą. Żadnych obaw, sprawi pani zupełnie nową twarz. Być może jeszcze piękniejszą niż ta, którą miała pani wcześniej. To ja zapłacę za operację... Tym...

Harry Shulz jedną ręką wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki gruby plik studolarowych banknotów, z którego już nieraz czerpał. Ale ostatecznie, cóż to szkodzi leżącemu sobie spokojnie w grobie Johnny'emu Kremerowi? Wręcz przeciwnie, byłby szczęśliwy, widząc, że jego forsa przyda się do czegoś! Harry Shulz zdjął chusteczkę z latarki i wycelował wiązkę światła na banknoty, które zaczął powoli wertować palcem.

– Jest tutaj tego więcej niż potrzeba... Dostanie pani też pieniądze na rozpoczęcie nowego życia po operacji, gdy już będzie pani miała nową twarz.

Odchrząknęła.

– A... co w zamian?

Schował plik banknotów do kieszeni.

- W zamian za to chcę nazwiska tego, kto kazał panią oszpecić Chińczykom.
- Nie znam go.
- Jak to?
- Nie znam jego nazwiska, to wszystko.
- Jak mogę go odnaleźć?
- Przez tego, kto mnie z nim skontaktował.
- Jego nazwisko?

Zakaszła.

– Nie jestem taka głupia! Chirurgia plastyczna to przynęta, co? Sądzi pan, że może wymusić ode mnie informację tą bajeczką dla dzieciaków opóźnionych w rozwoju? To zbyt nieprawdopodobne, żeby było prawdziwe! Komu zależałoby na tym, żeby wydawać tyle forsy w zamian za nazwisko tego wstrętnego typa?

– Mnie.

Jej śmiech wcale nie brzmiał wesoło.

– Panu!

– Nie musi pani zabierać ze sobą rzeczy. Rozpoczyna pani nowe życie.

Proszę za mną.

– Co?

– Proszę za mną!

– A dokąd to?

– Zabieram panią do tej kliniki, o której mówiłem. Zobaczysz pani... Proszę niczego się nie obawiać. Lekarz jest bardzo kompetentny. Niedawno się u niego leczyłem. To była paskudna rana. Po ciosie w bok... Sztyłem... Załatał mi to w mgnieniu oka...

## ROZDZIAŁ XIX

Nikt nie znał przodków doktora Schallenghammerforsta. Nikt nie wiedział, skąd przybywał. Bardzo prawdopodobne, że z Niemiec, jeśli wierzyło się jego germańskiemu akcentowi i trudnemu do wypowiedzenia nazwisku. Niektórzy twierdzili, że był lekarzem w nazistowskim obozie koncentracyjnym, ale nie dostarczali żadnego dowodu na poparcie swoich opinii. Tak naprawdę, to wszystkim było to obojętne. Liczyła się jedynie niebywała zręczność tego człowieka i cuda, których dokonywał we wszystkich dziedzinach chirurgii.

Dzięki niemu tylu gangsterów otrzymało nowe twarze albo też bez wiedzy policji dało sobie wyjąć kule. Dewizą doktora Schallenghammerforsta była

dyskrecja i zręczność w przeprowadzaniu operacji. Zwracano się do niego także o spowodowanie „naturalnej” śmierci niewygodnych świadków, kłopotliwych żon albo niepożądanych spadkobierców.

Doktor Schallenghammerforst był bardzo wyrozumiały...

Oczywiście, był równie drogi jak kompetentny...

Olbrzymia posiadłość porośnięta stuletnimi drzewami, gdzie przycupnął luksusowy pałacyk, przylegający do kliniki, usytuowana była w najbardziej luksusowej dzielnicy Miami Beach. Harry Shulz spędził tam trzy dni. W porozumieniu z agencją Hertz z Phoenix zatrzymał wynajętego forda, umawiając się, że zwróci go do filii agencji Hertz w Miami Beach, bo Jayne Sterling uparła się, by nie podróżować samolotem. Nie chciała straszyć ludzi swoim oszpeconym obliczem.

Doktor Schallenghammerforst obejrzał dokładnie pod lupa skórę na jej twarzy. Bez wahania postawił diagnozę:

– Dziesięć tysięcy dolarów.

Chciał przez to powiedzieć, że przyjmował robotę i że zostanie ona wykonana ku zadowoleniu klientki.

Harry Shulz ułożył banknoty na biurku. Doktor Schallenghammerforst, nie licząc ich, zwinął je w rulon i wsunął do szpary betonowej skrzyni, zaopatrzonej także w obitą grubą blachą drzwiczki. Harry Shulz wiedział, że był tam ukryty ładunek wybuchowy, który urwałby głowę potencjalnemu włamywaczowi.

– Kiedy zaczynamy? – spytał Harry Shulz.

– Skóra... Potrzebuję skóry. Twarz wymaga całkowitej zmiany. Nie da się jej wygładzić. Trzeba ją wymienić. Jutro będę miał zwłoki, młoda dziewczyna. Dwadzieścia dwa lata. Bardzo piękna. Oto zdjęcie.

Podsunał fotografię Harry'emu pod nos. Harry i Jayne Sterling nachylili się nad nią.

– Ona jest bardzo piękna... – wyszeptała z zachwytem Jayne.

– To pani nowa twarz – skomentował skromnie doktor.

– Ona jest chora? – spytał Harry Shulz.

Doktor Schallenghammerforst wybuchnął śmiechem.

– Otóż to... chora...

Harry Shulz zrozumiał. Jeszcze jedna małżonka, spadkobierca albo „niewygodny” świadek!

– Zgadza się pani na tę twarz? – zwrócił się do Jayne Sterling. – Tylko konkretnie! Potem nie można już się wycofać!

Przełknęła ślinę i spojrzała na niego nieco wystraszonymi oczami.

– Decyduję się. – A potem dodała z wyrazem niedowierzania w oczach: –

Nigdy w to nie uwierzę! Chyba śnie!

Kiedy dwa dni później Harry Shulz przyszedł ją odwiedzić w szpitalu, miała głowę spowitą bandażami. Pośrodku nich błyszczały jedynie oczy. Po raz pierwszy zauważył, jak bardzo były piękne. Wyczytał w nich niezmierną wdzięczność.

– Nie wolno pani mówić – przestrzegł. – Więc proszę nie wypowiadać ani słowa. Wolno jednak pani pisać.

Wręczył jej blok i ołówek.

– W porządku?

Harry Shulz pochylił się, aby przeczytać to, co napisała: „Dziękuję”. Skinął głową.

– Pytałem, jak się pani czuje. Znowu napisała: „W porządku”.

– Cierpi pani?

„Bardzo. Ale to bez znaczenia. Jestem szczęśliwa”.

Zdawała się zastanawiać i po chwili dopisała jeszcze: „Nigdy nie spotkałam takiego mężczyzny jak pan”.

Harry wzruszył ramionami.

– Proszę pisać. Proszę opowiedzieć mi całą historię. Całą bez wyjątku. Każdy szczegół. Zwłaszcza szczegóły! Szczegóły mają bardzo często największe znaczenie.

Zaczęła niezręcznie gryzmolić na kartkach bloku. Ostrożnie podniósł poduszki, aby jej pozycja była wygodniejsza. Potem zszedł cierpliwie, aż skończy. Wreszcie zamrugnęła oczami, opuszczając na prześcieradło blok i ołówek. Harry chwycił blok i przeczytał, co napisała:

„Kiedy nie znalazłam pracy w filmie w Hollywood, spróbowałam występów w lokalach w Las Vegas. W rewii ze striptizem. Prowadził ją niejaki Vince Dalessandro. Wychodziłam z nim wieczorami i spałam z nim. Pewnego dnia powiedział mi, że znał kogoś wielce wpływowego, kto mógłby mi pomóc zahaczyć się w telewizji w Nowym Jorku. Nie wymienił jego nazwiska. Zgodziłam się spotkać z tym mężczyzną. Vince przyjechał po mnie któregoś wieczoru samochodem. Zawiózł mnie do niego. Naćpano mnie narkotykami. Obudziłam się w łóżku tego człowieka. Jego wygląd? Wysoki, chudy, zaawansowana łysina, matowa cera, oczy koloru morskiej wody tak jak u ostrygi, cofnięty mocno podbródek, odstające uszy, blizna w kształcie krzyża pod lewą pachą, przygarbione plecy, a ramiona i uda jakby pozbawione mięśni. Leżałam w łóżku naga. On wykorzystał moje narkotyczne odurzenie... Właśnie się ubierał. Zmusił mnie do pójścia do łazienki, abym się umyła. Wrzucił do autoklawu ręczniki, którymi się wycierałam, a potem także i prześcieradła. Spryskał dezodorantem pokój i łazienkę, aby, jak się wyraził, odkazić powietrze. Chciałam zapalić papierosa.

Zabronił mi tego. Poprosiłam o szklaneczkę alkoholu. Odmówił mi jej pod pretekstem, że alkohol jest trucizną. Usta zasłaniała mu ciągle maseczka z gazy, nasączona jakimś środkiem odkażającym, a na rękach miał rękawiczki z cieniutkiej skórki. Maniak czystości”.

Harry Shulz poczuł jak lodowaty dreszcz przebiega mu po plecach.

Do cholery, to mu coś przypominało!

Czy to możliwe?

Ale jego fenomenalna pamięć nigdy go nie zawodziła. Nie pomylił się!

Lodowaty dreszcz przebiegał mu po plecach.

Czytał dalej:

„Weszło trzech Chińczyków. Dwaj z nich przytrzymali mnie. Trzeci wyjął brzytwę i pociął mi nią twarz. Mężczyzna krzychał, a przecież to on sam kazał zniekształcać twarze dziewczynom, z którymi sypiał, aby je oszpecić do tego stopnia, żeby już nigdy nikt ich nie pragnał. Idiota, istnieje przecież chirurgia plastyczna. Zarozumialec, szalencie! Potem jeden z Chińczyków wyjął moje rany, założył bandaż. Ten szalencie wziął srebrne szczypce, chwycił nimi zwitek banknotów leżących na stole i, nie dotykając tych pieniędzy palcami, wrzucił je do mojej torebki. Dziesięć tysięcy dolarów.

Powiedział, że to moje odszkodowanie, abym nie wniosła skargi, ale jeśli zwrócę się do policji, jego ludzie mnie zabiją. Zrobiono mi zastrzyk. Obudziłam się w domu, w swoim łóżku. Obok był Dalessandro. Wyznał, że nie wiedział, iż tamten jest takim zbrojcem, że żałuje... I poradził mi, abym milczała. To wszystko”.

– Czy Chińczycy mówili po angielsku? – spytał Harry Shulz, zwracając jej blok i ołówek.

„Nie wypowiedzieli ani jednego słowa” – napisała.

– Czy można by odszukać miejsce, gdzie to się wydarzyło?

„Nie”.

– A gdzie teraz jest Dalessandro?

„Przypuszczam, że w Las Vegas”.

– Czy od tego czasu widziała się pani z nim?

„Nie”.

– Czy zna pani inne kobiety, które spotkała taka niemiła przygoda?

„Nie.”

– Dziewczęta z rewii ze striptizem?

„Nie”.

Harry Shulz wyrwał kartki z bloku, na których pisała, i włożył je do kieszeni. Pomyślał, że później je zniszczy. Wyjął cienki plik banknotów, otworzył torebkę Jayne Sterling, wsunął do niej pieniądze i zamknął ją z powrotem.



– Obiecane pieniądze na drogę. Na nowe życie.

Przygryzł wargę.

– Spędzi pani tutaj cholernie dużo czasu, zanim będzie się mogła pokazać ludziom... tak powiedział mi lekarz. Proszę więc odpoczywać, robić co każą, a zobaczy pani, że wszystko będzie dobrze.

Harry Shulz odwrócił się. Docierał do drzwi, kiedy usłyszał, że Jayne pociąga nosem. Spojrzał przez ramię. Jej oczy były wilgotne od łez, a na bloku nagryzmołiła: „Czy przyjdzie pan zobaczyć się ze mną, gdy już będę ładna?”

– Vince Dalessandro? Jest dyrektorem w „Silver Dollar”.

– To jest kasyno gry?

Rexy Stunts Frobbe musnął delikatnie pozostałość swego rozszarpanego ucha.

– Kasyno dla bardzo wysokich sfer z Vegas. Najlepsze w swoim rodzaju.

– Do kogo należy? – spytał Harry Shulz.

– Sądzę, że do jakiegoś konsorcjum. Wiesz, trudno jest się tego dowiedzieć. Zresztą znasz zasadę. Tworzy się fikcyjne spółki, które wiążą ze sobą zagmatwane interesy, bo jedna wykupuje akcje drugiej, aby je sprzedać swojemu akcjonariuszowi, który pozbywa się ich na rzecz jeszcze kogoś innego. To jest taka kombinacja układów, że niemożliwe jest znaleźć prawdziwego właściciela...

– Pamiętasz Nicka d'Amato?

– Oczywiście.

– Przypuścimy, że chciałby wymusić forszę od dyrekcji „Silver Dollar”. Co by się stało?

– Dalessandro zapłaciłby. Skapitulowałby. On nie jest gangsterem. Nie należy do syndykatu – oświadczył kategorycznie Rexy Frobbe.

– A przypuścimy, że zna kogoś, kto ma do swojej dyspozycji płatnych zbirów, Chińczyków. Mógłby to wykorzystać, żeby pozbyć się Nicka.

Rexy Frobbe rzucił Harry'emu domyślne spojrzenie.

– Chcesz powiedzieć, że to ten typ, który pokiereszował twarz Jayne?

– Tak.

– I sądzisz, że to ten sam facet, którego szukasz? Ta gruba ryba, która zajmuje się polityką międzynarodową?

– A dlaczego nie?

Rexy Frobbe potrząsnął głową z zakłopotaniem.

– To wszystko mnie przerasta.

– Nieważne. Odnalezienie go, to moja robota. Ciebie jedynie proszę o to, żebyś zebrał dla mnie jak najwięcej informacji o Dalessandro. Jego życiorys. Cały. Czy miał koklusz, świnkę, czy przyjął pierwszą komunię świętą, w wieku ilu lat

został rozprawiczony... Wszystko. Okay?

- Okay, Harry.
- A oto forsa dla ciebie.

Kładąc pieniądze na stole, pomyślał, że kiedy za każdym razem posuwał się o krok do przodu, musiał sięgać do kieszeni. Na szczęście Johnny Kremer sprezentował mu ten milion dolarów! A wiadomo, że siła robocza jest obecnie bardzo droga...

Kolejne dni Harry Shulz spędził w archiwach „Las Vegas Report and News”. Ale, w przeciwieństwie do poprzednich swoich doświadczeń w archiwach dzienników w Miami i Nowym Jorku, teraz wiedział dokładnie, gdzie szukać. Zebrał więc dosyć szybko dokumentację, którą uznał za wystarczającą, aby się nią posłużyć. W spokoju przestudiował potem te materiały. A gdy ponownie zobaczył się z Roxym Stunsem Frobbe parę dni później, tamten posiadał informacje, na których Harry'emu zależało.

- Dobra robota, Stunts – przyznał Harry Shulz, przejrzawszy pobieżnie kartki, które wręczył mu prywatny detektyw.
- Ten Vince Dalessandro to cholernie podejrzany facet!
- Masz rację.
- Co zrobisz?
- Pójdę do niego.

Vince Dalessandro był przystojnym mężczyzną, który starannie pielęgnował swoje podobieństwo do Marcello Mastroianniego. Był ubrany z wyszukaną elegancją i wyglądało na to, że szczególnie sobie upodobał pierścienie, sygnety, bransolety i inne świecidełka ze złota lub platyny, od których roiło się na jego palcach i nadgarstkach.

Harry Shulz zastanawiał się, w jaki sposób pory skóry jego dłoni mogły oddychać!

Na jego wargach błąkał się nieustanny uśmiech, który powodował ironiczny wyraz twarzy. Od czasu do czasu, górną część jednej z kości policzkowych ściągał mu tik nerwowy, co powodowało nieuchronne marszczenie brwi i pełen zażenowania błysk w spojrzaniu.

Nietrudno było się do niego dostać. Wystarczyło, że Harry Shulz wspomniął nazwisko Jayne Sterling, aby, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, drzwi wspianego biura Vince Dalessandro, usytuowanego na pierwszym piętrze kasyna, otworzyły się przed nim.

Dalessandro nacisnął guzik i mahoniowa płyta w ścianie przesunęła się cicho, odsłaniając luksusowy barek.

- Czego się pan napije?
- Poproszę szkocką.

Dalessandro wyjął butelkę Cutty Sark, napełnił dwie szklanki, dodał lodu i jedną z nich postawił przed Harrym Shulzem.

- Co porabia ta biedna Jayne?
- Zrobiła fortunę.
- Fortunę?

- Znalazła bogatego protektora. I teraz, kiedy już nie ma kłopotów, ma zamiar odegrać rolę hrabiego Monte Christo.

- W filmie?

Harry Shulz zachichotał.

- Nie, nie w filmie.
- Więc w telewizji?

- Czy zna pan historię hrabiego Monte Christo, panie Dalessandro?

- Niezbyt dobrze. Musiałem widzieć film pod tym tytułem, kiedy byłem dzieckiem. Czy to nie Robert Donat grał rolę główną?

- Właśnie. Ale czy przypomina pan sobie fabułę filmu?
- Przyznam, że nie.

- Po odnalezieniu skarbu, hrabia Monte Christo pewnego pięknego dnia powrócił na salony, aby zemścić się na tych, którzy go okradli i wysłali do więzienia.

Vince Dalessandro milczał. Uśmiezek igrał na jego wargach. Nerwowy tik ściągnął mu górną część prawego policzka.

- Jayne Sterling – mówił dalej zupełnie opanowany Harry Shulz – chciałyby również zemścić się na tym, który oszpecił ją, każąc pociąć brzytwą jej twarz.

Dalessandro nawet nie drgnął.

- To stara historia.
- Niektórzy ludzie mają doskonałą pamięć.

Dalessandro roześmiał się.

- Niestety, Jayne traci tylko czas.
- A to dlaczego?

- Ponieważ, jak mawiają prawnicy, roszczenie wygasa z powodu śmierci sprawcy.

Harry Shulz nie wierzył w to ani przez chwilę, ale udał, że gra w tę grę.

- Winowajca nie żyje?
- Tak jest.
- Jak brzmiało jego nazwisko?

- Pozwoli pan, że będę dyskretny. Niech spoczywa w pokoju, jakie by nie były grzechy, które popełnił za życia. Nie należy mu psuć opinii po śmierci. Po co

to panu, po co to Jayne? Skoro on nie żyje... Nic pan na tym nie skorzysta. Ani finansowo, ani w inny sposób.

– Niestety – przyznał Harry Shulz, udając wielce zasmuconego.

Postanowił zmienić taktykę. Udał, że podziwia okazałe biurko.

– Ale widzę, że powodzi się panu, odkąd nie zajmuje się pan już rewiami ze striptizem, panie Dalessandro! Ma pan tutaj fajną robotę!

Kątem oka zauważył zmianę, jaka zaszła w tym momencie na twarzy jego rozmówcy.

– To prawda. Sądzę, że nie mamy już sobie nic więcej do powiedzenia. Proszę poradzić Jayne, żeby nie zajmowała się tą sprawą.

– Nie zapomnę o tym.

Harry Shulz wstał. I nagle uderzył się w czoło, tak jak gdyby o czymś zapomniał, myśląc z rozbawieniem, że właśnie zupełnie bezwiednie powtarza gest porucznika Colombo ze słynnego serialu telewizyjnego.

– Zapomniałem zapytać... Właściwie dlaczego Zoltan Zeboff pana zwolnił?

Harry Shulz zmusił się do niewinnego uśmiechu. Vince Dalessandro przyjrzał mu się ze zdumieniem. Przez moment zaniemówił, nieco poblądł, a potem rysy jego twarzy zaostrzyły się.

– Miesza się pan do spraw, które pana nie dotyczą! Ta rozmowa jest skończona. Może pan odejść.

Harry Shulz potrząsnął głową.

– Nie chce pan wiedzieć, dlaczego zadałem panu to pytanie?

– To mnie nie interesuje.

– A jednak powiem to panu. Ponieważ rysopis człowieka, który kazał oszpecić twarz Jayne Sterling, ten, który ona mi podała, dość dobrze pasuje do rysopisu Zoltana Zeboffa.

Dalessandro wzruszył ramionami.

– Skąd mógłby pan o tym wiedzieć? Zoltan Zeboff ukrywa się od dwudziestu lat. Nikomu jak dotąd nie udało się zrobić mu zdjęcia. Ten, któremu by się to udało, zarobiłby sto tysięcy dolarów. Ale nikt nie wie w ogóle, gdzie się on ukrywa. Mówią, że jest tutaj, a on jest zupełnie gdzie indziej.

Harry Shulz uśmiechnął się dobrodusznie.

– To wszystko prawda. Mówi się też, że ma on obsesję na punkcie brudu, mikrobów, że żyje w aseptycznej, bakterioobójczej atmosferze...

Dalessandro po raz drugi wzruszył ramionami.

– To legenda – przyznał głosem pełnym pogardy.

– Legenda, której nikt jakoś nie próbuje rozwiązać... Kiedy pracował pan u niego, czy spotkał się pan z nim?

– Nigdy. Wszystko dokonywało się przez pośrednika.

- Rzeczywiście wygodne.

Dalessandro ze zniecierpliwieniem bębnił palcami o blat biurka.

- Czego pan dokładnie szuka?

– Powiedziałem już – odparł spokojnie Harry Shulz. – Człowieka, który kazał swoim Chińczykom oszpecić Jayne Sterling.

– Idzie pan fałszywym tropem, jeśli myśli pan, że to Zoltan Zeboff. Może mi pan wierzyć na słowo. Winny nie żyje. Zoltan Zeboff nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

Nie było sensu opowiadać mu o Johnnym Kremerze, Stangwie, Rolfie Robertsonie, o śmierci Safii i jej przyjaciół, to by tylko niepotrzebnie wzbudziło jego podejrzenia – myślał Harry Shulz. Poza tym, on wcale nie musiał o wszystkim wiedzieć! Jeśli Harry będzie się trzymał swojej dotychczasowej pozycji, to sprawa rozmyślnego okaleczenia Jayne Sterling okaże się mniej niebezpieczna, ponieważ nie zamordowano jej, co mogło znaczyć, że stanowi ona mniejsze zagrożenie niż tamci. I wobec tego Dalessandro może się mniej pilnować.

– Czy Zoltan Zeboff rzeczywiście zwolnił pana po przygodzie, jaka przydarzyła się Jayne Sterling?

- A co to ma do rzeczy?

Niedostrzegalny, ironiczny uśmiezek pojawił na wargach Harry'ego Shulza. W milczeniu skierował się ku drzwiom. Nim je jednak otworzył, odwrócił się.

– Przez jakiś czas widywano pana z żoną Zoltana Zeboffa. Nie trwało to długo, a potem, zdaje się, że zerwaliście ze sobą wszelkie stosunki, chociaż ona się rozwiodła... Czy w tym nie tkwił powód, dla którego Zoltan Zeboff wyrzucił pana?

Harry Shulz ponownie przewertował dokumentację, którą zebrał w archiwach „Las Vegas Report and News”. Uzupełnił ją kilkoma informacjami, jakich dostarczył mu Remy Frobbe.

„ZEBOFF ZOLTAN.

Urodzony na Węgrzech, w 1907 roku.

Od 1934 roku obywatel amerykański (imigrował do USA wraz z rodzicami w roku 1920).

Swój pierwszy milion dolarów zdobył w 1929 roku, wskutek giełdowego krachu na Wall Street, w tym samym roku. Wcześniej niż inni przewidział nadzwyczajny rozkwit filmu dźwiękowego. Zakłada „World Zeboff Transcontinental Motion Picture” i lansuje kilka nowych gwiazd, takich jak George Wood oraz Zita Zoom, która przybrała pseudonim o takich samych pierwszych literach imienia i nazwiska, jak jego inicjały, i która długi czas była jego mużą. W roku 1936 zarobił już dziesięć milionów dolarów. W roku 1937

zakłada towarzystwo lotnicze „Zeboff Airlines”.

Harry Shulz zanotował sobie ołówkiem na marginesie: *Nie cierpi na nadmiar wyobraźni!*

„W tym samym roku odkupuje kopalnie miedzi w Colorado, rok później kopalnie miedzi w Chile. Inwestuje fortunę w odkupienie innych kopalni w Peru. Ołów, miedź, cynk, złoto, srebro. W roku 1942, kiedy wybucha wojna, po japońskim ataku na Pearl Harbour, przerzuca się na handel bronią i jej transport drogą morską. Konwoje jego statków płyną na północ, zaopatrując ZSRR. Po wojnie sprzedaje swoją flotę małym armatorom, kupuje stocznię i buduje flotę tankowców. W roku 1952 jego fortuna jest już niepoliczalna. Zanim wybucha kryzys sueski, pozbywa się tankowców, pozbywa się także swoich akcji naftowych, zanim jeszcze kraje arabskie zdadzą sobie sprawę z niesłychanej potęgi, jaką dysponują pod postacią ich złóż naftowych i nie narzucą swych koncepcji towarzystwom międzynarodowym, co świadczy, o wyjątkowej przenikliwości Zoltana Zeboffa i olśniewających zdolnościach w prowadzeniu międzynarodowych interesów. Później pertraktuje z rządem w Bagdadzie w sprawie otrzymania koncesji na wydobycie ropy naftowej w Kurdystanie. Mówi się, że niedawno otrzymał na okres pięćdziesięciu trzech lat koncesję na wydobycie platyny i litu na Mindanao i Sulu, na południu Filipin, po tym jak rząd zdławił w tych prowincjach muzułmańską rebelię. Obecnie fortuna Zoltana Zeboffa jest tak olbrzymia, że niektórzy twierdzą, jakoby był on najbogatszym człowiekiem świata. Ale nikt tego naprawdę nie wie. Zainwestował swoje pieniądze we wszelkie możliwe dziedziny i jego powodzenie było wręcz piorunujące. Ale po okresie szaleństwa, afiszowania się towarzystwem najpiękniejszych gwiazd filmowych świata, po życiu w niesłychanym luksusie, gdzieś około 1956 roku Zoltan Zeboff zdaje się zwracać w stronę religii. Jak dżumy, obawia się on skażenia, mikrobów, kurzu, brudu. Zamyka się w różnorodnych kryjówkach. Nigdy nie są to te same miejsca. Otacza go zupełna tajemnica. Atmosfera, jaka panuje w tych miejscach, jest aseptyczna, wyjałowiona. Zoltan Zeboff nie pije alkoholu, nie pali papierosów, odżywia się wyłącznie owsianymi plackami, suszonymi figami i pije tylko źródlaną wodę, którą zatrudnieni specjalnie w tym celu pracownicy czerpią dla niego ze wszystkich źródeł na świecie. Naturalnie, wszystkie te miejsca, w których przebywa, należą do niego i pozostają nieznanne. Nikt nie wie, gdzie się znajdują. W podróży używa różnych przebrań: hippisa, rolnika, robotnika, obwieszonego aparatami fotograficznymi turysty. Jaka jednak istnieje szansa na jego rozpoznanie, skoro ostatnie zdjęcie, jakie mu zrobiono, przynajmniej ostatnie znane zdjęcie, pochodzi

z 1956 roku? Ten, komu udałoby się zrobić mu zdjęcie dzisiaj, miałby spore szanse, aby sprzedać je za sto tysięcy dolarów! Jego jedyną pasją zdają się być: telewizja i książki. Nawet już nie kobiety...”

Harry Shulz potrząsnął przecząco głową. Nie zgadzał się z tym.

„...gdyż za pośrednictwem swoich adwokatów, w 1974 roku rozwiódł się z żoną Martha Widmer, młodszą od niego o trzydzieści pięć lat, którą poślubił w roku 1965, ale nikt nie wie, w jaki sposób ją poznał, ponieważ już wówczas ukrywał się przed wścibskimi ludźmi. Wydaje się to niezwykle ze strony kogoś, kto miał reputację szczególnie agresywnego i spragnionego silnych wrażeń playboya. Wokół jego osoby roi się od zaufanych i oddanych mu ludzi, których nazwiska pozostają tajemnicą. Pełnią oni rolę pasów transmisyjnych oraz doradców, bowiem Zoltan Zeboff, pomimo że żyje samotnie, w ukryciu, to jednak nadal rozsyła w świat swoje rozkazy i interesuje się polityką międzynarodową. Można snuć różne przypuszczenia. Może na przykład każdy nowy ruch na szachownicy finansowej naszej planety wykonywany jest ręką Zoltana Zeboffa?”

Nigdzie żadnej wzmianki o ruchach rewolucyjnych, wspomaganych finansowo przez Zoltana Zeboffa. I to było niewątpliwie powodem tego, że nazwisko Zoltana Zeboffa nie rzuciło mu się w oczy, kiedy przeglądał archiwa dzienników w Miami i w Nowym Jorku.

Jednak niezaprzeczalnie miał rzeczywiście do czynienia z „nim”.

Tutaj było wszystko.

Opis, jaki przekazała Safia: jeden z najpotężniejszych ludzi na świecie. Bajeczna fortuna. Nieugaszone pragnienie władzy, bogactwa. Koncesja na w\ dobytec ropy naftowej, na którą zgodził się rząd w Bagdadzie. Koncesja na wydobywanie złóż litu i platyny, wydana przez rząd Filipin na wyspach Mindanao i Sulu, skąd pochodziła Safia.

Opis przekazany mu przez Jayne Sterling, nienawiść do zanieczyszczonego środowiska, mikrobów, kurzu, brudu, co zresztą naprowadziło Harry'ego na właściwy ślad, bo gazety bardzo często publikowały artykuły dotyczące dobrowolnego odosobnienia Zoltana Zeboffa i jego fobii, tak jak i na temat tajemnicy, jaką się otaczał, kiedy przestał być tym, którego nazwisko ukazywało się przynajmniej raz w tygodniu na pierwszej stronie gazet.

Nie pił alkoholu. Nie palił papierosów.

Cechowała go niesłychana pycha: kazać oszpecić Jayne Sterling jedynie po to, aby nigdy już nie spodobała się żadnemu mężczyźnie po spędzeniu z „nim” nocy.

Rewolucja wzniesiona w Peru, z korzyścią dla generała Cardozy-Molinosa, także dawała się wytłumaczyć: Zoltan Zeboff posiadał w tym kraju kopalnię miedzi, cynku, ołowiu, złota i srebra.

Co się zaś tyczy operacji, w której zginęli Johnny Kremer i jego ludzie, przebiegała ona na tej samej zasadzie. Położyć łapę na ogromnych bogactwach. Za wszelką cenę. Oszukując i poświęcając życie wielu ludzkich istnień.

Reszta historii nie była trudna do zrekonstruowania.

Harry Shulz miał wystarczająco dobrą wyobraźnię.

Skoro nowa ekipa rządowa zastąpiła dożywotniego prezydenta-marszałka Kradinowoto I, Stangwa okazywał się już bezużyteczny. Zdecydowano się go zabić i dlatego wysłano tych chińskich zabójców. On, Harry Shulz, znalazł się tam wtedy przypadkowo. Widocznie działano bez porozumienia z Rolfem Robertsonem, ponieważ ten ostatni telefonował z Limy do Stangwy. Oczywiście, nie istniał żaden dowód na to, że to Robertson dzwonił do Stangwy, ale kto inny mógł to zrobić? A poza tym, śledząc później Rolfa Robertsona, Safia i jej przyjaciele musieli popełnić wiele głupstw i w ten sposób się zdradzić. Udało im się zabić Rolfa Robertsona, ale pozostali musieli domyślić się, skąd zadano cios. I wyeliminowali Safię wraz z jej przyjaciółmi, usiłując zabić także i jego – tak jak w willi Stangwy, na wyspach Bahama. Zresztą, logicznie biorąc, musieli go skojarzyć ze Stangwą i Safią.

Ale dlaczego nie ponowili próby zamordowania go?

Czy zgubili jego ślad?

W sumie Johnny Kremer miał rację.

Rolf Robertson rzeczywiście działał na czyjeś zlecenie.

Zoltana Zeboffa!

A Safia doskonale wiedziała, że „on” to Zoltan Zeboff!

I wreszcie zdjęcie Zoltana Zeboffa, to ostatnie zrobione mu publicznie w 1956 roku, zdjęcie, które odpowiadało opisowi podanemu przez Jayne Sterling!

Wysoki, szczupły, o matowej cerze, oczach koloru morskiej wody, jak u ostrygi, cofniętym podbródku, odstających uszach, przygarbionych plecach...

Cechy na tyle charakterystyczne, że nie można było łatwo ich zmienić!

Co do zaawansowanej łysiny, mogła pojawić się później.

A nawiasem mówiąc – zachichotał Harry Shulz – dziwny to playboy! Ale prawdą było, że to forsa czyniła z każdego playboya!

Krótko mówiąc, żadnych wątpliwości! Jego człowiekiem był Zoltan Zeboff!

Gdziekolwiek był teraz Johnny Kremer, musiał być szczęśliwy, widząc, jak Harry dociera do kresu długiej podróży.

Jeszcze raz musi zdobyć się na wysiłek i sprawa będzie załatwiona!



## ROZDZIAŁ XX

To zabawne, jak inicjały ich imion i nazwisk były do siebie podobne!

Zoltan Zeboff – Z.Z.

Zita Zoom – Z.Z.

Rolf Robertson – R.R.

Harry Shulz nacisnął guzik dzwonka drzwi wejściowych wspaniałej willi Marthy Widmer, byłej żony Zoltana Zeboffa.

Otworzyła mu pokojówka o ponurej twarzy. Ponad ramieniem dziewczyny ujrzał nienaturalną sylwetkę majordomusa, wysokiego i wspaniale umięśnionego mężczyzny, stojącego o kilka kroków w tyle. Zanim pokojówka zdążyła przemówić, na jego ustach zaigrał uroczy uśmiech.

– Pani Widmer mnie oczekuje – oświadczył Harry przymilnie. – Jestem Frank Rigga.

Zdecydował się zachować nazwisko, którym posługiwał się w Limie. Coś w rodzaju prowokacji. Czy to wiadomo, co go tu spotka?

Dziewczyna wprowadziła go do wielkiego, kunsztownie ozdobionego holu. Majordomus bacznie go obserwował. Harry Shulz nie dbał o to, był zaabsorbowany czymś innym. Co Nick d'Amato miał wspólnego z całą tą sprawą? Czy był elementem, który nie miał żadnego znaczenia, czy też grał w niej ważną rolę?

Było w tym coś trudnego do wytłumaczenia.

Harry Shulz czekał dobre dziesięć minut, nim pokojówka znowu stanęła przed nim. Zaprowadziła go długim korytarzem aż na taras. Poniżej tarasu widniał ogromny basen, w którym z łatwością zmieściłby się zrekonstruowany okręt „Bounty”, jaki Harry oglądał niedawno na sztucznym jeziorze hollywoodzkiej wytwórni filmowej.

Kiedy dotarł na taras oczom jego ukazało się jedno z najpiękniejszych stworzeń, jakie w życiu widział. Kobieta ubrana była w bikini, a wyglądała tak, jak gdyby wcale go nie miała. Przede wszystkim dlatego, że bikini miało ten sam kolor co jej skóra, to znaczy barwy tytoniu, a poza tym tylko jej godne pożądaniami kształty rzucały się w oczy. Była wysoka, wspaniale zbudowana, a jej sylwetka rysująca się na tle zielonych liści miała doskonale wymiary greckiej amfory. Twarz była piękna, czysta, inteligentna, a w oczach iskrzyła się złośliwość. Włosy skrywał czepek kąpielowy, wystawały spod niego jedynie blond pasemka. Na opalonej skórze lśniły kropelki wody, które bezlitosne słońce Nevady pośpiesznie suszyło.

– Pan Rigga?

Jej głos współgrał z jej wyglądem. Świeży, melodyjny.

– Usiądźmy w cieniu. Deborah!

Ukazała się pokojówka.

– Drinki!

Kiedy usiadł naprzeciwko niej, przyjrzała mu się przyzwalająco.

– Pan nie jest stąd – stwierdziła. – Byłby pan bardziej opalony. Ale i tak jest pan raczej ładnym chłopcem.

– Jestem z Nowego Jorku – odpowiedział krótko.

– Spodziewałam się tego. Ma pan lekki akcent z Brooklynu.

Pokojówka postawiła przed nimi tacę. Wybór drinków był duży. Harry Shulz zdecydował się na wódkę z sokiem pomarańczowym.

– Jest pan człowiekiem wstrzemięźliwym? – spytała nieco ironicznie.

– Piję dużo alkoholu w zimnych klimatach, a gorących raczej niewiele.

– Doskonałe życiowe credo.

Nie stosowała tej samej reguły. Nalała sobie po brzegi burbona i wrzuciła do szklanki jedną kostkę lodu.

– Nasza rozmowa telefoniczna wielce mnie zaintrygowała – powiedziała pociągając duży łyk burbona.

– Z jakiego powodu?

– Może po kolei. Dzwoni pan do mnie i mówi, że chciałby się ze mną spotkać, aby zastanowić się wspólnie nad najlepszym sposobem zrobienia zdjęcia mojemu eksmężowi, Zoltanowi Zeboffowi, kładąc nacisk na fakt, że jeśli ta fotografia by wyszła, będzie ona warta jakieś sto tysięcy dolarów i można by za nią łatwo uzyskać tę sumę.

– Otóż to.

– Jedyńm powodem, który skłonił mnie do wyrażenia zgody na spotkanie z panem, było nieodparte pragnienie zobaczenia, jak mógłby wyglądać szaleniec, który ma zamiar sfotografować mojego eksmałżonka, pomijając oczywiście fakt, iż pański głos przez telefon brzmiał bardzo miło. I nadal zresztą tak brzmi, jeśli nie jeszcze bardziej, kiedy pan ze mną tu rozmawia.

– Czy to są jedyne powody?

Potrząsnęła głową.

– Tak. Sądził pan, że sto tysięcy dolarów jest wystarczającą dla mnie przynętą?

– Czy to nie dość drogo?

Zerwała gwałtownie z głowy czepek kąpielowy i ciężka grzywa złocistych włosów opadła na jej ramiona. Harry Shulz zafascynowany podziwiał roztaczający się przed nim wspaniały widok.

– Postawmy sprawę jasno, panie Rigga. Alimony, jakie płaci mi mój eksmałżonek, pozwalają mi dostatnio żyć, a więc perspektywa podzielenia się z panem sumą stu tysięcy dolarów nie robi na mnie absolutnie żadnego wrażenia. Co więcej, za dwa dni wychodzę za mąż za bardzo bogatego człowieka. Dlaczego więc miałabym wraz z panem łatać sobie głowę nad tym, w jaki sposób można zrobić zdjęcie mojemu eksmałżonkowi?

– Czy niedyskretnym jest zapytać panią, dlaczego się pani rozwiodła?

– Owszem. Dlaczego pan o to pyta?

– Mogłaby pani chcieć się zemścić. Pani eksmałżonek ma złą reputację. Życie z nim nie mogło być ciągle zabawne. Mogłaby pani czuć urazę...

– Komfortowe alimony, które mi płaci, znacznie pomogły mi zapomnieć moją urazę.

– Ale on przestanie pani płacić alimony, skoro wychodzi pani ponownie za mąż!

– Powiedziałam panu, że mój przyszły mąż jest bogatym człowiekiem.

– Więc żadnej urazy? Żadnego pragnienia zemsty?

– Nie. Jest coś, co mnie zdumiewa. Dlaczego usiłuje pan zrobić mu zdjęcie, skoro tak wielu próbowało już wszelkich sposobów i nikomu się dotychczas nie udało? Wie pan, nie jest pan pierwszym, który mnie odnajduje i składa mi taką propozycję. Czasami otrzymuję telefony od ludzi, którym też przyszedł do głowy ten pomysł.

– Czy to dlatego, że innym się nie udało, mnie także się nie uda?

– Jest pan bardzo pewny siebie! Moim skromnym zdaniem, przedsięwzięcie jest skazane na porażkę.

Harry Shulz wypił pół szklanki swojej wódki z sokiem pomarańczowym i odstawił szklankę, z uporem wpatrując się w Marthę Widmer.

– Wystarczy, jeśli dowiem się, gdzie on jest.

Nawet nie drgnęła.

– I liczy pan na to, że ja panu powiem?

– Tak.

– Ale ja tego nie wiem. A gdybym nawet wiedziała, co miałabym z tego, że panu powiem?

– Formalnie nic. W rzeczywistości, coś niezwykle istotnego...

– Co takiego?

– Pewność, że nie będzie pani miała kłopotów.

Uniosła brwi ze zdziwienia.

– Jak to?

– Na świecie jest wielu ludzi, którzy straszliwie nienawidzą Zoltana Zeboffa. Są gotowi uczynić wszystko, byle go dorwać, choćby za pani pośrednictwem.

Zresztą jest pani jedyną dostępną osobą, która może udzielić informacji na temat licznych miejsc, w których on się ukrywa. Dzieliła pani z nim życie. Zna pani te miejsca. Cóż w tym nienormalnego, że próbowali oni wymusić od pani informację w taki sposób, w jaki ja robię to teraz? Choć mimo wszystko, pomiędzy nimi a mną istnieje ogromna różnica. Ja jestem pacyfistą. Nie posługuję się gwałtem i przemocą. Ale to nie w ich stylu. Proszę mi wierzyć, oni są zawzięci!

Przymrużyła oczy.

– Panie Rigga, dostrzegam lukę w pańskim rozumowaniu.

– To znaczy?

– Czy fakt, że udałooby się panu zrobić zdjęcie mojemu eksmałżonkowi, zmieni coś w determinacji ludzi, o których pan mówi?

Harry Shulz spokojnie zapalił papierosa, wypił do końca zawartość szklanki wódki z sokiem pomarańczowym, a jego twarz przybrała nadzwyczaj niewinny wygląd.

– Ponieważ zanim ta fotografia zostałaby sprzedana i opublikowana w gazecie, która by ją kupiła, zostałaby pokazana...

Udał, że się waha, po czym mówił dalej:

– ... pewnym osobom które... które... które czują do Zoltana Zeboffa pewnego rodzaju urazę. Jednocześnie powiedziano by im, gdzie zrobiono to zdjęcie. Znając trudności z fotografowaniem pana Zeboffa, osoby te wiedziałyby, że ten, kto pokazuje im zdjęcie, mówi prawdę. Jednocześnie Zoltan Zeboff nie próbowałby schronić się gdzie indziej, bo prasa jeszcze by nie opublikowała zdjęcia!... Nie miałyby więc powodu do obaw...

Nawet nie drgnęła.

– Panie Rigga, proszę poczęstować mnie papierosem.

Podał jej i zapalił papierosa. Odwrócił głowę w stronę basenu. Zaciągnęła się dymem.

– Nieźle wykombinowane... – szepnęła.

Harry Shulz myślał tak samo. Uznał, że jego blef był całkiem niezły.

– I nikomu więcej nie przysłoby do głowy, aby pani przysparzać kłopotów... – zakończył.

– Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że to wymaga przemyślenia? – uśmiechnęła się niewinnie.

– Oczywiście...

– Zobaczymy... Ja...

Urwała, jakby coś nagle przyszło jej do głowy.

– Powiedziałam panu przed chwilą, panie Rigga, że za dwa dni wychodzę za mąż. W związku z tym chciałam dodać, że mój przyszły mąż i ja mamy na różne sprawy bardzo liberalne poglądy i że będziemy bardzo nowoczesnym

małżeństwem... Wie pan, co chcę powiedzieć?... Uważamy, że wierność małżeńska to śmieszny przesąd. Długo zastanawialiśmy się, zanim dla uczczenia naszego ślubu wymyśliliśmy coś zabawnego... Ale wymyśliliśmy... Urządzimy wielkąorgię z wymianą partnerów, na którą zaprosiliśmy świadków ślubu i paru bliskich przyjaciół... Naturalnie, mój mąż i ja...

Mrugnęła do niego porozumiewawczo.

– I ja... weźmiemy w niej udział... Niestety, jak na razie mamy nieparzystą liczbę zaproszonych. Sześciu mężczyzn i siedem kobiet... Dlaczego nie miałby pan być siódmym zaproszonym mężczyzną, panie Rigga?... Tym bardziej, że pośród zaproszonych panów niektórzy w ogóle nie odpowiadają... ech... normom, jakich wymagam od partnera... Za to pan... Taki ładny chłopiec... Zrobiłby pan furorę... Dodałby pan wiele pikanterii naszej rozbieranej prywatce... Naturalnie, na zakończenie tej prywatki albo też w trakcie naszego... sam na sam, moglibyśmy znacznie bliżej przyjrzeć się problemowi, który pana gnębi, a przy okazji odbyłoby się to w znacznie spokojniejszej atmosferze...

Harry Shulz nie wierzył własnym uszom! Szybko zrobił sobie drugiego drinka – wódkę z sokiem pomarańczowym. Zaschło mu w gardle. Wypił wszystko jednym łykiem.

– Dlaczego nie? – rzucił ochryple.

– A więc pojutrze wieczorem? W tym samym miejscu. O dwudziestej trzeciej.

Harry Shulz był zbyt przebiegły, żeby nie mieć się na baczności.

To wszystko wydawało mu się zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Zbyt nieoczekiwane.

Może Martha Widmer z jakiegoś niezrozumiałego powodu zastawiała na niego pułapkę?

Musiał się mieć na baczności.

Przyjęcie będzie rozbierane, więc nie mógł liczyć na pistolet kaliber 38. Fałszywe pióra na cyjanek zawadzały w mniejszym stopniu, ale gdzie je ukryć?

Długo się nad tym zastanawiał w swoim pokoju.

W końcu rozebrał się i zupełnie nagi stanął przed lustrem w łazience.

Szybko doszedł do wniosku, że istniało tylko jedno rozwiązanie: fałszywy opatrunek.

Wyjął neseser z lekarstwami i wyciągnął z niego opakowania bandaży do udzielania pierwszej pomocy. Jeden z nich owinął wokół prawej łydki, a drugi wokół prawego nadgarstka. Każdy z obu bandaży skrywał wewnątrz dwa fałszywe pióra wieczne na cyjanek. Cienki skrawek przylepca ukrywał ich wystające końce. Bandaże przylegały do siebie tak, aby pozwolić na swobodę ruchów, a skrawki przylepca można było łatwo odkleić.

Kiedy skończył, skrzywił się. To nie było idealne rozwiązanie, a w razie gdyby natychmiast pojawiał się niebezpieczeństwo, straciłby trochę czasu, zanim sięgnąłby po jeden z pistoletów na cyjanek, ale coś innego mógł zrobić?

Ubrał się ponownie i dwa pozostałe fałszywe wieczne pióra schował w kieszeniach marynarki.

Zresztą, niebezpieczeństwo równie dobrze mogło pojawić się w chwili, gdy będzie ubrany!

Zawahał się, ale w końcu nie zabrał ze sobą pistoletu.

Gdyby jego rzeczy przeszukiwano w chwili, gdy będzie już rozebrany, czyż nie zdziwiono by się odkrywając, że przyszedł uzbrojony? Zwłaszcza w broń takiego kalibru!

Zatroszczył się o to, by w jego kieszeniach nie było nic, co by wskazywało na rodzaj jego zajęcia, i zostawił sobie jedynie paszport na nazwisko Frank Rigga.

W dwa dni po swoim pierwszym spotkaniu z Marthą Widmer zjawił się u niej o umówionej porze, to znaczy o godzinie dwudziestej trzeciej.

Panowała tam już atmosfera dobrej zabawy. Chociaż cała akcja zdawała się dopiero „rozgrzewać” wokół basenu, rzeźbiście oświetlonego potężnymi reflektorami.

Ta sama pokojówka zaprowadziła go do Marthy Widmer. Ta była całkiem naga i znowu urzekła go jej nadzwyczajna uroda. Wyszła nonszalancko na jego spotkanie i ujęła poufale jego dłoń.

– Pozwoli pan, że przedstawię go mojemu nowemu mężowi. Zanim rozpocznie się noc poślubna...

Całkiem nagi mężczyzna z brzuszkiem, na pałkowatych nogach, o torsie owłosionym niczym u orangutana, tysej czaszce, głowie pozbawionej szyi, i żółtych oczkach, osadzonych w czerwonej twarzy, jak dwa usmażone na szynce jajka, odwrócił się właśnie w jego stronę.

– Robert O'Rourke, mój mąż – oznajmiła podekscytowanym głosem Martha Widmer.

Harry Shulz drgnął. Mężczyzna był okropnie brzydki, a jego powierzchowność mocno kłóciła się z wyglądem Marthy Widmer. Dlaczego ona go poślubiła? Dla pieniędzy? Powiedziała przecież, że otrzymywała satysfakcjonująco wysokie alimenty od Zoltana Zeboffa. A może on krył w sobie jakieś niezbrane talenty? Choć w tej chwili nie krył w sobie niczego. Choć gdyby wierzyć temu, co się widziało, to nie mogła to być słuszna hipoteza. Aczkolwiek pozory mogły mylić.

– Miło mi pana poznać, panie Rigga. Martha powiedziała mi, że uczyni nam pan ten zaszczyt i weźmie udział w naszej niewinnej zabawie...

Jego zgrzytliwy głos przywodził na myśl dźwięk, jaki wydaje skrobanie mrożonej marchewki.

Po Robercie O'Rourke przyszła kolej na innych zaproszonych gości. Martha powiedziała prawdę. Sześciu mężczyzn i siedem kobiet. Przedstawiła go innym gościom. Harry Shulz uśmiechał się serdecznie do każdego z zaproszonych, choć jego oczy niewzruszenie zapamiętywały rysy ich twarzy. Szybko doszedł do wniosku, że żaden z nich nie był niebezpieczny, tak jak zresztą sam Robert O'Rourke.

Wszyscy zaproszeni goście byli nadzy. Harry Shulz dokonał szybkiego przeglądu. Cztery kobiety były ładne, dwie nie najgorsze, jedna zdecydowanie brzydka. Ta pasowałaby do Roberta O'Rourke.

Co do mężczyzn, jeden mógłby ubiegać się o tytuł pana Kulturyisty, drugi pana Stokilo, zaś trzeci Byczka-reproduktora. Czwarty z kolei był olbrzymim Indianinem z haczykowatym nosem i robiącej wrażenie barczystej postawie, a dwaj ostatni byli bardzo młodzi, dobrze umięśnieni, o anielskich twarzach oraz sprytnych, wyrachowanych oczkach.

Służący o zblazowanych twarzach krążyli nad brzegiem basenu, roznosząc kanapki i kieliszki szampana na tacy. Harry Shulz uważnie przyjrzał się ich twarzom, ale żaden z nich nie wyglądał na Azjatę. To go trochę odprężyło.

– Jest pan nieprzyzwoity, panie Rigga – zagruchała Martha Widmer.

– Nieprzyzwoity?

– Oczywiście, bo ignoruje pan reguły gry. Nikt tutaj nie powinien nosić ubrania.

Odciągnęła go kilka kroków w tył.

– Proszę stanąć tutaj. A teraz niech się pan rozbiera! Całkowicie! – rozkazała głosem, który zachrypiał na ostatniej sylabie.

Robert O'Rourke i pozostali goście otoczyli go kołem. Wyczytał w ich oczach niezdrowe zniecierpliwienie, gorączkowe i perwersyjne oczekiwanie. Na ich wargach zarysowały się fałszywe, przewrotne uśmiešky. Martha Widmer oddychała ciężko. Ognisty ogień błysnął w jej spojrzeniu.

– Proszę się pospieszyć, panie Rigga!

Rozbierał się powoli. Z rozrzwinięciem pomyślał o striptizerkach, które musiały się rozbierać w knajpach, na oczach dziesiątków widzów. Kiedy już był całkowicie nagi, napiął mięśnie i spytał:

– Zadowolona?

Z kobiecych gardeł słychać było pełen aprobaty szmer.

– Co to za bandaż, panie Rigga?

– Głupi wypadek. Przewróciłem się.

– Czy to poważne?

– Niezbyt.

– Nie może pan ich zdjąć?

- Nie ma mowy. Lekarz mi zabronił.
- Szkoda...

Podszedł jeden ze służących, zabrał jego ubranie, starannie złożył je na ręce i odszedł, a Harry Shulz śledził go ciężkim spojrzeniem. Martha wsunęła mu rękę pod ramię i pociągnęła go za sobą.

– Proszę za mną. Chcę panu pokazać ogrody – wyszeptała ochryplym głosem. – Oczywiście, to sztuczne ogrody. Jesteśmy w Las Vegas, a pustynny wiatr nie jest łaskawy dla roślinności...

– To będzie ta rozmowa sam na sam, po której zawrzemy nasz układ? – spytał z ironią w głosie.

Kątem oka dostrzegł najbrzydszą kobietę z towarzystwa, która zezowała w ich stronę.

– Tak łatwo sobie pan z nami nie poradzi – uprzedziła go z rozbawieniem Martha.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Przestańmy mówić do siebie pan i pani. Ty mówisz do mnie Martha, a ja do ciebie Frank. Chciałam po prostu powiedzieć, że dziś wieczór jest tutaj siedem spragnionych kobiet...

Harry Shulz poczuł, jak dreszcz przebiega mu po plecach.

– Widziałeś spojrzenie, jakim obrzuciła nas Edna?

– Ta brzydula?

Parsknęła śmiechem.

– To prawda, ona jest brzydka. Ale ma ognisty temperament. Zupełnie tak samo jak Phyllis i Cathy, a także Elaine. Wolę być pierwszą... Zanim one cię zmęczą...

– Ale ja nie jestem jedynym mężczyzną! – zaprotestował.

– Zgoda, ale inni im nie wystarczą. A poza tym, ty jesteś zupełną nowością. Pozostali mężczyźni, których tu dziś wieczór widzisz, nie stanowią już dla nich tajemnic...

– Czy twój mąż nie jest zazdrosny?

Wybuchnęła śmiechem.

– Wręcz przeciwnie, to go podnieca!... W każdym razie, bardzo dobrze wie, że jeden mężczyzna w nocy mi nie wystarcza. Czyż zadowolamy się jednym daniem podczas posiłku?

Weszli na ścieżkę. Nagle pchnęła go za żywoplot z ozdobnych krzewów. W jednej chwili leżeli na ziemi pokrytej świeżym, delikatnym mchem. Przewróciła go na plecy i wspięła się na niego. Trzymał w ramionach najwspanialszą kobietę, jaką kiedykolwiek w życiu posiadał, a tymczasem jego myśli krążyły zupełnie gdzie indziej. Ten krzew nie budził żadnego zaufania. Martha tuliła się do niego, lekko dysząc. Tak, żeby nie zauważyła, ściągnął plastry skrywające nakrętki pistoletów



na cyjanek w opatrunku, owinięty wokół jego prawego ramienia, i wsunął je pod plecy.

Teraz poczuł się pewniej. I poddał się jej. Jego oczy podziwiała czarowną wizję, która rozpościerała się przed nim: całe niebo pustyni usiane gwiazdami, które wydawały się być bardziej srebrzyste niż kiedykolwiek przedtem.

Martha dyszała.

– Weź mnie! – jęknęła. – Mocno!... Bardzo mocno!

Potem jej usta przyłgnęły do jego warg i rozłożyła się na jego piersi.

Z oczami wciąż otwartymi, aby mieć baczenie na okolicę, oddał się rozkoszy. Martha była namiętną kochanką, wymagającą, wciąż nienasyconą. Jej żar żądz nie słabł, a wyobrażenia w pieszczotach nie miała granic; obmyślając nowe pieszczoty zdumiewała go.

Zapomniał o wszystkim.

Nawet jeśli ostatecznie Martha nie podała mu informacji, po które tutaj przyszedł – pomyślał przez chwilę – to jednak warto było tutaj przyjść.

Jakże daleko do niej Kerstin i Safii!

Wydało mu się, że kochali się przez całą wieczność, gdy nagle wstała.

– Dobry jesteś! – pogratulowała mu. – I kocham twoje ciało... Zostałabym z tobą całą noc, ale... jestem potrzebna innym... Wskoczę do basenu, a potem...

Już jej nie było.

Harry nie miał czasu pójść w jej ślady. Już rzucała się na niego Edna, pokrywając jego tors namiętymi pocałunkami.

– Jesteś śliczny, silny, pachniesz miłością! – przemawiała do niego jęklwym głosem. – Możesz sprawiać mi ból, jeśli chcesz, możesz mnie drapać, rozdzierać mi skórę, kąsać, bić, poniżać...

Tym razem zamknął oczy. Ta dziewczyna była kompletnie stuknięta! Po Ednie odzyskał dwa pistolety na cyjanek i miał czas na przełknięcie paru kanapek, które popił sześcioma kieliszkami szampana „Comtes de Champagne Taittinger 1969”. Szampan był doskonały i zdawał się posiadać właściwości pobudzające popęd płciowy, bo po wypiciu kilku kieliszków w spojrzeniach kobiet znów zabłysła namiętność.

Harry Shulz usiadł na brzegu basenu, z nogami na wpół zanurzonymi w wodzie, paląc spokojnie papierosa, kiedy Martha poprosiła Phyllis, żeby pociągnęła go za nogi.

Wpadł do wody.

Phyllis natychmiast przyłgnęła do niego całym ciałem.

– Kochałeś się już w wodzie?

Kochał się we wszystkich możliwych miejscach, ale nie powiedział jej tego. Ostatni raz, kiedy kochał się w wodzie, przypominał sobie tak, jak gdyby zdarzyło

się wczoraj. Było to w jakiejś rzece w Malezji, a krokodyl podpłynął właśnie w decydującym momencie...

O mało nie stracił tam nogi...

Phyllis pociągnęła go na płycticzną basenu.

Bandaże z pewnością przemokną – zirytował się – ale na szczęście nic nie mogło się przytrafić pistoletom na cyjanek w tej przymusowej kąpieli!

W ostatnim spazmie rozkoszy, Phyllis o mało się nie utopiła. Otworzyła szeroko usta i padła na wznak, dławiąc się z rozkoszy. Zadławiła się także z braku powietrza, bowiem woda wlała się do jej płuc...

Przez całą noc, przerywając jedynie kieliszkami szampana i kanapkami, Harry Shulz wytrzymał jeszcze dzielnie ataki Cathy, Elaine, Samantha, Barbary i Wilmy, cudownej Murzynki o hebanowym ciele i długich, kształtnych nogach.

Cathy była wstydliva. Zaciągnęła go do pokoju i zaledwie zamknęły się za nimi drzwi, rozplakała się. Harry Shulz spoglądał na nią ze zdziwieniem, nie wiedząc co robić, aż do chwili, gdy zrozumiał, że ona także była kompletnie stuknięta i że to był jej sposób na rozgrzewkę przed miłosną gimnastyką.

Same wariatki! – pomyślał rozbawiony. Ale ostatecznie było to dla niego coś zupełnie nowego.

Elaine i Samantha działały we dwie, a ich duet był doskonały.

Harry Shulz ledwie im podołał.

Ileż te dwie znały nowych sztuczek!

Właśnie oswobodził się z objęć Barbary, ładnej dziewczyny o białej, gładkiej skórze, ale o oczach z rozszerzonymi źrenicami narkomanki, która paliła papierosy z marihuany jeden za drugim, kiedy wpadł na jednego z zaproszonych mężczyzn, który dał mu wyraźnie do zrozumienia, że nie był mu obojętny. Ponieważ działo się to nad brzegiem basenu, Harry Shulz wyrzwał go w żołądek lewym prostym, żeby nie podawać w wątpliwość swojej bajeczki o zranionej prawej ręce. Tamten czknął i wpadł do wody.

Wilma należała do kobiet autokratycznych, mężczyzna musiał nagiąć się do każdej z jej zachcianek. Ponadto nie wyobrażała sobie miłości pozbawionej obelg i grubiańskich przekleństw. Harry Shulz zaordynował jej specjalnego rodzaju spoliczkowanie, potem podwoił dawkę i seryjnie powtórzył operację. Padła na kolana i czołgała się u jego stóp, mruczając jak zakochana kotka.

Terapia okazała się skuteczna. Nie potrzebował jej powtarzać.

Wilma skuliła się w jego ramionach, tak jakby tam szukała schronienia i ochrony, a potem zamieniła się w najśłodsza kochankę, jaką miał tej nocy.

Kiedy z nią skończył, spojrzał na zegarek.

Piąta rano!

Pobiegł na poszukiwanie Marthy.

Robert O'Rourke spólkował z Cathy na trampolinie basenu. Edna wyłowiła tego, którego ciosem pięści posłał do wody, i zdawała się go pocieszać. Elaine i Samantha zajmowały się olbrzymim Indianinem. Barbara zniknęła w mroku, w towarzystwie pana Stokilo. Phyllis wdrapała się na pana Byczka-reproduktora. Wilma skakała do basenu, ale Marthy nie było...

Czuł się okropnie znudzony, jego nogi były jak z waty, mięśnie brzucha obolałe, kark mu zeszywniał, ale mózg pracował bez zarzutu. Na Marthę natknął się w pokoju na pierwszym piętrze. Szybko oswobodziła się z uścisku pana Tarzana, podczas gdy tamten obrzucił Harry'ego Shulza wściekłym spojrzeniem.

– Ej! Co pan sobie myśli! – zaprotestował. – Nie mógłby pan gdzie indziej bawić się w podglądanie?

Ale Martha jednym zdecydowanym gestem zmusiła go do milczenia, zanim odprawiła go oschłym, zdecydowanym tonem.

– Dość tego, Mike. Zobaczmy się niedługo. Teraz idź.

Pan Tarzan zatrzymał się na chwilę tuż obok Harry'ego Shulza i napiął wszystkie swoje mięśnie z prowokacyjnym wyrazem twarzy.

Harry Shulz wyczytał w jego oczach wyzwanie, ale tylko pogardliwie wykrzywił usta.

– Odprawiono cię, Tarzanie. Idź odszukać swoją małpkę, Chitę.

Tamten pobladł.

– Martha... – zaczął.

– Zjeżdżaj, Mike – powtórzyła tym razem znudzonym głosem.

Usłuchał, wściekle mruczając, i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Twoje opatrunki są wilgotne – zauważyła ironicznie. – Spocieś się?

– Nie, to woda z basenu.

– Rozumiem. To w stylu Phyllis. Ona uwielbia wodne igraszki.

– Przejdźmy do rzeczy poważnych. Ja wykonałem swoją umowę. Dotrzymaj więc swojej...

Uśmiechnęła się prowokująco.

– Więc połóż się tutaj, na miejscu Mike'a.

– Po co? – spytał naiwnie.

– Zobaczysz...

Pomimo zmęczenia, zwykły fakt dotknięcia skóry Marthy na nowo rozpałił jego energię. Zgasiła światło i kiedy ich ciała połączyły się w finałowej ekstazie miłosnej, wyszeptała pełnym wdzięczności głosem:

– To tak, jakbym wpadła pod walec drogowy!

Dręczyła go jakaś myśl. Spytał:

– Dlaczego wyszłaś za mąż za Roberta O'Rourke?

W ciemności poczuł, że zeszywniała.

– Co cię to obchodzi? – odburknęła agresywnie. – Używałeś sobie z jego małżonką, czy to ci nie wystarczy? Nie wszyscy mogą sobie na to pozwolić. Więc nie zadawaj mi idiotycznych pytań! A teraz, jak powiedziałeś przed chwilą, porozmawiajmy na serio. Czy chcesz wiedzieć, gdzie można znaleźć Zoltana Zeboffa?

– To jest przedmiotem zawartej przez nas umowy.

– O tej porze roku jest w Meksyku, w Acapulco.

– Co on tam robi?

– Uwierz mi, nie przechadza się po plaży! Ma tam siedzibę równie nie do zdobycia jak średniowieczna forteca. Nie ma żadnego sposobu na to, aby tam wejść niezapowiedzianym, a poza tym są jeszcze... kamery telewizyjne, elektroniczne zamki, strażnicy, psy...

– Nigdy stamtąd nie wychodzi?

– Spokojnie. Kupił w mieście klub...

– Jaki?

– Jeden z tych klubów dla miliarderów na emeryturze, którzy pragną sztucznie utrzymać się w formie. Z sauną, łaźnią turecką, łaźnią z parą eukaliptusową, z biczami wodnymi, solarium, salą masażu, basenem itp. Rozumiesz, na czym to polega? Oni tam chodzą, żeby potem nie wyglądać zbyt śmiesznie na plaży...

– Po co Zoltan Zeboff kupił ten klub?

– Tylko z jednego powodu. Żeby brać tam kąpiele w basenie z biczem wodnym, który szczególnie sobie upodobał.

– Z biczem wodnym? – zdziwił się Harry Shulz.

– Nie wiesz co to jest?

– Nie.

– Wchodzi się do basenu na taką głębokość, żeby woda sięgała ci do brody. Na bocznych ściankach basenu umieszczone są dysze, które wyrzucają strumienie wody. I ta woda biczuje skórę. Zdaje się, że to dobre dla zdrowia. Jedyнным kłopotem są prądy wody. Tworzy się prawdziwy wir morski, który przyciąga cię do kraty, przez którą spływa nadmiar wody, i przykleja cię do niej. Raczej trudno wtedy zachować równowagę.

Leżąc w ciemności, Harry Shulz zmarszczył brwi.

– Coś się w tej twojej historii się nie zgadza.

– A dlaczego? – oburzyła się.

– To jakoś nie pasuje do obsesji i wstrętu Zoltana Zeboffa do brudu i skażenia środowiska. Z pieniędzmi, które ma, mógłby kazać zbudować własny basen z biczami wodnymi w swojej fortecy.

– Twoja uwaga jest słuszna. Zapominasz jednak o pewnym szczególe. Woda,

której używa się w tej łaźni z biczem wodnym, to woda morska!... A jego posiadłość leży zbyt daleko od morza, żeby można tam było doprowadzić wodę morską bez wykonania jakichś prac budowlanych, które zwróciłyby uwagę ludzi na jego fortecę. A jeżeli jest coś, na czym mu szczególnie zależy, to z pewnością jest to potrzeba zachowania pełnej anonimowości poczynań. Zresztą anonimowości względnej, ponieważ jego obecność w Acapulco sygnalizowano wielokrotnie!

– A ryzyko zanieczyszczenia wody w łaźni? I jak tu zachować anonimowość pośród tylu kąpiących się ludzi?

– On kąpie się jedynie nocą, kiedy klub jest zamknięty dla klientów. Ponadto zarezerwował sobie salę, do której klienci klubu nie mają wstępu. Zgromadzono tam wszystko. Przyrządy gimnastyczne, bicz wodny, urządzenia z parą eukaliptusową, stoły do masażu, solarium... Powietrze jest tam takie, jak w jego fortecy, odkażone!... Nie ma żadnej możliwości jego zanieczyszczenia!... A klienci klubu to doskonała przykrywka...

– Jak nazywa się ten klub?

– „Pancho Villa”. Dwie ulice na północ od „Playa de la Gruta”.

Harry Shulz zastanawiał się błyskawicznie. Musiał uzyskać jeszcze kilka informacji.

– Jednego nie rozumiem. Skoro Zoltan Zeboff tak bardzo nienawidzi skażenia powietrza, to dlaczego nie unika kontaktu z ludźmi? Na przykład z kobietami? A może to jest właśnie powód twojego rozwodu? A może dlatego, że okazał się sadystą?

Milczała dłuższą chwilę.

– Otrzymał pan informacje, na których panu zależało, panie Rigga. I myślę, że postąpiłby pan teraz przyzwoicie, gdyby opuścić pan ten dom... – Przestała mówić mu na „ty”.

O mało się nie roześmiał, słysząc słowo „przyzwoicie”.

Kiedy Harry Shulz wyszedł z pokoju Marthy, odszukał służącego, który zabrał jego ubranie. Otrzymał je i ubrał się.

Był już gotów do odejścia, kiedy Edna uwiesiła się jego ramienia, błagając, aby ją posiadał tutaj, na wyłożonej płytkami podłodze holu, ale oswoił się jakoś od niej i przeszedł tuż obok Mike'a, pana Kulturyisty, który zdawał się odczuwać wielką ulgę widząc, że Harry odchodzi.

A Harry wsiadł do samochodu i powrócił do hotelu.

## ROZDZIAŁ XXI

Za kartę wstępu do klubu „Pancho Villa” należało słono zapłacić. Harry Shulz nie mógł się nadziwić. Ale klub, poza świadczeniem bezpośrednich usług Zeboffowi, musiał mu jeszcze zapewnić wysokie dochody.

Ten facet był geniuszem interesu!

Usadowiwszy się wygodnie na leżaku, opasany ręcznikiem frotte w prowokującym czerwonym kolorze, przekartkował broszurę, którą wręczono mu zaraz po zakupieniu karty wstępu. Publikacja głosiła:

„Metody stosowane w klubie *Pancho Villa* zostały opracowane przez specjalistów z dziedziny kultury fizycznej. Są to nowoczesne metody opierające się na ostatnich odkryciach techniki oraz kultury fizycznej, uwzględniające fizyczne *ego* klienta i jego indywidualne potrzeby. Zabiegi dawkowane są stopniowo i tak zaprogramowane, by przyspieszyć proces indywidualnego pobudzania sił witalnych poprzez odbudowę struktury tkanki mięśniowej, co jest niezbędne dla pełnego rozwoju istoty ludzkiej, i co także umożliwia wykonywanie właściwych ruchów, dzięki którym człowiek może przezwyciężyć trudności funkcjonowania w środowisku miejskim...”

Harry Shulz rzucił broszurę na podłogę.

Zwyczajna paplanina, wywodząca się z pseudonaukowego żargonu. Wstał i wszedł do łaźni z biczem wodnym, tej przeznaczonej dla gości klubu.

Martha nie przesadzała. To, co mówiła było zgodne z rzeczywistością. Harry starał się zapamiętać wszelkie detale urządzenia tej łaźni. Wyszedł z wody, wytarł się i zaczął zwiedzać pozostałe pomieszczenia klubu. Skorzystał z okazji, aby pooddychać parą eukaliptusową i w ten sposób oczyścić oskrzela – jak zapewniał tekst broszury, żeby stracić funt tłuszczu w saunie, opalić się w solarium, zrobić kilka ćwiczeń na rozruszanie mięśni na sali gimnastycznej i wreszcie dać się wymasować uroczej bioenergoterapeutce, której wprawne dłonie przyprowadziły jego ciało o rozkoszne dreszcze.

Łączył przyjemne z pożytecznym, a bardzo tego potrzebował, bo czuł się porządnie wymagany po seansie u Marthy!

Następnie, z niewinną miną, udając zbłąkanego klienta klubu, przeszukał partie nie przeznaczone dla gości. Kuchnię restauracji, garderobę dla personelu, halę maszyn, kotłownię, magazyn środków czystości, magazyn żywności i napojów oraz magazyn środków pielęgnacji ciała. Przeszedł przed zamkniętymi drzwiami i pomyślał, że właśnie za nimi znajdowała się sala zarezerwowana dla Zeboffa, o której mówiła mu Martha. Zakończył swój obchód klubu w restauracji, gdzie

pokrzepił się wódką z sokiem pomarańczowym.  
Był zadowolony. Dowiedział się tego, czego chciał się dowiedzieć.

\* \* \*

Harry Shulz wszedł do sklepu, w którym sprzedawano aparaty fotograficzne, i zakupił statyw teleskopowy służący do robienia zdjęć na czas. Potem w sklepie z akcesoriami samochodowymi kupił dwa największe lusterka wsteczne, jakie udało mu się znaleźć. Później dotarł do warsztatu samochodowego i wręczając hojny napiwek jednemu z mechaników, kazał przyspawać metalową konstrukcję jednego z lusterek do główki statywu.

Gdy już wszystko załatwił, powrócił do hotelu.

Po południu włożył dres i espadryle kupione w sklepie z modną odzieżą. Jak zwykle wynajął też samochód, tym razem chryslera. Pojechał nim do klubu „Pancho Villa”.

Statyw owinął w ręcznik kąpielowy.

Wszedł do klubu z ręcznikiem kąpielowym pod pachą i z małą walizeczką w drugiej ręce. Szybko dotarł do szatni, otworzył metalową szafkę, którą dla niego zarezerwowano, po czym zamknął w niej statyw i walizeczkę.

Następnie przystąpił do zwyczajnych czynności gościa klubowego.

Zaczął od sauny, potem odprężył się w lodowatej kąpeli, a następnie poszedł wdychać parę eukaliptusową. W sali gimnastycznej przyszła kolej na seans odnowy mięśni, rower, ekspander, sztuczne narty, walec masujący, nantie, aparaturę rozwijającą muskulaturę ud i ramion. Po prysznicu zanurzył się w basenie i zaserwował sobie bicz wodny. Trafił do innej masażytki niż poprzednio, lecz ta miała równie zręczne ręce i też poczuł rozkoszny dreszczyk na całym ciele.

Skończył w solarium. Trzy minuty sztucznego opalania promieniami ultrafioletowymi.

Wcześniej, przechodząc obok baru, zamówił wódkę z sokiem pomarańczowym i szklaneczką, spowita mgiełką pary, oczekiwała na niego u wejścia z solarium.

Kończąc trzecią taką szklaneczkę, spojrział na zegarek. Zbliżała się pora zamknięcia klubu. Zapłacił więc i ruszył w stronę szatni. Owinął statyw w wilgotny ręcznik kąpielowy i wyciągnął z szafki walizeczkę. Nonszalanckim krokiem ruszył do wyjścia, ale zanim tam dotarł, skręcił w korytarz prowadzący do magazynów, kotłowni i hali maszyn.

O mało co nie potrącił pracownika klubu, który wyłonił się z magazynu środków czystości i który zerknął na niego ze zdziwieniem.

– Pan czego szuka, proszę pana?

Harry nie musiał się zmuszać, aby nadać swojej twarzy wyraz dziecięcej naiwności.

– Idę do kotłowni. Tutaj, naprzeciwno. Żeby wysuszyć ręcznik kąpielowy.  
Pracownik klubu wytrzeszczył oczy ze zdumienia, ale nie powiedział ani słowa.

Kaprysy gości były święte!

Harry Shulz położył dłoń na klamce drzwi kotłowni i zerknął przez ramię. Pracownik klubu zniknął w końcu korytarza. Wówczas obrócił się i otworzył drzwi magazynu żywności i napojów. Nikogo tam nie było. Pośpiesznie skoczył w głąb pokoju i wśliznął się za sterty skrzynek whisky, dżinu i wódki, które sięgały wysokości człowieka. Pochylił się przezornie i wsunął się w wąską przestrzeń, boleśnie uciskając ramiona. Położył statyw i walizeczkę, uważając na to, aby nie stracić skrzynek, i kręcił się tak długo, aż nie znalazł sobie wygodniejszej pozycji.

Tak przygotował się do długiego czekania.

Poprzedniego wieczora, po tym, jak po raz pierwszy zwiedził klub „Pancho Villa”, długo stał przed wejściem do budynku, który przylegał do klubu.

Nie zawiódł się.

Około północy jakiś długi, czarny samochód dyskretnie wjechał przez bramę, którą otworzyła czyjaś niewidzialna ręka chwilę przedtem, aby zamknąć ją, jak tylko tylne światła samochodu minęły wejście do klubu. Harry Shulz ani przez chwilę nie wątpił, że pasażerem wozu jest Zoltan Zeboff.

Dwie godziny później samochód wyjechał jak burza za bramę i zniknął za rogiem ulicy.

Nie wiedział, czy Zoltan Zeboff przyjeżdżał do klubu każdej nocy!

Ale zawsze można było spróbować szczęścia.

I właśnie Harry Shulz próbował. Na wszelki wypadek.

Ale gdyby Zoltan Zeboff nie pokazał się tutaj dziś ani w następną noc, to czy każdego wieczora Harry mógłby liczyć na sprzyjające warunki ukrycia się w jakimś zakątku klubu tak, żeby nikt go nie zauważył?

W tym sęk!

Nagle w magazynie zgasło światło.

Harry Shulz zesztyniał.

Najpierw usłyszał zgrzyt, a potem odgłos klucza obracanego w zamku.

Uśmiechnął się i odprężył. Powietrze było klimatyzowane i to pomagało mu znieść dłużyący się czas oczekiwania. Jego pozycja była z pewnością niewygodna, a jego mięśnie napięte, ale odegnał myśl o tych niedogodnościach, koncentrując się na tym, co miał wkrótce zrobić.

W każdym razie – zastanawiał się z rozbawieniem – znalazł się w sytuacji bliźniaczo podobnej do tej, kiedy usadowił się w schowku bagażowym Boeinga 737. Chyba każdy kontrakt był powtórzeniem poprzedniego!

Pomyślał, że Johnny Kremer, gdziekolwiek się teraz znajdował, musiał być z niego dumny!



Kilka minut po północy Harry Shulz zdecydował się opuścić swoją kryjówkę. Po omacku otworzył walizeczkę i wyjął z niej latarkę. Dokładnie przyjrzał się zamkowi w drzwiach. Potem ustawił walizeczkę i statyw tuż przy drzwiach. Wyciągnął z walizki kilka narzędzi i po dziesięciu minutach jego przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem.

Rygiel zamka odskoczył z zasuw. Harry przekręcił gałkę i drzwi się otworzyły.

Korytarz był oświetlony. Harry Shulz rozejrzał się ostrożnie dookoła. Nigdzie żywej duszy.

Latarkę i narzędzia włożył z powrotem do walizeczki i wyjął z niej swoją specjalną trzydziestkę ósemkę. Wsunął pistolet za elastyczny pasek sportowego dresu. Wsunąwszy statyw pod lewą pachę, w lewą rękę chwycił także walizeczkę, tak aby prawą mieć całkowicie swobodną. Wszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

Hala maszyn znajdowała się na końcu korytarza. Harry Shulz wszedł tam pośpiesznie. Dwaj mechanicy drgnęli zaskoczeni, widząc go przed sobą. I to mierzącego do nich z pistoletu.

– Na podłogę! – krzyknął po hiszpańsku.

Nie protestowali. Harry Shulz położył statyw i walizeczkę.

– Na plecy! – sprecyzował.

I to polecenie wykonali.

Wyciągniętym z walizeczki zwojem sznura Harry związał obu mężczyzn i zakneblował ich, wtykając im w usta tampon z waty, przyklejony plastrem. Później otworzył okno. Nie spojrzął na wspaniałe, całe usiane gwiazdami niebo nad Acapulco. Zajął się teleskopowym statywem. Wyciągnął jedną z jego nóżek na maksymalną długość, potem na gumowej końcówce nogi statywu przymocował nóż diamentowy. Wychylił się za okno i wyciągnął rękę, jak mógł najdalej.

Wiedział, że pierwsze okno po lewej stronie było oknem prywatnej sali zarezerwowanej dla Zoltana Zeboffa, o której mówiła mu Martha. Jedyna sala, której nie mógł zwiedzić podczas wczorajszego przeszukiwania i do której drzwi były zamknięte.

Wiedział także, że szyba w oknie tej sali jest matowa.

Ściana na zewnątrz była gładka. Żadnego gzymsu. Ponadto była to tylna ściana budynku, a poniżej (czyżby dla zapewnienia bezpieczeństwa?) otwierała się pochyłość, tak że okna hali maszyn i sali zarezerwowanej dla Zoltana Zeboffa znajdowały się w istocie na wysokości około dwóch pięter w stosunku do parterowych okien fasady budynku.

Nie można więc było wdrapać się po murze do okna, czy nawet przejść z jednego okna do drugiego.

A Harry Shulz musiał dowiedzieć się, co działo się za tym oknem.

Trzymając statyw za główkę, wyciągnął rękę najdalej jak mógł.

Diament dotknął szyby. Harry Shulz przysunął wówczas rękę bliżej ściany i naciskając z całej siły, wykonał obrót. W ciszy nocy słyszał zgrzytanie diamentu na szkle.

Musiał zrobić to bardzo szybko. Na wypadek gdyby strażnicy patrolowali tyły klubu.

Mogliby w oświetlonym oknie dostrzec jego nachyloną sylwetkę. Jednak z drugiej strony, gdyby zgasił światło w hali maszyn, czyż nie uznaliby tego za podejrzanę?

Po upływie pewnego czasu, który uznał za wystarczający, Harry Shulz ponownie przysunął do siebie statyw i zastąpił diament grubą, kauczukową przyssawką, której otwór nie pasował do średnicy nóżki statywu i musiał ją przymocować plastrem.

Potem znów wyciągnął rękę przez okno i na chybił trafił przystawił przyssawkę do koła zakreślonego przez diamentowy nóż. Pociągnął. Poczuł, że ten fragment szkła oderwał się od reszty szyby, ale tylko częściowo.

Harry Shulz zaklął cicho. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu, mięśnie wyciągniętego ramienia były obolałe, nadgarstek na wpół skręcony. Mimo to jeszcze raz przeprowadził całą operację, zważając na to, aby nie zbić wstecznego lusterka, jakie przylutował do statywu.

Rozległ się cichy trzask i szyba ustąpiła.

Harry Shulz pośpiesznie zabrał statyw, oderwał kawałek szyby i schylił się, żeby wyjąć z walizeczki drugie lusterko wsteczne.

Tym razem zmienił położenie statywu. Chwyił go za koniec nogi, którą przesunął przez okno tak, żeby lusterko przyspawane do główki statywu znajdowało się naprzeciw otworu w szybie. Jednocześnie drugą ręką ustawił sobie drugie lusterko ukośnie tak, aby widział obraz odbity przez pierwsze lusterko. Przymocował mocno ręką do statywu i zbliżył ją do otworu w szybie.

Obraz był nieco rozmazany i musiał zmrużyć oczy, aby lepiej skupić swój wzrok.

Wreszcie odetchnął głęboko.

Powiodło mu się!

To było ryzykowne zagranie, jak w pokerze po wyzbyciu się wszystkich atutów, bo nawet nie był pewien, czy Zoltan Zeboff przyjdzie tej nocy do klubu, ale jego śmiałe posunięcie zakończyło się sukcesem!

W basenie z biczem wodnym poruszała się jakaś niewyraźna, zniekształcona przez wodę postać ludzka!

Zoltan Zeboff!

Nareszcie!

Był sam, o ile Harry Shulz mógł się zorientować, bo obraz sali był niedoskonały, nie mógł więc dostrzec wyraźnie całego wnętrza pomieszczenia.

Teraz musiał działać bardzo szybko!

Wyciągnął statyw i położył go na ziemi wraz z drugim wstecznym lusterkiem.

Jednym susem znalazł się przy tablicy rozdzielczej obiegu wody. Szczegółowy szkic wyjaśniał mechanizmy działania każdego obiegu i czynności, jakie należało wykonać.

Harry Shulz starannie przestudiował szkic dotyczący basenu z biczem wodnym. Kiedy zrozumiał system działania zaworów, napuszczania, wypuszczania i tłoczenia strumieni wody, przeczytał ostrzeżenie:

„Uwaga! Niebezpieczeństwo! Kwas chlorowodorowy w stężeniu 90%! Wpuszczać kropla po kropli dla zachowania właściwego poziomu kwasowości wody. Niedostateczny poziom kwasowości wody: obok niebieska kreska z napisem «zasadowy». Właściwy poziom kwasowości wody: obok zielona kreska z napisem PH 7. Nadmierny poziom kwasowości: powyżej czerwonej kreski.

Uwaga! W razie niedostatecznej kwasowości wody ostrożnie zwiększyć dopływ kwasu w małych dawkach”.

Harry Shulz spojrzął na ogromną butlę, która z pewnością musiała zawierać co najmniej sto litrów kwasu chlorowodorowego. Szybko zerwał z niej olbrzymi korek wraz z tkwiącą w nim cienką plastikową rurką zapewniającą sączenie się kwasu kropla po kropli. Obiema rękami przekręcił kran zaworu zamykającego dopływ wody do dwunastu dysz tłoczących wodę do basenu z biczem wodnym pod ciśnieniem dziesięciu kilogramów na centymetr kwadratowy. I jak podawała notka, ta siła była mimo wszystko łagodzona oporem wody znajdującej się w basenie.

Harry Shulz wyłączył następnie pompę ssąco-tłoczącą z obiegu wody, aby przyłączyć ją do szyjki butli z kwasem chlorowodorowym, wsuwając przez szyjkę kauczukową rurkę. Jednocześnie opuścił dźwignię spustu w basenie z biczem wodnym.

Gorączkowo odliczył sześćdziesiąt sekund, mając nadzieję, że Zoltan Zeboff nie wyjdzie jednak z basenu, widząc obniżający się poziom wody i brak dopływu nowej.

Był to jedyny słaby punkt jego planu.

Kiedy minęła sześćdziesiąta pierwsza sekunda, przekręcił zawór dopływu wody w odwrotnym kierunku, aby na nowo zasilić dysze tłoczące w basenie.

Jak tylko zatrzymał zawór na poziomie „maksimum”, wziął statyw i drugie wsteczne lustro i wystawił rękę przez okno. Ustawił pierwsze lustro naprzeciwko otworu w szybie sąsiedniego okna.

Widok był nieprawdopodobny!

Ze zgiętym i na wpeł pochyłonym nagim ciałem, usiłując rozpaczliwie odparować rękami ciosy strumieni kwasu, tłoczonych przez dwanaście dysz, bezlitośnie chłostany różgami tej cieczy, Zoltan Zeboff przypominał olbrzymiego motyla z wyrwanymi skrzydłami, którego przygwożdżono do ziemi dwunastoma ogromnymi szpilami.

Jego skóra czerwieniała jak pancerz raka. Rozpaczliwie otwierał usta, a kwas wlewał mu się prosto w płuca i zżerał je nieubłaganie, zanim go nie zadusił.

W końcu Zoltan Zeboff zachwiał się i upadł na podłogę jak kłoda.

Już się nie poruszał, chociaż kwas lał się nieprzerwanie na jego ciało, a jego skóra była już tylko bezkształtną masą, wcale nie chroniącą jego wypalonego żywcem kwasem ciała.

Nie żył...

Leżał martwy... Spalony przez kwas...

Harry Shulz nie miał tu już nic do roboty.

Jego pistolet był zaopatrzony w tłumik. Położywszy statyw i wsteczne lustro na podłodze, Harry odstrzelił kawałek zwoju liny. Jej resztą miał się posłużyć przy ucieczce. Przywiązał koniec liny do grubej rury i wyrzucił ją przez okno. Potem spuścił się po niej w dół i wylądował na betonowej płycie. Zgięty wpeł pobiegł w kierunku muru otaczającego posesję. Pierwsza kula ze świstem przeleciała mu tuż koło uszu, a po chwili druga, wbijając się w mur.

Nie słyszał odgłosów wystrzałów. Pewnie też strzelano z broni zaopatrzonej w tłumik.

Padając na ziemię na plecy, udał martwego. Czy dadzą się wprowadzić w błąd?

Panujące wokół ciemności zdawały się być pełne niebezpieczeństw. Jego prawa ręka, ściskając kolbę trzydziestki ósemki, spoczywała na brzuchu. Czekał nie poruszając się, z szeroko otwartymi oczami.

Na betonie zaszeleściły przytłumione kroki.

Trysnął strumień światła. Miał wrażenie, że został nim przygwożdżony do ziemi.

Pistolet w jego ręce drgnął czterokrotnie. Nastąpiło głucho uderzenie rozbijającej się o beton latarki. Światło zgasło...

Harry Shulz wstał. Biegiem dotarł do muru. Zorientował się, że był on zbyt wysoki, aby z podskoku sięgnąć jego wierzchołka. Ruszył więc wzdłuż muru, na wszelki wypadek obmacując rękami wszystko wokół siebie i nagle jego ręka natrafiła na pokrywę wypełnionego śmieciami pojemnika. Nie tracił czasu. Wspiął się na ten pojemnik, podniósł rękę ku górze i tym razem udało mu się uczepić krawędzi muru. Zacisnął zęby, czując wbijające się w jego dłonie okruchy tłuczonego szkła. Szybko zdjął bluzę dresu, zarzucił ją na mur i panując nad

bólem, całą siłą woli udało mu się położyć na szczycie muru.

Nagle kula strzaskała kawałek stłuczonej butelki i kawałek szkła wbił mu się w skórę za uchem. Ścisnął kołnierz bluzy w rękach, podczas gdy lufa jego pistoletu wpijała mu się w brzuch, zeskoczył z drugiej strony muru. Sznurkowe podeszwy espadryli złagodziły wstrząs skoku z dużej wysokości.

W chwilę później Harry Shulz siedział już za kierownicą swojego samochodu i ruszał z miejsca, nie przejmując się ani krwią; która płynęła mu za uchem, ani zakrwawionymi przez odłamki szkła dłońmi.

Pozostawił samochód w hotelowym garażu i aby dostać się do swojego pokoju, skorzystał z windy, która wspiniała się wprost z piwnic na hotelowe piętra. Miał przy sobie klucz do swojego pokoju.

Gdy znalazł się tam, od razu sięgnął po podróżną apteczkę i opatrzył sobie skaleczenia. Potem zatelefonował na lotnisko. Samolot linii „Hughes Airwest” odlatywał z Acapulco do San Diego w Kalifornii o siódmej rano, lądując po drodze w Guadalajara, Guliacan i Hermosillo. Kazał zarezerwować sobie w nim miejsce. O szóstej był na lotnisku. Zostawił samochód na parkingu, a kluczyki oddał w agencji Hertz.

Dopiero kiedy samolot zaczął schodzić do lądowania nad San Diego, Harry Shulz odprężył się. Zapalił papierosa, zapiął pas i uśmiechnął się.

Wszystkie trzy części kontraktu, który zlecił mu Johnny Kremer, zostały wykonane!

Numer 1: Dożywotni prezydent-marszałek Kradinowoto I. Nie żyje. Zgładzony przez niego.

Numer 2: Rolf Robertson. Nie żyje. Zastrzelony przez Safię, która zamiast niego wykonała robotę.

Numer 3: Zoltan Zeboff. Nie żyje. Załatwiony przez niego.

Nawiasem mówiąc, piękna kolekcja łajdaków!

Ale ten aspekt sprawy właściwie go nie interesował. Zanim dotarł do celu, zabrało mu to wiele miesięcy. W końcu jednak wykonał tę robotę.

Johnny Kremer nie pomylił się, pokładając w nim zaufanie!

Rzeczywiście, w swoim zawodzie on, Harry Shulz, był światowym numerem jeden!

Teraz będzie mógł w spokoju nacieszyć się resztą tego, co pozostało z miliona dolarów! Sporo wydał, ale mimo wszystko pozostała mu całkiem niezła sumka!

Spędziwszy cztery dni w San Diego, Harry Shulz odleciał do Nowego Jorku.

Był trochę zmartwiony.

Ani gazety amerykańskie, ani meksykańskie nie wspominały o śmierci Zoltana Zeboffa...

Dziwne...

Była to jednak ważna osobistość i wiadomość o jego śmierci powinna znaleźć się na pierwszych stronach gazet!

Nasuwał się jeden wniosek.

Jeśli gazety nic nie wspominały o śmierci Zoltana Zeboffa, to działo się tak po prostu dlatego, że nic o tym nie wiedziały!

A dlaczego?

Ponieważ, co bardzo prawdopodobne, ten fakt ukryto przed dziennikarzami.

Dlaczego?

Prawdopodobnie z powodów finansowych – uspokoił sam siebie Harry Shulz.

Należało wziąć pod uwagę ogrom finansowego imperium znanego miliardera. Z pewnością ludzie z jego otoczenia nie życzyli sobie, żeby świat dowiedział się o jego śmierci!

Tym wyjaśnieniem z łatwością przekonał samego siebie i odegnał niepokój, trawiący jego umysł.

## ROZDZIAŁ XXII

– Witam, panie Shulz.

Z twarzą zniekształconą licznymi ciosami zainkasowanymi w karierze zawodowego boksera wagi półciężkiej, Jerry Otrano, pilnujący okazałego budynku przy Park Avenue w Nowym Jorku, gdzie mieszkał Harry Shulz, wyszczerzył w szerokim uśmiechu wszystkie zęby, lśniące białe, lecz równie sztuczne jak tytuł mistrza wagi półciężkiej, którym się przechwalał.

Harry Shulz mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Cześć, Jerry.

– Fajna pogoda, co?

– Rzeczywiście.

Jerry Otrano przybrał nagle zażenowany wyraz twarzy.

– Miałabym prośbę do pana, panie Shulz...

– Słucham cię, Jerry. Jerry Otrano oblizał usta.

– Trafia mi się wspaniała sprawa na wyścigach w Aqueduct\*, w najbliższą niedzielę. Niech pan sobie wyobrazi, że chłopcy stajenni szykują demonstrację. Są niezadowoleni z zarobków. Więc postanowili zepsuć jedną gonitwę. O nagrodę

\*Aqueduct na Ljong Island w Nowym Jorku, gdzie odbywają się słynne wyścigi (przyp. aut.).

prezydenta Johna F. Kennedy'ego. Za barierkami będzie ich z setka, przeskoczą je i wpadną na tor wyścigowy, żeby zatarasować koniom drogę. Cholerna sprawa!

– I ty pakujesz się w taką historię? – zdziwił się Harry Shulz, który naprawdę lubił dawnego zawodowego boksera.

Jerry Otrano zachichotał.

– Nie jestem stuknięty! Ja tam nic nie mam do ich głupot! Tylko co wówczas zrobią organizatorzy wyścigu?

– Unieważnią bieg i zwrócą pieniądze za zakłady.

– Ano właśnie. I w tym momencie ja wchodzę do gry. Ile jeden facet stawia średnio na konia? Pięć dolarów, nieprawdaż? A jak sobie odbierze te pięć dolców? Jeżeli postawi zakład u bukmachera, nie ma problemu. Zawsze może to sobie załatwić. Ale jeśli w okienku, jest ugotowany. Żeby mu zwrócili, musi jeszcze raz jechać na Aqueduct! A teraz niech pan sam oceni sytuację i weźmie pod uwagę faceta, który musi zafundować sobie przejazd z Manhattanu do Aqueduct, żeby odzyskać pięć dolarów, ile będzie go to razem kosztowało? Dwa dolary przejazd tam i z powrotem, plus stracony czas. Więc dwa dolary już wyleciały mu z kieszeni. W rzeczywistości pozostają mu tylko trzy dolary! I niech pan sobie wyobrazi, że wtedy przychodzę ja i odkupuję od niego zakład za trzy dolce. Facet cholernie się cieszy. I niech pan sobie jeszcze wyobrazi, że pożyczka mi pan sześćset dolarów...

– A ty odkupujesz dwieście zakładów – uciął Harry Shulz. – Żądasz w kasie pieniędzy i masz tysiąc dolarów.

– Oddaję panu pańskie sześćset dolców i zostaje mi czterysta minus dwa dolary za przejazd tam i z powrotem na trasie: Manhattan - Aqueduct, pozostaje więc trzysta dziewięćdziesiąt osiem dolców...

Harry Shulz wyciągnął zwitek banknotów z kieszeni i wręczył mu sześćset dolarów.

– Brawo, Jerry. Dobry pomysł. Nikt inny nie wpadł na to?

– Demonstracja chłopców stajennych jest przygotowywana w tajemnicy. Ja się dowiedziałem o tym od kumpla. Dam panu procent od zarobku, panie Shulz.

– Nie trzeba, zatrzymaj sobie wszystko!

– Ale to pan trzyma bank!

– Inteligencja zawsze powinna być nagradzana. Za taki pomysł zasługujesz zresztą na więcej niż czterysta dolarów!

– Tak, ale niech pan pomyśli jeszcze o tej hordzie naśladowców! Wszyscy bystrzejsi faceci zaraz rzucą się na złotą żyłę! Ach!... był do pana telefon z „Pan American”. Potwierdzili pańską rezerwację na Hawaje.

Harry Shulz zdecydował się spędzić kilka dni urlopu w Honolulu, aby się odprężyć. Zbliżała się jesień i Nowy Jork będzie wkrótce zimny i ponury, jak

zwykle o tej porze roku, przed nadejściem zimowych mrozów.

– Dzięki, Jerry.

– Zawsze do usług, panie Shulz. Szczęściarz z pana, że może pan się poopalać na Hawajach!

Pogwizdując jakiś modny przebój, Harry Shulz wsiadł do windy i pojechał do swojego mieszkania.

Życie jest piękne – pomyślał. Jeszcze dziś wieczorem wsiądzie do samolotu do Honolulu, gdzie miło wypocznie. Poprzednie wyjazdy tam pozostawiły mu mgliste wspomnienia słońca, plaży o złocistym piasku, dziewcząt, tańca, luksusowych restauracji, muzyki i wszystkiego, co tylko kojarzyło się z łatwym i beztrudnym życiem.

Kiedy znalazł się w salonie, rozłożył gazetę, którą kupił po drodze.

Lubił być au courant tego, co się ostatnio wydarzyło. Tak w kraju, jak i na świecie. Szybko znużyło go jednak czytanie i rzucił gazetę na stolik. Przekręcił gałkę radiodbiornika, potem włączył telewizor:

„... Dobrze mieć przy sobie wiernego przyjaciela. Jeden pies w domu lepszy niż kanarek na dachu. Kup od razu mydełko *Larbien* w swojej drogerii! Mydełko *Larbien*! Polegaj tylko na mydełku *Larbien*!”

Zawsze te same, nudne i idiotyczne reklamy!

Wyłączył obydwa odbiorniki.

Miał spakowaną walizkę, a samolot odlatywał późnym wieczorem. Co zrobić, żeby zabić czas? Obejrzeć film?

Harry Shulz wziął gazetę, aby przyjrzeć się programom kinowym. Z rozbawieniem zerknął na datę na pierwszej stronie. To już sześć tygodni minęło! Sześć tygodni od dnia, w którym wykonał ostatnią trzecią część kontraktu zleconego przez Johnny'ego Kremera!

Czas biegł z szaloną szybkością!

Harry Shulz znalazł stronę z programem i przebiegł wzrokiem listę kin. „Radio City Music Hall” wyświetlało dobry film z Al Pacino i Charlesem Bronsonem. Może ten? Składał właśnie gazetę, kiedy w jego mózgu zadźwięczało ostro jakby sygnał alarmowy: tak jak budzik, który rozdzwania się gwałtownie w uszach śpiącego człowieka.

Coś, co...

Dobry Boże! Co to było?

Jakaś ulotna myśl... Reminiscencja...

Coś, o czym pomyślał? Coś, o czym przeczytał?

Znowu gorączkowo przekartkował gazetę.

I nagle zerwał się z miejsca.



To było tutaj, na dwudziestej drugiej stronie... Przed programami kin.

Wyrzeszczając oczy ze zdumienia, przeczytał:

„Niewidzialny człowiek-miliarder tydzień temu przybył do Bangkoku. Zoltan Zeboff każe swoim ludziom filmować miasto, aby zwiedzić je nie opuszczając hotelu. Można by powiedzieć, że to jego widmo zjawilo się w Bangkoku w ubiegłą środę. Nikt poza jego najbliższym otoczeniem (kilka osób prowadzących jego interesy, których nazwisk nikt nie zna), nie widział go od dwudziestu lat; nie licząc też jego eksmałżonki Marthy Widmer-Zeboff-O'Rourke, która w tym czasie rozwiodła się z nim i wyszła za mąż za Roberta O'Rourke. Jego ostatnia fotografia pochodzi z roku 1956. Jakim środkiem lokomocji przybył on do Bangkoku? Samochodem, samolotem, statkiem? Nikt tego nie wie. Wiadomo jedynie, że wynajął dwa ostatnie piętra w hotelu Rama, te mianowicie, które obejmują «apartamenty prezydenckie», czyli ciąg luksusowych pokoi, jedynie godnych tego człowieka, będącego jak wieść niesie, najbogatszym człowiekiem na świecie. Przy wejściach na te dwa piętra natychmiast stanęła jego osobista ochrona, zamknięto drzwi, w oknach spuszczone stopy. Zainstalowano telewizję w obiegu zamkniętym i interfony; wszystkie pokoje przed przybyciem Z.Z. dokładnie przeszukano, aby sprawdzić, czy nie umieszczono tam mikrofonów. Potem ustawiono termostat na sześćdziesiąt stopni Fahrenheita i zerwano wszelki kontakt ze światem zewnętrznym. Zainstalowano prywatną centralę telefoniczną i nikt nie może się bezpośrednio połączyć z Z.Z. Windy hotelowe nie obsługują już dwóch najwyższych pięter, a schodów zapasowych pilnują barczyści ochroniarze, ukryci za osłonami z pancernej stali, tak, że nikt nie może tamtędy przejść. Kuchnię umieszczono w jednym z apartamentów, a urzęduje w niej osobisty kucharz Z.Z. Naturalnie, z racji fobii mikrobów, jaką Z.Z. od dawna żywi, powietrze w apartamentach pozbawione jest bakterii, na skutek odkażenia tychże przez specjalistów, podobnie jak i pożywienie przygotowywane przez jego osobistego kucharza, jest absolutnie zdrowe, według kryteriów oceny miliardaera. Przypuszcza się także, że przywiózł on ze sobą zapasy wody źródlanej, czerpanej przez specjalnie w tym celu zatrudnionych ludzi. Taki tryb życia kosztuje Z.Z. dziesięć tysięcy dolarów dziennie! Mówi się też, że Z.Z. kazał swoim ludziom filmować Bangkok, wspaniałą stolicę Tajlandii, kryjącą wiele pięknych świątyń, a wśród nich i tę, w której znajduje się kolosalny posąg śpiącego Buddy, całkowicie pokryty złotem. A także inne ciekawe zakątki miasta: pływający bazar, walki tajlandzkiego boksu w «Rajadamern Stadium», toczone według dość specyficznych reguł itd. W ten sposób Z.Z. będzie mógł zwiedzić miasto, nie opuszczając hotelu i nie narażając się na ewentualne zarażenie się przez kontakt z kłębiącą się ciżbą ludzką, tak charakterystyczną dla miast Azji. W jakim celu Z.Z.

przyjechał do Bangkoku? Nikt tego nie wie. Ale nasi czytelnicy z pewnością zadadzą sobie to pytanie...

W jaki sposób upewnić się, że ktoś znajduje się w obecności Zoltana Zeboffa, skoro nikt go nie widział, a jeśli nawet ktoś go widział, to prawdopodobnie by go nie rozpoznał, bo przecież jego ostatnie zdjęcie pochodzi z 1956 roku? Przypuszcza się, że chodzi istotnie o Zoltana Zeboffa po prostu dlatego, że ten sposób postępowania i izolowania się od świata jest charakterystyczny dla Z.Z. Ale oczywiście nikt nie może być tego absolutnie pewien”.

Harry Shulz zerwał się na równe nogi.

Dobry Boże! Co to miało znaczyć?

Czy Zoltan Zeboff nie umarł?

Ale w takim razie kim był ten, który zginął w Acapulco?

A Martha...? Skłamała mu w żywe oczy? Oszukała go? Po co?

Równie szybko jak wpadł w gniew, uspokoił się.

Oczywiście niemożliwe jest odpowiedzieć na wszystkie te pytania.

Harry Shulz przypomniał sobie, że milczenie prasy na temat śmierci Zoltana Zeboffa w Acapulco uważał za dziwne. Wtedy myślał, że to otoczenie miliardera wolało utrzymywać tę wiadomość w tajemnicy, oczywiście z przyczyn finansowych. Ale teraz ta niewy tłumaczalna przedtem cisza rzucała inne światło na sprawę.

Pierwszą myślą było ponownie zobaczyć się z Martha.

Harry Shulz podbiegł do telefonu i odwołał rezerwację miejsca na samolot do Honolulu. Zamiast tego chciał już zarezerwować sobie bilet na najbliższy lot do Las Vegas, gdy jakiś wewnętrzny głos zasugerował mu inne rozwiązanie.

Zawsze zdąży spotkać się z Martha.

Zoltan Zeboff był w Bangkoku lub sądzono, że tam jest. Czemu by nie miał tam pojechać, żeby rozejrzeć się w sytuacji? I spróbował rozwikłać zagadkę.

Odłożył słuchawkę.

W jego głowie zaczął się tworzyć pewien plan. Harry przemyślał go starannie, w najdrobniejszych szczegółach. Potem, nim znowu sięgnął po telefon, uśmiechnął się z zadowoleniem. Wykręcił numer kliniki doktora Schallenghammerforsta w Miami. Gdy tylko połączył się z kliniką, zaczął wypytywać doktora o stan zdrowia Jayne Sterling.

– Niedługo opuści klinikę – uspokoił go Schallenghammerforst, mówiąc po angielsku z silnym niemieckim akcentem. – Jej stan zdrowia jest nadzwyczaj zadowalający. Często mówi o panu. Chciałaby pana zobaczyć... Tym bardziej, że teraz jest bardzo, bardzo piękna i że wie o tym... – zaznaczył delikatnie lekarz.

– Na razie to niemożliwe.

- To już pańska sprawa.
- Kiedy wychodzi... z pańskiego zakładu?
- Za tydzień.
- Bardzo dobrze. Żadnych komplikacji?
- Nie.
- Chcę pana prosić o przysługę.
- Przez telefon? – zaniepokoił się doktor.
- To nadzwyczaj pilne.

Harry Shulz usłyszał po drugiej stronie westchnienie.

- Słucham.
- Nie będę mówić wprost, lecz postępując się aluzjami do podobnej przysługi, którą pan mi kiedyś oddał – uspokoił go Harry Shulz.
- Dobrze.
- Cztery lata temu przyprowadziłem do pana kogoś, kto był niemową, albo raczej była niemową, ponieważ to była kobieta. Sprawił pan, że znowu zaczęła mówić. Pamięta pan?
- Mam doskonałą pamięć.
- Chciałbym, aby oddał mi pan teraz podobną przysługę.
- Czekam na pana. To wszystko?
- Jest pewien problem. Nie mogę przyjechać.
- Więc co zrobimy?
- Wiem, że jest pan strasznie zajęty i niezastąpiony na miejscu. Ale może mógłby pan oddelegować... jednego ze swoich asystentów, aby wykonał tę delikatną operację?

Po tamtej stronie w słuchawce zapadła cisza.

- Pańska cena będzie moją ceną – sprecyzował Harry pospiesznie. – Tym bardziej, że operacja musi zostać przeprowadzona za granicą...
- Za granicą?
- Tak.
- Czy ta podróż długo potrwa?
- Nie sądzę.
- Nie może pan sprecyzować?
- Nie.

Znowu cisza w słuchawce. Harry Shulz czekał cierpliwie.

- Mam kogoś takiego dla pana – rzekł w końcu doktor Schallenghammerforst.
- I cały niezbędny sprzęt medyczny, oczywiście?
- Oczywiście.

- Do natychmiastowej dyspozycji?
- Tak. To wypadnie może nieco drożej, ale...

Harry Shulz spodziewał się tego. Nie skomentował wypowiedzi doktora. Jakie to miało znaczenie, przecież płacił Johnny Kremer!

- Uzgodnimy cenę po powrocie – sprecyzował doktor.
- Załatwione.
- Gdzie ma się zjawić?

– Niech zatrzyma się w hotelu „Hilton-Stadtler” w Nowym Jorku. Jak się nazywa?

- Doktor Halzenspergerüchenbach. Harry Shulz zerwał się z miejsca.
- Co proszę?

Doktor Schallenghammerforst powtórzył.

- Potoczne raczej nie jest! – mruknął Harry Shulz. – Jak to się pisze?

Kiedy odłożył słuchawkę, roześmiał się.

Klinika poczciwego doktora musiała być pełna Szwabów, noszących nazwiska tak długie jak podróż międzyplanetarna!

## ROZDZIAŁ XXIII

Apartament, jaki zajmowała Selma Burk na Park Avenue, pomiędzy Osiemdziesiątą Drugą a Osiemdziesiątą Trzecią Aleją, był przestronny i wspaniale urządzone. Sam budynek był nowy i okazały tak jak wszystkie w tej części East Side.

W holu dozorca i portier – obaj barczyści – przesiewali gości przez sito kontroli. Biorąc pod uwagę tysiące kradzieży, jakich codziennie dokonywano w Nowym Jorku, taka ostrożność była nieodzowna.

Selma Burk zdjęła łańcuch z drzwi, otworzyła zamki i wpuściła do mieszkania Karłę Devorak. Zamknęła drzwi z powrotem, zatrzasnęła zamki i założyła łańcuch, po czym ujęła Karłę za rękę i wprowadziła do przestronnego salonu.

– No cóż, kochanie, tu jest inaczej niż w mieszkaniu Dorothy! – powiedziała ironicznie.

Kolistym ruchem ręki wskazywała na dekorację „design”, wiszące na ścianach obrazy mistrzów, luksusowe meble.

- Usiądź. Herbaty?

Karla Devorak przytaknęła mrugnięciem powiek.

Selma Burk zniknęła, a Karla skorzystała z okazji, aby podziwiać living-room i jego wspaniałe dekoracje, dokonując jednocześnie w myśli przeglądu wszystkich szczegółów planu, z jakim właśnie się nosiła.

W chwilę później znowu pojawiła się Selma Burk, z tacą w rękach.

Położyła ją na niskim stoliku z szaro żyłkowanego tureckiego marmuru i pchnęła filiżankę w stronę Karli.

– Obsłuż się, kochanie.

Gdy Karla nalewała do filiżanki gorący płyn, Selma Burk wetknęła egipskiego papierosa w długą, nefrytową cygarniczkę i zapaliła. Zaciągnęła się kilkakrotnie, nie przestając obserwować Karli, przysuwając do niej twarz o rozszerzonych, na skutek nadużywania rozmaitych narkotyków, źrenicach.

Karla upiła herbaty. Odstawiła filiżankę i pociągnęła nosem. Mdły zapach tytoniu wypełniał pokój. A może była to raczej woń kifu, konopi indyjskich zmieszanych z tytoniem z Orientu. Selma Burk nie mogła ani przez chwilę obejść się bez narkotyków...

Karla spostrzegła na stole olbrzymią odwadniającą świecę i szybko ją zapaliła, nawet nie pytając pani domu o pozwolenie.

– Kochana, wyobraź sobie, że nie mam tutaj pięciu tysięcy dolarów. Tyle włamań zdarza się codziennie w Nowym Jorku... Wydadę majątek, aby ubezpieczyć te obrazy przed kradzieżą...

– Kiedy będziesz miała te pieniądze?

Selma Burk wzruszyła ramionami.

– Jutro na pewno...

– To dobrze – zdecydowała Karla. – Wpadnę jutro...

– Nie ma mowy, moja droga!

Ton był kategoriyczny. Karla Devorak zmierzyła Selmę lodowatym spojrzeniem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie ruszysz się stąd aż do jutra.

– Ale dlaczego?

– Będziesz moim gościem. O dwa kroki stąd jest doskonała restauracja. Zamówię kolację dla dwóch osób i spędzisz tutaj noc.

– To nie jest konieczne. Równie dobrze mogę wrócić do domu.

– To nieostrożność. Brooklyn cieszy się złą sławą.

– Wiesz, że mieszkam w Brooklynie kawał czasu. Nigdy nie stało mi się nic złego.

– Ależ kochanie, dlaczego masz wracać dzisiaj do Brooklynu, skoro jutro musisz tutaj wrócić? A ja oferuję ci wygodny apartament?

Karla ucieszyła się w głębi duszy.  
Selma sama ułatwiała jej zadanie!

Karla Devorak nurzała się w błogim rozleniwieniu. Przeciągnęła się z rozkoszą. Czuła się trochę osłabiona. Rozkosz okazała się znacznie bardziej intensywna, niż mogła to sobie wyobrazić. Selma Burk była ekspertem w miłosnych igraszkach. Wyrafinowanym ekspertem.

Pościel wydzieliała mdłą woń wschodnich olejków. Przypominało to zapach jaśminu.

Karla, niczym poszukująca ciepła kotka, prześliznęła się na drugą stronę łóżka, wyciągając przed siebie ręce. Ale napotkały one jedynie pustkę. Nieco zdziwiona, otworzyła oczy. Pokój tonął w półmroku. Widziała jednak dostatecznie dobrze, by stwierdzić, że nie uległa złudzeniu. Selmy Burk nie było w łóżku.

Wzruszyła ramionami. To nie miało znaczenia. Pewnie Selma była w łazience.

Jej ręka sięgnęła do nocnego stolika. Nie ma papierosów. Zupełnie rozbudzona, chętnie by zapaliła. Spod drzwi sączyła się smuga światła. Selma Burk musiała być tam, za drzwiami.

Nagle Karli całkowicie wróciła świadomość.

Kontrakt!

Zupełnie oszalała! Zabawiać się, podczas gdy miała wykonać kontrakt! To było czyste szaleństwo! Co pomyślałby jej zleceniodawca, gdyby ją teraz zobaczył leżącą w tym łóżku, zamiast robić to, za co jej zapłacono? Tym bardziej, że zadała sobie tyle trudu, aby zbliżyć się do Selmy Burk! Musiała wykonać decydujące uderzenie, tak jak w grze w bilard. Najpierw oczarowała Dorothy, inną lesbijkę, bliską przyjaciółkę Selmy Burk. Opowiedziała jej tę niewiarygodną bajeczkę o pięciu tysiącach dolarów. Zadziwiające, jak lesbijki „kupują” byle jaką historyjkę, pod warunkiem, że opowiadają śliczna dziewczyna!

A Dorothy wysłała ją do Selmy Burk, bardzo bogatej Turczynki.

I gotowa była już do wykonania „kontraktu”, kiedy jak debiutantka, dała się schwytać w pułapkę. Oszołomiona narkotykami i zabawiająca się z lesbijką! Choć odczuwała przy tym pewną rozkosz!

Kroczyz dziwną drogą, Karlo – rzekła do siebie, wyskakując z łóżka.

Pokój wychodził na korytarz, skąd sączyło się światło, jakie dostrzegła pod drzwiami.

Karla boso ruszyła w stronę living-roomu. Pchnęła drzwi i przystanęła osłupiała. Selma Burk siedziała na sofie i grzebała w jej torebce. Nie słyszała, jak Karla weszła, zaabsorbowana swymi poszukiwaniami.

Karla kocim krokiem wśliznęła się do pokoju i ukryła za sofą.

Nagle Selma Burk wstała. W jednej ręce trzymała otwartą kopertę, która zawierała dwa tysiące pięćset dolarów, a w drugiej sztylet tkwiący jeszcze w skórzanych paskach, który Karla miała w swojej torebce.

– Daj mi to! – wrzasnęła Karla.

Selma Burk odwróciła się ze zdziwieniem.

– Ach, to ty, mała dziwko! Wiedziałam, że mnie okłamywałaś. Ta twoja głupia historyjka, którą mi opowiedziałaś! Biedna idiotko, sądziłaś, że dam się nabrać?

– Oddaj mi to – powtórzyła cierpko Karla.

– Odwal się – rzuciła Selma Burk ochryplym głosem. – Ubieraj się i wynoś się stąd! Mam cię dość! Znikaj!

Karla skoczyła nieoczekiwanie na nogi Selmy Burk. Ta jęcząc, upadła na dywan.

Szamotała się, przygnieciona ciężarem ciała Karli. Choć była słabsza, udało się jej uwolnić od Karli i ze wszystkich sił przewróciła na swą przeciwniczkę ciężki, marmurowy stolik.

Karla, ugodzona w czoło, natychmiast poczuła krew zalewającą jej oczy.

Oślepiąca, obmacywała rękami wszystko wokół siebie, usiłując wstać. Turczynka schwyciła wielką popielniczkę z brązu, która spadła na ziemię podczas ich szamotaniny, i przyciągnawszy ją obiema rękami, uderzyła nią Karłę w głowę. Na wpół ogłuszona Karla zaczęła się czołgać, aby uniknąć śmiertelnego ciosu. Poprzez krwawą mgłę, jaka przesłaniała jej oczy, dostrzegła nogę swej przeciwniczki i jej ręce, jak szpony drapieżnika, uczepiły się kostki nogi Selmy.

– Puść mnie, dziwko! – wrzasnęła Selma.

Ale ręce Karli zmieniły się w prawdziwe kleszcze. Tkwiła w nich cała wola wymknięcia się śmierci!

Turczynka, tracąc równowagę, zwała się na nią. Karla przekreśliła się, a jej dłonie zanurkowały w stronę gardła tamtej. Przycisnęła ją do podłogi całym swym ciałem.

Selma Burk usiłowała rozpaczliwie uwolnić się z uścisku, ale Karla miała już zdecydowaną przewagę.

Nie czując paznokci, które rozdzierały jej twarz, ścisnęła, ścisnęła zapamiętale...

Z gardła Turczynki wydobył się charkot, jej obrzmiały język wyszczerzył się spomiędzy warg. Potem wstrząsnął nią ostatni dreszcz i ciało opadło bezwładnie...

Karla zaczęła jeszcze chwilę, zanim puściła swą ofiarę. Wreszcie zataczając się, wstała, parę razy zgięła i rozprostowała obolałe palce, mając wrażenie, że

porwał ją gigantyczny wicher. Z trudem dotarła do łazienki i przez wiele minut stała pod prysznicem. Kiedy się wysuszyła, obejrzała swoje rany. Ta na czole nie była zbyt głęboka, ale obficie krwawiła, a paznokcie Selmy pozostawiły na policzku Karli liczne krwawe ślady.

Znalazła w apteczce opatrunek. Po zdezynfekowaniu ran, zabandażowała je starannie i bez cienia wyrozumiałości przejrzała się w lustrze. Rezultat oględzin był przerażający. Jej twarz była twarzą mumii. Ale powiedziała sobie, że i tak powinna czuć się usatysfakcjonowana.

Ubrała się, zatarła ślady swego pobytu w mieszkaniu Selmy, włożyła z powrotem do torebki dwa i pół tysiąca dolarów, co stanowiło połowę wynagrodzenia za „kontrakt” i założyła wokół prawego nadgarstka skórzane paski, w których tkwiło ostrze i trzonek sztyletu. Wykonując tę operację, uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Udało się jej przecież wykonać „kontrakt”, pomimo trudności i przeszkód stwarzanych po drodze przez Selmę Burk!

Elektryczny zegar wskazywał piątą.

Nie mogła tu dłużej zostać.

Za dwie godziny zacznie świtać i musi zniknąć do tej pory, bez śladu.

Najlepszą metodą opuszczenia mieszkania tak, aby nikt tego nie zauważył, było zejście po drabinie pożarowej. Karla po raz ostatni rozejrzała się wokół siebie, zabrała torebkę i dotarła do drzwi dla służby.

Wąskim korytarzem doszła do żelaznej platformy, skąd prowadziła w dół drabinka pożarowa. Trzymając się poręczy, zesłała po śliskich od deszczu metalowych szczeblach.

– Ej! paniusiu, to niebezpieczne chodzić samej o tak późnej porze po ulicach. Niech pani poczeka, odprowadzę panią. Ojej, co się pani przydarzyło? Oberwała pani? Niech pani poczeka!... Co się pani stało?

Karla puściła się biegiem. Park Avenue była niedaleko. Tam znajdzie taksówkę.

Spojrzała za siebie. Mężczyzna nie próbował za nią biec. Na pewno jakiś pijak. W innych okolicznościach nigdy by się nie narażała na chodzenie po ulicach o tak wczesnej porze, nawet w takiej rezydencjonalnej dzielnicy jak Manhattan.

Bolała ją lewa noga. Rozkładając dolną część metalowej drabinki, omal nie zdarta sobie paznokci z obu rąk, a zeskakując potem na chodnik uliczki i nie trafiając na wypełniony śmieciami pojemnik skręciła sobie nogę.

Biegła skrajem chodnika, ocierając się o parkujące samochody. Myślała o czymś innym, więc nie zauważyła otwierających się drzwi jednego z wozów.



Potknęła się o podstawioną zdradziecko nogę i tak jak skazany na śmierć zostaje ścięty na gilotynie, tak samo ona runęła jak długa. Czyjaś pięść ugodziła ją w podbródek, a przed oczyma zaczęły tańczyć gwiazdki.

– No ruszaj, Louie – rozkazał ktoś brutalnym głosem, z akcentem zdradzającym pochodzenie z Południowej Karoliny.

– Poderwałeś ładny towar, Mac – zachichotał jej sąsiad z prawej strony.

– Kto by pomyślał, że o tej porze jeszcze chodzą po ulicy? – ucieszył się trzeci pasażer samochodu.

– I w dodatku ładna cizia! – dorzucił pierwszy.

– Dokąd pojedziemy, żeby się z nią zabawić? – zainteresował się kierowca.

– Znam takie miejsce w Bronxie. Cmentarzysko starych samochodów. Dozorca jest moim kumplem. Nie ma strachu. Podzielimy się tą lalunią i przez resztę nocy będziemy mieli co robić.

– Dużo tej nocy nie zostało...

– Ej, Mac, po co mamy czekać, aż dotrzemy do Bronxu? Możemy wziąć sobie teraz zaliczkę, nie? Och! Ta cizia ma fajne majtki! Jak z jedwabiu.

– Uspokój się, Wayne, i uważaj, żeby się nie ocknęła. Wpadlibyśmy, gdyby zaczęła się drzeć i gdyby akurat przejeżdżał wóz policyjny...

– Nie kracz, Mac. Ej! Jedź prędzej, Louie. Jeśli nie, nie wytrzymam aż do Bronxu z tą śliczną dzidzią obok mnie! Ależ ona narobi wrzasku, kiedy się ocknie i zobaczy, że zabawia się z nią czterech facetów! Będzie bombowo, Mac. Ach, chciałbym zobaczyć jej minę!...

– Słuchaj, mógłbyś się przymknąć?

– Dobra, dobra, Mac...

– Nie jedź przez Harlem, Louie. Mógłby nas zobaczyć ktoś ze znajomych z sąsiedztwa. Byłby wtedy niezły bal. Jedź raczej przez West Side Highway, na koniec Osiemdziesiątej Dziewiątej, wyskoczysz w Dyckman, a potem ruszysz na północ, aż do Dwieście Osiemdziesiątej Ósmej.

– Okay, Mac.

– To wielka podróż, chłopie...

– Bronx nie jest o rzut beretem stąd...

– Nie znoszę tej dzielnicy! Za dużo tam Irlandczyków i Włochów!

Szumy w głowie Karli, z którymi desperacko walczyła, zaczęły powoli ustępować i otworzyła oczy. Zamknęła je natychmiast. Omdlenie trwało nadal: musi poczekać, aż zupełnie rozjaśni się jej w głowie. Dokładnie wiedziała, co robi. Siedziała na tylnym siedzeniu, pomiędzy dwoma mężczyznami, którzy mocno ją trzymali. Spod przymkniętych powiek obserwowała skrzyżowanie i gdy samochód zatrzymał się przy czerwonym świetle, rzuciła się do przodu, tak jakby pod wpływem hamowania samochodu. Siedzący obok dwaj mężczyźni

przytrzymali ją za ramiona, ale zdążyła wsunąć lewą rękę w rękaw prawej i zluźnić skórzaną pasek, przytrzymując sztylet. Sztylet ześliznął się pod rękawem, wzdłuż przedramienia, i Karla szybko schwyciła jego rękojęść. Okręciła się gwałtownie wokół własnej osi i wbiła nóż w pierś mężczyzny siedzącego po lewej stronie, mierząc w serce. Zacharczał, a ona wyciągnęła nóż. Trysnęła na nią krew. Już odwróciła się do drugiego napastnika. Ten złapał ją za gardło, próbując ją udusić. Fatalny błąd! – roześmiała się szyderczo w głębi duszy. Trzymając ostrze noża wzniesione ku górze, ugodziła w wątrobę, pod ostatnie żebra. Tamten czknął i zwolnił uścisk. Wyrwała nóż.

– Dobry Boże! Co wy wyprawiacie? – zawołał jeden z siedzących z przodu mężczyzn.

Odwrócił się do niej. Zagłębiła mu ostrze sztyletu w gardle.

Na skrzyżowaniu zapaliło się zielone światło, ale kierowca nie ruszył z miejsca. Wolał otworzyć drzwi i uciec pędem, pustym o tej porze chodnikiem. Zajęła jego miejsce. Ten z przedniego siedzenia poszedł za przykładem kierowcy. Wyrwał nóż z gardła, rzucił go na podłogę wozu i wytoczył się. Stał na chodniku, chwając się na nogach.

Karla ruszyła. Skręciła w Siódmą Aleję, pojechała na południe, aż do Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, następnie do Drugiej Alei, gdzie zjechała w dół do Queensboro Bridge i przejechała East River. Gdy dotarła do Brooklynu, skręciła w stronę nadbrzeży, gdzie zatrzymała się i wypchnęła z wozu dwa trupy.

Jej noc jeszcze się nie skończyła – pomyślała z goryczą.

Zatrzymała samochód przed budynkiem znajdującym się nieopodal Alei De Kalb i nacisnęła jeden z guzików domofonu.

– Tak? – odpowiedział zaspany głos po chwili, która Karli wydała się wiecznością.

– Dorothy?

– Tak. Kto tam?

– Karla.

Odezwał się brzęczyk i drzwi otworzyły się. Karla weszła i zaklinowała drzwi chusteczką do nosa. Nie weszła do windy. Wbiegła szybko na trzecie piętro. Za plecami trzymała sztylet, który zabrała z samochodu.

Dorothy otworzyła drzwi do mieszkania na całą szerokość. Stała na progu, w peniuarze, wyglądając na zasną i ziewając, przecierała oczy.

– Dlaczego nie skorzystałaś z windy? – zdziwiła się.

Potem wykrzyknęła:

– Ale co ci się stało? Jesteś cała zalana krwią! A w tych bandażach wyglądasz jak mumia! Ty...

Ostrze sztyletu wbiło się pod jej lewą pierś. Karla wepchnęła ją do mieszkania i

zamknęła za sobą drzwi. Schwyciła Dorothy wpół i delikatnie położyła na dywanie. Wyciągnęła sztylet z ciała, wytarła jego ostrze w peniuar i założyła wiszący na wieszaku płaszcz przeciwdeszczowy. Starła swoje odciski i opuściła mieszkanie. Zeszła na dół i starła również te odciski, które mogła zostawić w samochodzie. Potem, ściskając rękojeść noża w dłoni schowanej w kieszeni przeciwdeszczowego płaszcza, piechotą dotarła po godzinie marszu do swojego mieszkania w Brooklynie.

Ulice Brooklynu były jeszcze mniej bezpieczne niż ulice Manhattanu, ale wolała iść, niż podejmować dodatkowe ryzyko, jadąc samochodem.

W każdym razie teraz jedyna nić łącząca ją z zabójstwem Selmy Burk została przerwana.

Dorothy nie żyła. Ta sama Dorothy, która poznała ją z Selmą.

Zleceniodawca będzie zadowolony! Kontrakt został wykonany bez pozostawienia śladów!

Pięć tysięcy dolarów należy do niej!

Czuła się okropnie zmęczoną. Kiedy położy się do łóżka, prześni z pewnością dwadzieścia cztery godziny, aby odzyskać formę!

Bolało ją całe ciało. Cholera, co za noc!

Kiedy otworzyła drzwi mieszkania, natychmiast znieruchomiała.

Od razu wyczuła, że ktoś tu był, i bezwiednie wyciągnęła z kieszeni nieprzemakalnego płaszcza nóż.

Nagle rozbłyśło światło.

– Dzień dobry, Karlo! – rzekł Harry Shulz. – O takiej porze „dzień dobry” jest chyba bardziej stosowne niż „dobry wieczór”. Ale na Boga, co ci się stało? Przeszłaś Piątą Aleję przy zielonym świetle w godzinach szczytu?

Odetchnęła z ulgą.

– Harry! Co za niespodzianka! Ale... Jak się tu dostałeś? Wybuchnął śmiechem.

– Karlo, to pytanie niegodne ciebie! Także się roześmiała.

– To prawda. Jestem idiotką!... Naprawdę cieszę się, że cię widzę, Harry. Rzuciła swoją torebkę na kanapę, myśląc, że dwa tysiące pięćset dolarów, które w niej się znajdowały, jutro się podwoją, i ta myśl spowodowała, że zmarszczyła brwi, co w efekcie sprawiło, iż cięta rana zadana popielniczką z brązu, którą dzieliła ją w głowę Selma Burk, znowu zaczęła boleć.

Istniało tylko jedno wytłumaczenie obecności Harry'ego Shulza w jej mieszkaniu.

– Kontrakt? – spytała przyglądając się mu z zaciekawieniem spod na wpół przymkniętych oczu.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział wymijająco – ale potrzebuję ciebie. To

jednak trochę daleko stąd..

- .- Gdzie?
- W Bangkoku.

## ROZDZIAŁ XXIV

Od wielu dni Harry Shulz „wysiadywał” na tyłach hotelu „Rama” w Bangkoku. Jego rozumowanie było proste.

Pierwsza hipoteza: zabitym w Acapulco był rzeczywiście Zoltan Zeboff. W takim wypadku, jaką rolę grał ten, który ukrywa się na ostatnich piętrach hotelu?

Czy służy tylko za przykrywkę?

Należało to zbadać.

Hipoteza druga: zabitym w Acapulco nie był Zoltan Zeboff i to on właśnie znajdował się w hotelu „Rama”. W takim wypadku, „kontrakt” pozostawał sprawą otwartą.

Ale jak można sprawdzić obie hipotezy? Jak dotrzeć do człowieka z hotelu „Rama”, czy był to Zoltan Zeboff, czy też nie? Jeśli to był rzeczywiście on, byłoby to o tyle łatwiejsze, że wystarczyłoby mu przypomnieć przykrą przygodę, jaka przydarzyła się Jayne Sterling...

Co ona o nim mówiła?

Że to seksualny zbrojeniec, powodowany nadmierną pychą, która kazała mu kaleczyć brzytwą twarze kobiet, z którymi spał, aby nie mogły już tego robić z kimś innym; zapomniał jednak o istnieniu chirurgii plastycznej.

Ilu innym dziewczynom na świecie przydarzyła się taka niemiła przygoda?

I przydarzy się jeszcze, jeśli Zoltan Zeboff nie zginął w Acapulco?

Bo jeśli żył i wciąż cieszył się bezkarnością, dlaczego nie miałby znów postąpić wobec jakiejś kobiety podobnie, jak wobec Jayne Sterling? A może już zdążył to zrobić?

Wychodząc z takiego założenia, Harry Shulz zdecydował zabrać Karłę Devorak do Bangkoku. A jeżeli człowiekiem z hotelu „Rama” nie był Zoltanem Zeboffem, to Harry skorzysta z usług doktora Halzenspergerüchenbacha, asystenta doktora Schallenghammerforsta, żeby dowiedzieć się, jaką rolę ten człowiek odgrywa w całej sprawie.

Na razie Karla Devorak i doktor Halzenspergerüchenbach czekali cierpliwie w położonej na uboczu willi, którą Harry Shulz wynajął na przedmieściach Bangkoku, podczas gdy on sam pilnował tyłów hotelu.

Po tych rozważaniach doszedł do bardzo prostego wniosku.

Jeżeli tym człowiekiem był rzeczywiście Zoltan Zeboff i jeżeli był on wierny swoim zasadom, zapewne skorzysta z pobytu w Bangkoku, aby sprowadzić sobie do hotelu dziewczynę i, kto wie, może także swoim zbirom tak ją oszpecić, jak to zrobił z Jayne Sterling.

Jeszcze coś innego przemawiało na korzyść hipotezy o obecności prawdziwego Zoltana Zeboffa w hotelu „Rama”: wielokrotne posługiwanie się najemnymi azjatyckimi zabójcami.

Czyż Zoltan Zeboff nie werbował ich do pracy w Bangkoku?

Tylko ktoś biegły w tych kwestiach, mógłby odróżnić Japończyka od Wietnamczyka i Chińczyka od Tajlandczyka!

Siedząc za kierownicą wynajętego oldsmobile'a tornado, Harry Shulz zapalił papierosa, dbając o to, aby nikt z zewnątrz nie zobaczył płomienia zapalniczki.

Wypalił już niemal całego papierosa, gdy nagle zeszytniał.

To był ten sam samochód, co wczoraj.

Luksusowy Buick Electra Limited Park Avenue 1975.

Tak długi, jak strajk pocztowców, gdy czeka się na pilną wiadomość.

Gablota bogaczy.

Wczoraj buick wyjechał z hotelu około dwudziestej drugiej. Wynurzył się błyskawicznie z podziemnego parkingu i wypadł na ulicę. Harry Shulz podświadomie wyczuł, że coś się święci. Ruszył za buickiem. Nie przeszkadzał mu tutejszy ruch lewostronny.

Buick zaprowadził go aż do nocnego klubu, w którym pracowały najładniejsze i najdroższe dziewczyny w mieście i w którym mieścił się również salon masażu... dzięki któremu Bangkok zyskał określoną sławę wśród koneserów z całego świata...

Pięć minut później buick popędził jak burza w stronę hotelu „Rama”. A Harry za nim. Około drugiej nad ranem samochód ponownie pojawił się na podjeździe parkingu, pomknął do klubu, zatrzymał się przed nim na dwadzieścia sekund i wrócił na hotelowy parking. Tak było wczoraj.

Harry Shulz zerknął na zegarek.

Druga nad ranem.

Kilka godzin wcześniej, w nocy, około dwudziestej drugiej, tak jak poprzedniego dnia, buick pojechał do klubu i wrócił do hotelu. Harry naturalnie jechał za nim.

Nietrudno było odgadnąć powody tego manewru. Tak jak przypuszczał, człowiekiem, który wynajął do swego wyłącznego użytku dwa ostatnie piętra hotelu „Rama” i który się tam zabarykadował, musiał być rzeczywiście Zoltan Zeboff. I rozumowanie, które Harry'ego Shulza doprowadziło do takiego wniosku,

okazało się słuszne. Zoltan Zeboff wypełniał sobie samotne noce, sprowadzając do hotelu kobiety. Posyłał po nie do najlepszego dostawcy tego towaru w mieście: klubu „Glaw-ng-Khae-k”<sup>\*</sup>.

<sup>\*</sup> Glaw-ng-Khae-k – bębenek z koziej skóry. Gra na nim stanowi tło muzyczne walk bokserskich w Tajlandii (przyp. aut.).

Tak jak wczoraj, buick zaprowadził Shulza do klubu „Glaw-ng-Khae-k”. Po upływie dwudziestu sekund wyruszył znowu do hotelu „Rama” i zjechał na podjazd parkingu.

Harry Shulz zaparkował oldsmobile'a na ulicy i wszedł do hotelu. Zjechał windą na parking i zaczął się dyskretnie rozglądać. Szybko dostrzegł Buicka Electra Limited Park Avenue. Zbliżył się do niego powoli. Samochód był pusty. Czule poklepał maskę. Była jeszcze ciepła. Spróbował otworzyć drzwi. Były zamknięte.

Nieznaczny uśmiezek pojawił się na jego ustach.

To nie była żadna przeszkoda.

Harry Shulz wyjął jedno ze swoich wiecznych piór na cyjanek, ostrożnie wyciągnął z niego ampułkę z cyjankiem i zdjął skuwkę. Wsunął ją do zamka przednich drzwi prawej strony wozu, wciskając jednocześnie zamek.

Drzwi otworzyły się.

Harry Shulz wcisnął się za siedzenie kierowcy i sprawdził, czy na desce rozdzielczej nie ma tabliczki z nazwiskiem właściciela wozu.

Nic z tego.

Przeszukał następnie schowek na rękawiczki i kieszeń w obiciu na drzwiach. Oprócz książeczki konserwacji wozu, broszurki z instrukcją producenta, znalazł jedynie wytłuszczone smarem, zmięte chusteczki higieniczne i latarkę. Użył jej, aby przeszukać kieszeń przy drugich drzwiach i przestrzeń pod tylną szybą.

Tutaj także nic nie znalazł.

Wiązka światła omiatała tylne siedzenia, kiedy spostrzegł coś, co słabo lśniło na podłodze wozu. Podniósł to i uważnie się przyjrzał w świetle latarki. Był to krążek z czerwonego plastiku, z wygrawerowaną pośrodku białą fosforyzującą cyfrą osiem.

Harry Shulz wsunął go do kieszeni, odłożył latarkę na miejsce, wysiadł z buicka i zatrzasnął lekko za sobą drzwi. Wrócił do oldsmobile'a i postanowił położyć się spać.

Jadąc samochodem w kierunku willi, w której Karla Devorak i doktor Halzenspergerüchenbach już spali, Harry Shulz zaczął się zastanawiać.

Skąd pochodził ten krążek?

Co oznaczał?

Przystając na ostatnim czerwonym świetle, nagle doznał olśnienia.  
Wybuchnął śmiechem.  
Zrozumiał.

Do klubu „Glaw-ng-Khae-k” nie wpuszczano tylko tych, którzy nie mogli wykazać się znajomością hasła. A hasłem tym była pokaźna garść bahtów\* albo, jeszcze lepiej, dolarów amerykańskich.

\* baht – moneta tajlandzka, 1 baht = 1,20 dolara (przyj. aut.).

Harry Shulz pokazał plik studolarowych banknotów i pośpiesznie otworzono mu drzwi. „Mamasam” wzięła go za rękę i przeprowadziła wąskim korytarzem do luksusowego pokoju, w którym go pozostawiła.

Harry rozejrzał się dookoła.

Pokój był wystawny, ale przede wszystkim funkcjonalny. Przy jednej ścianie stał długi i szeroki stół do masażu, z miękkim materacem. Naprzeciwko była kanapa z żółtej skóry dla dwóch osób. Na etażerkach rozstawiono flakony z różnymi płynami i słoiki z kremami i maściami. Gruby dywan, w którym zapadało się aż po kostki, leżał na podłodze. Na ścianach jedwabne paneaux przedstawiały sceny z życia tajlandzkiej wsi. Małe lampki rzucały ze wszystkich stron przyćmione, różowe światło.

Przez drzwi z drzewa tekowego przechodziło się do stylowo urządzonej łazienki.

Po przeciwległej stronie drzwi wejściowych, w głębi pokoju widniała wielka szklana tafla. Zsunięte kotary odsłaniały całą szybę. Przy ściągniętej jednej z kotar, stał posąg Buddy ze spłaszczoną głową. Na jego postaci z brązu postawiono aparat telefoniczny.

Harry Shulz podszedł do szklanej ściany. Z miejsca, w którym stał, mógł zobaczyć okrągłą salę, w której około dwudziestu dziewcząt wykonywało taneczne ewolucje.

Był to dziwny widok.

Niektóre z nich były zupełnie nagie. Inne nosiły kostiumy z czarnej skóry i takie same botki na nogach. Niektóre były ubrane w długi, narodowy, tajlandzki strój, ich włosy, upięte w kok, przytrzymały szylkretowe grzebienie. Dwie lub trzy ubrane były tylko w bardzo krótkie białe bluzki, odsłaniające ich nagie uda. Pozostałe, przeciwnie, pokazywały nagie piersi, podczas gdy do ich pośladków ściśle przylegały krótkie spodniki. W regularnych odstępach czasu jedna z nich trzaskała biczem o wyłożoną kafelkami posadzkę. Stroje dziewcząt różniły się między sobą, ale miały jedną wspólną cechę...

Numer...

Biały, fosforyzujący numer na czerwonym tle. Przez cały czas czerwony krążek przypięty był do ubrania dziewczyny, jeśli je w ogóle miała, lub wisiał na łańcuszku, gdy była zupełnie naga...

Na drugim krańcu okrągłej sali stało biurko z białego drewna z telefonem, za którym siedziała kobieta o srogim wyrazie twarzy. Od czasu do czasu podnosiła słuchawkę, przystawiała ją do ucha, słuchała, odkładała ją z powrotem i dawała znak jednej z dziewcząt. Tamta znikwała wówczas w małych drzwiach, w głębi pokoju.

Harry Shulz podniósł wzrok, żeby zobaczyć, co znajdowało się w pokoju na poziomie jego oczu. Spostrzegł inne szklane tafle, wszystkie podobne do przezroczystego przepierzenia, jakie go osłaniało, ale nie mógł widzieć, czy ktoś obserwował okrągłą salę, w której tańczyły dziewczęta, tak jak on to teraz zrobił.

Całkowita dyskrecja.

Harry Shulz ponownie spojrzął na salę. Jeden po drugim, przyjrzał się numerom, które nosiły dziewczyny, potem podniósł słuchawkę telefonu stojącego na posągu Buddy.

Trzask w słuchawce, a potem jakiś głos powiedział kilka słów po tajlandzku.

– Numer osiem – rzucił pośpiesznie po angielsku.

W sali zobaczył, jak kobieta o surowym wyrazie twarzy odłożyła słuchawkę telefonu, a potem skinęła na dziewczynę, która nosiła numer ósmy, i tamta zniknęła w drzwiach w głębi sali. Harry Shulz zaciągnął zasłony i odwrócił się. Akurat na stukanie do drzwi.

– Wejść! – krzyknął.

Dziewczyna weszła. Była młoda. Najwyżej dwadzieścia lat. Była wysoka, jak większość mieszkanek z północnej Tajlandii, dobrze zbudowana, a idąc, kołysała rytmicznie biodrami. Była jedną z tych, które nosiły jedynie przylegające do ciała szorty, które rzeczywiście niewiele zasłaniały. Jej piersi sterczały dumnie i unosiły się w rytmie oddychania. Podeszła do niego, uśmiechając się.

– Barbara – przedstawiła się.

Z pewnością nie było to jej imię, ale widziała, że ma do czynienia z białym, prawdopodobnie z Amerykaninem i od razu wybrała imię brzmiące po amerykańsku, aby poczuć się jak najbardziej rozluźniona.

Harry Shulz starannie przyjrzał się jej twarzy.

Żadnych śladów uderzeń, cięć brzytwą, żadnych blizn...

– Masaż? – spytała nosowym głosem.

Należało wzbudzić w niej zaufanie – pomyślał.

Rozebrał się, kładąc jednak ubranie w zasięgu ręki.

Zaprowadziła go do łazienki i wkrótce znalazł się w wannie wypełnionej



pachnącą pianą. Ręce dziewczyny wprawnie poruszały się po jego skórze. Jej gesty były zmysłowe, ręce delikatne.

Poczuł, jak ogarnia go pożądanie.

Wyrafinowane i subtelne zajęcia, jakie wykonywała, nie miało oczywiście nic wspólnego z terapeutycznymi masażami, których nie szczędziły mu dwie masażystki-terapeutki z klubu „Pancho Villa” w Acapulco!

Po wyjściu z kąpeli dziewczyna wytarła go ręcznikiem i położyła na stole do masażu. Na plecach.

Jej wprawne dłonie gwałtownie ugniatały mu mięśnie. O mało nie zawył z bólu. Potem te ręce stopniowo zaczęły pieścić jego skórę, lekko muskając najczulsze punkty jego ciała.

Ogarnęło go silne pożądanie.

Dziewczyna zdjęła szorty i wspięła się na niego.

Przez kilka minut zupełnie zapomniał o Zoltanie Zeboffie...

Znowu zaprowadziła go do łazienki. Przechodząc koło krzesła, na którym położył ubranie, wsunął rękę do jednej z kieszeni marynarki i wyjął stamtąd krążek, który zabrał wczoraj z buicka. Zamknął go w zaciśniętej pięści i ruszył za nią.

Tym razem przygotowała inną kąpiel, wylała do wody zawartość jednego z flakonów i wrzuciła trochę jakiegoś różowego proszku, a potem Harry z przyjemnością zanurzył się w cieplej, pachnącej wodzie, znad której unosiły się obłoczki piany.

– Czy było dobrze? – spytała z uśmiechem.

– Doskonale.

– Więc napiwek dla mnie też doskonale? – mówiła dalej łamaną angielszczyzną.

– Oczywiście.

Harry Shulz otworzył zaciśniętą pięść.

– Sadzę, że to zgubiłaś – powiedział z uśmiechem. Wydawała się być zmieszana.

– Ależ... to należy do mnie!

– Wiem. Przyszedłem, żeby ci to oddać.

– Gdzie to znalazłeś?

– W samochodzie, który przywiózł cię do hotelu „Rama”.

– Ach!

Posłał jej czarujący uśmiech.

– Jestem przyjacielem twojego klienta z hotelu „Rama”.

– Ach!

Wydawała się niezbyt rozmowna.

– Nie cierpiałś za bardzo? Mój przyjaciel jest trochę brutalny.

Utkwiła w nim spojrzanie swoich czarnych oczu.

– Brutalny? Dlaczego?

– Zawsze jest taki wobec dziewcząt.

– Nie brutalny ze mną. Dlaczego on nie przysłać po mnie dziś wieczorem?

Dlaczego codziennie zmieniać dziewczynę? Dlaczego dziewczyna na jedną noc, a na więcej nie? Dlaczego codziennie zmieniać?

Harry Shulz uśmiechnął się jeszcze bardziej.

– To jego przyzwyczajenie. Więc nie był wobec ciebie brutalny?

– Nie. On bardzo łagodny. Bardzo łagodny.

Harry Shulz położył plastikowy krążek na rogu wanny, marszcząc brwi. Odtworzył w pamięci opowiadanie Jayne Sterling o jej spotkaniu z Zoltanem Zeboffem.

– Znieważył cię?

Zdziwiła się.

– Nie.

– Palisz papierosy?

– Tak.

– A paliłaś w jego towarzystwie?

– Oczywiście.

– Wypiłaś dużo alkoholu?

– Nie ja, on. Ja pić tylko soki owocowe.

Pomimo ciepłej wody Harry Shulz poczuł, że dreszcz przebiega mu po plecach.

To wszystko się komplikowało.

– A on wypił sporo alkoholu?

– Whisky. Dlaczego zadajesz te pytania?

– Zastanawiam się, czy to rzeczywiście był mój przyjaciel.

– Ach!...

Wydawała się być tym mało zainteresowana.

Nagle miał już dość kąpeli. Oswobodził się z jej objęć, odsunął ją lekko i wstał.

– Wytrzymaj mnie – powiedział.

Zrobiła to.

Po powrocie do pokoju ubrał się i wyjął plik studenckich banknotów. Zobaczył, jak na ich widok rozbłysły oczy dziewczyny. Wręczył jej jeden banknot.

– Twój napiwek.

Wzięła banknot, krzywiąc z niezadowolenia twarz.

– To wszystko?

Harry Shulz uśmiechnął się wyrozumiale i z pliku wyciągnął jeszcze dziesięć banknotów, które przytrzymał między kciukiem a palcem wskazującym. Dziewczynie oczy wyszły z orbit.

– Drugi napiwek, jeśli odpowiesz na moje dodatkowe pytania.

Już wyciągała rękę.

– Pytaj.

– Przesłano po ciebie wczoraj. Zawieźli cię do hotelu „Rama”. Na samą górę, na ostatnie piętro. Było około dziesiątej. Spotkałaś się z mężczyzną. Kochałaś się z nim. O drugiej w nocy przywieziono cię z powrotem. Zgadza się?

– Tak.

– Jak wyglądał ten mężczyzna? Był wysoki?

– Tak.

– Chudy?

– Tak.

– Łysy?

– Nie rozumieć tego: łysy.

– Miał dużo włosów na głowie?

– Włosy prawie skończone.

– Jego skóra była biała?

– Brązowa.

Pewnie chciała powiedzieć, że był śniady. To się zgadzało z opisem, jaki podała Jayne. Nie było sensu wspominać dziewczynie o dodatkowych szczegółach, jakie znał od Jayne: przygarbione plecy, wylupiaste oczy, cofnięty podbródek, odstające uszy, chude ręce i nogi. Dziewczyna nie rozumiała. Opis tego człowieka mniej więcej się zgadzał, ale nie jego zachowanie.

– Czy nosił maseczkę? – spytał ją jeszcze, pokazując gestem, jak zakrywa się twarz.

Tym razem wydawała się szczerze zdziwiona.

– Nie.

Harry Shulz zrobił taki gest, jak gdyby zakładał rękawiczki.

– Rękawiczki?

– Nie.

Nic już nie rozumiał. Przecież właśnie to były te szczegóły, o których mówiła mu Jayne.

– Ile ci zapłacił? Zawahała się.

– Pięćset dolarów – powiedziała w końcu. To naprawdę była bajeczna suma!

Wręczył jej tysiąc dolarów w myśli uznając, że on sam zachowuje się jak bogaty „jeleni”.

Złapała je pośpiesznie i wsunęła do wewnętrznej kieszonki szortów, które równie szybko na siebie włożyła, tak jakby bała się, że śni.

– Jutro wrócić? – spytała idąc ku drzwiom.

Harry Shulz wzruszył ramionami. Zupełnie się pogubił. Trzymała rękę na klamce drzwi, kiedy nagle poczuł, że zapomniał o bardzo ważnym szczególe.

– Zaczekaj! – krzyknął.

Jednym susem znalazł się przy drzwiach i oparł się o nie, nie pozwalając jej wyjść.

– Chcesz się jeszcze kochać? – spytała zdziwiona.

– Nie. Cicho... Dobry Boże! Co to było?

Coś, o czym mówiła mu Jayne, tego był pewien.

Raz jeszcze ujrzał samego siebie czytającego to, co napisała na kartce z bloku, dużymi, niezgrabnymi literami: wysoki, chudy, śniada cera, zaawansowana łysina...

O tym wszystkim rozmawiał z tą dziewczyną.

Co jeszcze? Bardzo ciekawe rzeczy: wyłupiaste oczy, cofnięty podbródek, odstające uszy...

Nie, to nie było to!

Co jeszcze Jayne napisała na bloku?

Dobry Boże!

Spojrzał na dziewczynę.

– Zrobiłaś mu masaż?

Wytrzeszczyła oczy.

– Komu?

Zaniepokoił się. Ależ ona była głupia!

– Temu mężczyźnie, wczoraj wieczorem – rzucił cierpko.

– Oczywiście.

– Na całym ciele?

– Tak.

– Pod pachami?

– Tak.

Powstrzymał oddech na dwie sekundy, zanim postawił pytanie za dziesięć tysięcy dolarów.

– Czy miał bliznę w kształcie krzyża pod lewą pachą?

Narysował w powietrzu krzyż. Zastanowiła się kilka sekund, a potem potrząsnęła przecząco głową i powiedziała:

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Pewna.

Pozwolił jej odejść. W chwilę potem także wyszedł. Na końcu korytarza czekała na niego „mamasan”.

– Dwieście dolarów – zaskrzeczała.

Była to wygórowana cena, ale zapłacił bez oporu. To była Chinka o chciwym spojrzeniu, ale nie dbał o to. Otrzymał przecież tutaj bombowe informacje.

– Cze dzi\* – powiedziała przymilnie, kiedy otwierała drzwi.

Siadając za kierownicą oldsmobile'a toronado spytał sam siebie: kim był człowiek, który ukrywał się na ostatnim piętrze hotelu „Rama”?

\*Cze dzi – do widzenia, po chińsku, w dialekcie pikarskim (przyp. aut.).

## ROZDZIAŁ XXV

Harry Shulz otworzył drzwi buicka przy pomocy skuwki swego fałszywego wiecznego pióra, tak samo jak zrobił to dwa dni wcześniej. Odryglował jedne z tylnych drzwi samochodu i skinął na Karłę Devorak i doktora Halzenspergerüchenbacha, żeby weszli do środka.

– Połóżcie się na podłodze! – rzucił szeptem.

Gdy tylko wsunęli się do wozu, zamknął drzwi i ukrył się za samochodem marki pontiac ventura, stojącym dwa boksy dalej.

Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze dużo czasu. Ten, kto używał Buicka Electra Limited Park Avenue do wyszukiwania dziewcząt do klubu „Glaw-ng-Khae-k” dla swojego szefa, pojawiał się zazwyczaj dopiero przed dwudziestą drugą.

Ale czy dziś wieczór także przyjdzie?

Tego nie mógł wiedzieć. To był element ryzyka.

Gdyby dziś wieczorem nie przyszedł, to on, w towarzystwie Karli Devorak i doktora Halzenspergerüchenbacha, ukryją się tutaj jutro i przez kilka najbliższych dni, jeśli będzie trzeba, aż będą mogli go schwytać.

Dobra dziewczyna z tej Karli Devorak – pomyślał. Spokojna, zdecydowana, skuteczna. Pracował z nią już kilka razy. Można było na nią liczyć. Nie należała do tych, które „pękają” w decydującym momencie. Takie właśnie lubił. Dziewczyna z wyobraźnią. Ale przede wszystkim doskonały egzekutor. A do tego zimna jak lód i inteligentna. I dokładna. Umiała trzymać buzię na kłódkę. Jedyne wada: była zbyt czuła na męskie wdzięki. To był jej słaby punkt.

Co się tyczy doktora Halzenspergerüchenbacha, do którego zwracał się poufale per „doktorze” (ponieważ uważał jego nazwisko, jak na swój gust, za zbyt

skomplikowane), okazał się on osobą nie sprawiającą kłopotów. Przywiózł ze sobą do Bangkoku całą stertę naukowych rozpraw medycznych i książek, które nieprzerwanie zgłębiał. Był człowiekiem spokojnym, wyrachowanym, skutecznym. Nie było cienia wątpliwości, że wykona sumiennie robotę, do której wynajął go Harry Shulz. W każdym razie, gdy Harry wyjaśnił mu zadanie, które miałby wykonać, nie wydawał się niczym zdziwiony i zadowolił się zadaniem kilku trafnych pytań, zachowując przy tym zupełny spokój.

Punkt dla niego.

Powrócił myślami do blizny w kształcie krzyża pod lewą pachą Zoltana Zeboffa, o której opowiedziała mu Jayne Sterling. Jeżeli dziewczyna z klubu „Glaw-ng-Khae-k” nie pomyliła się, to na ciele mężczyzny, który ukrywał się na ostatnim piętrze hotelu „Rama”, takiej blizny nie było. Co oznaczało, że nie był to Zoltan Zeboff.

Wniosek: Zoltan Zeboff rzeczywiście zginął w Acapulco, co do tego nie było żadnej wątpliwości.

Ale wówczas rodziło się pytanie: dlaczego tamten facet grał rolę Zoltana Zeboffa?

Nagle Harry'ego Shulza ogarnęły wątpliwości.

Czy w swojej zawodowej sumienności nie posuwał się zbyt daleko?

Przyrzekł Johnny'emu Kremerowi wykonać trzy kontrakty za milion dolarów. Obiektami tych kontraktów byli: Kradinowoto, Rolf Robertson i Zoltan Zeboff. I wszyscy trzej nie żyli. A chociaż osobiście nie wykończył Rolfa Robertsona, logicznie biorąc, mógł uznać swoją robotę za zakończoną.

Gdyby Johnny jeszcze chodził po tym świecie, nie widziałby w tym niczego niewłaściwego i na pewno by mu nie zarzucił, że chce się wykręcić od przyjętego na siebie zobowiązania.

A więc?

Skoro Zoltan Zeboff zginął w Acapulco, co mogły go obchodzić przyczyny, dla których ten mężczyzna chciał uchodzić za Zoltana Zeboffa?

Zwykła ciekawość?

To była jedna z bardzo brzydkich wad, która mogła przysporzyć mu mnóstwo kłopotów...

Jednak już po chwili przypomniał sobie, że te informacje, które wyciągnął od dziewczyny z klubu „Glaw-ng-Khae-k”, w żadnym razie nie stanowiły niezbitego dowodu na to, że mężczyzną z hotelu „Rama” nie jest Zoltan Zeboff!

Nagle nadstawił uszu.

Odgłos kroków...

W rozproszonym świetle parkingu zarysowała się czyjaś sylwetka.

Biały. Europejczyk albo Amerykanin.

Mężczyzna ruszył szybkim krokiem w kierunku buicka.

Harry Shulz zeszywniał.

Mężczyzna cicho pogwizdywał jakiś przebój Beatlesów sprzed lat.

Retro w modzie! – uśmiechnął się z rozbawieniem Harry Shulz.

Tamten przystanął przed buickiem i wsunął ręce do kieszeni.

Harry Shulz widział go teraz bardzo dokładnie. Wysoki i barczysty, raczej młody. W jasnym garniturze z tropiku, ciemnoniebieskiej koszuli i żółtym krawacie. Jego fryzurę ozdabiał wyczelowany szary kapelusz z jasnozieloną wstążką.

Harry Shulz wyciągnął zza paska pistolet i skoczył naprzód. Wpakował lufę broni w plecy mężczyzny, który podskoczył jak oparzony.

– Nie ruszaj się! – rozkazał.

Harry Shulz odebrał od niego pęk kluczy i włożył je sobie do kieszeni. Karla Devorak i doktor H, już wychodzili z buicka.

Harry Shulz rozejrzał się dookoła po pogrążonym w półmroku parkingu. Było zupełnie pusto.

– Rozbieraj się – rozkazał.

Mężczyzna usiłował protestować.

– Ej! Co to ma znaczyć? – powiedział głośno, z silnym chicagowskim akcentem.

– Zamknij się – odparł Shulz oschle, przykładając mu do karku zimną stal trzydziestki ósemki.

Poczuł, jak po plecach mężczyzny przebiegł dreszcz, i tamten szybko zastosował się do polecenia.

Zaczął od kapelusza, potem zdjął marynarkę, spodnie, krawat i koszulę.

– Buty też – sprecyzował Harry Shulz. – Bielizny i skarpetek możesz nie zdejmować.

Kiedy mężczyzna miał na sobie tylko slipy i skarpetki, Harry Shulz skinął na doktora H. Ten zbliżył się ze strzykawką w rękę. Szybkim ruchem wbił jej igłę w nagie ramię mężczyzny.

Mężczyzna zgiął się w łuk, drgnął i otworzył szeroko usta. Wolną ręką Harry Shulz stłumił jego okrzyk. Potem mężczyzna opadł bezwładnie na maskę buicka jak nagle upuszczony ciężki worek. Doktor wyciągnął igłę z ramienia nagłym szarpnięciem i schował strzykawkę do swojej torby.

Harry Shulz sięgnął do kieszeni po pęk kluczy i otworzył bagażnik. Karla Devorak i doktor pomogli mu przenieść i włożyć tam bezwładne ciało. Harry zatrasnął pokrywę bagażnika i zaczął się rozbierać, wkładając na siebie jeszcze ciepłe ubranie mężczyzny.

Potem złożył swoje ubranie i położył je na tylnym siedzeniu buicka. Spojrzał na zegarek.

– Ruszamy za dziesięć minut – oświadczył spoglądając z ukosa na Karłę Devorak.

Karla skinęła głową.

Wszyscy troje wsiedli z powrotem do buicka i odczekali w milczeniu dziesięć minut.

Po co zresztą było cokolwiek mówić?

Każde z nich dokładnie wiedziało, co miało robić.

Po upływie dziesięciu minut Harry Shulz otworzył drzwi po swojej stronie. Karla Devorak zrobiła to samo.

Ramię w ramię ruszyli do windy.

Gdy drzwi kabiny zamknęły się za nimi, Harry Shulz wcisnął guzik ostatniego piętra. W jaskrawym świetle przysufitowej żarówki spojrzął krytycznym wzrokiem na Karłę Devorak. Była absolutnie doskonała. Dokładnie taka, jaką ją lubił. Użyła podkładu pod makijaż w odcieniu ochry i tak się umalowała, żeby podkreślić swoje skośne, wschodnioeuropejskiej natury oczy. Zaczesała czarne włosy na boki, tylko częściowo przysłaniając twarz, tak że widać było jedynie jej oczy, nos, usta i brodę, bo czoło zakrywała puszysta grzywka.

Karla Devorak, która i tak przypominała z urody Cygankę, mogła tutaj uchodzić za rodowitą Azjatkę. Tym bardziej; że obcisła chińska suknia pod samą szyję, rozcięta na udach, nadawała jej właśnie taki wygląd.

Tylko ktoś bardzo podejrzliwy mógłby przypuszczać, że nie była mieszkanką Tajlandii!

W ostatnim odruchu bezpieczeństwa Harry Shulz obmacał założoną wcześniej marynarkę.

Fałszywe wieczne pióra, ukryte zostały w dobrym miejscu, trzydziestka ósemka obciążała prawą kieszeń.

Karla uśmiechnęła się do niego. Lubiała Harry'ego Shulza. Lubiała z nim pracować. Podziwiała jego inteligencję i jego niesłuchanie oryginalne pomysły. Z nim czuła się bezpieczna.

To był prawdziwy „mózg”!

Przycisnęła swoją torebkę do piersi.

– Na pewno wszystko pójdzie dobrze, prawda, Harry? – spytała bardzo łagodnie.

Zwilżył wargi.

– Nie mów mi, że masz pietra, Karla! Nie ty!

Parsknęła śmiechem.

– Nie z tobą.



Kabina windy zatrzymała się nieoczekiwanie na trzecim piętrze od góry i zdanie, które Harry Shulz miał właśnie wypowiedzieć, utknęło mu w gardle, tak jak staje nagle igła w rowku zniszczonej płyty.

Obydwa skrzydła drzwi kabiny windy rozchyliły się i oboje jednocześnie wyszli z kabiny. Rozglądali się dookoła. Harry Shulz był tu już wcześniej i wiedział, co teraz mają robić. Wziął Karłę za rękę i pociągnął za sobą w stronę wyjścia awaryjnego.

Dwaj kamerdynerzy, ze skrzyżowanymi za plecami rękami, zagradzali wejście.

Harry Shulz zwiesił głowę. Miał na sobie ubranie mężczyzny, którego przed chwilą obezwładnili i oszołomili narkotykami, liczył więc na to, że obaj lokaje pomyślą, iż to ten sam człowiek wracał teraz, prowadząc swojemu panu śliczną dziewczynę.

Nie było ani cienia wątpliwości co do tego, że na pewno zapamiętali jasne ubranie z tropiku, niebieską koszulę, żółty krawat i szary kapelusz z zieloną wstążką.

I rzeczywiście, widząc ich nadchodzących, kamerdynerzy usunęli się z prawdziwie azjatycką obojętnością.

Harry Shulz i Karla Devorak zaczęli wspinać się po stopniach schodów wyjścia awaryjnego.

Nagle twarz Harry'ego Shulza wykrzywił okropny grymas.

– Co ci jest? – spytała cicho zaniepokojona Karla.

– Buty.

– Buty?

– Powinienem zachować swoje. Zbyt daleko posunąłem się w swojej zawodowej sumienności. Te są trochę dla mnie za ciasne...

Powstrzymała uśmiech. Dla niej Harry Shulz był maniakiem wiarygodności w jak najdrobniejszych szczegółach.

Dotarli na ostatni stopień schodów i znaleźli się na podeście przedostatniego piętra.

Drogę tarasowały im jakieś drzwi.

Harry Shulz zsunął kapelusz na oczy i pchnął Karłę przed siebie, aby częściowo go zasłoniła.

W drzwiach odchylił się okratowany judasz.

– To ty, Dex?

Głos miał ten sam chicagowski akcent, jak głos człowieka, który leżał teraz w bagażniku buicka.

Harry Shulz mruknął coś niewyraźnie.

– Taa... Otwórz – dodał chrząkając.

Zza drzwi dobiegł go chichot.

– Ech, ten Dex! – zahuczał głos. – Pewnie się przeziębiesz. No tak, tu wszędzie jest klimatyzacja, a ty ją tak źle znosisz!

Shulza podniosło to na duchu. Ubranie, które nosił, zmyliło człowieka stojącego za drzwiami.

Zamek szczęknął wielokrotnie i drzwi otworzyły się.

– Ruszaj się! – zachichotał głos. – Chyba nie chcesz, żeby szef się przekręcił z tęsknoty... No, no, widzę, że ta dzisiejsza cizia jest cholernie ładna! Chętnie sam bym się z nią zabawił! Ona...

Karla, a za nią Harry Shulz, przeszli przez próg. Harry natychmiast zorientował się w sytuacji.

Ochroniarz, czuwający za drzwiami, miał ogoloną głowę, ale poza tym był owłosiony jak chart afgański. Trzej pozostali ludzie tarasowali dostęp do schodów wyjścia awaryjnego, prowadzących na ostatnie piętro.

Karla obróciła się. Wyciągnęła z torebki automatyczny, czternastostrzałowy pistolet, herstal, z tłumikiem i wycelowała go w stronę trzech mężczyzn, którzy nieoczekiwanie znieruchomieli, dbając o to, aby trzymać ręce z dala od ciał.

Łysy ochroniarz uskokczył w tył, unosząc dłoń do paska spodni. Harry Shulz, który wypchał sobie kieszenie rulonami bilonu, przeniesionymi z własnego do pożyczonego sobie ubrania, tak, żeby ułatwić sobie fast draw\*, wyjął pistolet, zanim tamten zdążył wymierzyć ze swojego.

\* Fast draw – technika pozwalająca na wyjęcie broni ręcznej z olster lub z kieszeni w jak najkrótszym czasie (przyp. aut.).

– Otwórz rękę – rozkazał Harry spokojnie.

Ochroniarz zeszytniał. Naprężył wszystkie mięśnie. Nerwowy tik wykrzywił mu kąciki ust. Jego oczy, nieoczekiwanie lodowate, wpatrywały się w oczy Harry'ego Shulza, jak gdyby chcąc ocenić jego możliwości. Wreszcie rozwarł palce i rewolwer upadł na dywan.

– Cofnij się – rozkazał znowu Harry Shulz.

I kiedy tamten wykonał polecenie, Harry podniósł broń z dywanu.

Później, uważając, aby nie znaleźć się w polu ostrzału Karli, rozbroił trzech pozostałych mężczyzn z rewolwerów i pistoletów.

Nie tracąc goryla ani na chwilę z pola widzenia, stanął u boku Karli z naręczem broni w jednej ręce, kiedy jeden z trzech mężczyzn poruszył się tak, jak gdyby chciał skoczyć na Harry'ego.

Rozległo się krótkie szczęknięcie.

Karla nacisnęła spust herstala i kula rzuciła mężczyznę na ścianę.

Harry Shulz nawet się nie odwrócił. Całkowicie ufał refleksowi Karli. Złożył broń u jej stóp i ruszył w stronę goryla.

Wycelował z trzydziestki ósemki w jego podbrzusze i przez chwilę mierzył go wzrokiem.

– Gdzie jest Zoltan Zebhoff? – spytał wreszcie.

Tamten oblizał wargi, zerknął z ukosa na swego współnika, leżącego jak zwinięty kłębek, tuż przy ścianie, ze zmiażdżoną głową. Zamrugał powiekami i odwrócił wzrok.

– Na górze – odpowiedział ochryplym głosem.

– Pokażesz mi – zdecydował Harry Shulz. – Idź przodem. Bądź pewien, że twój kumpel musi się nudzić na tamtym świecie, gdzie się teraz znajduje. Pewnie chciałby, abyś mu dotrzywał towarzystwa...

Mężczyzna, nie stawiając żadnego oporu, ruszył naprzód. Harry Shulz krok za nim, mrugnawszy porozumiewawczo do Karli. Tak dotarli do schodów prowadzących na ostatnie piętro. Harry Shulz skorzystał z okazji, aby uzbroić w tłumik swoją trzydziestkę ósemkę. Powinszował sobie tego, kiedy dotarł w końcu na podest ostatniego piętra.

Dwaj siedzący na krzesłach Azjaci zerwali się na równe nogi.

Czy byli to ci sami ludzie, którzy działali na wyspach Bahama, zabijając Stangwę, w Limie likwidując Safię i jej przyjaciół, i przedtem, w Las Vegas, kiedy oszpecili twarz Jayne brzytwą?

Czy byli to ci sami ludzie?

Pojęli w czym rzecz dużo szybciej, niż można się było tego spodziewać. Ocenili sytuację kątem oka i uznali, że działo się coś dziwnego.

Coś ich zaniepokoiło w postawie goryla, którego popychał przed sobą Harry Shulz.

Co by to nie było, odskoczyli zwinnie jak koty, niczym kauczukowe kule, i jeden z nich runął naprzód w stronę obu przybyłych, podczas gdy drugi nie przestawał podskakiwać usiłując zejść z linii strzału Harry'ego Shulza.

Pierwszy pędził na nich jak rakieta. Harry nacisnął spust trzydziestki ósemki. Kula przebiła gardło mężczyzny, ale uniesiony rozpędem wyrznął Harry'ego w żołądek. Wydało się, że dostał artyleryjskim pociskiem. Zachwiał się i padając w tył znowu odruchowo nacisnął spust swojego pistoletu. Dwukrotnie. Pierwszy pocisk zabił drugiego Azjatę, który wyskoczył nagle tuż przed nosem Harry'ego Shulza, z wymierzonym groźnie w jego pierś ostrzem sztyletu. Drugi pocisk powstrzymał rozpędzonego tysego goryla, który usiłował uciec na drugi koniec korytarza.

Potem, nie mogąc złapać tchu, z żołądkiem skręconym z bólu i obolałymi plecami, Harry podniósł się z podłogi.

Zerknawszy na dwóch martwych Azjatów, podszedł do jęczącego cicho goryla. Harry Shulz umyślnie postrzelił go w udo. A teraz przystawił mu lufę pistoletu do czoła.

– Co wolisz? Żebym położył kres twoim cierpieniom, czy też powiesz mi, gdzie jest Zoltan Zeboff?

Tamten głośno przełknął ślinę i odparł:

– Pokój 1807... i następne...

Czknął i wymiotował na dywan.

Harry Shulz puścił go i ruszył szybkim krokiem w kierunku pokoju 1807, oddychając głęboko, aby pozwolić wytchnąć swemu ściśniętemu żołądkowi. Wkrótce spostrzegł drzwi pokoju 1807, wyciągnął rękę i nacisnął klamkę.

Drzwi otworzyły się. Wszedł.

Jakiś mężczyzna czytał rozłożony wygodnie w fotelu, otoczony luksusową dekoracją. Był ubrany w jedwabną piżamę w kolorze błękitnego nieba, w gałaczki, w nieco niemodnym stylu, a na jego stopach widniały ranne pantofle, haftowane złotymi nićmi. Jeden z pantofli zsunął się i mężczyzna właśnie próbował przyciągnąć go palcami stopy. W końcu udało mu się to i przez krótką chwilę pantofel zakolysał się na jego nodze. Tuż obok fotela stał barek na kółkach, prezentujący imponujący zestaw butelek.

Ale... przecież Zoltan Zeboff nie znosił alkoholu? – zdziwił się Harry Shulz. – Może to jednak nie był Zoltan Zeboff?

Nie widział jego twarzy, zakrywała ją książka, którą czytał. Za to bardzo dobrze dostrzegł jej tytuł: „Dziedzictwo Schirmera” Erica Amblera w wydaniu kieszonkowym.

– To ty, Dex? Co to za hałas usłyszałem na korytarzu? Dobrze. Zobaczymy teraz, jaką dziewczynę mi dziś przyprowadziłeś. Mam nadzieję, że tak jak kazałem, poskarżyłeś się „mamasam” z klubu „Glaw-ng-Khae-k”, że ta, którą miałem wczoraj wieczorem, nie była zbyt skłonna do współpracy? Wspaniała, nie przeczę, ale niezbyt skora do współpracy...

Głos był nieprzyjemny, skrzeczący i bezdźwięczny, tak jak głos jakiegoś leciwego piosenkarza, który nie chce zdać sobie sprawy ze stanu swego zdrowia i z uporem wyśpiewuje swoje stare przeboje na lokalnych imprezach na przedmieściach.

Położył książkę na oparciu fotela i wstał. Spojrzał przerażony, z otwartymi ustami na Harry'ego Shulza. A potem przygarbił się na widok trzydziestki ósemki. I zaczął konwulsyjnie dygotać. Dreszcz wywołał falowanie piżamy i wyglądało to tak, jak gdyby nadmuchano mu jej mankiety powietrzem.

Harry Shulz nie spuszczał z niego wzroku.

Był wysoki, chudy, prawie łysy, o śniadej cerze, odstających uszach... Jak można było określić podbródek? Jako cofnięty? W jakimś stopniu na pewno. Czy oczy były wylupiaste? Tak... w ostateczności... W zamian za to jego plecy istotnie były przygarbione. Nawet nadmiernie. Wydawało się nawet dziwne, że na plecach

nie wyrasta mu garb, jak u Quasimodo.

Harry Shulz zbliżył się do mężczyzny. W jego oczach wyczytał przerażenie. Gwałtownym gestem rozchylił bluzę jego pizamy.

– Proszę podnieść lewą rękę – rozkazał oschle.

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Czego pan chce? – zapytał skamłąc.

Harry Shulz zerwał z niego bluzę pizamy, odstąpił zapadły tors i uważnie zajrzał pod lewą rękę.

Żadnej blizny w kształcie krzyża!

To potwierdzało prawdziwość słów dziewczyny z klubu „Gław-ng-Khae-k”.

– Kim pan jest? – spytał Harry ostro. W oczach mężczyzny wyczytał niepokój.

– Ależ... jestem Zoltan Zeboff... Dlaczego pan pyta?

– Proszę za mną.

Pchnął go, każąc iść przodem, i poszedł sprawdzić inne pokoje za numerem 1807.

Były puste.

W jakiejś otwartej ściennej szafie na ubrania wisiał rząd garniturów, z których najtańszy musiał kosztować co najmniej pięćset dolarów. W drugiej, też otwartej szafie, leżały stosy koszul i dziesiątki drogich krawatów. Obok stała szafka na obuwie. Zawierała buty po dwieście dolarów para.

– Ubieraj się! – rozkazał Harry Shulz.

– Ależ...

Harry Shulz zmusił go do milczenia, wygrażając pistoletem, a potem cofając się, rozejrzał się po korytarzu. Goryl wołał ostatecznie zemdleć. Tamten ubierał się powoli, opanowanie.

– Pospiesz się! – upomniął go Harry Shulz. – Albo zmienię zdanie i zostawię cię tutaj z kulką we łbie...

Kiedy ten, który twierdził, że był Zoltanem Zeboffem (czy to prawda? – zastanawiał się Harry Shulz), skończył się ubierać, Harry pchnął go i kazał mu wyjść na korytarz. Po drodze chwycił jeszcze jakąś torbę plażową i wysypał jej zawartość na dywan.

Jego więzień wzdrygnął się, spoglądając na leżące w korytarzu trzy trupy, i chciał się zatrzymać, ale Harry Shulz dźgnął go brutalnie lufą pistoletu w łędzwie i kazał mu skręcić do wyjścia awaryjnego.

Karla, stojąc na przedostatnim piętrze, wciąż trzymała pod lufą dwóch mężczyzn z obstawy. Trzeci mężczyzna leżał, jeszcze bardziej skurczony niż przedtem, pod ścianą, a krew na jego zmiażdżonej głowie schła w podmuchach klimatyzatora.

Harry Shulz zabrał broń, którą złożył przedtem u stóp Karli, i włożył ją do torby plażowej.

– Przypilnuj go – szepnął do Karli, skinieniem głowy wskazując swojego jeńca.

Skinęła potakująco głową.

Harry zszedł szybko po schodach prowadzących na niższe piętro hotelu, wsunawszy uprzednio pod marynarkę swój pistolet. Zdecydowanym gestem odsunął dwóch kamerdynerów i dał znak doktorowi H., który nonszalanckim krokiem przechadzał się przed kabiną windy z torbą kołyszającą się na ramieniu.

– Okay, doktorze, proszę tędy – rzucił.

Čazem z Niemcem wszedł ponownie na przedostatnie piętro, gdzie Harry wskazał mu dwóch mężczyzn z obstawy.

– Zaczynamy od tych.

Doktor Halzenspergerüchenbach wyjął z torby strzykawkę i każdemu zrobił zastrzyk w szyję. Obaj osunęli się bezwładnie na dywan, jak marionetki, którym odcięto sznurki.

Harry Shulz uśmiechnął się ironicznie do swego jeńca, który trząśł się jak osika.

– Niech się pan nie obawia. Nie zabiliśmy ich. Tylko uśpiliśmy. Moglibyśmy uśpić także pana, ale liczymy na pański zdrowy rozsądek.

Harry Shulz wskazał na herstala, którego Karla trzymała w ręce.

– Oberwać z tej maszynki, to bardzo bolesne... Niech pan spojrzy, co się przytrafiło pańskiemu gorylowi, który uważał się za niezwykłego spryciarza... A więc żadnych scen, kiedy będziemy piętro niżej.

Tamten odetchnął głęboko i na próżno usiłował powstrzymać drżenie rąk.

– Będę posłuszny... – powiedział w końcu.

Wszyscy czworo zeszli po schodach na niższe, trzecie od góry piętro: Harry Shulz z torbą plażową w ręce, a Karla ze schowanym w torebce herstalem, którego lufa była wycelowana w plecy ich jeńca.

Obaj kamerdynerzy przystanęli osłupiali na widok grupy, ale nie uczynili najmniejszego ruchu.

Zjechali windą na dół i w buicku doktor Halzenspergerüchenbach uśpił ich więźnia zastrzykiem w szyję.

Harry Shulz wyprowadził auto z parkingu i szybko dotarł w dyskretne miejsce, w którym pozostawili oldsmobile'a toronado.

Przenieśli tam ciało ich więźnia. Harry Shulz włożył swoje ubranie i położył na podłodze buicka torbę plażową z bronią. Potem poszedł otworzyć bagażnik, aby wpuścić nieco powietrza uśpionemu tam kierowcy.

Pół godziny później byli już w swojej willi.

## ROZDZIAŁ XXVI

– Mam wrażenie, jakby zwał mi się na nogi betonowy blok!

Karla wybuchnęła śmiechem.

– Ciekawe, co byś powiedział nosząc damskie pantofelki, Harry!

Harry Shulz masował sobie stopy, boleśnie krzywiąc twarz. Potem zabrał się za masowanie kręgosłupa i jeszcze bardziej wykrzywił twarz. Następnie przyszła kolej na brzuch. Wykręcał biodra, aby rozluźnić obolałe mięśnie.

– Nie chcesz chyba brać udziału w Igrzyskach Olimpijskich? – spytała ironicznie Karla.

– Zamknijcie się, proszę was – wtrącił doktor Halzenspergerüchenbach. – Muszę się skoncentrować.

Karla i Harry spojrzeli na niego i zamilkli zgodnie.

Na stole przykrytym czystym obrusem leżał zupełnie nieprzytomny człowiek, którego porwali z hotelu „Rama”.

Na drugim stole doktor ułożył w jednym szeregu strzykawkę i butelki, oraz igłę, serię instrumentów i małych paczuszek z etykietkami, na których widniały obco brzmiące słowa.

Chrząknął, nim się odezwał.

– Zrobię mu najpierw lekki zastrzyk z insuliny, a dziesięć minut później dwa zastrzyki ze skopolaminy i meskaliny – wyjaśnił tonem profesora prowadzącego wykłady w auli wydziału medycyny. – To powinno wystarczyć po zastrzyku, który już mu podałem. Jest podatny na sugestie. Za chwilę opowie nam całe swoje życie.

Wziął strzykawkę wypełnioną jakimś bezbarwnym płynem i jednym ruchem zagłębił jej igłę w zgięciu lewej ręki swego pacjenta, dezynfekując uprzednio skórę tamponem waty, nasączonym alkoholem.

Kiedy płyn został wstrzyknięty do żyły, spojrzął na zegarek.

– Za dziesięć minut zrobię drugi zastrzyk – powiedział.

Zmarszczył brwi, tak jakby jakaś przygnębiająca myśl przebiegła mu przez głowę.

– W zasadzie... tak... dlaczego nie?

Zdawał się podążać za jakimś własnym marzeniem.

– Dlaczego nie? – powtórzył. – Zresztą... Odrobina psychochemicznego gazu CW po zastrzyku z meskaliny przyspieszyłaby proces... To pewne, że gdyby...

– Może i mnie pan oświeci, doktorze? – przerwał mu Harry. A potem dodał pospiesznie:

– Za chwilę!

Odwrócił się do Karli.

– Okay, Karla, idź teraz do swego pokoju. Im mniej będziesz wiedziała o tej historii, kiedy facet zacznie mówić, tym lepiej dla ciebie.

Mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Odwaliłaś kawał dobrej roboty – pogratulował jej.

Westchnęła z zalem i wyszła z pokoju.

Harry Shulz zwrócił się do doktora Halzenspergerüchenbacha:

– A więc, doktorze?

Tamten wyniośle wzruszył ramionami.

– Jak pan sobie życzy. Insulina, skopolamina i meskalina są substancjami pochodzenia roślinnego. Insulina spala zawartą w organizmie glukozę, która jest elementem niezbędnym dla ośrodków mózgowych, kontrolujących wolę człowieka. Bez glukozy wola w ogóle nie istnieje. Skopolamina i meskalina wywołują identyczny efekt, ale w dwóch różnych procesach. Jeśli doda pan skopolaminę i meskalinę do zastrzyków z insuliny, otrzyma pan totalne skasowanie woli, czego samej insuliny nie udałoby się dokonać w równie radykalnym stopniu. Jednakże, ponieważ jedna istota ludzka nie jest podobna do drugiej, możliwe, że człowiek, z którym mamy do czynienia, wykaże się wyjątkową odpornością na mieszaninę insuliny, skopolaminy i meskaliny i że jego mózg zachowa jakieś okrucy woli, które przeciwstawia się całkowitemu odprężeniu organizmu, jakie nastąpi wobec pytań, które zechce mu pan zadać. W takim razie należy znaleźć znacznie silniejszy środek. Dlatego przewiduję zastosowanie gazu psychochemicznego CW. Jest to gaz, który laik mógłby uznać za przerażający. Potrafi on przekształcić najbardziej inteligentnego człowieka na świecie w kompletnego głupka, bo atakuje on system nerwowy. Gaz ten paraliżuje człowieka na pewien czas. Bez jakiegokolwiek bólu. Może on całkowicie pozbawić pana woli i refleksu. Przykład? Osobiście dokonałem dwa lata temu eksperymentu na tygrysie. Zamknąłem tego tygrysa, trzyletniego samca, w klatce, i umieściłem tam kota syjamskiego, który dostał dużą dawkę środka wywołującego efekt przeciwny do efektu działania CW... Zbyt długo by mówić o tym środku. Jak pan sądzi, co się stało? Które z tych zwierząt, według pana, przeraziło się drugiego?

– Tygrys? – zaryzykował Harry Shulz.

– Dokładnie tak. Tygrys dygotał ze strachu przed kotem syjamskim. Cały instynkt, cały refleks obronny został w nim unicestwiony. I wie pan, co się potem stało?

– Nie.

– Tygrys umarł ze strachu! Po czterech godzinach przebywania w klatce z kotem syjamskim!



Po plecach Harry'ego Shulza przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Był ze śmiercią za pan brat, ale fakt ciągłego mówienia na ten temat sprawiał, że było mu niedobrze.

– Ale dlaczego nie zastosuje pan tego gazu od razu, zamiast próbować przedtem jakichś kombinacji insuliny ze skopolaminą i meskaliną, skoro wywołuje on równie piorunujące rezultaty?

Doktor po raz drugi wzruszył ramionami.

– Ponieważ jest on niezwykle niebezpieczny. Działa nieodwracalnie. Często dochodzi się do punktu, z którego nie ma już odwrotu...

– Pacjent skazany jest na śmierć?

– Często.

Teraz z kolei Harry Shulz wzruszył ramionami.

– No to do roboty, doktorze.

Niemiec spojrział na zegarek.

– Już czas – stwierdził.

Harry Shulz zadał mu ostatnie pytanie:

– Gdzie się pan nauczył wszystkich tych technik?

Doktor Halzenspergerüchenbach uśmiechnął się niewyraźnie.

– Nauczył mnie ich doktor Schallenghammerforst – odpowiedział.

– A gdzie on się tego nauczył?

Doktor zeszytniał.

– Proszę spytać jego, kiedy się pan znowu z nim zobaczy... Odwrócił się i sięgnął po strzykawkę.

Czuł się świetnie. Gdyby to tylko od niego zależało, nie otwierałby oczu, ale jakaś przemożna siła rozkazywała mu je otworzyć. Zanim jej posłuchał, jeszcze przez chwilę cieszył się widokiem olbrzymiego orientalnego ogrodu, jaki rozciągał się wokół niego. Zapach kamelii, hiacyntów i kwiatów indyjskiego paciorecznika uderzał do głowy. Natura tworzyła prawie nierealną symfonię kolorów. W pobliżu szemrało jakieś źródło. Ćwierkały ptaki siedzące na gałęziach cedrów i krzewach oleandrów. On sam unosił się ponad szczytami gór, rzekami, pustyniami... Powietrze pachniało teraz jaśminem... Wreszcie dotarł do pałacu wielkiego wezyra. Otworzyły się wrota i sam wielki wezyr uśmiechnął się do niego i po przyjacielsku dotknął jego ramienia...

Otworzył oczy.

Niespokojnie i nieco uporczywie wpatrywali się w niego dwaj mężczyźni.

Uśmiechnął się do nich, a oni przestali się denerwować.

To na pewno przyjaciele. Ich twarze były sympatyczne. Oni też się uśmiechali. Jeden z nich miał bardzo ładne zęby, jak z masy perłowej.

Czuł się bezpieczny. Właściwie dobrze zrobił, że otworzył oczy, chociaż jego przechadzka po krajach Orientu była równie przyjemna. Jeden z mężczyzn zbliżył się do niego.

– Jak się pan czuje?

Jego głos był ciepły i głęboki.

– Dobrze. Dziękuję.

– Jesteśmy tu, żeby panu pomóc. Proszę niczego się nie obawiać.

Nie bał się. Wręcz przeciwnie. Miał wrażenie, że był małym dzieckiem, które długo błądziło i które w końcu odnalazło rozpieszczającą go i czule kochającą rodzinę.

– Chcemy panu zadać kilka pytań.

To było całkiem naturalne. Chcieli wiedzieć, co porabiał ich ukochany krewniak przez te długie lata rozłąki. Zupełnie normalne i logiczne.

Zresztą to będzie łatwe. Tak bardzo chciał mówić, opowiadać o sobie... Jedyńie tego pragnął!

Ta sama nieodparta siła skłaniała go do mówienia, mówienia, mówienia... Ależ on im naopowiada! Będą zdumieni, nie uwierzą mu, ale on będzie tak bardzo przekonujący, że uda mu się wszystko im wyjaśnić i będą zmuszeni mu uwierzyć.

Czuł się doskonale. Miał wrażenie, że unosi się w powietrzu, zupełnie wolny od praw ciężenia.

Przymrużył oczy.

– Czy jest pan gotów odpowiedzieć na nasze pytania? – spytał głos. Miły, melodyjny głos.

– Tak – odpowiedział.

– Pana nazwisko?

– Peter Syngton.

Kilka sekund ciszy.

– Dlaczego podaje się pan za Zoltana Zeboffa?

– Płacą mi za to.

– Od jak dawna?

– Od ośmiu miesięcy.

– W jakim celu?

– Aby służyć Zoltanowi Zeboffowi za parawan.

– Jest pan jego sobowtórem?

– Tak.

– Jakie wydano panu rozkazy?

– Działać w ten sam sposób, jak czyniłby to Zoltan Zeboff. Cały świat liczy na to, że on nadal będzie się zachowywał w określony sposób. Że odizoluje się od świata w hotelu, że nie pozwoli ludziom zbliżyć się do siebie, że każe się ochraniać

swoim gorylom, że ma manię czystości, takie tam różne rzeczy... Wyobrażenie, jakie o Zoltanie Zeboffie wyrobił sobie świat...

– Czy to wyobrażenie nie odpowiada rzeczywistości? Czy Zoltan Zeboff nie zachowuje się właśnie w taki sposób na co dzień?

– Tego nie wiem. Nigdy go nie spotkałem.

Jak miło było porozmawiać z przyjaciółmi! Przyjaciółmi, którzy tak dobrze cię rozumieli i którzy mówili takim łagodnym głosem! Znowu kilka sekund ciszy.

– Powiedział pan przed chwilą, że zapłacono panu za odgrywanie roli Zoltana Zeboffa. Ile?

– Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów miesięcznie. Plus koszty, oczywiście. Zachichotał.

– Naturalnie, wolne od podatku.

To bardzo ważne, wolne od podatku. Fiskus jest taki zachłanny!

– Jednego nie rozumiem – podjął ponownie głos – dlaczego Zoltan Zeboff każe panu grać swoją rolę?

– Aby nikt nie dowiedział się, gdzie on jest naprawdę.

– Rozumiem. A czy nie przebywał on kiedyś w Acapulco?

Acapulco? Jakie wspaniałe miasto! Ileż cudownych chwil tam spędził! Jak nazywała się ta sauna, do której często chodził? Ach! Tak! Klub „Pancho Villa”!... Rzeczywiście, miłe miejsce!

– Acapulco? Och, nie!... Rezydencja w Acapulco zarezerwowana jest dla sobowtórów!

– Dla sobowtórów? Sobowtórów, w liczbie mnogiej?

W głosie wyczuwało się zdziwienie, prawie wymówkę. A przecież to była prawda!

– Tak, w liczbie mnogiej. Dla dwóch sobowtórów. Dla mnie i dla jeszcze jednego.

– Czy Zoltan Zeboff nigdy nie korzystał z rezydencji w Acapulco?

– Z tego, co mi wiadomo, nigdy.

– Więc on nie zginął w Acapulco?

– Zoltan Zeboff miałby zginąć? Nigdy w życiu! On żyje!

Było kompletną głupotą myśleć, że Zoltan Zeboff był martwy!

Oczywiście nigdy go nie spotkał, ale wiedział, że żył, bo jeśli nie, to przedstawienie nie miałoby sensu! A wyobrazić sobie, że mógł on umrzeć w Acapulco, gdzie nigdy jego noga nie postąpiła, to po prostu śmieszne. To ten drugi sobowtór odgrywał rolę Zoltana Zeboffa w Acapulco. On sam zresztą także w ogóle nie spotkał tego sobowtóra, ale mówiono mu, że był jeszcze bardziej podobny do Zoltana Zeboffa niż on! Sobowtór, którego nazwiska nie znał, ale który żył i miał się świetnie! Tak przynajmniej mu mówiono.

- Czy był pan już w Acapulco? Korzystał pan z rezydencji?
- Tak.
- A z klubu „Pancho Villa”?
- Również.
- Jak dawno temu?
- Przed sześcioma miesiącami.
- A w międzyczasie, gdzie pan przebywał?
- W Gwatemali.
- Co pan tam robił?
- Ukrywałem się i oczekiwałem na rozkazy.
- Kto panu wydawał rozkazy?

Kto wydawał rozkazy? Ależ naturalnie Zoltan Zeboff! Cóż to za głupie pytanie!

- Zoltan Zeboff!
- Bezpośrednio?
- Nie.
- Za czym pośrednictwem?
- Pana Dalessandro.

Znowu długa chwila ciszy.

Ucieszył się.

Z góry wiedział, że może ich przerazić.

- To on zaangażował pana do roli Zoltana Zeboffa?
- Tak.
- Gdzie miało miejsce wasze pierwsze spotkanie?
- W jego kasynie. „Silver Dollar” w Las Vegas.
- Osiem miesięcy temu?
- Tak.
- Jaki miało ono przebieg?

Oglądał mnie ze wszystkich stron. Wyglądał na zadowolonego. Potem zawiózł mnie prywatną windą na ostatnie piętro kasyna. Na to piętro, które jest zamknięte dla gości kasyna. Kazał mi wejść do pustego pokoju, o zupełnie pustych ścianach, z wyjątkiem jednej pokrytej szkłem od podłogi do sufitu. Kazał mi stanąć przed lustrem, odwrócić się, iść. Pomyślałem, że lustro było nie podlane i że ktoś za nim stał. Bez wątplenia sam Zoltan Zeboff. On chciał się upewnić, czy rzeczywiście jestem do niego podobny. Potem pan Dalessandro porozmawiał z kimś przez interkom i wtedy powiedział mi, że zostałem zaakceptowany.

- Przez interkom?
- Tak.
- To wszystko?

– Wymienił moje wynagrodzenie i powiedział, co miałbym robić, i że to on sam będzie mi wydawał wszelkie polecenia. Potem wysłał mnie na staż do Acapulco.

– Na staż?

– Tak. Abym nauczył się tego, co miałbym robić, a także na próbę. Panowała tam bardzo surowa dyscyplina i pan Dalessandro robił mi ostre wymówki za każdym razem, kiedy popełniałem jakiś błąd...

– Czy to on osobiście zajmował się pana nauką?

– Tak, on sam.

– Czy po tej pierwszej rozmowie nigdy pan nie wrócił do kasyna „Silver Dollar”?

– Nigdy.

– Jeśli dobrze rozumiem, był pan w Acapulco dwa miesiące.

– Tak.

– A potem?

– W Gwatemali, tak jak to przed chwilą powiedziałem.

Dlaczego tyle razy musiał powtarzać to samo? Ludzie byli dziwni. Lubili, żeby im powtarzać to, co się powiedziało przed chwilą. Natura ludzka była niezgłębiona...

– Dlaczego Dalessandro kazał panu wyjechać z Acapulco?

– Aby mnie zastąpić.

– Innym sobowtórem?

– Tak.

– Czy odkrył pan wielkie podobieństwo, jakie istniało między nim a panem?

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ nigdy go nie widziałem.

Pan Dalessandro kazał mi stamtąd wyjechać przed jego przyjazdem.

– A więc nie jest pan pewien, że to był sobowtór. Czy mógłby to być Zoltan Zeboff we własnej osobie?

– W ogóle w to nie wierzę.

– Dlaczego?

– Ponieważ jednym z powodów, dla których Zoltan Zeboff korzysta z usług sobowtórów, jest jego fizyczna niezdolność do opuszczania Las Vegas.

– Czy to Dalessandro powiedział panu o tym?

– Tak.

– A jeśli pana oszukał?

– Dlaczego miałby mnie okłamać? Pan Dalessandro jest człowiekiem o nieposzlakowanej uczciwości i dotrzymuje słowa. Zawsze w terminie wpłacał mi moje dwadzieścia pięć tysięcy dolarów do banku, który mu wskazywałem.

Jeszcze jedna długa, bardzo długa chwila ciszy.

Musieli być oszołomieni, to pewne!

– Ale skoro nie zrobiono mu żadnego zdjęcia od 1956 roku, dlaczego Zoltan Zeboff potrzebował sobowtóra? Przecież do tej roli mógł się nadawać każdy, kto był choć trochę do niego podobny! Nikt nie wie, jak on teraz wygląda, z wyjątkiem Dalessandro i, bez wątpienia, kilku innych osób, wśród nich jego eksmałżonki.

– Nie wiem.

– Czy słyszał pan kiedyś o Rolfie Robertsonie?

– Nie.

– A czy mówi coś panu nazwisko Jayne Sterling?

– Nie.

– Czy wśród instrukcji, które przekazał panu Dalessandro, były takie, które dotyczyły dziewcząt, z którymi mógł pan mieć intymne stosunki?

– Nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć.

– Czy nie żądał od pana, aby kazał pan ludziom z obstawy ciąć je po twarzy brzytwą tak, żeby je oszpecić?

Cóż za niemiłe pytanie! Jak można było myśleć o czymś takim? Należało stanowczo zaprotestować.

– Na pewno nie!

– Ludzie z pańskiej obstawy to Azjaci, prawda?

– Niektórzy, bo pozostali to Amerykanie. Ich dowódca jest Amerykaninem.

Nazywa się Dex.

– Ten, który wyszukiwał dziewczęta dla pana?

– Tak,

– Czy Dalessandro zabraniał panu pić?

– A cóż to byłoby za życie bez alkoholu?

– Czy Dalessandro wspominał panu kiedyś o ranie, jaką powinien pan sobie zadać pod lewą pachą w taki sposób, aby w tym miejscu powstała blizna w kształcie krzyża?

– Nie.

Jeszcze jedno niemiłe pytanie. Jak pan Dalessandro mógłby postawić takie żądania? To było nie do pomyślenia! On był tak nienaganny! Naprawdę żałował teraz, że tak dużo mówił. To było wyczerpujące. Jego serce głośno biło. Tak, jakby był to warkot bębnow. Ale... Czy to rzeczywiście tak biło jego serce? Czy nie była to raczej powitalna fanfara wielkiego wezyra, który gościł go w swoim pałacu? Hałas stawał się coraz bardziej ogłuszający. Tempo było coraz szybsze. Mój Boże, co za zgiełk! Czy to się wkrótce skończy? Wielki wezyr był z pewnością nadzwyczaj uprzejmy i miły, ale czy nie mógł rozkazać, aby ta fanfara przestała tak piekielnie hałasować?

Z pewnością chciał mu sprawić przyjemność, uhonorować go... ale... ale... teraz te cymbały!

Niewiarygodne!

I ten uporczywy, wywołujący mdłości zapach jaśminu... I to piekielne wirowanie, w które wciągnęli go janczarzy wielkiego wezyra! To wirowanie, przyprowadzające go o zawrót głowy, które...

Doktor Halzenspergerüchenbach skrzywił się.

– Nie żyje. CW to naprawdę okropny gaz... Być może wstrzyknąłem mu zbyt silną dawkę...

Harry Shulz odwrócił się.

Więc Dalessandro należał do spisku. To pasowało do układanki. To on przyprowadził Jayne Sterling do Zoltana Zeboffa.

Prawdziwego Zoltana Zeboffa! Żyjącego Zoltana Zeboffa! Zoltana Zeboffa, który nie zginął ani w Acapulco, ani w Bangkoku!

Sobowtóry! Dobry Boże! Kto by w to uwierzył?

Nawet klocek ze znakiem zapytania i z nazwiskiem Nicka d'Amato, znalazł swoje miejsce pośród elementów tej układanki.

Nick d'Amato, zastrzelony w restauracji w dzielnicy Małej Italii.

Nick d'Amato, który sściągał haracz z kasyn w Las Vegas...

I który, bez wątpienia, wpadł pewnego dnia do kasyna „Silver Dollar”, wścibiając nos w największą machinację w swojej gangsterskiej karierze. Zoltan Zeboff, najbogatszy człowiek świata! Tylko że Nick d'Amato nie wiedział, iż metody Zoltana Zeboffa były przynajmniej równie skuteczne jak jego własne...

I jak mawiał Remy Stunts Frobbe, sprawiono mu bał w małej włoskiej restauracyjce w Małej Italii...

A co właściwie Harry wiedział o Vince Dalessandro?

Został on jakoby wyrzucony z pracy przez Zoltana Zeboffa, którego, jak powiedział Harry'emu, nigdy w życiu nie widział. Ale wtedy, kiedy Jayne oszpecono brzytwą, jeszcze dla niego pracował.

Kiedy Harry Shulz z nim rozmawiał, naturalnie zaprzeczył, że człowiekiem, który kazał oszpecić Jayne, był Zoltan Zeboff.

To było logiczne.

Logiczne, ponieważ Zoltan Zeboff nigdy go nie zwolnił! Dalessandro nadal dla niego pracował!

Ciekawy pomysł z tym pozornym zwolnieniem z pracy! I jaki świetny parawan!

Zupełnie jak „Silver Dollar” i sobowtóry!

A co jeszcze wiedział o Vince Dalessandro?

Harry Shulz zastanowił się i nagle zadygotał z przerażenia.

Dobry Boże! Teraz sobie przypomniał i zaczynał rozumieć całą tę kombinację!  
– Co mam zrobić z ciałem? – spytał doktor Halzenspergerüchenbach.

## ROZDZIAŁ XXVII

Rancho było kompletnie zrujnowane, przysypane piaskiem. W drewnianych ścianach było pełno dziur, dach się walił. Brakowało wody. Harry Shulz przepędził strzałami z pistoletu kojoty, które właśnie tutaj znalazły sobie kryjówkę.

Rancho leżało w odległości mili od opustoszałego miasta, którego złote czasy – to było naprawdę właściwe określenie – sięgały ubiegłego stulecia i okresu gorączki kalifornijskiego złota. Rancho zbudowano u stóp Black Mountains, w Nevadzie, wśród skalnych bloków, w opustoszałej okolicy, którą przecinała jedynie pełna pyłu droga.

Pierwszy przyjechał Michel Corvet.

Francuz. Twarz anioła i dobrotliwe spojrzenie. Wspaniała, długa i doskonale ułożona blond czupryna. Ale była to tylko peruka. Któregoś dnia, kiedy Michel Corvet był jeszcze dzieckiem, jego ojciec wrócił do domu kompletnie pijany. Nim mały Michel zdolał uciec, ojciec połał mu włosy szamponem zmieszany z benzyną, a potem, najspokojniej w świecie, rzucił mu na głowę zapaloną zapałkę. Teraz Michel Corvet ukrywał pod peruką swą koszmarną, pokrytą bliznami czaszkę.

Drugim przybyszem był Danny Weisz z Kansas City. Wysoki, ponury, o twarzy właściciela zakładu pogrzebowego. Miał wielkie, wystające zęby, które musiał sobie od czasu do czasu piłować.

Trzeci był Sepp Winkler z San Francisco. Chuda twarz, broda i długie, jasne włosy, intensywnie niebieskie oczy i wiecznie szydery grymas twarzy. Przezywano go „Chrystus”.

- Miałeś szczęście, że mnie dorwałeś, Harry! – zauważył.
- A to dlaczego?
- Przybywam z Barbichette Ville.
- Barbichette Ville? A co to takiego?

Sepp Winkler wzruszył ramionami.

- Miasto Ho Chi Minha, jeśli wolisz. Nowa nazwa Sajgonu. Wszyscy szydery nazywają Sajgon „Barbichette Ville”.
- A co ty tam robiłeś?



– Miałem kontrakt do wykonania.

Potem przyszła kolej na Flipa „Horny”<sup>\*</sup> Cartera. Pewnego dnia, w jednym z emiratów w Zatoce Perskiej, założył się o dziesięć tysięcy funtów z jakimś angielskim lordem, że uda mu się zakraść do haremu emira i uwieść jego wszystkie mieszkanki.

<sup>\*</sup> H o r n y (ang.) – rogacz (przy, aut.).

Przegrał zakład i... stracił męskość, ponieważ właśnie w ten sposób ukarał go emir.

Odtąd Flip „Horny” Carter żył w przymusowym celibacie...

Kolejnym był Watt Seevers, który swoją karierę zabójcy rozpoczął na Tulane University w Nowym Orleanie, mordując powoli jednego po drugim, najlepszych graczy z drużyny baseballowej, aby samemu stać się niekwestionowanym mistrzem tej drużyny.

– Serwus, Harry – rzucił. – Czy tym razem dobrze płacisz? Ostatnim razem, kiedy miałem z tobą do czynienia, zapłaciłeś mi jakieś nędzne grosze.

– Pięć tysięcy dolarów, Watt.

Watt Seevers uśmiechnął się rozradowany.

– To już lepiej. Chłopcy będą zadowoleni.

– Jacy chłopcy?

– Finansuję małą drużynę baseballu w Montanie. Składa się wyłącznie z Indian. Ale brakuje nam ciągle na sprzęt. Dobrze się składa.

Ostatnim był Jimmy Kodash. Stary kumpel Harry'ego Shulza. Pochodził z Nowego Jorku. Dawny adwokat, oczytany, inteligentny facet. Zabijał po to, aby zdobyć pieniądze konieczne dla zaspokojenia jego jedynej życiowej pasji: kolekcjonowania obrazów starych mistrzów.

– Dobrze się składa, że dasz mi zarobić, Harry – powiedział radośnie. – Mam na oku Sisleya. – Obliznął wargi i dodał: – Cudo!

– Przywiozłeś ze sobą papiery, o które cię prosiłem?

– Nie martw się. Mam je.

Harry Shulz odetchnął z ulgą. Miał wszystko co trzeba. Rozporządzał także wyborową ekipą zawodowych zabójców, należących do Organizacji TRAKS.

Vince Dalessandro z zakłopotaniem zmarszczył brwi.

– Siadajcie, panowie – zaproponował sucho.

Jimmy Kodash i Harry Shulz usiedli we wspianiałych fotelach z czarnej skóry.

Dalessandro, jak gdyby od niechcienia nacisnął jakiś guzik i w ścianie rozsunęła się mahoniowa płyta, odsłaniając luksusowy barek.

- Czy mogę panów poczęstować szklanceczką czegoś mocniejszego?
- Z przyjemnością.

Jak wcześniej ustalili z Harrym Shulzem, rozmowę prowadził Jimmy Kodash. Dalessandro napełnił szklanki.

- Słucham panów – powiedział, rozsiadając się w fotelu z nadętą miną.

Jimmy Kodash otworzył teczkę i zaczął:

– Jak miałem przyjemność panu powiedzieć w rozmowie telefonicznej, panie Dalessandro, reprezentuję interesy panny Jayne Sterling, urodzonej...

Wyciągnął z teczki kartkę papieru i mówił dalej:

– Czwartego stycznia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku w... w Highland Park, w stanie Illinois, imiona rodziców: John i Candice z domu Mc Murray. Pani Sterling wystąpiła na drogę sądową przeciwko panu Zoltanowi Zeboffowi...

Vince Dalessandro drgnął w fotelu.

– Zarzucając mu rozmyślne spowodowanie obrażeń cielesnych oraz dokonanie próby umyślnego okaleczenia – ciągnął dalej niczym nie zrażony Jimmy Kodash. – Naturalnie, fakty o których mowa, miały miejsce w ubiegłym roku w Las Vegas, ale to nie stanowi przeszkody we wniesieniu sprawy do sądu, ponieważ przedawnienie w stanie Nevada następuje dopiero po upływie trzech lat od chwili wniesienia skargi, a dwudziestu lat od daty dokonania zarzucanych czynów. Pani Sterling posiada więc zdolność prawną składania zeznań w sądzie w charakterze świadka. Ustanowiła więc mnie, Roberta Lydmanna, adwokata z palestry w Los Angeles, swoim obrońcą, a ja z kolei scedowałem część moich uprawnień na pana Franka Riggę, prywatnego detektywa z Los Angeles, w celu przeprowadzenia śledztwa. Z tu obecnym panem Frankiem Riggą miał pan już okazję zawrzeć znajomość.

Jimmy Kodash przerwał i upił nieco whisky. Odstawił szklankę i mówił dalej:

– Prowadząc swoje dochodzenie, pan Frank Rigga doszedł do wniosku, że pan Zoltan Zeboff mieszka na ostatnim piętrze budynku tego kasyna i przybyliśmy tutaj przesłuchać zarówno jego, jak i pana, panie Dalessandro. Pani Sterling wskazała nam pana jako pośredniego, lecz bardzo ważnego świadka, gdyż to właśnie pan pośredniczył w zorganizowaniu spotkania pomiędzy ofiarą a jej prześladowcą. Oczywiście mam mandat sędziego O'Connorsa, upoważniający mnie do tych działań.

Vince Dalessandro wyglądał jak marmurowy posąg. W końcu drgnął.

- Czy mógłbym zobaczyć te dokumenty, panie Lydmann?
- Oczywiście. Oto one.

Vince Dalessandro przeczytał je uważnie, a potem położył na biurku.

– Czy mógłbym również zobaczyć pańską licencję prywatnego detektywa, panie Rigga?

Niewinny uśmiech rozjaśnił twarz Harry'ego.

– Obawiam się, że zostawiłem ją w Los Angeles, panie Dalessandro. Widzi pan, jesteśmy w Nevadzie, a moja licencja ważna jest jedynie w Kalifornii.

– Rozumiem.

Vince Dalessandro wyduł policzki, a potem głęboko odetchnął.

– Pan jest prawnikiem – zauważył kliwym tonem, zwracając się do Jimmy'ego Kodasha. – Czy nie uważa pan tej procedury za niezwykłą? Chcę powiedzieć, czy to nie policja powinna sama prowadzić dochodzenie, a nie adwokat w towarzystwie jakiegoś prywatnego detektywa?

Jimmy Kodash obrzucił go spojrzeniem pełnym potępienia.

– Jeżeli wmiemy w tę sprawę policję, to pan Zoltan Zeboff będzie podlegał odpowiedzialności karnej. Sądzę, że byłoby pożądane nadać tej sprawie poufny charakter. Jak sądzą, pan Zoltan Zeboff zgodzi się z nami, biorąc pod uwagę takt, z jakim postępujemy, że wysokość odszkodowania dla pani Jayne Sterling, powinna w zadowalającym stopniu wyrównać wyrządzone jej szkody. Sędzia O'Connors uspokoił mnie w tym względzie. Z tej strony nie ma powodów do obaw.

Vince Dalessandro zastanawiał się. Świadczył o tym nerwowy tik nad kością policzkową i zmarszczka na czole. Potem, po dłuższej chwili, wrócił mu na usta jego wieczny uśmiezek, który chwilę przedtem zniknął z jego twarzy. Sięgnął po szklaneczkę, pociągnął spory łyk whisky, odstawił ją i potarł kolejno wszystkie pierścienie, sygnety i łańcuszki zdobiące jego ręce.

– To wydaje mi się bardzo sensowne – powiedział w końcu ostrożnie.

Nacisnął jeden z guzików interkomu. Kiedy zapaliła się mała, zielona lampka, rzucił krótko w słuchawkę:

– Goście.

Potem nacisnął na jeden z guzików aparatu stojącego na biurku. Na ścianie przeciwległej do tej, która kryła barek, przesunęła się duża płyta, odsłaniając drzwi.

Vince Dalessandro wstał.

– Panowie zechcą mi towarzyszyć? Zobaczę, co będę mógł dla was zrobić.

To były drzwi od prywatnej windy. Harry Shulz i Jimmy Kodash weszli do niej w ślad za Dalessandro. Wszyscy trzej milczeli, zanim winda nie stanęła i drzwi się nie otworzyły.

Dalessandro wyszedł pierwszy. Harry Shulz i Jimmy Kodash ruszyli za nim. Znaleźli się w korytarzu, wysłanym grubym dywanem i oświetlonym światłem padającym z lamp ukrytych w suficie.

– Tędy.

Dalessandro otworzył drzwi i usunął się na bok.

– Wejdźcie.

Za wielkim biurkiem siedziała Martha Widmer. Uśmiechała się. U jej boku stał mąż, Robert O'Rourke. Jak zawsze okropnie brzydki. I równie nadęty.

– Dzień dobry, Frank – przywitała Harry'ego Martha Widmer. Harry Shulz nie odpowiedział.

– Taki zły, że znów mnie widzisz? – spytała ironicznie.

Uniosła rękę. Harry Shulz usłyszał jakiś hałas za plecami i odwrócił się. Czterech ludzi o typowo azjatyckiej urodzie stanęło między nim a Jimmym Kodashem.

– Przeszukajcie ich – rozkazała.

W gnieniu oka wprawne ręce tych zawodowców pozbawiły ich broni i opróżniły zawartość ich kieszeni. Następnie Azjaci obmacali ich dokładnie i zabrali im pistolety kaliber 6.35, które obaj ukryli pod nogawkami spodni, przyklejając plasterem do łydek.

– Prawdziwy arsenał – skomentowała sarkastycznie Martha Widmer. – Czyż nie powiedział mi pan kiedyś, panie Rigga, że jest pan pacyfistą? To wydaje się przeczyć pańskiej tezie. Czy może jest to pana własna koncepcja pacyfizmu? Ale do rzeczy...

Podeszła do stołu i przeszukała przedmioty wyciągnięte z kieszeni Harry'ego Shulza i Jimmy'ego Kodasha.

– Nie widzę tej słynnej fotografii... Czyżby nie udało się panu zrobić tego zdjęcia w Acapulco? Gdyby się to panu udało, jestem pewna, że przyniósłby mi je pan... Naturalnie... jestem idiotką... Pan nie mógł wiedzieć, że się dzisiaj tutaj ze mną spotka...

Z roztargnieniem dotknęła pistoletu Harry'ego Shulza.

– Cóż za piękna broń... Może narobić wiele szkody... Ale na pewno mniej niż kwas chlorowodorowy... Co za wyobraźnia, panie Rigga!... Czy to ta sama wyobraźnia pozwoliła panu wyekspediować gdzieś w nieznanie naszego przyjaciela z Bangkoku?

Harry Shulz odpowiedział jej również ironicznym uśmiechem.

– On nie żyje.

Udała zdziwioną.

– Też nie żyje? Co za masakra! Śmierć idzie za panem krok w krok, panie Rigga... Jednego dnia w Acapulco, drugiego w Bangkoku... Jest pan międzynarodowym komiwojażerem zbrodni!... A Lima?

Harry Shulz nie przestawał się uśmiechać.

- Tam także byłem.
- Miałam rację.

Westchnęła.

- Jakże to musi być dla pana przyjemne, żyć w tym świecie postępu technicznego, w którym tak łatwo jest wsiąść do samolotu, aby polecieć do Limy, popełnić tam zbrodnię, a nazajutrz rano zjeść śniadanie w Las Vegas przed odlotem w południe do Acapulco, gdzie czeka na pana następny człowiek, którego należy zabić, a jeśli i tam obejdzie się bez kłopotów, będzie pan mógł wskoczyć do samolotu, odlatującego wieczorem do Bangkoku, aby tam z kolei zamordować jeszcze jednego człowieka. Czy czasami udaje się panu złapać oddech, panie Rigga?

Harry Shulz nie zareagował na jej ironię.

- Pani eksmałżonek, pan Zoltan Zeboff, w tym względzie nie ma mi nic do pozazdroszczenia – odpowiedział.

- Pozostawmy umarłych w spokoju.
- Umarłych?
- Pan zamordował mojego eksmałżonka w Bangkoku.

Tym razem to Harry Shulz udał wielce zdziwionego.

- Och, proszę mi wybaczyć! Nie wiedziałem, że była pani również żoną Petera Syngtona?

Twarz Marthy Widmer stężała.

- Petera Syngtona?
- Czyż nie tak się nazywał?

Zerknęła na Roberta O'Rourke i Dalessandro, którzy z powagą pokiwali głowami. Znowu zwróciła się do Harry'ego Shulza.

- Czy pan zmusił go do mówienia?  
- Przyznaję, że okazał się wielce skłonny do współpracy. Ale śpieszę dodać – tym razem to on ironizował – że nie musiałem z nim spać, aby otrzymać te informacje!

Niebezpieczny ogień błysnął w spojrzeniu Marthy Widmer.

- To naprawdę źle, panie Rigga, że zmusił pan tego człowieka do mówienia. Czy dużo panu powiedział?

- Dużo.
- Wszystko?
- Wszystko, co wiedział.

Westchnęła.

- Powinien był pan poprzestać na Acapulco. Ostatecznie, na Bangkoku, ale nie powinien pan wyciągać tych informacji, panie Rigga...

Oczy Harry'ego Shulza zlodowaciały.

– Szukam Zoltana Zeboffa. Nie był nim ani człowiek, który zginął w Acapulco, ani ten, który zginął w Bangkoku. Oni byli jego sobowtórami. Podawali się za niego, to wszystko. Ja chcę Zoltana Zeboffa.

– Dlaczego?

– Żeby go zabić.

– Dlaczego?

– Początkowo z powodu niejakiego Johnny'ego Kremera, który zginął w pewnej ekspedycji do Afryki, kiedy ta przybrała fatalny obrót.

Ze zdziwieniem zobaczył, jak Martha Widmer odwróciła się do O'Rourke, go i Dalessandro, i wszyscy spojrzeli po sobie z widoczną ulgą. Znowu odwróciła się do Harry'ego.

– Zemsta? – spytała z błyszczącymi oczami.

– Coś w tym rodzaju.

– Rozumiem. Tak jak w tym filmie „This Gun For Hire”\*...

\* „This Gun For Hire” – „Pistolet do wynajęcia” – słynny film amerykański (przyp. aut.).

– Właśnie.

– A Jayne Sterling?

– Ta sprawa doszła później.

– Naturalnie, Jayne Sterling nie wniosła skargi przeciwko Zoltanowi Zeboffowi, tak jak to pan przed chwilą oznajmił panu Dalessandro?

– Nie. To był mój fortel, którego użyłem, żeby tutaj wejść. Specjalnie przedłożyliśmy panu Dalessandro sfałszowane dokumenty prawne, a procedura prawna, jaką wszczęliśmy, była tak niezwykła, że mogła jedynie wzbudzić podejrzenia. Ponadto powiedziałem, że moja licencja prywatnego detektywa jest w tym stanie nieważna. Logiczną reakcją pana Dalessandro na tak infantylne podejście do sprawy łatwo było sobie wyobrazić. Po przesłuchaniu Syngtona w Bangkoku wiedziałem, że Dalessandro bierze udział w spisku. On nie rozumiał, dlaczego tropiłem Zoltana Zeboffa, więc próbował się tego dowiedzieć. Ponieważ Zoltan Zeboff najprawdopodobniej jest tutaj, liczyłem na to, iż Dalessandro przyjmie moją propozycję rozmowy z nim i że zaprowadzi mnie tutaj, co zresztą zrobił. Pewnie Zoltan Zeboff jest gdzieś tutaj? A może podsłuchuje pod drzwiami?

Martha Widmer zachichotała.

– Tak, on jest tutaj.

Zatarła rękę.

– To, co pan nam właśnie opowiedział, jest bardzo interesujące, panie Rigga. Więc nie pracuje pan na zlecenie jakiegoś wywrotowego ruchu politycznego, którego członkowie zabili w Limie Rolfa Robertsona?

Harry'emu Shulzowi nagle stanęły przed oczami zwłoki Safii z wbitym w jej serce sztyłem.

- Nie – odpowiedział lodowatym tonem.
- To lepiej. Wolę człowieka, który... który pracując nie kieruje się politycznymi emocjami albo czymś podobnym. Bez wątpienia zlekceważyliśmy pana, panie Rigga, ale to nie szkodzi. Opowiem panu pewną historyjkę, która w pewnym sensie pozbawi pana dalszej motywacji.

Usiadła w fotelu.

– Kiedy przybył pan po raz pierwszy zobaczyć się z panem Dalessandro, on dyskretnie napuścił pana na mnie. Sądziłam, że miał pan coś wspólnego z tymi ludźmi z Filipin. Więc, wykorzystując pewne okoliczności, które chyba z przyjemnością pan wspomina, skierowałam pana do Acapulco. Tym samym upiekłam dwie pieczenie na jednym ogniu. Gdyby pan uznał, że sobowtór z Acapulco był rzeczywiście moim eksmężem, uznałby pan całą sprawę za zakończoną, a my ostatecznie uwolnilibyśmy się od tej filipińskiej historii. Jednocześnie pozbyłabym się tego kretyna, którego zaangażowaliśmy jako sobowtóra i który zachowywał się tak głupio, że podważał wersję, którą chcieliśmy uwierzytelnić. Naturalnie, ani przez chwilę nie uwierzyłam w pańską bajeczkę o fotografii, którą chciałby pan zrobić, aby sprzedać ją za sto tysięcy dolarów, tym bardziej, że trochę pan się zdradził, mówiąc o ludziach, którzy usiłowali się zemścić na moim eksmałżonku. Działając w ten sposób, poniosłam konieczną ofiarę. Podczas „przyjęcia weselnego”, które nastąpiło po moim ślubie z Robertem, wywiodłam pana w pole...

– Dlaczego nie posłużyła się pani chińskimi zabójcami, którzy okazali się tak wielce użyteczni u Stangwy na wyspach Bahama, dwukrotnie w Limie: w hotelu i w porcie lotniczym oraz w restauracji „Giacomo's” w Małej Italii? – spytał Harry Shulz sarkastycznym tonem.

Skrzywiła się.

– Dużo pan wie! Stangwa, po śmierci prezydenta Kradinowoto, nie był już potrzebny, ponieważ ten ostatni nie mógł już nam przekazać kopalń, jakie skonfiskował innym spółkom zagranicznym, tak jak to robił przedtem, dzięki świetnie obmyślanej ekspedycji, która pomogła nam zmylić cały świat i w której, na swoje nieszczęście, zginął ten, którego chce pan pomścić. Czemu nie mielibyśmy pozbyć się Stangwy? D'Amato chciał nas szantażować. Nie mogliśmy pozwolić, by wtrącał się w nasze sprawy, tutaj, w kasynie!... W naszej kwaterze głównej! Więc zginął. Co do Filipińczyków, którzy zginęli w Limie, wydawało się, że jest ich coraz więcej. Dlaczego więc nadal nasyłać na nich morderców? Nie. Moje rozwiązanie było znacznie prostsze. W chwili, gdy uznaliśmy pana za ich współnika, bardziej podstępne było naprowadzić pana na fałszywy trop, trop sobowtóra z Acapulco.

W głębi duszy Harry Shulz przyznał, że było to logiczne rozumowanie. On postąpiłby tak samo.

– Niestety – mówiła dalej – w gazecie pojawił się ten artykuł o ponownym pojawieniu się Zoltana Zeboffa w Bangkoku; artykuł, który z pewnością naprowadził pana na właściwy trop?

– Tak – przyznał. – Ta cała pani historyjka jest bardzo ładna. Mówi pani często „my”, a to pani wydaje się być uprawnioną do podejmowania decyzji, chociaż rozwiodła się pani z Zoltanem Zeboffem! A on, co on robi?

Uśmiechnęła się zdawkowo i wstała. Robert O'Rourke też się podniósł.

– Zaraz przedstawię pana Zoltanowi Zeboffowi, panie Rigga – oświadczyła oschle.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Harry Shulz z przerażenia wytrzeszczył oczy. Stojący obok niego Jimmy Kodash też nie posiadał się ze zdumienia.

W pokoju, do którego ich wprowadzono, panował lodowaty chłód. Ściany były nagie, zupełnie białe. Wielka sufitowa lampa rzucała ostre światło na marmurową płytę, wspartą na umocowanych do podłogi czterech stalowych nogach.

Wszędzie wokoło leżały jakieś skomplikowane aparaty. A na płycie... spoczywało ludzkie ciało...

Przykryte było wykrochmalonym białym płótnem, z wyjątkiem głowy. Głowy ze starannie ogolonymi policzkami, zamkniętymi powiekami, wychudłym nosem i ziemistą cerą.

– Przedstawiam panom Zoltana Zeboffa – rzekła stojąca za plecami Harry'ego Shulza Martha Widmer.

Harry zadygotał.

– On nie żyje? – spytał.

– Od dziesięciu miesięcy.

Harry Shulz przełknął ślinę. Jego gardło było równie suche, jak jakiś pęd winorośli, który wrzuca się do kominka. Spojrzał na Roberta O'Rourke, który podał koce jemu i Jimmy'emu Kodashowi.

– Narzućcie je, panowie, na ramiona. Tutaj jest bardzo zimno – powiedział głosem brzmiącym jak skrobanie mrożonej marchewki. – Termometr wskazuje trzydzieści dwa stopnie Fahrenheita, czyli zero w stustopniowej skali.



Harry Shulz rozejrzał się dookoła. Martha Widmer, jej mąż i Dalessandro narzucili koce na ramiona. Rozwinął koc i także okrył się nim. Potem spojrzął kobiecie prosto w oczy.

– Może zechciałaby mi pani wyjaśnić...?

– Po to tu przyszliśmy.

Przygryzła wargę.

– Zoltan Zeboff – zaczęła – nie chciał zostawić na pastwę losu po swojej śmierci olbrzymiego majątku, jaki gromadził przez całe życie. Obawiał się, że tak wielkie imperium może się zawalić po jego śmierci. To było nieuniknione. Więc zastanawiał się nad tym wiele lat i pewnego dnia znalazł rozwiązanie. Wezwał nas wszystkich troje do siebie. Mnie, jego żonę, Roberta O'Rourke i Vince'a Dalessandro, swoich najbliższych współpracowników, jedynych, do których miał pełne zaufanie. Przedstawił nam swój projekt. Wydał miliony dolarów na przeprowadzenie badań naukowych przez największych uczonych świata, w celu znalezienia przedłużenia funkcjonowania mózgu człowieka po śmierci i jeden z nich...

Przerwała i po chwili zaczęła mówić ciszej, tak jakby chciała dać do zrozumienia więcej, niż wyrażały jej słowa.

– ...który już nie żyje i nie miał czasu opublikować rezultatu swoich prac, wynalazł dobry sposób. Dzięki niemu Zoltan mógłby przeżyć własną śmierć, jego mózg żyłby dalej i wydawałby nam polecenia stosowne do danej sytuacji. W sytuacji panującej oczywiście w świecie wielkiej finansjery, bo to była jedyna rzecz, która dla Zoltana miała jakąkolwiek wartość...

– Z wyjątkiem takich seksualnych dewiacji, jak na przykład okaleczenie dziewczyny brzytwą rękami jego chińskich zbirów, aby po nim nie mogła się już nikomu spodobać... – przerwał jej Harry Shulz tonem równie lodowatym, jak panująca wokół temperatura.

– To prawda – przyznała Martha Widmer. – Czasami mu się to zdarzało. Ale kierowała nim pycha! Gdyby nie służyło to jego interesom, nigdy nie nakazałby mi poślubić Roberta. Mnie również mógłby kazać okaleczyć, czy nawet zabić, żebym już nie mogła się nikomu spodobać – jak pan to określił – po jego śmierci.

– I pani go posłuchała?

W oczach Marthy Widmer błysnęła chciwość, a jej głos stał się chropowaty.

– A pieniądze? Sądzi pan, że mogłabym zostawić taką fortunę?

Harry Shulz uśmiechnął się z udawaną naiwnością.

– To prawda. Zapomniałem o pieniądzach. Proszę mówić dalej.

– Ale – podjęła – nikt się nie mógł dowiedzieć o postanowieniach Zoltana. Należało zmylić trop. Zoltan zajął się tym o wiele wcześniej. Rozwiedliśmy się.

W rzeczywistości jednak od czasu do czasu spotykałam się z nim w Acapulco. Pan Dalessandro został zwolniony z pracy. Wszystkim o tym opowiadał i żalił się na Zoltana. Trzymając w największej tajemnicy informację, skąd pochodzą jego pieniądze, kupił kasyno „Silver Dollar”. Przy Zoltanie pozostał jedynie Robert, ale nikt go nie znał. Nigdy nie pokazywał się publicznie i nie wiadano, że współpracuje z Zoltanem. Był kimś w rodzaju szarej eminencji... Dalessandro mógł otworzyć kasyno, a Zoltan uczynił z niego swoją kwaterę główną. Kto mógłby podejrzewać, że tam był, skoro Dalessandro, z racji zwolnienia z pracy, uchodził za jego nieprzejednanego wroga?

– A legenda, jaką otaczał się Zoltan Zeboff? Ta nienawiść do skażonego środowiska, ta mizantropia, to dobrowolne unikanie świata i cała reszta, czy to była prawda?

– Prawda. Jeszcze jeden z kaprysów mojego eksmałżonka, tak jak to zboczenie seksualne, o którym pan przed chwilą wspomniał...

Martha Widmer zmarszczyła brwi.

– I tutaj Zoltan umieścił aparaturę, jakiej potrzebowałyby po śmierci.

Ujęła Harry'ego za rękę.

– Proszę, niech pan sam zobaczy...

Pozwolił się jej poprowadzić.

– Najpierw komputer...

Harry Shulz drgnął.

– Komputer?

Martha Widmer uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Zoltan sam zajął się jego oprogramowaniem. Zapisy na kartach perforowanych uwzględniają wszystkie, powtarzam, wszystkie sytuacje, w jakich Robert, pan Dalessandro i ja moglibyśmy się kiedykolwiek znaleźć. Zoltan wprowadził do komputera wszystkie kody. Wszystkie, bez wyjątku. Trzeba przyznać, że Zoltan był geniuszem.

Harry Shulz lepiej otulił się kocem. Miał wrażenie, że znów znalazł się na Alasce i szuka miliona dolarów ukrytego przez Johnny'ego Kremiera w grocie.

– Jediną rzeczą, jaką obecnie mamy do zrobienia – kontynuowała z ożywieniem Martha Widmer – jest uruchomienie komputera, stosując kody odpowiadające naszemu problemowi. Komputer jest podłączony do mózgu Zoltana za pomocą tego aparatu, który pan tu widzi. Bezpośrednio do ośrodka ludzkiej pamięci. Stymulator ten przekazuje następnie wiadomość do kory mózgowej, która jest siedzibą ludzkich myśli. Aby udzielić komputerowi odpowiedzi, postępuje się odwrotnie, tą samą drogą. Kiedy odpowiedź dotrze do komputera, rozszyfrowujemy kody i otrzymujemy rozwiązanie naszego problemu. Rozwiązanie, które przekazał nam Zoltan, ten wspaniały, niezrównany supermózg...

Harry Shulz pożałował, że nie zabrał ze sobą butelki whisky. Jego usta zmieniły się właśnie w zaschłą skorupę, nie wspominając o panującej tu polarnej temperaturze.

– Jakim cudem jego mózg jeszcze żyje? – wymówił z trudem.

Zmrużyła oczy.

– Zrobię panu mały wykład z anatomii, panie Rigga. Niezbyt naukowy. Właściwie na poziomie popularyzatorskim... Zanim Zoltan znalazł tego naukowca wraz z jego nadzwyczajną metodą, myślał o przeszczepie mózgu. Przeszczepie mózgu do czaszki pierwszego lepszego człowieka. Na przykład mężczyzny, którego porwalibyśmy. Ale okazało się to niemożliwe, bo przeszczepy mózgu są niemożliwe. Z prostego powodu. Mózg stanowi część centralnego systemu nerwowego, przedłużonego obwodowym układem nerwowym. Jest on siedzibą nerwów czaszkowych i nerwów obwodowych. Zawiaduje on odżywianiem się, to znaczy „konserwacją” tkanek, zdolnością ruchową i wrażliwością organów. Czy zdaje pan sobie sprawę, panie Rigga, z tytanicznej pracy, jakiej wymagałoby nie tylko zastąpienie jednego mózgu innym, ale także ponowne przyłączenie tych wszystkich nerwów, podczas gdy do całkowitej śmierci pozostałyby jedynie trzy minuty? Niemożliwe jest przeprowadzić taką operację w trzy minuty! Tymczasem, czy pan wie, co wystarcza do utrzymania mózgu przy życiu? Stałe doprowadzanie do niego krwi! W jaki sposób? Dzięki pracy serca. A jeżeli serce jest zniszczone, tak jak serce Zoltana? To wtedy potrzebna jest pompa. Ta, którą pan tutaj widzi! Ale pompa nie wystarczy! Ponieważ proszę sobie wyobrazić, że naczynia krwionośne, które doprowadzają krew do mózgu, również ulegają zniszczeniu wskutek temperatury otoczenia. Więc, aby złagodzić tę niedogodność, utrzymujemy tu temperaturę trzydziestu dwóch stopni Fahrenheita i redukujemy stopień wilgotności do zera, stosując te specjalne klimatyzatory, widoczne tutaj, aby otrzymać zupełnie suche powietrze. Jak pan wie, suche powietrze konserwuje.

– A krew? – zaoponował.

Wzruszyła ramionami i wskazała palcem wielkie szklane butle.

– Posiadamy nasz własny bank krwi.

Harry Shulz odniósł wrażenie, że błąkał się w nierealnym świecie. Zerknął na Jimmy'ego Kodasha. Tamten stał nieruchomo niczym posąg.

– Jeśli dobrze rozumiem – podsumował – wszystko było gotowe na dzień jego śmierci, a kiedy ta śmierć nadeszła, jedyną rzeczą, jaka pozostała pani do zrobienia, było wprawienie tej pompy w ruch, zanim minęłyby te fatalne trzy minuty?

Martha Widmer skinęła głową.

– Oczywiście, musieliśmy przedtem usunąć krew z mózgu, aby ten mózg napełnić świeżą krwią. Zoltan myślał również o innym rozwiązaniu, mianowicie

o hibernacji. To teraz bardzo modne. Wie pan, ludzie dotknięci nieuleczalnymi chorobami dają się zamrozić w bardzo niskiej temperaturze, z nadzieją, że za pięćdziesiąt albo sto lat medycyna poczyni wystarczające postępy, aby uleczyć ich chorobę, a im pozwoli powrócić do życia. Ale ostatecznie Zoltan porzucił tę myśl...

– Dlaczego?

– Ponieważ obawiał się ludzi, którzy zachwalali to rozwiązanie. A gdyby medycyna nie czyniła postępów? Albo gdyby ludzie ci byli szarlatanami? A poza tym dlatego, że to rozwiązanie miało jedną złą stronę. W międzyczasie nie mógłby już nam doradzać, ponieważ w hibernacji jego mózg nie mógłby już być używany za pośrednictwem komputera, a jego finansowe imperium ległoby w gruzach. Po co zmartwychwstawać za sto lat, jeśli jest pan już bez grosza przy duszy?

– Logiczne – przyznał Harry Shulz.

– Naturalnie, nikt na świecie nie wie, że Zoltan nie żyje. Rozkazy nadal docierają do wszystkich zakątków świata, tak jak niegdyś. Ale od czasu do czasu trzeba, żeby o Zoltanie mówiono, a więc, tak jak to nam Zoltan nakazał, posługujemy się jego sobowtórami. Jego podpis znajduje się na tysiącach arkuszy papieru, które sam podpisał przed śmiercią. Z tej strony nie ma powodów do obaw. A poza tym, gdyby zaistniały jakieś trudności, możemy wziąć odciski jego palców, aby uwiarygodnić te dokumenty. Nic nie zostaje pozostawione przypadkowi. Dla wszystkich Zoltan żyje. I wszyscy są zadowoleni: on sam, tam gdzie jest, Robert, Dalessandro i ja. Wiążą nas ze sobą te same interesy, wszyscy na tym zyskujemy. Gdyby poznano prawdę, to byłaby katastrofa. Żadne z nas trojga nie jest zdolne kierować imperium Zoltana, nawet mając wsparcie pozostałych. A podwładni Zoltana, rozproszeni po całym świecie, zdają sobie z tego sprawę. Wszystko to, co Zoltan stworzył, na pewno by się rozpadło...

Harry Shulz potwierdził lekkim skinieniem głowy.

– To prawdopodobne.

Martha Widmer zamilkła. Zdawała się na nowo łąpać oddech. Potem ostrożnie powiedziała:

– Otóż, panie Rigga, czyż pan, którego jedynym celem było wykonać kontrakt, nie jest zadowolony, widząc, że Zoltan Zeboff nie żyje? Czy teraz nie stracił pan motywu i chęci do działania? Jak mawiają prawnicy, roszczenie wygasa z powodu śmierci sprawcy... Naturalnie, wręczymy panu i pańskiemu przyjacielowi odpowiednią pieniężną gratyfikację, aby lepiej pomóc wam zapomnieć o tym, co tutaj zobaczyliście, oczywiście, w zamian za wasze milczenie. Mogłabym kazać was zabić, ale po co? Znacznie łatwiej jest zapłacić człowiekowi, który się sprzedaje.

Te ostatnie słowa zostały wypowiedziane tonem pełnym głębokiej pogardy.

Harry Shulz posłał kobiecie swój uroczy uśmiech.

– A gdybyśmy porozmawiali o tym w pani biurze, gdzie temperatura jest znacznie bardziej znośna niż tutaj?

Skinęła głową.

Wszyscy opuścili pokój i złowieszcze miejsce, które Harry Shulz ochrzcił w myślach mianem „trupiarnia”.

Po powrocie do biura Harry Shulz zerknął na czterech azjatyckich zbirów, a potem odwrócił się do Marthy Widmer.

– Powiedziała mi pani, że Zoltan Zeboff nie żyje od dziesięciu miesięcy.

– Tak.

– Więc nie żył już wówczas, kiedy przeprowadzono tę sprytnie obmyślaną akcję w kraju Kradinowoto.

Zaprotestowała.

– Ależ to on wydał ten rozkaz! A przynajmniej jego mózg!

– I to pani przekazała rozkaz Rolfowi Robertsonowi?

– Dokładnie tak. Ale Zoltan był inspiratorem!

– W sumie wszyscy troje jesteście więc ślepo posłusznymi wykonawcami rozkazów pani eksmałżonka?

– Naturalnie. A dzięki mózgowi Zoltana i naszej trójce, finansowe imperium Zeboffa rozkwita bardziej niż kiedykolwiek dotąd!

– Nie wątpię w to. Wspaniała organizacja, jaka pozwala pani nadal wzniecać rewolucje na całym świecie. Ale dlaczego pani eksmaż zmusił panią do poślubienia O'Rourkego?

Martha Widmer wybuchnęła śmiechem.

– To jeszcze jeden z jego pomysłów. Zoltan nie mógł mieć dzieci. I niepokoiło go to, co się stanie z jego imperium, kiedy pan Dalessandro, Robert i ja na zawsze opuścimy ten świat. Celem tego małżeństwa było to, żebyśmy mieli z Robertem dziecko, aby można mu było potem przekazać pałeczkę.

– Chyba jednak nie miał nadziei na to, że jego mózg będzie funkcjonował przez całe wieki?

– Owszem, tak właśnie myślał. Uczony, który zdradził mu swoją metodę przedłużenia ludzkiego życia, zapewnił go, że jego mózg będzie mógł jeszcze żyć sto, dwieście lat! Nie wiedział dokładnie jak długo, ponieważ nikt jeszcze nie przeprowadził takiego eksperymentu. Ponadto nie do końca wyjaśniłam panu tę metodę. Na przykład to, do czego służą wszystkie te aparaty, stojące tuż obok ciała Zoltana. Nie powiedziałam panu, jaki jest cel ich działania. Służą one utrzymaniu mózgu przy życiu.

– Przypuścimy, że wierzę pani na słowo.

– A gdybyśmy teraz, panie Rigga, przedyskutowali moją propozycję?  
Harry Shulz udał zakłopotanie.

– To kusząca propozycja, ale jest pewien szkopuł.

– Jaki?

– Jayne Sterling.

Skrzywiła się z niesmakiem.

– Ona?

Harry Shulz potwierdził skinieniem głowy.

– Tak.

– Ona nic nie znaczy. Jeśli narobi jakichś głupstw i naopowiada niestworzonych historii, zlikwidujemy ją.

Roześmiał się szyderczo.

– Pani mi zarzuca, że latam samolotem i zabijam ludzi. Tymczasem pani stosuje podobne metody...

– Wróćmy do Jayne Sterling. Czego ona chce?

– Tak się składa, że jej interesy są także moimi interesami.

– Jej interesy?

– Zabicie Zoltana Zeboffa.

– Ale pan widział, że on nie żyje!

– Ja tak, ale ona nie!

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Że akceptuję pani propozycję, jeśli da jej pani okazję do tego, żeby przekonała się sama, iż łajdak, który kazał oszpecić jej twarz brzytwą, jest istotnie martwy, i że, tak jak to pani przed chwilą powiedziała, po zgonie sprawcy roszczenia wygasają.

Martha Widmer przecząco potrząsnęła głową.

– To niemożliwe. Ona będzie o tym mówić. A poza tym nie mam ochoty oglądać jej koszmarnej twarzy... i...

Harry Shulz uniósł dłoń, chcąc ją powstrzymać.

– Ale ona nie ma już tamtej twarzy! Zoltan Zeboff, który myślał o wszystkim, nie pomyślał o tym. Chirurgia plastyczna czyni cuda.

Martha Widmer z uporem potrząsnęła głową.

– Ona opowiedziałaby o tym, co tutaj zobaczyła. Dlaczego mam ryzykować? Nie ufam jej. Z panem to co innego. Pan i pański kolega jesteście zawodowcami, tego jestem pewna. Jeśli by tak nie było, pański kolega by panu nie towarzyszył.

– Trafne rozumowanie, ale to nie zmienia istoty problemu. Jednak coś pani powiem. Istnieje bardzo ważny powód, dla którego Jayne Sterling nigdy nie będzie opowiadała o tym, co tutaj zobaczy.

– Cóż to za powód?

– Jayne Sterling już nie istnieje. Gwiazdka z Hollywood, która przespała się z pani eksmałżonkiem i z innymi mężczyznami, kobieta, która stoczyła się na samo dno, śpiąc z zigołakami, kloszardami i żołnierzami, zniknęła na zawsze. Chirurgia plastyczna nie tylko dokonała cudów na jej twarzy, ale także zmieniła jej duszę. To zupełnie inna kobieta, która zaczyna nowe życie. Jediną rzeczą, jaka pozostała z jej przeszłości, jest jej nienawiść do tego, kto kazał ją oszpecić. Wystarczy, że sama się przekona, iż ten człowiek nie żyje, i jej nienawiść zniknie bez śladu. Całą resztę Jayne ma głęboko gdzieś. Całe to wasze imperium finansowe i wasze kombinacje. Nigdy nie będzie opowiadała o tym, co mogła tutaj zobaczyć, ponieważ wówczas ożyłaby jej cuchnąca przeszłość. A to nie leży w jej interesie.

Martha Widmer zastanawiała się. Odwróciła się do Dalessandro i swego męża. Harry Shulz wstrzymał oddech. Obydwaj mężczyźni zmarszczyli brwi. Robert O'Rourke zdecydował, że przemówi pierwszy:

– Czy gwarantuje nam pan, panie Rigga, że cała ta nieprzyjemna afery zakończy się, jeśli się zgodzimy, żeby ona zobaczyła ciało?

– Gwarantuję to państwu.

Dalessandro wściekle grzmotnął pięścią w biurko.

– Dostyc tego! Jestem przeciw, przeciw! To śmieszne! To pani, Martho, wpadła na pomysł tego układu z Rigga. Jestem przeciw! Istnieje rozwiązanie znacznie szybsze i nie niosące za sobą cienia niebezpieczeństwa. Znać je. Powiedziałem wam o nim. Wykończyć Rigga, jego kumpla i Jayne Sterling.

Wskazał kciukiem czterech zbirów.

– Oni wykonają robotę. Co się z panią dzieje, Martho? Czy to fakt, że przespała się pani z Rigga sprawia, że jest pani tak wyrozumiała?

– Dostyc tego, Vince! – wtrącił O'Rourke.

Harry Shulz uniósł rękę, prosząc o ciszę.

– Panowie, spokojnie! – powiedział szyderczo. – Rozwiązanie drogą fizycznej eliminacji nie będzie dobre, bo domyślacie się chyba, że mój przyjaciel i ja nie przyszliśmy tu nie przygotowani. Mówiłem, że Jayne Sterling nie wniosła skargi przeciwko Zoltanowi Zeboffowi, ale nie powiedziałem, że nie chce tego zrobić! A teraz jest ona w kasynie na parterze, w towarzystwie przedstawicieli prawa i detektywów. Jeśli mój przyjaciel i ja nie wyjdziemy stąd, otoczą was zewsząd ludzie, którzy zechcą przesłuchać Zoltana Zeboffa. Ci przedstawiciele prawa nie wiedzą jeszcze, o co chodzi. Jayne opowiedziała im jakąś błąhą historyjkę o szantażu. Jeśli zgodzicie się na moją propozycję, pozbędziemy się ich, wręczając prawnikom wysokie honoraria, a agentom z policji czeki na duże sumy, przeznaczone na charytatywną działalność. I wszystko zostanie puszczane w niepamięć. W przeciwnym razie, oni znajdą nasze trupy... Wybór należy do was...

Martha Widmer uprzedziła ruchem ręki sprzeciw Dalessandra i utkwiała wzrok w Harrym Shulzu.

– Okay, panie Rigga. Wygrał pan. Ale ona przyjdzie tutaj sama. Bez pozostałych.

– Naturalnie.

Wskazał stojący na biurku telefon.

– Czy to bezpośrednie połączenie?

– Tak.

Harry Shulz chciał podejść do biurka, ale Martha powstrzymała go.

– To ja wydaję rozkazy. Gdzie ona jest?

– Tuż obok kabiny telefonicznej znajdującej się za stołem do ruletki, numer siedem. Odpowiada na każdy telefon, aby dowiedzieć się, czy to do niej.

– Bardzo dobrze.

Martha Widmer podeszła do skośnookich zbirów i powiedziała coś do jednego z nich. Facet wyszedł natychmiast z biura.

Zapadła długa cisza. Martha Widmer spacerowała po pokoju tam i z powrotem. Nagle przystanęła przed Harrym Shulzem.

– Sądzi pan, że jej także trzeba będzie zapłacić?

Obrzucił ją szyderczym spojrzeniem.

– Tak, tytułem zwrotu kosztów operacji plastycznej, jakiej musiała się poddać.

Zacisnęła usta. – W porządku. Nagle otworzyły się drzwi. Harry Shulz odwrócił się.

– Oto Jayne Sterling – oznajmił. – Ze swoją nową twarzą.

Martha Widmer, Vince Dalessandro i Robert O'Rourke wpatrywali się w przybyłą z niedowierzaniem. Była bardzo piękna, szczupła, miała smukłe biodra i kształtne nogi, wielkie czarne oczy, kruczoczarne włosy i smagłą cerę. Jej suknia pochodziła z pewnością ze sławnego domu mody, a wielka torebka z krokodylej skóry, taka, do której wszystko dało się zmieścić i którą ścisnęła w rękach, musiała kosztować fortunę.

Vince Dalessandro stał jak skamieniały i wpatrywał się w nią z rozdziawionymi ustami. Potem jakiś przeciągły dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Strasznie pobladł.

– Ale... – zaczął.

Nie zdążył dokończyć zdania.

Nowo przybyła otworzyła torbę z krokodylej skóry i w jej dłoni błysnęły olbrzymi pistolet.

Przez otwarte drzwi do pokoju wpadli: Michel Corvet, Watt SeEVERS, Danny Weisz, Sepp Winkler i Flip „Horny” Carter.



Trzech azjatyckich zbirów było prawdziwymi zawodowcami. Mieli błyskawiczny refleks. W mgnieniu oka w ich dłoniach pojawiły się pistolety automatyczne. Po jednym w każdej ręce. I natychmiast zaczęli strzelać.

Danny Weisz otworzył szeroko usta i jego wielkie sterczące zęby wydały się jeszcze większe. Skoszony seria, osunął się na podłogę, wypuszczając broń z ręki.

Harry Shulz i Jimmy Kodash zanurkowali pod stół.

Jeden z azjatyckich zbirów i Watt Seevers bezlitośnie zastrzelili się nawzajem. Ich podziurawione kulami ciała runęły niczym kręgle i padli sobie nawzajem w objęcia, tak jakby śmierć bratersko ich zjednoczyła w raju zabójców. Trzymając w rękach swoje „Smith and Wesson 357 Magnum”, Flip „Horny” Carter, Michel Corvet i Sepp Winkler siali już wokół istne spustoszenie. Dwaj pozostali Azjaci osunęli się na dywan.

Karla Devorak, stojąc pośrodku pokoju na rozstawionych nogach i trzymając w prawej ręce swego czternastostrzałowego herstala zastrzeliła kolejno: Roberta O'Rourke, Vince'a Dalessandro i Marthę Widmer.

Martha runęła do stóp Harry'ego Shulza. Pochylił się nad nią. Kula przeszła na wylot jej gardło. Spoglądała na niego przepełnionymi zgrozą oczami.

– Dla... dlaczego? – wyjąkała w końcu. – Dlaczego... Fr... Frank?...

Uśmiechnął się ze smutkiem.

– Wszyscy byliście odpowiedzialni za śmierć mojego przyjaciela w kraju Kradinowoto. On nie żyje. Dlaczego wy mielibyście żyć?

Martha Widmer zamknęła oczy. Strumień krwi trysnął z jej ust. Nie żyła.

Harry Shulz wstał. Pokój cuchnął prochem. Karla Devorak wpatrywała się w niego błyszczącymi oczami. Oblizwała wargi.

– Harry, czy dobrze zagrałam swoją rolę?

– Tak.

– Dokąd teraz? Tkwić tutaj dłużej to chyba ryzykowne.

– Zaczekaj. Mam jeszcze coś do zrobienia.

Poszedł do pokoju, który ochrzcił „trupiarnią”, i zatrzymał pompę doprowadzającą krew do mózgu martwego Zoltana Zeboffa. Potem ze stoickim spokojem wycelował w jego głowę i opróżnił cały magazynek pistoletu.

Z.Z. został teraz naprawdę unieszkodliwiony.

I Johnny Kremer został pomszczony.

A także Jayne Sterling. I Safia. I wszyscy pozostali...

Wychodząc z „trupiarni” uderzyła go pewna myśl i jego ciałem wstrząsnął przeciągły dreszcz.

A gdyby jego blef nie powiódł się? A gdyby Martha zdecydowała się go zabić rękami swoich chińskich zbirów? Na przykład zgadzając się albo raczej udając,

że się zgadza, żeby ta, którą uważała za Jayne Sterling, przysłała na górę do niego i Jimmy'ego Kodasha jedynie po to, aby zebrać ich tutaj wszystkich razem i za jednym zamachem pozbyć się wszystkich niewygodnych świadków?

Czyż Martha nie brała pod uwagę takiego rozwiązania?

Czyż nie grała po prostu komedii? Tak jak to uczyniła w noc seksualnej orgii podczas tego „przyjęcia weselnego”?

Bo czyż to nie stanowiło dla niej jedynej gwarancji na to, iż nikt nigdy nie rozgłosi faktu śmierci Zoltana Zeboffa?

Na pewno tak myślała!

## ROZDZIAŁ XXIX

Tak szybko, jakby rzucał się na przeciwnika na bokserskim ringu, Jerry Otrano skoczył do Harry'ego Shulza, który wchodził właśnie do holu budynku.

– Witam, panie Shulz. Cieszę się, że pana widzę. Mam pańską forszę. Sześćset dolców, prawda?

– Prawda, Jerry. Więc udało ci się?

– Tak jak przewidywałem. Chłopaki narobili bałaganu, bieg unieważniono, a ja zarobiłem na masełko do chleba, odkupując zakłady. Około czterystu dolców, nie musiałem nawet zbytnio łamać sobie głowy.

– Gratulacje, Jerry.

– Dziękuję również panu. Gdyby pan nie sfinansował tego numeru, byłbym ugotowany. Czy jest pan pewien, że nie chce pan, żebym się z panem podzielił zyskiem?

– Jestem pewien, Jerry.

Harry Shulz chwycił kopertę, którą wręczał mu Jerry Otrano, i ruszył do windy.

– Jeśli ci się trafi jeszcze taka gratka i trzeba będzie ją sfinansować, nie wahaj się poprosić mnie o forszę – rzucił przez ramię.

– To wspaniale z pańskiej strony, panie Shulz – odparł były czempion chrapliwym głosem, zdartym zapewne wskutek zainkasowania zbyt wielu ciosów w swojej karierze zawodowego boksera.

Harry Shulz, jak tylko wszedł do swojego mieszkania, pośpiesznie odłożył na bok pieniądze za kontrakty Danny'ego Weisza i Watta Seeversa, które zamierzał przesłać do Organizacji TRAKS. Taka była zasada postępowania. Oni nie żyli, ale on był zobowiązany zapłacić organizacji należność za ich kontrakty. Odłożył

także na bok kopertę z pieniędzmi dla doktora Schallenghammerforsta, a potem obliczył swoje wydatki. Potrącając wszystko to, co wydał, kwoty, które rozdawał na prawo i lewo, pozostawało mu jeszcze około pół miliona dolarów!

Nieźle.

A Johnny Kremer mógł spokojnie spoczywać w swoim grobie!

Tego samego wieczora Harry poleciał do Miami.

Doktor Schallenghammerforst zgarnął pieniądze, które Harry Shulz położył na jego biurku.

– Czy jest pan zadowolony z usług doktora Halzenspergerüchenbacha?

– Bardzo zadowolony.

Doktor skinął głową.

– To bardzo zdolny chłopak. Ma przed sobą wielką przyszłość.

– I ma doskonałą technikę. Zapewnił mnie, że to pan go jej nauczył. Ale nie chciałem mi powiedzieć, gdzie pan sam nabył te umiejętności.

Doktor Schallenghammerforst uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Niech pan nie zadaje takich pytań, jeśli pan nie chce usłyszeć w odpowiedzi kłamstw.

Wstał.

– A teraz chodźmy zobaczyć się z pana przyjaciółką.

– Czy ona może opuścić klinikę?

– Od dawna, ale oczekiwała pańskiego powrotu.

Jayne Sterling zacerwieniła się, kiedy ujrzała Harry'ego Shulza wchodzącego do jej pokoju. Odwróciła twarz.

– Jak się panu podobam? – wyjąkała.

Najpierw przyjrzał się jej, nie mówiąc ani słowa. Jej twarz była taka sama jak twarz, jaką zobaczył na zdjęciu, które pokazał mu doktor, kiedy przyprowadził Jayne do kliniki.

Była naprawdę śliczna.

Zmrużył oczy.

Chirurgia plastyczna nie pozostawiła żadnego śladu. Ani na szyi, ani gdzie indziej. Doktor Schallenghammerforst musiał zastosować najnowszą technikę „gładzenia” naskórka.

Robota artysty!

– Podobam się panu? – spytała nieśmiało.

Harry Shulz uśmiechnął się do niej ujmująco.

– Na dowód tego zabieram panią ze sobą!

– A dokąd to?

– Na wakacje! Na bardzo zasłużone wakacje, tak dla pani, jak i dla mnie!

Twarz Jayne rozjaśnił radosny uśmiech.

– Czy wyjeżdżamy natychmiast?

– Tak.

– Brawo! To miło z pana strony, że przyszedł się pan ze mną zobaczyć teraz, kiedy jestem ładna, oczywiście, jeżeli taka jestem naprawdę...

– Jest pani.

Wrzuciła swoje rzeczy do walizki i nagle przystanęła. Jej twarz spochmurniała.

– A ten człowiek, którego pan szukał? Ten człowiek, który odpowiada za wszystkie nieszczęścia, jakie się mi przytrafiły? Odnalazł go pan?

Poklepał ją po ramieniu.

– Odnalazłem go. Ale on już nie żył...

Jayne Sterling uśmiechnęła się radośnie.